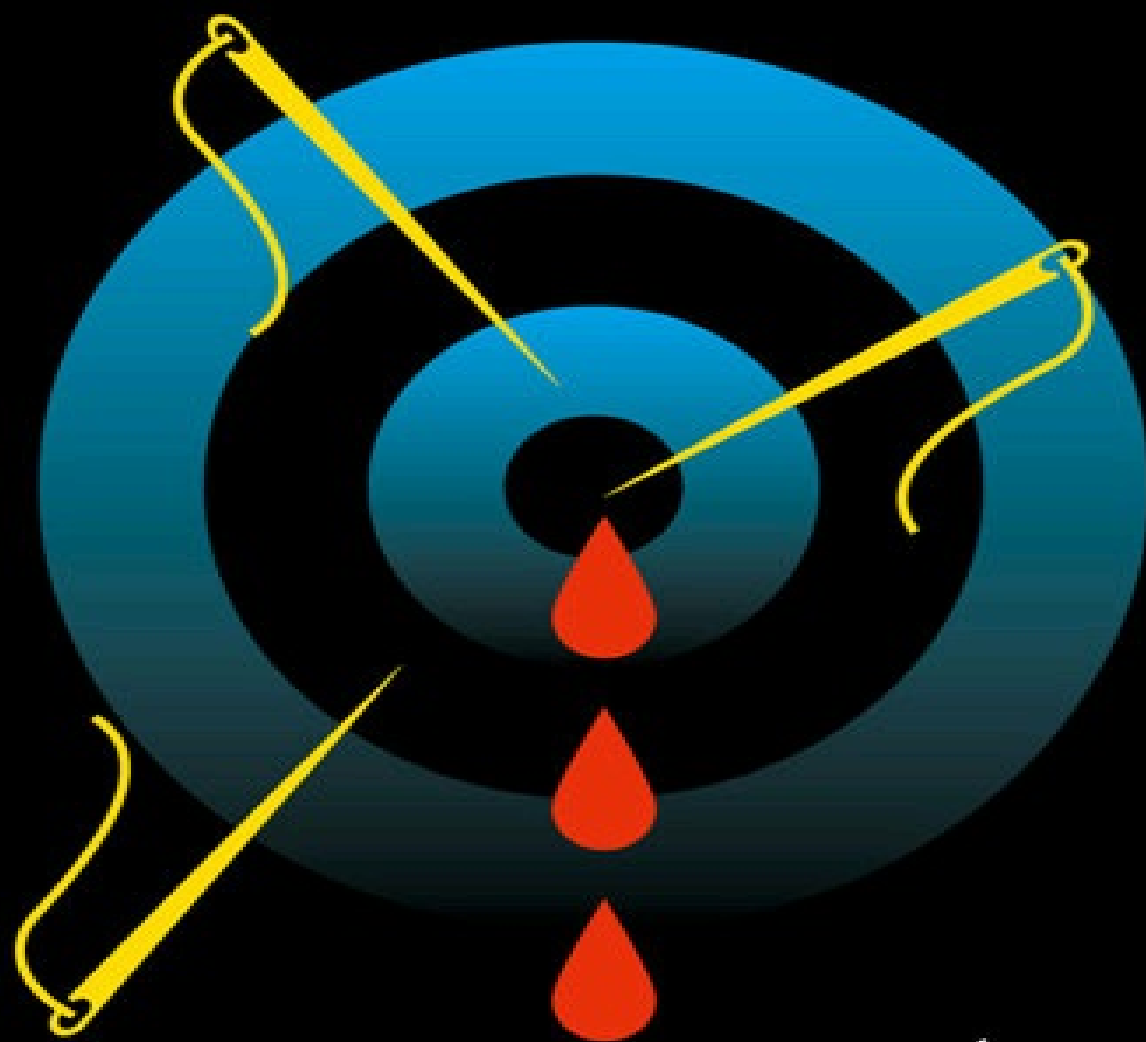


nowa
proza
polska

MICHAŁ WITKOWSKI
ZBRODNIARZ
i
DZIEWCZYNA



Świat Książki

Michał
Witkowski

Zbrodniarz
i dziewczyna

Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

* * *

wrzesień–październik 2012

noc z piątku na sobotę, z 30 listopada na 1 grudnia 2012

noc, sobota, 1 grudnia 2012

sobota, 1 grudnia 2012

Przedwojenny Morderca

sobota, 1 grudnia 2012, wieczór

poniedziałek, 3 grudnia 2012, godz. 6 rano

wtorek, 4 grudnia 2012

wtorek, 4 grudnia 2012, po południu

wtorek, 4 grudnia 2012, rano

wtorek, 4 grudnia 2012, godz. 19.00

noc z wtorku na środę, z 4 na 5 grudnia 2012

środa, 5 grudnia 2012

środa, 5 grudnia 2012, godz. 5 rano

Wrocław, środa, 5 grudnia 2012, godz. 6 rano

Międzyzdroje, środa, 5 grudnia 2012, godz. 19.00

Międzyzdroje, środa, 5 grudnia 2012, godz. 22.15, pokój u Krewety

Pralnia Sunlight

Międzyzdroje, czwartek, 6 grudnia 2012, godz. 11.00

Międzyzdroje, piątek, 7 grudnia 2012

Wrocław, wtorek, 12 grudnia 2012, godz. 6 rano

Hermina. Opowieść pana Zbyszka

Wrocław, plac Kościuszki, poniedziałek, 11 grudnia 2012, godz. 8.15

Wrocław, noc z wtorku na środę, z 12 na 13 grudnia 2012

Wrocław, noc z wtorku na środę, z 12 na 13 grudnia 2012

Opowieść Przedwojennego Mordercy

Podziękowania

Przypisy

Agnieszce Hałóń i Pawłowi Surowiakowi

Nie grzeję tu, mimo że w tym roku listopad we Wrocławiu jest lodowaty. Wieje jakiś huragan z nad Niemiec, Adolf czy Alfons, cholera go wie, dość, że ciężko wietrzyć. Zamarzła fontanna w Rynku, Pergola w parku Szczytnickim i tylko Odra jeszcze jakoś się rusza. Ale tu musi być zimno. Moi klienci nie tolerują ciepła. Mogliby się spocić, a ja tego bardzo nie lubię. Bardzo nie lubię... I tak jest tu zimno, bo willa stara, nieszczelna, powoli popada w ruinę. Na dodatek ewidentnie nawiedzona, ale czemu się dziwić po tym wszystkim. Tyle karmy. Ogród zarasta pokrzywami, zarasta buda, w której kiedyś był gołębnik lokatorów. Teraz to tylko las suchych badyli, których nie chce mi się spalić. Morwa zupełnie zdziczała. Tylko dęby są nie do zdarcia. Dzwonek, przy którym kiedyś było wiele nazwisk, nie działa. Rdza zjada wannę i niszczy mi tkaniny, które się w niej moczą. Otwieram okna, żeby mróz wleciał do salonu. Przeciąg szaleje, gasi świece. Cholerny Alfons, cholerny Adolf, jeszcze rozdmucha mi tu ogień! Szaleją pożółkłe firany pięciometrowej długości, tak wysokie mam tu sufity. Co druga żabka w karniszach już nie trzyma materiału, bo żadna drabina nie sięga tak wysoko. Łuszczy się farba z ram okiennych. Puszczam na cały głos operę Traviata. Nawlekam nitkę na igłę w maszynie. Nakładam napałek, bo już tyle razy miałem rozwalony palec, a teraz nie mogę sobie pozwolić na żadne urlopy. Machina została puszczona w ruch. Nic jej nie zatrzyma. Trzeba szyć!

W willi obok jest firma, teraz tam nikogo nie ma, a po drugiej stronie mieszka głucha staruszka. To bardzo pomaga, kiedy moi klienci chcieliby powiedzieć coś głośniej...

Moja matka nigdy nie polubiła tego domu, nigdy właściwie tu nie osiadła. Całe życie w kurortach. Była wariatką, ale w jakimś ostatnim przebłysku trzeźwości jeszcze zdołała położyć łapę na tej willi. Nie mam pojęcia, jak jej się to udało, biorąc pod uwagę, że była Niemką, która została we Wrocławiu po wojnie. Jednych Niemców wypędzali z domów, aby moja matka mogła się wprowadzić? Otóż to. Cała ona! Jeden wielki oksy... oksym... Jedna wielka sprzeczność.

Nienawidziłem cię.

Ale ty dobrze wiedziałaś, którzy z waszych znajomych mieli duże wille do zajęcia. W końcu przed wojną nie byłaś byle kim. Potem z dumą mi opowiadałaś, że starannie wybrałaś willę swoich największych wrogów, którzy zniszczyli twojego męża, producenta pończoch. Byłaś wtedy trochę taką Traviatą, Damą Kameliową, rozdartą między kurewstwem a miłością. I też źle się skończyło.

Kiedy byłem mały, a ty jeszcze żyłaś, po całym domu walały się liście dębu. Jesienią zbierałaś je w ogrodzie i wplatałaś sobie we włosy, potem znajdowałem je pod poduszką, zakładaliśmy nimi książki. Wszędzie też walały się żołędzie. Pamiętam, że siedziałem pod stołem w kuchni i robiłem z nich ludziki, łącząc je zapalkami. W parku Szczytnickim był taki prastary dąb – pomnik przyrody, Bartek, i tam też zbierałem jesienią liście we wszystkich kolorach i żołędzie na ludziki. Potem dorobiłem im też wielkie genitalia i sprąsał mnie do krwi. Uderzyłaś mnie tarką kuchenną, do dziś mam ślady. W spokoju czekałem, aż ci przejdzie. Połamane ludziki wylądowały w śmietniku. Kiedy poszłaś spać, zakradłem się do kuchni, wyjąłem spod zlewu wiadro i zacząłem grzebać w śmieciach. Jakże typowych dla ciebie! Nie było tam żadnych resztek jedzenia, nic nie gotowałaś.

Tylko tony niedopałków, ampułki po efedrynie, liście dębu, ludziki, które wyjąłem i zacząłem naprawiać, pudełka po lekach psychotropowych, zakrwawione watki po zastrzykach, fusy po czarnej kawie, kawałki rozbitych szklanek. Żywiłaś się kawą tak mocną, że łyżka stała na sztorc. Parzyłaś ją w szklance musztardówce, którą przykrywałaś spodkiem. Żywiłaś się papierosami. Tabletkami. Pustymi szklankami, połamanymi ampułkami, siarką z zapalek, olejem do maszyny do szycia...

Moje ludziki nie chciały przebywać w tym towarzystwie.

Wcześniej też zacząłem szyć. Ale o tym potem. Potem. Cicho sza!

Za oknem kraczą wrony i pada śnieg. Jest szaro. Świat się sprął. Za długo leżał w wannie.

Twoja śmierć była tak spektakularna, że komunistyczne władze nagle się ocknęły i zauważyły, że coś nam tu za dobrze. Od razu administracja tak rozparcelowała dom, że właściwie zrobiła komunałkę. Mnie przyznano pod opiekę dwóm lokatorom. Wtedy właśnie pojawiło się przy furtce coś jak wczesna wersja domofonu. Wypisane ręcznie nazwiska zaklejane plastrem, przekreślane, bezwstydnie zdradzające temperament piszących... Nazwiska żydowskie, nazwiska czeskie, niemieckie, rosyjskie... Wprowadziła się tu cała galeria dziwaków, wojennych inwalidów i starych, gadających do siebie profesorów. A wprowadzili się ze swoimi zapachami kiszzonej kapusty, z bańkami na mleko, chustkami na głowach, zepsutymi zębami, wrzeszczącymi bachorami, chorobami, gołębiami w klatkach, psami i kotami... Jeden z profesorów poszedł raz na własny wykład z kubelkiem na śmieci, bo wyszedł z domu je wyrzucić i tak się zamyślił o sprawach naukowych, że zapomniał o wiaderku. Inny przywłókł tu wielki kawał marmuru (wtedy na ulicach Wrocławia można było jeszcze znaleźć najdziwniejsze rzeczy), oczywiście nie sam, nigdy by go nie uniósł. Teraz zrobiłem z tego podwyższenie dla moich klientów.

Tu, za przepierzeniem, mieszkały dwie stare siostry, którym oddano mnie na wychowanie. Od lat się do siebie nie odzywały, bo pięćdziesiąt lat wcześniej pokłóciły się o jakieś głupstwo, że „jedna nie chciała iść z latarnią”, kto to zrozumie. Grały tylko w toto-lotka i rozpamiętywały w milczeniu tę swoją wieloletnią kłótnię. Tam był jakiś trup w tej historii. Przed wojną one mieszkały gdzieś we Lwowie w suterenie i tam przyjechał młodzieniec, czy mieszkały w piwnicy, a pokoje wynajmowały? I ten młodzieniec się powiesił w swoim pokoju, a one, jak już zaczęły coś podejrzewać, nie chciały iść sprawdzić, każda wypychała tą drugą właśnie „z latarnią”. No i od tamtej pory obrażone dusiły się na kilku metrach, ale musiały przebywać razem w jednym pokoju, bo jak tylko jedna się ruszyła z miejsca, to zaraz się bała, że ta druga od niej zgapi, jak wypełniła toto-lotka.

Po ich śmierci w latach siedemdziesiątych znalazłem pod łóżkiem tony wypełnionych kuponów w walizach.

Oczywiście podnajmowali tu też najgorsze pokoje na strychu poeci walczący z komuną i poeci egocentrycznie zapatrzeni w swoje ja, oraz poeci alkoholicy. Kto wie, czy przez krótką chwilę nie wynajmował tu nawet Rafał Wojaczek, wcale bym się nie zdziwił. Jeśli nawet, to nikt by go tu nie zauważył, idealnie wkomponowałby się w tło. Poeci zakochiwali się w Wiecznych Studentkach.

Wchodziło się na przykład do kuchni, która była wspólna, a tam ćwiczyła jogę („zenkowała”) któraś z wyciszonych Wiecznych Studentek. Albo trwało zebranie Amwaya, pokaz garnków, promocja antyalergicznego pościeli, jeśli to były już wczesne lata dziewięćdziesiąte, kiedy poeci przekwalifikowali się na akwizytorów. Albo kurs sztuki życia i oddechu połączony z degustacją jedzenia tych od Hare Kriszna. Wieczne Studentki o chętnie brały udział w tym wszystkim, zadawały się z poetami i stanowiły wierną publikę ich wieczorków autorskich w Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki na placu Kościuszki. Tak jak poeci wciąż nie mogli wydać tomu wierszy, tak one wciąż nie mogły zrobić magisterki, choć ciągle pożyczały maszynę do pisania i zmitrężyły na to już tyle czasu, że mogłyby mieć habilitację. Potem jednak oddawały tę maszynę i na całe pół roku popadały w picie rozwodzonego piwa z kija w ogródku kawiarni Kalambur.

Pożyczałem im starą maszynę do pisania Łucznik, na której właśnie to piszę. W rękawiczkach bez palców. Patrzę na swoje poślizgnięte paznokcie. Nawet na nich mam zmarszczki. Lewy wskazujący palec tyle razy był zacinał przy szyciu, wpadał pod igłę maszyny, że właściwie nie mam już w nim czucia.

Zanim to wszystko się zaczęło, mieszkałem tu z mamą sam. Tylko suterene wynajmował od nas taki dziadek, który mówił na moją mamę „hrabina”. Miał sukę Neskę i całe duże mieszkanie na Traugutta. Ale tam wszystkie pokoje wynajmował studentom, a sam spał w tej suterenie u nas, bo był alkoholikiem i kto go tam wie, kim jeszcze. Czasem nam schodził do piwnicy po węgiel, palił w piecu albo naprawiał coś, bo moja mama by nie umiała. A jak chciał w tym swoim własnym mieszkaniu na Traugutta zanoć, bo zamarudził na mieście, to spał tam w korytarzu, w namiocie. Po prostu rozbijał namiot, brał Neskę i spał. Był tam też słynny trup przedwojennej tramwajarki, nomen omen w szafie, ale o trupach cicho! Ani słowa.

Dalej – mieszkały tu stare polonistki, stare bibliotekarki, stąd do dziś ten zapach serwatki. Nie wiem czemu, ale kobiety te zawsze idą w parze z zapachem serwatki. Ich koty. Dwie krawcowe ze Ślicznej Grażynki, Izabela i Janina, i syn jednej z nich dorastający wśród ścinków tkanin pod stołem zawalonym materiałami. Pod tym samym stołem, pod którym ja robiłem ludziki z żółodzi i zapalek. Teraz to było cudze mieszkanie. Odwiedzałem te dwie krawcowe i ich synka, zafascynowany tym całym krawiectwem wokoło. Krawcowe i synek – to już musiał być początek lat osiemdziesiątych. Tak, on się urodził jakoś w osiemdziesiątym trzecim. Nigdy nie mogłem zapamiętać, której z tych krawcowych to jest syn, a która jest siostrą. Męża nie było. Podobno, jak mówiły siostry „od latarni”: „jeden taki z dyskoteki zbuchał jej bękart i więcej widzieć nie chciał”, ale której jej – Izabeli czy Janinie? Patrzałem, jak on dorasta pod stołem wśród ścinków tkanin, i przypominałem sobie pod tym stołem swoje własne pierwsze krawieckie eksperymenty. Od razu mi wychodziło, miałem smykałkę. Robiłem krawcowym takie żarty. Na przykład zaszywałem rękawy w sukni, która już nie miała być więcej mierzona. Przyszywałem do sukni ślubnej guzik Luftwaffe lub SS, których do jakiegoś czasu było wszędzie pełno, a potem nagle znikły. Plamiłem suknie ślubne od wewnątrz w strategicznym miejscu czerwoną farbą lub keczupem...

Jedna z tych krawcowych miała faceta, który wyjechał do Niemiec Zachodnich i przysyłał jej różne modowe pisma. Zabijcie mnie, ale która? Izabela czy Janina? Teraz znalazłem je w piwnicy. Niech żyją lata osiemdziesiąte, prosperity i zepsuty gust! Reklamy marlboro z kowbojami na koniach, na tle zachodzącego słońca. Reklamy perfum z zagiętą kartką, a w zagięciu można potrzeć palcem i powąchać. Wtedy to były perfumy! Reklamy kosmetyków, które teraz są na każdym promie na duty free, a wtedy były luksusem. Reklamy szkockiej na skałach, z kominkiem i zapaloną fajką w tle. No i ciuchy, które się kopiowało, odrysowywało, z pominięciem wszelkich praw autorskich. Gołe baby w „Playboyach” skąpane w zapachu tych zwietrzałych perfumowanych kartek!

A wokół buty, kapcie, laczki, niedzielne obiady, dźwięki Lata z Radiem i pianina, dźwięki rzucanych przedmiotów, dźwięki nalewania wody do wanny, wiercenia, wiercenia, jakby ktoś nie mógł się dowiercić do skarbu, dźwięki kłótni, kiedy się włożyło głowę pod wodę w wannie, przypalone patelnie, przypalone lokówką włosy w niedzielne popołudnia, odgłosy spuszczonej wody; grzałki, żelazka, zakurzone książki profesorów, brudne waty, a pod koniec tampony i podpaski, brudne patyczki do czyszczenia uszu, skwarne, upalne popołudnia, wiosenne deszcze i burze o zapachu ozonu, odgłosy telewizora zza ściany, jeszcze burza, jeszcze raz ślimaki po burzy w ogrodzie wystawiły rogi, jeszcze tupoty, dziecięce krzyki (jakby grały w piłkę w wiosenny dzień) i napominania matek, jeszcze odgłosy gołębnika w ogrodzie, gruchania tych gołębi, wypuszczanie ich, trzepot skrzydeł, a potem nagle wszyscy wymarli, znikli i oto znowu zostałem sam na włościach w chińskim szlafroku i rękawicach. Jakby ich nigdy nie było.

Sam, ale z gośćmi... Samotny w tłumie.

Tylko zostałem sam, natychmiast wysprzątałem dawny twój pokój. Pamiątki po tobie, lufka, futro zjedzone przez mole, pudło na kapelusze, nawet przeterminowane tabletki, zasuszone grzebienie, słoiczek po kremie, butelka z resztką zapachu perfum, złota zapalniczka Dupont, której jakimś cudem nie zastawiliśmy w lombardzie w tych głodnych latach pięćdziesiątych... Wszystko do gablotek. Muzeum! Na samym dnie piwnicy trzymałem ukrytą przed hołotą szkatułkę z biżuterią. Z tymi niezastawionymi resztkami. I z twoimi pamiątkami. Było tam między innymi oprawione w cieniutką srebrną ramkę zdjęcie tego Knuta, duńskiej cioty, która cię zniszczyła, wtrąciła w chorobę. Uśmiecha się w białej marynarskiej koszuli z niebieskim paseczkiem. Był tam, oczywiście, liść dębu, a jakże! W pudełku na wacie odpoczywał mój mleczny ząb. Biżuteria została tylko bezwartościowa, jakieś broszki, z których powydłubywaliśmy kamienie, srebrne łańcuszki z bursztynowymi łezkami, nic niewarte pamiątki z kurortów. Wszystko to wylądowało w twoim muzeum, raz na zawsze unieruchomione, oświetlone, zasuszone i podane za szybką. Na środku wisiał twój portret. Miałem nadzieję, że złożę pod nim odpowiednią liczbę wotów.

Włączam grzałkę w rondelku, gotuję wodę na kawę. Kontakt wypadł ze ściany i zwisa smętnie na kablu, sypie się tynk, ale grzałka działa. Kiedy wkładam wtyczkę, przeskakuje iskra. Odgryzam nitkę. Rondelek w groszki. Nitka czarna.

Olbrzymi dom, a ja wciąż mieszkam w swoim dziecięcym pokoju. Tylko tu grzeję. Słoneczko ma kabel cały uszczelniony plastrami i na pewno kiedyś będzie z tego pożar. I tak chodzę po domu w rękawicach. Bez palców, żeby móc szyć i pisać na maszynie. Przed wojną był tu pokój dla służby, a ja jestem szwaczką. Tu mam moją starą maszynę do szycia, też Łuczniak. Ale z maszyną do szycia jest tak jak ze skrzypcami – im starsze, tym lepsze. Dobra maszyna musi najpierw szyć przez dziesięć lat byle co, żeby krawiec był z nią oswojony i mógł na koniec stworzyć Arcydzieło. Jak z wygodnym ubraniem. Jak z maszyną do pisania.

Moje krawieckie Arcydzieło nie jest jeszcze skończone. Nie mogę wziąć miary. Znam mniej więcej rozmiar spodni i wysokość, ale ile Pisarka ma w pasie? Latałem za nią po przymierzalniach, czatowałem, aż wyjdzie z kabiny, notowałem rozmiary odłożonych rzeczy w Peek & Cloppenburg, no, ale odłożone, to znaczy, że nie pasowały. A te, co pasowały, to niosła zaraz do kasy z miną dumną, jakby w samym środku dnia wyniosła z Luwru Monę Lisę. Ustawiałem się za nią, czasem dojrzałem rozmiar.

Jest trudno. Ale to będzie wielkie. Już się nie mogę doczekać momentu, kiedy ubiorę w nie Pisarkę! Jest tak trudne, że część musiałem zamówić u Mistrza, który czasem bywa we Wrocławiu. W całym moim pokoju porozkładane są materiały, wszystkie czarne, ale o różnych odcieniach, różnych fakturach. Czarna skóra, czarne futro, czarny lateks, czarna bawełna, czarna lamówka, czarna koronka, czarne nici... Czerń jest najbardziej zróżnicowanym kolorem: od matowego do świeżącego tysiąc półmatów, od gładkiego do szorstkiego setki półtonów, a same czarne nici jakie różne, guziki, podszewki... Robię dla Pisarki taki satanizm w stylu Ricka Owensa. Na pewno jej się spodoba.

Na drzwiach mojego pokoju od wewnętrznej strony wisi wycięte z „Dużego Formatu” zdjęcie Pisarki w czerwonym dresie. Wtedy jeszcze, zaraz po wyjściu Lubiewa, nie potrafiła się ubrać. Odwrócona tyłem, spoziera za siebie. Wiem, że Pisarka ma u siebie w domu na ścianie zdjęcie Jelinek, w które rzuca strzałkami. Robię z nią to samo. W te zniechęcone usta. W te zniechęcone oczy. Kurwiki w oczach. Ja rzucam nożami.

Na półeczce nad łóżkiem wszystkie jej książki, nawet ten debiut, już nie do zdobycia, nawet arkusz, który wydała w dziewięćdziesiątym ósmym, nakład: tysiąc egzemplarzy. Wszystkie jej audiobooki. Jej autograf, co mi dała raz na grudniowych targach książki w Awangardzie. Z serdecznymi pozdrowieniami – Michał Michaśka Witkowski. Jestem psem. Jestem fanem. Dzikim psem i dzikim fanem. Psychofanem. I urwałem się z łańcucha. Chcę zdobyć jej pióro, aby odtąd pisać nim tę historię. Jedno było na aukcji w Internecie, ale oczywiście nie umiałem kupić w sieci. Wiem nawet, jak to zrobić!

Byłem dziś w hurtowni tkanin na Robotniczej, mam tam zniżkę. W błocie i deszczu. Mróz puścił. Dworzec Świebodzki wyglądał jak widmo, baby handlowały przed nim jakimiś swoimi rozczulająco ubogimi sprzętami domowymi. Wprost z gazety, z ulicy. Robotnicza. Baraki. A w środku skarby, bele, wszystkie kolory i faktury. Wybrałem trochę surowego drelichu na mundurki. W sumie badziewie, byle jak zafarbowane, ale tak ma być. Czarny i ciemny granat. Zostawię je w wannie na

całą noc, żeby się zdekatyzowały, i oczywiście woda od razu zabarwi się na czarno. We Wrocławiu jest coraz mniej pasmanterii w starym stylu. Takich z zasuszoną staruszką sprzedającą zamki błyskawiczne, guziki, zatrzaski, napastrki, szydełka, włóczki, sztuczne róże, kryształki, dzety, haftki, cekiny. Młodzi projektanci sprowadzają to sobie przez Internet z całego świata. Ostatnia pasmanteria została koło domu towarowego Podwale. Tam idę po guziki i haftki. Dzwonek przy drzwiach. Nie mają takich, jak potrzebuję, guzików. Muszę iść do pasmanterii w nasypie kolejowym, tam też się jeszcze uchowala. Nie mają. Będę musiał nauczyć się kupować w Internecie.

Pod nasypem spotykam Bednarz – jedną z tych dwóch krawcowych, co u nas mieszkały w latach osiemdziesiątych. Postarzała się. Ale szyk ma, nie utyla, nie pojawiły się żadne moherowe berety ani wata w uchu. Kupuje złotą nitkę, bo wyszywa dla parafii wielki napis „Jezu, ufam Tobie”. Ja stwierdzam, że i tu nie ma takich guzików i że trzeba wybrać się w niedzielę pod Młyn Sułkowice na targ staroci.

Potem idę na spotkanie z Madame, po recepty dla moich pacjentów. Mamy się spotkać w Przedwojennej. Taki obolały i obładowany, z przemoczonymi nogami wchodzę do środka i zapalam papierosa. Tu jeszcze można palić. Z nudów grzebię w torbie, oglądam różne zamki błyskawiczne i nici, które kupiłem. Ona się zawsze spóźnia. Jedzie tu ze szpitala, gdzie ma ręce pełne roboty. A do tego są korki. Całe miasto praktycznie stoi. Ona ubiera się na czarno, niewiele śpi, niewiele je, ma podkrążone oczy i kościste palce, którymi wypisuje recepty swoim kościstym, szpiczastym, jakby gotyckim, ale wcale nie lekarskim pismem. Bardzo staranna kaligrafia, od razu widać, że pani ta jest niedzisiejsza. W końcu przychodzi, staje w drzwiach zadymionego lokalu, chwilę słucha przedwojennego, rzewnego tanga, zauważa mnie, przeciska się, podchodzi. Mówi, że to po raz ostatni, to ostatnia niedziela, jutro się rozstaniemy. Patrzę na jej kościste policzki. Pani Śmierć.

Kiedy docieram do domu, buty mam całe przemoczone. Ale nie mogę przełożyć tego na jutro. Klient już czeka. A moi klienci nie mogą czekać...

Bar & Lounge odkryłem przypadkiem na Rzeźniczej. Szedłem na siłownię i chciałem jeszcze coś zjeść. Młoda twierdziła, że lokal należy do „znajomych mamy Marysi”, i było to wielce prawdopodobne, ponieważ niemal wszystko we Wrocławiu należało do licznych jak krewni królika znajomych mamy Marysi, całe miasto oplecione było gęstą mafijną siatką znajomych mamy Marysi, znajomych samej Marysi, a także jej, Młodej, znajomych, ich znajomych oraz znajomych Borysa i Hani (względnie znajomych z Facebooka pomienionych osób). Za to nic nie należało do samej Marysi ani do jej mamy, że o Borysie i Hani nie wspomnę.

Dwie chude kelnerki obsługiwały z zapałem i na wszelkie sposoby dawały mi znać, że poznają i odczuwają z tego powodu rozliczne wznieśłe odczucia oraz liczą na ponadprzeciętny napiwek.

Wszystko zdrabniały: pieniążki, wódeczka, kaczuszka, kawka... Miały tylko trudności ze zdrobnieniem wyrazu „gnocchi”, bo brzmiał tak, jakby już został zdrobniony przez Włochów widelczykiem. Czekaając na gnocchi z kaczką, czytałem więc nie pierwszej świeżości „Malemny” i „K Magi” i wodziłem wzrokiem po sali urządzonej w stylu wszystkich Bar & Lounge świata, z podświetlanymi barami, papierosami Vouge obracającymi się w szklanym sześcianie, plazmowymi telewizorami transmitującymi Fashion TV, bordowymi podłogami, wielkohektarowymi dyzajnerskimi kiblami...

Wysyłałem esemesy do Pauli i Młodej, na które nie odpowiadały, bo po co; przecież to tylko głupia Michaśka znowu zawraca głowę. Z nudów, bo przecież nie pracuje, szczęściara, tylko wyśpi się do trzeciej po południu, pójdzie na kaczkę i łaskawie na siłownię, a potem znowu do restauracji na kolację i już – dzień się skończył, wielce się umęczyła! Potem się dziwi, że jest gruba, krowa jedna. Chociaż ma trenera personalnego, prawdziwego faceta z krwi i kości, i chodzi na treningi, ale wcześniej nawpierdala się kaczki, więc wszystko się równoważy.

Żułem gumę z nikotyną i patrzyłem przez okno na Rzeźniczą. Specyficzna włoska atmosfera zaczynała się już tam. Jak gdybyśmy byli na południu, pod bar zajeżdżali kolesie, którzy nawet jesienią mają na czole okulary przeciwsłoneczne i wycinają sobie z zarostu od linijki skomplikowane baczki, maleńkie kropeczki na środku brody. (Co w rzeczywistości jest typowe tylko dla ludzi permanentnie naćpanych południowym słońcem i plażą, a nie solarium, dla klonów Rihanny i Erosa Ramazzottiego). Niezrażeni siąpiącym jesiennym deszczykiem, zajeżdżali wypasionymi motocyklami, a ich obciśłe ubrane laski w kozakach na wysokich obcasach i w kaskach na głowach wyglądały jak mrówki. Zapalały przed barem cienkie, długie papierosy, w ogóle wszystko miały cienkie i długie: nogi, paznokcie, rzęsy, włosy, czubki kozaczków. Paliły, postukiwały o bruk szpilkami obcasów i pytlowały przez komórki.

Knajpa przyciągała też Arabów w złotych łańcuchach, którzy w tej całej wrocławskiej beznadziei

jesienniej robili sobie „małe południe”; włosy również po włosku wybrylantynowane... Przyciągała też Polaków, ale jakichś innych, niewystępujących w normalnej polskiej przyrodzie, tej z wierzbami i topolami – zbyt wystylizowanych, w zbyt wygorsetowanych koszulach, z wielkimi zegarkami na rękach...

O santa Madonna, przecież ja nigdy nie lubiłem stylu włoskiego, włoszczyzny w takim wydaniu się wystrzegalem, wstrętny mi był Versace, znenawidzony Armani, obleśny D&G, pizza, makaron, Eros Ramazzotti, San Remo, została tylko Prada, do której, jako diabeł, wciąż jeszcze czułem słabość, ale i tak nie było mnie na nią stać. Przecież ceniłem styl skandynawski, protestancki, oszczędny, funkcjonalny minimalizm!

Co ja tutaj robię? Postanowiłem więcej nie przychodzić. Pójdę może na kuleczki mięsne do Ikei, tam mój duchowy dom.

Nagle zauważyłem, że ktoś pogapia się na mnie raz po raz, a pomiędzy spojrzeciami czyta coś na tablecie. Młody to jak kto woli, ale uśmiecha się ironicznie i jest w nim coś całuśnego, młodzieńczego, jak u inteligentnego, ale niepokornego studenta. Tak też go zaraz nazwałem: Studencik. Kelnerki zaraziły mnie zdrabnianiem.

Ten facet to był jeden wielki oksymoron. Niby po trzydziestce, a młodzieńczy jak student. Niby miał zmarszczki i siwe włosy, a wszystkie te defekty dodawały mu tylko pikanterii i młodzieńczej dezynwoltury. Ubrany niby niechlujnie, a równie dobrze mógłby tak zejść z jakiejś sesji dla „Vogue’a”, niby rozczochrany, a to najpiękniejsza fryzura, niby ironiczny, ach, ironiczny, a w oczach na dnie smutek, powaga i stal. Chudy, ruchliwy, niespokojny! Gapił się znad tableta z taką miną, jakby czytał co najmniej *Lubiewo bez cenzury*.

Oj, oj, oj, co ty masz w tej głowie, co ty tu nawypisywałeś, co to ma być, zaraz wezmę i błędy ortograficzne popoprawiam!

Nie miałem złudzeń. Z powodu antydepresantów utylłem i teraz chyba nikt na całym świecie nie marzył już o pójściu ze mną do łóżka, no, może jakiś jeden wyjątkowo zboczony seryjny morderca napadający na grube, starsze panie w beretach z tęnym nożem do smarowania masłem, w jakimś dalekim, pięknym Montevideo. Tak... ale życie bez seksu było tak piękne, szczególnie na antydepresantach... Mimo wszystko pocieszałem się myślą, że w jakimś dalekim, pachnącym prażonymi kasztanami Montevideo, gdzie wciąż jeszcze używa się video, bo nie dotarła tam nasza piękna cywilizacja Saturna, Media Marktu i oczywiście śmierci, jakiś zboczek wkłada właśnie „falhaesa” do video, naciska wysłużony przycisk „play”, pamiętający jeszcze uniesienia pierwszych pornoli lat osiemdziesiątych... I na ekranie ukazuje się moje nagranie z TVP Kultura albo z Polsat Café, jak dyskutuję, czego pragną dzisiejsze kobiety... A on daje na stop-klatkę, kadr drga lekko i drga jego ręka w dalekim Montevideo, gdzie ludzie chodzą do góry nogami i nie spadają, bo od tych magnetowidów wszystko się namagnesowało. I jego zabandażowana łapa drga, gdy się brandzluje wpatrzony w to Polsat Café, a wierna wyliniała papuga Kaszasa, jedyna żywa istota, która z nim

wytrzymuje, powtarza sapania, których się nauczyła przez wieloletnie wysłuchiwanie.

Zapłacił i rzucając mi ostatnie powłóczyście spojrzenia, zaczął się ubierać. Mógłbym po prostu też wstać, wyjść i po chamsku za nim iść, ale dopiero zamówiłem gnocchi. Powiecie, że nie należy w takim wypadku żałować głupiego dania za czterdzieści złotych, gdyż jak śpiewała Ordonka, *szczęście raz się uśmiecha, jeden raz tylko dłoń podaje*, lecz na takie sknery jak ja nie ma rady, nawet szczęście musi uśmiechnąć się więcej razy, jeśli chce dostać najmniejszy chociaż napiwek.

Siedziałem przy oknie. Dojrzałem jeszcze, jak Studencik wsiada na czarny rower miejski i niknie w zawiei. Zjadłem, zapłaciłem i poszedłem. To był poniedziałek.

W czwartek okazało się, że to coś między nami nie skończyło się wraz z jego poniedziałkowym wyjściem z knajpy, ono sobie narastało cały czas i obecnie nasze stosunki są już o wiele bardziej poufale, niż gdy się ostatnio widzieliśmy.

Siedział sam w kącie, w czerwonych džinsach, stolik na dwie osoby, dwa foteliki, i z miną ironiczną, uśmiechem, aż się dołeczki i pionowe zmarszczki robiły, czytał w okularkach lennonkach „Politykę”. No i co rusz na mnie spoza niej spozierał z miną pod tytułem „ty palancie, coś ty tam nawypisywał w tym felietonie”. Postanowiłem też się na niego pogapić, a on jakby mrugnął. Lecz to było wszystko, na co się wysilił. Jak pójść dalej z tą znajomością? Wszyscy uważali mnie za osobę doświadczoną w podrywaniu, a tymczasem cóż... Kelner ze „Sfinksa”, ten cały Sławek, to był szczyt moich osiągnięć, a każdy wie, jak łatwą zdobyczą są kelnerzy ze „Sfinksa”. Był lubujący się w prowokacjach niezależny dziennikarz, dobrze, przyznaję, był, ale też nie żaden Mount Everest. Był bardziej może wirtualny niż fizyczny romans z pewnym chirurgiem plastycznym z Poznania poznanym na Facebooku, który podczas nocnych dyżurów w szpitalu robił sobie i wysyłał mi sweet focie.

W sukurs przyszły mi dwie kelnerki, które już coś wyczały i zaczęły nam milcząco kibicować. Jeśli na przykład mnie podawały kaczkę, to wzdychały i zaraz też podawały jemu sól, choć o nią nie prosił. Więc mnie kawę, jemu wykałaczki podają. Mnie kasowały, to i jego, jakby chciały go zmusić, aby też już wyszedł i zaczepił mnie przy drzwiach. Obserwowałem z odległości całą pantomimę: one nacierają na niego z terminalem, on się broni, pokazuje, że nawet jeszcze nie przyszło zamówione danie.

Ale i tym razem poszedłem, boby mnie mój personalny zabił, gdybym się spóźnił. Wiem, że może nie warto w takich chwilach żałować głupich siedemdziesięciu złotych za trening z personalnym, ale cóż, sknera znów się we mnie obudziła i żal mi było, że forsa przepadnie, a Studencik jednak darmowy, więc mógł poczekać.

I znowu poniedziałek. Panie patrzyły porozumiewawczo to na mnie, to na niego, mrugały, wznosiły oczy ku niebu, w końcu już nie mogły wytrzymać i przyniosły mnie oraz Studentowi (każdy w innym kącie sali) po kieliszku wina od firmy, żeby choć tak nas połączyć. Żeby on wiedział, że one wiedzą i się niecierpliwią, kiedy wreszcie będzie ten happy end. Ostentacyjnie puszczały na cały głos piosenki o miłości, które, podobnie jak cytowana Ordonka, zachęcały do łapania szczęścia i zniechęcały do zwlekania z tym, co jest zwykłą ideologią piosenek. A że były już po czterdziestce, to puszczały melodie swojej młodości. *Przetańczyć z tobą chcę całą noc* – śpiewała Anna Jantar, stręcząc dla mnie zza grobu Studenta. *Daj mi tę noc*, prosił ktoś, *szczęśliwej drogi, już czas* – zaklinano, *Józek, nie daruję ci tej nocy* – groziła Beata Kozidrak, *Do zakochania jeden krok* puszczały na koniec, kiedy już chciał wychodzić, nie wychodź, a to nie widzisz, że do zakochania jeden krok i trzeba go zrobić jak najprędzej?! A pomiędzy tymi naszymi przebojami Eros Ramazzotti sprawiał, że atmosfera stawała się śliska, lepka i pachnąca pizzą. Eros Ramazzotti, którego, jak i całej reszty włoszczyzny, nienawidzę po prostu jak psa, teraz mnie wzruszał do łez, metafizyka z pizzerii! Że też ta królowa Bona musiała jako pierwsza przyjechać do Polski z sadzonkami pizzy Romy i pierwszą kasetą Erosa, w okularach od D&G, zasadzić tu tą przekłętą włoszczyznę!

Miłość. Objawy: utrata dobrego gustu.

Bombardowany tymi bodźcami jak twierdza Breslau przez Rosjan Studencik uniósł kieliszek i do mnie przepił. Aby zaostrzyć mu apetyt, postanowiłem grać niezdobytą twierdzą, zrobiłem minę twierdzy i ostentacyjnie na niego nie patrzyłem, bacząc jednak, by być odwróconym właściwym profilem, nie garbić się, nie giąć i kontrolować podbródek, który ostatnio wiódł niezależne życie.

– Siedź cicho, bo nie dostaniesz już nigdy magnum white – upomniałem go.

Koń by się uśmieł, ja i twierdza, ja, który zawsze z każdym idę do łóżka, choćby mi się nie wiem jak nie podobał, ale przecież jak odmówić, jak mu się może zrobić przykro albo pomyśli, że mu źle pachnie z ust, nie, nie, trzeba się poświęcić. A tu sami robotnicy. Nawet nie mogłem wziąć udziału w akcji „Nie czytasz – nie idę z tobą do łóżka”, bo ja w łóżku jestem socjalistą i sami robotnicy tam mieszkają, sami luje, co to litery składają z trudem.

Wina nie wypilem, ponieważ nie piję alkoholu. Młodzi czytają moje książki, nie mogą dawać złego przykładu. To nieprzepicie do niego było bardzo w stylu twierdzy, cóż – bez efektu. Panie już dały spokój z muzyką i widać było, że zaraz wezmą go po prostu za fraki i przyprowadzą do mojego stolika albo puszczą coś ostrzejszego, jakiś death metal, wpuszczą do knajpy wywietrznikami cyklon B z domieszką viagry.

Wtedy coś mnie tknęło, skinąłem na jedną z nich i poprosiłem, żeby puściły album świętej pamięci Amy Winehouse *Back to Black*. Popatrzyła na mnie, mrużąc oczy z uznaniem, jak na wytrawnego psychologa, pisarza i znawcę dusz ludzkich, mruknęła, taaaa...

– Którą piosenkę?

– *You Know I'm No Good*. I w koło Macieju. Do skutku. Żeby on się pokapował, że nic innego nie zacznie lecieć, dopóki nie dojdzie do... no, dopóki...

– Wiem, wiem... – uratowała mnie, mruknęła pod nosem: „pokrycia”, i roześmiana poleciała puszczać. Za chwilę ozwało się na cały głos. Bez najmniejszego pozwolenia ze strony ZAiKS-u, bez cienia praw autorskich. Studencik spojrział na mnie (patrzyłem obojętnie gdzieś w bok) i zrobił minę, z której było widać, że docenia, że ta piosenka bardzo pasuje do jego roweru miejskiego oraz całej reszty, lekkich wąsików, niedogolenia, rozwiązanych trampek conversa i zapachu skręcanego własnoręcznie tytoniu. Pasuje, ale też bez przesady, kiedy piosenka umilkła i zaraz zaczęła się od początku, spojrział na mnie jednak z pewnym zdziwieniem, a za trzecim razem zrozumiał, że to muzyczne „bombardowanie miłością”.

Patrzyłem dalej obojętnie w bok, nic mnie to nie interesuje, niech se puszcżają, co chcą.

A Studencik, zamiast się na mnie rzucić, wstał, stanął, spojrział ironicznie i drwiąco (zrobiłem rozbrajającą minę pod tytułem „you know I’m no good”, albo „I told you, I was trouble”), nałożył futrzaną czapkę i nie oglądając się, wyszedł, bezczelnie wyszedł, gnój pierdolony!

To się wynoś, won! Raus! Tfu!

One wyłączyły Amy w pół słowa i w ciszy śmiertelnej spojrzały na mnie jednak z pewną satysfakcją, że niby co? Nie mówiłyśmy, że z nim to po dobroci się nie da, tylko gwałt wchodzi w grę? To masz za swoje! Bierz go! Ruchaj go! Już!

A to już nieładnie, panie Michałku, on tak czekał na pana, a pana wczoraj nie było, tak się nie robi! To jest serce, nie pogrywa się z cudzym sercem... Boże, co za love story, tak siedział, patrzył na te drzwiczki, jak ktoś wchodził, to aż go za każdym razem jakby prądzik popieścił! A jak puściłyśmy *You Know...* to aż mu łza stanęła w oku!

Już to widzę. Wam może, ale jemu?

I teraz liścik dla pana zostawił, no, może nie liścik, ale ustnie, ustnie, ustnie powiedział, że dziś go nie będzie i żeby panu powtórzyć, że będzie jutro. Tak koło osiemnastej. Boże, jak on siedział, nam się serduszko krajało na kawałeczki!

Ustnie powiedział. Jaki to nieprzyzwoity pleonazm. W ogóle – wyciągać na światło dzienne wąskie, ironiczne usta Studenciny!

– Może wpadnę jutro, nie wiem.

One wiedziały.

Mieszkałem w apartamencie na samym końcu miasta, na Syberii. Z mojego okna po horyzont rozpościerały się krzaki, trawa, chwasty, co za widok! W lewo, w prawo i na wprost, jak morze! Nazywałem ten teren tajgą i tundrą. Na środku tajgi i tundry stał tylko mały, niezamieszkały przez nikogo barak, który nazywałem Domkiem Cabirii. Czasami zimą leciał dym z komina, kto to wie, może jakiś drwal albo duch drwała palił tam w piecu. Przez tajgę i tundrę szła linia kolejowa, po której raz na tydzień, o czwartej rano, jechał towarowy pociąg widmo, wioząc w zardzewiałych pojemnikach mróz, śnieg i kurz z Jelcza do Wrocławia. To była Kolej Transsyberyjska. Teraz stałem na balkonie, wdychałem jesienne powietrze i zapatrzony w dal myślałem, co mam na siebie włożyć. Powietrze rozwijało się jak wytworne wino z apelacją, suknią i bukietem. Na samym dnie było coś mętnego, coś z kartofliska, dalej – już zapowiedź zapachu mrozu, palące się trawy, gnijące jabłka, reminiscencje chodzenia na działkę w dzieciństwie... Cofnąłem się do mieszkania w zapach kawy.

Beznamiętnie, z precyzją automatu, szorowałem zęby do krwi, zapatrzony w lustro i zamyślony jak Glenn Close w czołówce *Niebezpiecznych związków*. Tu jej przypinają do dekoltu sztuczną herbacianą różę, a ona nic, ona jak krokodyl, jak lala, psychopatka, porcelanowa miśnieńska figurka, sztuczne wypieki, szklane oczy, zadumany, przedrewolucyjny krzak róży.

Paula:

– Tam już było takie zepsucie, taka pustota, taka nuda, takie przeestetyzowanie, a na drugim biegunie taka nędza, że to się po prostu musiało skończyć rewolucją! Chociaż Maria Antonina wcale nie powiedziała, że jak nie mają chleba, to niech jedzą ciastka. Tak samo jak Potiomkin nie pokazywał Katarzynie potiomkinowskich wiosek. Takie plotki same się pojawiają w historii, jako podsumowania pewnych zjawisk, ale to wymysły.

Krytycznym okiem obrzuciłem nowe, wielkie łóżko z Ikei: czy te listewki, na których zawieszony jest materac, wytrzymają tyle namiętności? Sprawdziłem, delikatnie siadając i lekko podskakując. Niby nowe mieszkanie, a taką tandetę teraz produkują, że po niecałym roku wszystko już się przepalało, ruszało, latała na lewo i prawo umywalka, nie kontaktowała lampa w sypialni, wypadło kółko wentylacyjne ze ściany i w ogóle trzeba było zawołać tego luja, który je wykańczał, bo brakowało tu mężczyzny. Moja sprzątaczką, pani Władzia, pijąc kawę i oddając mi przeczytane kryminały, też zawyrokowała: panu brak mężczyzny, po czym speszyła się, zamilkła i nagle zaczęła się bardzo chrapliwie śmiać, jak stara wiedźma, która przyleciała tu na mopie prosto z Montevideo.

Pochowałem rzeczy zbyt osobiste lub obniżające ochotę na seks. Wyeksponowałem nieliczne trofea, które mi zostały po nagrodach i nominacjach, z czasów, kiedy jeszcze zajmowałem się literaturą wysoką. Na co dzień Nagroda Gdynia leżała na podłodze i, z racji swojej wagi, przytrzymywała drzwi, żeby się nie zamykały, a nominacji do Nike to w ogóle nie mogłem nigdzie znaleźć. Szukałem, ale oczywiście poczciwa Władzia tak dobrze to gdzieś zachomikowała, że teraz nigdy nie znajdę. Tyle razy jej mówiłem, robiąc miny Barbary Niechcicowej z *Nocy i dni*:

– Moja Władziu, czy Władzi nie było już powiedziane, żeby nie chowała rzeczy tam, gdzie ja ich na pewno nie znajdę?

W końcu znalazłem tę statuetkę w zamrażalniku. Od razu widać, że Władzia dzień wcześniej szalała. Za to było czysto.

Nie chciałem się zbyt odpicowywać, cudować, bo stawała mi w oczach ostatnia scena z filmu *Śmierć w Wenecji*, w której stara ciota odstawiona na białe (dla chłopca) leży na plaży na Lido, na leżaku, poci się, a czarna farba ścieka jej z włosów. Nie, tu trzeba niedogolić, niedoperfumować, niedolakierować, bo pada i *Śmierć w Wenecji* jak w banku.

Zrobiłem próbę generalną: idę, SPÓŹNIONY, żadna osiemnasta, za dziesięć siódma najwcześniej. Nie garbię się, brzuch wciągnięty, i od razu on do mnie podchodzi, bo już my umówieni. I wtedy on powie: chodźmy gdzieś na kawę, a ja, że nie, tu mamy kawę. To on powie: chodźmy coś zjeść, a ja, że właśnie jadłem. To on, że na spacer, a ja, że mi lekarz zabronił z powodu... nadmiaru jodu i chloru we wrocławskim powietrzu. Bo według nauk markizy de Merteuil jeśli między dwiema osobami ma do czegoś dojść, muszą się znaleźć w tym samym czasie i tym samym (ustronnym) miejscu. Tak tłumaczyła wicehrabiemu de Valmont, kiedy ten podrywał prezydentową i zamiast się z nią spotykać, postanowił pisać listy. Więc ja na to powiem, że dość tych dupereli, idziemy do mnie i tylko do mnie, „pogadać”.

To wszystko planowałem, jeszcze psikając odświeżaczem powietrza w kibelku i zapalając świece zapachowe, dzieląc skórę na niedźwiedziu zdecydowanie wciąż jeszcze tylko z pozoru upolowanym, w rzeczy samej zaś hasającym na wolności w dzikich ostępach Miasta Spotkań.

Jezu, żeby już była ta osiemnasta czterdzieści pięć, która to, ach, dopiero osiemnasta piętnaście, no już, odczekałem, idziemy...

Zamówiłem taksówkę Ryba pod sam dom i stałem, kuląc się, w bramie. Nie lubię być taki odpicowany, że tylko się bardziej spontanicznie poruszę i już coś mi się popsuje. Jak na złość na zewnątrz zacinał deszcz ze śniegiem, brudził buty, zmywał i niszczył wszystko, wysyłając mnie poniekąd lotem czarterowym wprost do Wenecji. Do Polski z Niemiec dolatywał właśnie jakiś tajfun, Alfred czy Alfons, w każdym razie urywał głowę.

Ajego NIE MA. Prima aprilis! I nie było, jak informują natychmiast panie, nawet z lekką satysfakcją, jaką się zawsze odczuwa, gdy można komuś przekazać ważną wiadomość, obojętnie – dobrą czy złą.

– W ogóle go nie było, zamawia pan coś czy jeszcze pan przyjdzie?

Tymczasem te wariatki na dziś ustroiły cały bar kwiatami, tak że teraz te dekoracje wędły smętnie jak łuk tryumfalny, przez który żaden zwycięski Napoleon nie przejechał, najwyżej kury jakieś przeszły.

Nie było miejsc na głównej sali i musiałem iść do bocznej, skąd nawet nie mogłem obserwować drzwi. Byłem jednak pewien, że jak przyjdzie, panie już tu do mnie wpadną. Bo szaleją, jedna nawet się popłakała i poszła na zaplecze poprawić sobie twarz. W powietrzu raz po raz pobrzmiwała jakby na próbę adekwatna piosenka Amy Winehouse. Musimy jak najszybciej przenieść ten romans do innej knajpy – tutaj już nawet niektóre klientki żyją tą sprawą. I na przykład są teraz na Facebooku w swoich smartfonach i piszą, że Witkowski czeka, a Studencika nie ma. Już widzę, co te kelnerki będą mu opowiadały: on tak czekał, Gosia aż się popłakała, jak pan tak mógł, to jest człowiek, to jest człowiek wrażliwy, pisarz, to jest sprawa człowiecza, to jest SERCE, a jakby popełnił samobójstwo? Łzy mu normalnie do kaczuszki spadały! Nie mógł w ogóle jeść, tylko tak widelcem przebierał w gnocchi, wszystko zostawił.

Wrrrr! Nie przyszedł, skurwysyn. Siedziałem tak, nieodstawiony co prawda, ale jednak w czystych majtkach, które mnie teraz piekły jak ta cała koszula Dejaniry. Bo może czyste majtki to mi nie nowina, ale te były jakoś lepsze, czystsze, jak się dawniej mawiało, „jak na niedzielę”. I głupio, bo jednak ja o tych czystych majtkach najlepszych, majtkach poniekąd tryumfalnych, cały czas myślałem.

Bym się wysztafirował, to akurat bym zaliczył piękną śmierć w Wenecji. Jak na złość na ścianach wisiały w złotych ramach plakaty reklamujące włoskie miasta, piękne i romantycznie podświetlone, z hasłem: „Ti aspetta”. Na przykład: „Trieste – ti aspetta”. Krzywa wieża w Pizie – ti aspetta. Roma aeterna – ti aspetta. Między innymi oczywiście nie mogło zabraknąć plakatu z Wenecją. Ti aspetta, Michaśka, Wenezia ti aspetta, a ty gdzie? Gdzie ci zabójczo przystojni gondolierzy śpiewający *O sole mio* zapatrzonym w nich amerykańskim turystkom z kamerami i nadwagą? Które kupiły w samolocie na duty free naszyjniki z medalionem, co go można złamać i dać drugą połówkę ukochanemu, a tu nie ma komu dać, nawet w Wenecji, mieście miłości, druga połówka wciąż spoczywa w najwyższym pogotowiu w szaszetce na piersiach, gdzie schowało się też inne rzeczy mające ocaleć przed słynnymi weneckimi kieszonkowcami. A ci gondolierzy też dobrzy, niby każdy robi zabójcze, maślane oczy, ale gdy zacząć drążyć temat, to okazuje się, że to jego postawa zawodowa, że to nie miało nic wspólnego z konkretną amerykańską świnką morską Betty z Seattle w stanie Washington i oto druga część medalionu, jakże na wyrost złamanego w samolotowej toalecie, rdzewieje i na pocieszenie można uciec w jedzenie, co na pewno nie przyczyni się do

powodzenia.

Panie podały kaczkę udekorowaną świątecznie, ale zdechłą i z politowaniem na mnie z talerza spoglądającą. Oczywiście ani mi było w głowie czegokolwiek zostawiać, jak zwykle zmiotłem wszystko z talerza, bo apetytu nie tracę nawet w najgorszych chwilach, wypilem, zapłaciłem.

Przypomniało mi się, jak Herta Müller pisała w którejś z tych swoich biografizujących powieści, że pracowała w rumuńskiej fabryce konfekcji męskiej eksportowanej do Włoch i włożyła do jednej z kieszeni eleganckiego garnituru, jakich Ceaușescu nigdy by nie pozwolił nosić rumuńskim mężczyznom, kartkę ze swoimi namiarami i napisem „ti aspetta”. Była tak zdesperowana, że wysłała kartkę do anonimowego Włocha, byle ten Romeo zajechał alfa romeo lub chociaż fiatem i ją zabrał z tej fabryki, z tych przesłuchań, byle nosił garnitur, a nie kufajkę. Ale ciuchy były dobrze przeszukiwane, zanim jeszcze zdążyły do kogoś należeć, więc wpadła i została oskarżona o romansowanie z kapitalistycznym garniturem, agentem przemycającym liściki z wołaniem o pomoc.

I później jakiś cham ją przesłuchiwał i pytał, czy wie, dlaczego Włosi noszą ze sobą zawsze w tylnej kieszeni grzebień, ano właśnie dlatego, bo chuja wśród włosów nie mogą znaleźć, włoski kurwieszonku.

A ja znowu pisałem w swoim czarnym zeszycie coraz bardziej pogrubionymi literami „ti aspetta”, żeby ten mój Włoch już kupił w kiosku grzebień, puścił na cały głos Erosa Ramazzottiego w swoim alfa romeo kabrioletcie i pod moją casa podjechał z piskiem opon.

Nie dziś. Wyłączyłem wszystkie moje wdzięki, wabiki, brzuch już niewciągnięty, zgarbiłem się i powlokłem na siłownię, gdzie w szatni majtki odświeżone ujrzały wreszcie światło dzienne, padł na nie obojętny wzrok pakerów i mimo publiczności nie najwyższych lotów majtki te były w szatni najważniejsze, one miały tu swój wieczorek autorski, one rozdawały autografy, one pobierały zwroty kosztów podróży i honorarium, one czytały *Drwala*. Mój personalny pyta, szefie, co się dzieje, a ja w ryk! Aż z tego wszystkiego przez pomyłkę powiedziałem do niego „Mariuszek”, ale nie zrozumiał, ponieważ wymiękł po trzech kartkach *Drwala*.

Minęło czasu mało wiele. Chodziłem do Baru & Lounge już tylko od niechcienia, na znak, że coś się zmieniło, teraz zamawiałem carbonarę, jego nie było, panie mówiły, żeby się nie przejmować, że na sto procent jest chory albo może wyjechał do USA, karty nie są pewne. Możliwe, że to z miłości, że dostał zapalenia opon mózgowych, bo w dziewiętnastowiecznych francuskich i rosyjskich powieściach od tragicznej miłości zawsze dostawało się zapalenia opon mózgowych. Na jego stałym miejscu siedziała para modnie ubranych nastolatek i plotkowała przy latte o ostatnim filmie Woody Allena. Eros Ramazzotti wysiłał się, ale osiągał tylko tyle, że zamawiałem pizzę, co oznaczało ostateczną rezygnację z odchudzania, a więc i życia seksualnego, wykupienie last minute do Montevideo.

Wstyd mi było przychodzić tam codziennie, lecz zauważyłem, że po drugiej stronie ulicy jest mała kafejka, bardzo miłe miejsce prowadzone przez ciocię Marysi, gdzie można usiąść przy oknie i dyskretnie obserwować, kto wchodzi, kto wychodzi z mojej „Kaczki”. Surowo urządzona, stare drewniane stoły, krzywe, tu jakąś książką podparte, tam butem starym, jak z teatru. I ja jak w teatrze, piję kawę, mój narodowy napój, żuję gumę z nikotyną, jak inspektorzy w kryminałach czasem żują wykałaczkę, wlepiłem wzrok w szybę. Z Kaczki ciągle ktoś wychodził, średnia wieku dwadzieścia lat. Chodzą laski w kozaczkach na wysokich obcasach, którymi można by podziurawić cały świat. Wbijają się obcasami w asfalt i ranią go. Podłużność jest ich życiowym celem.

Po tygodniu dyżurowania w kawiarni przy oknie widzę: jest! O! Jest! Wchodzi, wychodzi, wszędzie go pełno, stoi przed knajpą, pali papierosa i gada przez komórkę. Tu zajrzy ciekawie, tam powącha, koraliki na szyi, bo po co w mróz nosić szalik, para leci z ust. Ja już w ogóle niezrobiony, olewający, nieogolony, w adidasach i dresie na siłownię, żeby się nie musieć przebierać. Co gorsza, właśnie zaczął się u mnie listopadowy katar zatokowy, z dreszczami, kichaniem, mokrymi chusteczkami, na których od ciągłego wycierania nosa pojawia się krew. Można zjeść całą aptekę i pójść do łóżka z termoforem, herbatą malinową i Marthą Grimes, nic to nie da. Trzeba by zrobić wielką krechę z potłuczonej witaminy C, aspiryny, kokainy, efedryny, kofeiny, kreta do odtykania umywalek i heroiny, wciągnąć ją z całej siły, to by się te dziurki na chwilę zajęły czym innym i odetkały.

Poczekalem, aż Student wejdzie do środka. Wyszedłem z kawiarni i schowałem się za róg ulicy Ruskiej. Wyglądałem zza winkła, czy już znowu wyszedł przed knajpę, aby zderzyć się z nim, niby że tylko ulicą przechodziłem, gdzie by mi w głowie było chodzić na kaczkę, to on nie wie, że drób z płaskim dziobem tuczy? A on co się schowa, to znowu jest na zewnątrz, on gada, on grzebie przy swoim rowerze. Wreszcie, gdy znowu wyszedł, ruszyłem zza winkła. Zaraz wlaźł z powrotem, więc replay, cofam się na z góry upatrzoną pozycję i pociągam z całej siły nosem. Wyglądam zza winkła, jakbym znów bawił się w chowanego na podwórku, fajny taki powrót do młodości pod czterdziestkę. Jest! Stoi przed knajpą, pali, gada przez komórkę, zajebisty koleś, żyłka, zero tłuszczu, pionowe

zmarszczki na nieogolonych policzkach, od stóp do głów ubrany w wytarte sztruksy. Jak fatamorgana, z daleka – jest, a jak zaczniesz na niego marsz, znika. Ale jest. Idę, a serce mi bije, jeszcze mnie nie zauważył, jeszcze nie, już!

Zderzyłem się, jak było w scenariuszu, bardziej kiczowato byłoby tylko kawę na niego wylać. A on mi zaraz bez słowa, gadając, rękę podał i pokazał na knajpę, żebym wszedł, to on zaraz tam dojdzie. Panie zrobiły tylko minę pod tytułem „oho!” i puściły na cały regulator *You Know I'm No Good*. Wyglądały, jakby zażyły viagrę, cialis i tabletki na powiększenie penisa, penis enlargement pills.

Usiadłem w jego kącie, gdzie na fotelu leżał jego plecak, jego „Gazeta Wyborcza”, jego marlboro lighty, ponieważ to miejsce było również od dzisiaj moje, byliśmy tu razem. Z kaczką dziś zrezygnowałem, zamówiłem espresso, żeby się szybko wypić i w nogi! Do mnie! Tylko do mnie. Już mi wszystko musowało, w brzuchu motyle, w głowie naćpane katarem i antydepresantami świerszcze, w majtkach orzeł rozpościera skrzydła do lotu, czarter do Wenecji wjeżdża na pole startowe i rozpędza się, już włoskie donny fatalnym włoskim angielskim demonstrują użycie masek tlenowych i kamizelek ratunkowych, które może by się nadały jako dziecięce zabawki do brodzika... Już pasażerowie umieszczają bagaż podręczny pod sufitem, ukazując przy tym włoskie marki dzinsów i paski D&G. Mimo że już ol elektronik dywajsys mast bi slich of, wysyłam esemes do mojego trenera personalnego, że odwołuję dzisiejszy trening, choć mi to na sucho nie ujdzie, a mimo że na dworze lodownia i para z ust, jego wciąż NIE MA. Na duty free nabywam u stewardes medalion złożony z dwóch półksiężyców, łamię go i jedną połówkę wieszam sobie na szyi, nie ma komu dać drugiej.

Panie wyglądają na zewnątrz jak przez okrągłe okienka w samolocie, panie przez głośniki zapowiadają, że „pasażer lotu do Wenecji proszony jest o natychmiastowe zgłoszenie się do gejt, samolot już odlatuje do miasta miłości!”.

Nagle wpada Studencina, cały lodowaty, że tylko ogrzać go, podbiega do stolika, a nerwowo, jakby otworzył, jak mawia luj, puszkę z Pandorą! Zabiera plecaczek i mówi od razu do mnie (a jest to pierwszy w historii udokumentowany mój dialog ze Studenciną):

– Słuchaj, Michaś, sorry, ale ja się muszę stąd zaraz wymiksować, siła wyższa! – Cmok i ucieka. Raczej więc pierwszy udokumentowany monolog, a potem miało się okazać, jakże dla niego charakterystyczny...

Zdębiałem jak, nie przymierzając, Stankówna, kiedy w *Trędowatej* zobaczyła, że „nauczycielka została dopuszczona do towarzystwa” (a ta mina to jest jej rola życia). Panie stały jak dwie z soli wyrzeźbione żony Lota w związku lesbijskim, zalegalizowanym. Jedna z miną: „no, czy on jest psychopata?”, druga z miną: „po moim trupie”, również podobną do życiowej miny Stankówny w *Trędowatej*. Chude i po włosku ubrane laski śledziły tę całą scenę spod rzęs sztucznie przedłużonych specjalną odżywką, ścigały z niesmakiem powiększone „na lachociąga” usta i tylko lwich zmarszczek nie mogły, bo były na beton zabotoksowane.

Chwyciłem jego paczkę papierosów i uniosłem, machnąłem nimi z rezygnacją w kierunku drzwi, ale jego już nie było. Wstałem, położyłem na stoliku sześć złotych za kawę i wyszedłem. Jedna kelnerka podbiegła, złapała tę kasę i zastygła, wyciągając w moją stronę, jakby chciała mi oddać. Lecz mnie już nie było.

Mimo że miał rower, szedł w kierunku Wyspy Słodowej. „Szedł piechotą”, wiem, że to jest błąd logiczny, ale tak jakoś fajnie i naturalnie brzmi. Szedł więc piechotą, droga Marianno (i proszę tego mi nie zmieniać), a ja śledziłem go też piechotą, pociągając nosem, bo wszystkie chustki kompletnie już rozmokły, i paląc z nerwów Studencine marlboro lighty. Powiniennem zjeść aspirynę, cirrus, echinacę, wysmarować skronie amolem i iść do łóżka nagrzanego termoforem, czytać, jak przystało zakatarzonej starszej pani, pijąc stosowne zioła, i przy tym zasnąć. Tymczasem Studencina ciągał mnie po zaciemnionym jak przed nalotami mieście w jakieś sobie tylko znane klimaty, sobie tylko znane bramy.

Przeciął Wyspę Słodową, minął zielony hotel Park Plaza, zatrzymał się na skrzyżowaniu Dubois z Drobnera i od strony Łokietka wszedł w bramę. Chwilę odczekałem i zagłębiłem się w odwieczny smród wieloletniego, nie do końca pokojowego współistnienia kotów, psów, szczurów, pobitych butelek po wódce, alkoholików, policji, dzieci i lujów.

Za bramą było podwórko z trzepakiem, ale wskutek zburzenia części kamienicy podczas wojny – tylko na wpół zamknięte oficynami. Zero Studenciny, za to brudnożółte światła w przegrzanych mieszkaniach otaczały mnie z trzech stron. W którym zniknął? Uświadomiłem sobie, że właśnie robię coś, czego ze względu na higienę psychiczną w żadnym wypadku robić nie powinienem: marznę pod oknem faceta. Natychmiast przypomniał mi się wierszyk Margot (*Ja tu byłam, / ja tu stałam, / swoje życie / zmarnowałam*). Które to jego? Student jak to Student, mieszka pewnie na stacji, pod samym sufitem. Oczywiście nie była to prawdziwa stacja, tylko podrabiana, jak wszystko u niego.

„A wiesz, podnajmuję u takiej jednej dobrodziejki, pani Bergamotkowej, kwaterę na poddaszu z wygodami i komórką, z oknami na podwórko, wręcz pokoje umeblowane. Na Łokietka, koło Drobnera, stara kamienica z podwórkiem, czwarte piętro, a właściwie strych, za elektryczność właśnie zalegam...”

Wlazłem na trzepak i wgapiałem się w okna, choć nie wiedziałem, które jego. Żadnego cienia w oknie, jak na filmie, Wrocław w listopadzie to nie jest żaden film, to w ogóle nic nie jest.

Wysikałem się w bramie, jak żul. Nienawidziłem go, ale gdyby teraz zadzwonił albo wyjrzał oknem: sorki, sorki, Michaś, że się wymiksowałem na moment, ale już jestem ewelejbył onlajn i możemy coś razem zadziałać w celu skonsumowania jakiejś pizzy, łots ap łyf ju! Już jestem na fejsie, już jestem dostępny na skajpie, już jestem na łotsapie, już jest przy mnie zielony zygzaczek! Wtedy od razu wszystko zostałoby wybaczone! Zresztą ja wcale nie byłem w tym moim dołowaniu się szczery, nie, słuchałem specjalnie na chama Amy Winehouse, aby mi się potem, po latach kojarzyła, widziałem siebie z boku, jak na filmie, i knułem, jak by z tego literacko wycisnąć jakąś konkretną kasę, która złagodziłaby straty moralne i czas.

Idę!

I właśnie gdy byłem już w bramie, odwróciłem się po raz ostatni i spojrzałem w stronę podwórka.

Natychmiast przyklepiłem się do muru. Na samym środku placu stał Studencik, NIE SAM, tylko z chłopcem. Psia krew! Jeszcze mi tu Gombro potrzebny! Z młodym chłopcem, który był wszystkim tym, czym ja byłem dwadzieścia lat temu, choć czasem mi się zdaje, że wciąż jestem, bo nie było od tamtych czasów żadnej przerwy w audycji, nie schodziliśmy z wizji, więc kiedy miałem się przeobrazić? Chłopiec – blondynek w dresie i kurtce zielonej, byle jakiej – coś mu klarował, a potem nagle ruszyli prosto na mnie. Na szczęście w porę schowałem się do bramy. Na złość mi, na złość, na złość od tyłu wyglądali niemal tak samo, bo dzieci dzisiaj na tych wszystkich witaminach prenatalnych rosną, więc mimo że chłopiec miał lat może siedemnaście, był wzrostu Studenciny, którego matka, będąc z nim w ciąży, mogła sobie najwyżej ćpać vibovit, a jak co lepsze, to przeterminowane odżywki z paczek, z darów, z Montevideo. Więc podobni. Obaj chudzi. Obaj wysocy. Ukłucie zazdrości. My razem byśmy tak nie wyglądali.

Doszli do mostu Uniwersyteckiego, przed którym od wieków znajduje się szalet przedwojenny zwany pikietą Podwójną, który swoją świetność przeżywał również za komuny. Nowe czasy jeszcze nie zdołały go strawić i jakoś podać na nowo z odrobiną pietruszki, plasterkiem cebuli, jak mięso w gazetce cenowej, przerobić na spa, galerię soli i mydeł, manufakturę czekolad, loft z niszową modą Wyłącznie Młodych Nieznanych Polskich Projektantów, galerię wypieków, centrum florystyki artystycznej, dermatologii estetycznej, kiosk „owoce i tytoń”, Café Szalet. Za komuny pikietą Podwójna służyła do szczania, bo wtedy wszystko działało zgodnie z przeznaczeniem. Jadło się jedzenie, ubierało się w ubranie, telefony dzwoniły dzwonkami telefonów.

Pikieta była – jak wszystko – legendarna. Słyszała z tego, że w latach osiemdziesiątych cioty siedziały przy oknie po drugiej stronie ulicy Drobnera w barze mlecznym Mewa i obserwowały, kto wchodzi, kto wychodzi z Podwójnej. Jeśli wchodził ktoś fajny, to zostawiało się niedojedzone pierogi ruskie z kefirem i w dwie minuty było się na miejscu. Jeden żebrak, Jasio Pawie Oczko (karzeł z bielmem na oku), znał te zwyczaje i specjalnie czatował, bo wiedział, że raz po raz cały rząd ledwo napoczętych talerzy stoi pod oknem i można wszystko dokończyć. Nie rozumiał tylko mechanizmu, jaki tym rządzi. Wszyscy ówczesni znani żebracy, Semafor, hrabia Czajkowski, ta babcia, co w każdej kawiarni siedziała, podsypiając, znali regułę, nie pojmowali mechanizmu. Ale żeby dobrać się do pierogów, wystarczyła sama reguła: w Mewie przy oknie prędzej czy później pierogi znajdą się bez dozoru.

Obsługiwała w niej „pani Podwójna”, rezydująca pośrodku, między drzwiami „mężczyźni” a drzwiami „kobiety”. I w środku miała okienka na lewo i na prawo. Należała, pod względem pedalskim, do najbardziej skorumpowanych babć klozetowych w całym Wrocławiu. Starczyło zapłacić jej sto tysięcy i już cały szalet należał do ciebie. Teraz stał sobie zupełnie nieświadom swej kultowości, otwarty dzień i noc. Oni do niego weszli.

A ja postanowiłem, że nie będę się dołączał na trzeciego!

Kit Kat biała czekolada. Magnum biała czekolada. Bitka śmietana w spreju. Hamburger w McDonalddie. Lody McFlurry. Shake. Dwa pęta kiełbasy grillowanej w Lwowskiej. Tatar. Chleb ze smalcem w Spiżu. Jajko Kinder Niespodzianka. Kinder Bueno. Frytki. Cola nielight. Ferrero Rocher. Raffaello. Hot dog zjedzony na mrozie przed Orlenem. Zapiekaneczka w kebabie Larysa koło sedesowców na placu Grunwaldzkim. Zapiekaneczka u Jacki pod wiaduktem. Prawdziwy hamburger „z ognia” w Burger Kingu w galerii Magnolia. Lody z zielonej herbaty w sushi piętro wyżej. Małe rzyganko wywołane wciśnięciem sobie pachnącej żarciem ręki do gardła w kiblu tejże Magnolii. I niech mi ktoś jeszcze wmówi, że fluoksetyna chroni przed bulimią!

Byłem na prostej drodze do wkopania się w jeszcze większy dół, w psychiatrikę jesienno-kataralną. Zatoki nie dawały za wygraną, zaczynał się kaszel, od którego kręciło się w głowie i robiło słabo. Słuchałem megafonów na dworcu, cóż, kiedy odnowionym na Euro, sterylnym i już pozbawionym dworcowej melancholii. Niczym Erika Kohout włączyłem się wokół porno kin i porno shopów w wiadukcie kolejowym, podglądając wchodzących i wychodzących Arabów o długich rzęsach, wydmuchując nos w mokrą chusteczkę w czerwonej poświacie neonów. W ramach bulimii u Jacki pod wiaduktem kolejowym zjadłem wielką, naprawdę wstrętą i pyszną zapiekaneczka obficie polaną keczupem, która pachniała na mrozie jak marzenie.

U Jacki było tak ciepło, że aż zaparowały mi okulary. Jadłem, pociągając nosem. Trochę wspominaliśmy Radwanicką, która ostatnie swoje tygodnie przeżyła u Jacki na Kozanowie, a potem zostawiła jej kolekcję siedmiu plastikowych toreb z Tesco i rzuciła się z sąsiedniej klatki schodowej. Potem zacząłem opowiadać jej mój „romans”. Nastawiła wodę w czajniku i zrobiła dwie wstrętne kawy pomieszane powykręcany plastikowymi patyczkami. W parówkach znajdowały się zmielone psie uszy, wieprzowe zwieracze, żyły, sierść, pyski, zęby, ogony, pazury, a jednak parówki smakowały lepiej od krwistego steku.

Nad słuchającą mnie w zadumie Jacką raz na jakiś czas przejeżdżały pociągi, łubu-du, łubu-du, jakby w dach wiaduktu uderzała bomba. Byliśmy jak w schronie. Szykujący się do wysiadania na Dworcu Głównym podróżni nie byli świadomi, że pod ich nogami, pod podłogą pociągu jest jeszcze tyle, powiedzmy, życia.

– Cholery można dostać! – Jacka spojrzała w sufit ze zgrozą. – To te kurwy z Poznania ciągle jeżdżą, Kaczmarki cholerne, pyry, jakby w dupie szydło mieli. InterCity nie InterCity, od rana do nocy. Tu tylko od Poznania i Warszawy jadą – wyjaśniła, pociągnęła nosem i połknęła solidną porcję zatok.

Ja miałem katar, ale Jacka nadawała się tylko na pogotowie. Stała za ladą, wrzucała musującą aspirynę do szklanki i popijała nią inne tabletki, siąpiąc nosem niemiłosiernie. Puszczając Bajm, ponieważ to były jej czasy, a ja nie miałem nic przeciwko.

W wyciszonym telewizorku zawieszonym pod sufitem walczył dzielnie Pudzian.

Wysłuchała, spojrzała na mnie jak lekarka na chorego i powiedziała tylko:

– Tyś się, kurwo, zakochała.

Po czym skasowała mnie za zapiekankę i kawę bez nawet cienia zniżki.

– Aha! – zatrzymała mnie już w drzwiach. – I tylko spróbuj mnie opisać w tych twoich czytankach.

Jesień w mieście: śmierć i kebab. Sytość i głód. Na ulicy wzdłuż wiaduktu panował klimat sytego jesiennego wieczoru. Pijani studenci kopali puszkę i coś krzyczeli. Z knajp w wiadukcie dochodził korzenny zapach grzańca przełamany zapachem papierosów na wietrze.

Szedłem Oławską w stronę placu Dominikańskiego. Minąłem hotel Mercure Panorama i znalazłem się na Ostrowie Tumskim. O dziwo, mimo późnej pory, katedra była jeszcze otwarta. Wyciągano pieniądze ze skarbonek, co nasuwało na myśl skojarzenia z otwieraniem bankomatu.

Usiadłem w ostatniej ławce i przez chwilę walczyłem z czkawką. Odbijało mi się wszystkim, co zjadłem, nawet jeśli to coś już dawno wylądowało w podziemnych rurach Magnolii. Wąchałem wyświecone drewno oparcia i ryczałem. Otaczał mnie mikroklimat, który wytworzył się przez wieki. Pachniało wszystko: skarbonki w ścianach, woda święcona w kamiennych pojemnikach, drewno ławek, a nade wszystko – kamień i jakby naftalina z tych tysięcy niedzielnych moherowych beretów, futer i płaszczy. Potem jednak Studencik znów przesłonił te wszystkie cuda, mimo że w porównaniu z katedrą był właściwie bezwonny.

Każde jego słowo zostało prześwietlone: „słuchaj” – nawiązanie kontaktu, funkcja fatyczna. „Michaś” – tu już otwierały się całe otchłanie interpretacji, bo raz, że wie, jak mam na imię, dwa, że nie wiem dlaczego, ale zawsze mnie strasznie podniecało, jak ktoś mówił do mnie „Michaś”, jakby z góry traktował mnie jak tanią dziwkę, która zaraz bez pytania o zgodę zostanie wyjebana. „Sorry” i „wymiksować” – elementy slangu młodzieżowego, którą to młodzieżą się nie jest, mój panie, ale to do pana pasuje, jak plecaczek i trampki. „Wymiksować” może też, niestety, świadczyć o tym, że ogląda za dużo telewizji, gdzie dominuje medialny typ „pozytywnie nakręcony”. (Na przykład Jurek Owsiak w dniach Wielkiej Orkiestry). Za to już „siła wyższa” zdradzała jego prawdziwy wiek, tu już przestał się kontrolować i zgrywać studencika. A potem nastąpiło to „cmok”, bardzo niejasne, bo stanowiło jakby zaledwie znak pocałunku czy tylko muśnięcia. Właściwie nie było cmoknięcia. A już Boy uczył, że przyłożenie ust bez cmoknięcia się nie liczy, choćby się przykładało cały rok, musi nastąpić cmoknięcie, żeby pocałunek był zaliczony.

Po lewej od głównego ołtarza od zawsze wisiał słynący cudami obraz Najświętszej Pani. Już gdy byłem dzieckiem i przychodziłem tu z babcią, działał na moją wyobraźnię, bo był „cały złoty”. Pod obrazem stała gablota z elektrycznymi świeczkami, szczeliną na monety i napisem „Pod Twoją obronę uciekamy się”. Wrzuciłem pięć złotych w maszynę i zapaliła się ode mnie elektryczna świeczka z żaróweczką powykręcaną w kształt płomienia. A potem nastąpiła cała litania prośb.

Wiało, porobiły się kałuże. Przez Kottarską szedłem do Rynku. Wrocław chłał po jesiennemu, Wrocław jeździł nocnymi tramwajami i taksówkami, wszędzie słychać było obce języki. O Jezu. Gdyby Roma Piekarczowa wstała z grobu i udała się na ten dworzec sterylny, odnowiony na Euro, powiedziałyby: „Kamień na kamieniu! Sioostro, ja idę, ja podrywam, siatkę, piwo niosę dla poborowych, a tu, okazuje się, nie ma już poboru! Patrzą, idzie dwóch mundurowych w jakichś

nowych mundurach, podchodzę, mówię «a może się mundurowy napije, bo ja to taka męska kobieta», a oni się odwracają, a to dwie baby! Włosy w kitki, krok zamaszysty, kabury...

Nigdzie nie można palić, na dworcu nie sprzedają wódki ani nawet piwa, tylko amerykańską kawę w wielkich papierowych kubkach, kamień na kamieniu! Kamień na kamieniu nie został z mojego Wrocławia!”.

Schowałem się w Przedwojennej, wziąłem kolejną kawę i chciałem zadzwonić do Pauli, gdy nagle włączyłem komórkę i zorientowałem się, że jest druga w nocy i że mam dwadzieścia nieodebranych połączeń od mojego trenera personalnego. Jezu, ja miałem być na treningu! On mnie zabije! No i każe jeszcze płacić za te niewykorzystane godziny! Wyobraziłem sobie, jak siedział na Spiskiej, na sali, na jakiejś ławeczce do ćwiczeń i grzebał w komórce, czekając na mnie. A przy każdym naciśnięciu ikonki napinało się ścięgno na rękę, cały biceps, jakby podnosił ciężarówkę, a nie dotykał wirtualne przyciski, wysyłając do mnie niekończące się esemesy.

Pprzedwojenna o drugiej w nocy to nie było miejsce na kawę. Poza mną na sali dogorywała tylko para gadająca po angielsku, ale po pijacku, namolnie i monotonnie. Ona z wyglądu wrocławska studentka, trochę przy kości, on – Arab. Byli już w fazie zgonu i najogólniejszych rozmów o życiu, a że angielski nie był mocną stroną ani jej, ani tym bardziej jego – rozmowa zniżała poziom aż do rejonów szkoły podstawowej. Dys ys najs, dys ys not najs, ys wroclaw e najs tań, wery wery najs. Dyt ju si olredi panorama racławicka? O jest, its fantastik (w wolnym przekładzie: „o tak, chcę cię przetrząść”). Is oświećim de najs plejs to si in polen? Jes, traj olso brzezinka, it is olso wery intresting. Ju ken mejk najs foto na tle pieca end put it tu fejsbuk, ale jaja, to ja w piecu, wsadź głowę i zrób zdjęcie, tylko w PL takie atrakcje turystyczne! Pipyl in polen ar wery hospital. Soł, endzój jorself brzezinka!

No, to jest akurat prawda, ludzie w Polsce są bardzo szpital, mruknąłem. Potem Arab sobie poszedł (i nie zapłacił), a studentka zamówiła setkę wódki, gestem starego, zmęczonego nocną szychcą górnika. Nie była ładna ani szczupła, ale ubrana bardzo drogo i na czarno. Była ostro najebana. Rysowała coś na mokrym blacie. Zapaliła papierosa bez najmniejszego nawet zezwolenia ze strony BHP, ale barman miał to w dupie, a może cieszyła się tu specjalnymi względami. O tej porze przepisy unijne nie działały. Zdziwiłem się, że o tej godzinie nagle zadzwoniła jej komórka. Odebrała. W gęstej atmosferze pachnącej tatarem, papierosami i wódką Zofia Terné śpiewała *Majowy dzień*. Chcąc nie chcąc, podsłuchiwałem rozmowę dziewczyny. Teraz miała zupełnie inny głos, niż gdy rozmawiała po angielsku, o wiele niższy i bardziej poważny, stanowczy, oschły. Coś tam... „Romek...”, „...ale zrozum mnie, ja...”.

Poszedłem do toalety po papier do wycierania nosa, ale była suszarka. Też mi, bardzo przedwojennie! Wytarłem w toaletowy. Za to z głośników zaczął lecieć Faliszewski, co podziało na mnie jak metafizyczny samogon, dynamit, aż nagle się w tej toalecie rozryczałem na całego! A jak ryczę, to już na pewno miłość! Nie zamawiałem pani, a jednak.

Michał Witkowski, napisałaby Jelinek, zaprasza do siebie miłość i otwiera jej szeroko swoje niemal czterdziestoletnie (ale po remoncie!) podwoje. Witamy! Robi jej pyszną kawkę i pyta, czy słodzi, bo on jak zwykle nie ma u siebie w domu cukru, tylko jakieś słodziki, jakiś ksylitol. Miłość obscenicznie oblizuje łyżeczkę i odpowiada, że nie słodzi, że słodkie dziewczyny nie muszą słodzić, gdyż są słodkie z natury.

Dość! Nie zapraszałem pani, kawy nie mam, do niewidzenia się z panią. Otarłem łzy, zapłaciłem i zadzwoniłem po Rybę.

Studentka stała przed Przedwojenną i wciąż jeszcze gadała z tym jakimś Romkiem. „...posłuchaj, potrzebuję kasy i nic mnie nie obchodzi...”. Stałem obok niej. No, majowy dzień to to nie był, prędzej listopadowa noc. „...kurwa, ale posłuchaj! No proszę cię!”.

Ach, Boże, jakbym ja rozmawiał z jakimś czasopismem, co nie zapłaciło na czas...

Następnego dnia wszystkich obdzwoniłem.

Młoda uważała, że Studencik mógł dostać jakiś ważny, arcyważny telefon, skąd wiem, może umarł mu ojciec albo coś innego tego kalibru? Nawet już jej nie mówiłem, że za nim szedłem.

Cukiernica uważała, że cham i w ogóle zapomnieć, ale to z zazdrości, ponieważ ciągle umawiała się przez Internet, a gdy kolejny delikwent ją zobaczył, to zaraz uciekał gdzie pieprz rośnie. Studencik kojarzył jej się tylko z uniwersytetem, a ten z brakiem jakiegokolwiek drygu do interesów, na przykład ciastek, tortów itd.

Daria od Relikwii rozmarzona powiedziała, że cóż, telewizja rządzi się własnymi prawami, nagle telefon i natychmiast trzeba biec na każde gwizdnięcie, nawet o czwartej rano!

– Dlaczego w telewizji? Dlaczego pracuje w telewizji? – pytałem podejrzliwie, bo nie chciałem, żeby tam pracował. Nie umiała wyjaśnić, ale tylko w telewizji. Że taki królewicz z bajki, to na medialnym, cyfrowym koniu?

Anka Jantar powiedziała, że karty na pytanie: „gdzie go poznasz?”, od lat mówią wyraźnie, z uporem maniaka, że na moło w Sopocie, więc uzbrój się w cierpliwość, bo to nie ten, i wykup bilet do Sopotu oraz nocleg w „Grandzie”, najlepiej od razu dwójkę.

Nawet Przemka, przebywająca chwilowo na zmywaku w Irlandii (ostatnia, która jeszcze nie czytała *Ludzi na przemiał* Baumana oraz Naomi Klein i wskutek tego dalej jeździła), raczyła się wypowiedzieć przez Skype’a, a głównie pytała o to, jak się ubiera, czy pali, o ten rower i jaki ma zegarek, bo jeśli taką cebulę z lat pięćdziesiątych, co się codziennie rano nakręca, na skórzanym pasku, to klasa facet, hipster, i to bardzo pasuje do tego roweru miejskiego, o ile nie zmyślasz... a ja znowu przenoszę się do Liverpoolu (by coach), będę pracować w fabryce, to takie klimatyczne, będę kupować winylowe płyty w sklepach ze starymi, winylowymi płytami i starymi kompaktami, kompakty – to też już takie klimatyczne, kasety, wszystko, co zarobię ciężką pracą w fabryce (to znaczy postpracą w postfabryce, bo to jest taki bardziej loft pofabryczny, a ja tam podaję espresso spracowanym robotnikom, a może postspracowanym postrobotnikom, bo to jest taki showroom w lofcie), więc wszystko, co zarobię w fabryce, wydám na kasety i ubrania, to znaczy: postubrania z lumpeksów liverpoolskich, będę się żywić kasetami i będę śpiewać, nieważne, co to będzie, ale najlepiej jakieś nikomu nieznanne, liverpoolskie punkowe kapele z lat osiemdziesiątych... A tak w ogóle to przyjeżdż tutaj, tutaj takie Studenciki gapią się na mnie co dnia, gdy piję moją ranną kawę w takim bardzo starym, dziewiętnastowiecznym Starbucksie, stoliki na ulicy, oni mówią „endzój jor kofi”, wszystko jest „jor”, dont forget tu waluejt jor tiket, szy is tejking her szaler. Taka się wyrobiła potrzeba posiadania wszystkiego.

Wreszcie i Paula odebrała telefon i powiedziała, że tu trzeba być teraz bardzo Alexis, bardzo de Merteuil, bardzo Fouché^[1] i że musimy się spotkać i obgadać cały dalszy plan działania. Skoczyłem do Żabki po kawę, żarcie i w taksówkę Ryba, do Pauliny Siergiejewny na Sępólno.

– Zamykaj, kochana, zamykaj drzwi, bo ciepło ucieka, a ja jeszcze nie zostałam milionerką!

W mieszkaniu było totalnie nakopcone, pachniało obiadem, lekami, piecem kafłowym, bo

milionerka przecież nie otworzy okna, żeby ciepło nie uciekło.

Paula poinformowała mnie, że jest nowy wirus, który w ciepłe jej mieszkania czuje się jak ryba w wodzie.

Siedziała w kuchni, w czarnych rajtuzach, w turbanie z ręcznika na głowie, a ów wirus wyglądał jej oczami ciekawie na świat, spoglądał na ikony znalezione na śmietniku i serwis z targu staroci. Ciepło mu było w Pauli, a ona hodowała go z pietyzmem. Palila, łykała przywiezioną z Ukrainy wysokoprocentową naleweczkę „Balsam Chmielnickiego”, zioła bonifratrów niewiele słabsze, amol nawet mocniejszy, melissanę klosterfrau na uspokojenie i była chora z powodu aury. Zapalała cienkie świece przed ikonami.

Zauważyłem, że rozgrzewa olej na patelni, i zapytałem, czy mi chce zrobić placki ziemniaczane, bo chyba wie, że się odchudzam.

– Taką mam newrozę tutaj w prawej skroni od tych przeciągów, od tych ciągłych telefonów... Po prostu ta jesień mnie dobija, gardło mnie boli i wyczytałam gdzieś, że należy olej podgrzać na patelni i wziąć do ust, i trzymać.

– Nie zrobisz tego! Weź się lecz, weź sobie last minute, all inclusive i jedź się opalać do Oświęcimia, ponoć to teraz najatrakcyjniejsza destynejszyn!

Ale oczywiście zaraz zrobiła i na chwilę było cicho.

– Tobie też radzę, bo widzę, że masz katar. To może być ten wirus. Zapalenie płuc, bez objawów, wychodzi tylko na rentgenie. Larysa Jasnowidząca dzwoniła z Ukrainy, mówi, że od kiedy pierze tylko orzechami do prania, skończyły się wszystkie bronchity. Byłam na targach osobliwości w Hali Ludowej i taka uzdrowicielka z Azerbejdżanu wszystko mi powiedziała. Wszystko. Jakby czytała z mojej książeczki zdrowia. Na podstawie analizy mojego włosa i oka powiedziała, że jestem bardzo zanieczyszczona, toksyny, skąd ona wiedziała? Że mam problemy z ciśnieniem, że za dużo palę, za dużo leksotanu, że mam wirus... I Larysa też to potwierdziła... Musiałam kupić specjalną nalewkę ziołową na oczyszczenie...

Wysokoprocentową.

– Chcesz? Nie to nie. Mówię ci, już mi się rzygać chce, leksotan nie pomaga, nic. Od rana do wieczora w pracy, Judym mi się śni, Juuuudym! No przecież to jest jakiś absurd, to jest surrealizm, że zacina deszcz ze śniegiem, o szyby deszcz dzwoni, deszcz dzwoni jesienny, godzina piąta po południu, ciemna noc jak w studni, a ja zamiast w ciepłych krajach, w Nicei, muszę wciskać im na siłę ten pierdolony, w pizdę jebany *Krzak dzikiej róży*, samotny, senny, zadumany! Po raz który w życiu? Po raz około pięćdziesiąty, z obliczeń moich wynika. Ani ja tego nie chcę, ani oni, ani nikomu to się nie przyda, ale jakbym się spóźnił pięć minut... Ta dyra pierdolnięta, każą nam podpisywać kontrolki przy wejściu, każą nam rysować flamastrem jakieś durne słupki rozwoju jakości w klasie pierwszej de! Ja czasem już zaczynam lekcję i myślę: nie. Tym razem nie dam rady. Ja już tego nie powtórzę, ja nie jestem, kurwa, jakąś jebaną maszyną do wbijania gwoździ! Jak mam powiedzieć słowo „krzak” to już wszystko mi podchodzi!

Żeby tą pierdolniętą Orzeszkową pokręciło! Już tak nienawidzę tej szkoły, że w przerwie się

zamykam w klasie sama i się brandzluję na zdjęcie Hłaski ze ściany, mamy takie oprawione zdjęcia, ściągam, kapię na to spermą, wycieram i wieszam nazad. Jedyne luj na ścianie, no przecież nie będę się brandzlowała na Nałkowską, albo – Boże broń – Dąbrowską!

Rozłożyłem się na stole w kuchni z moim jedzeniem z Żabki, włączyłem sobie czajnik i nastawiłem wodę na kawę, bo kurwisko ma tylko taką z fusami. Paula, mimo że wiedziała, że nie jem słodczy, wystawiła na stół tę samą co zawsze tacę pełną połamanych herbatników, przeterminowanych bombonierek i czekoladek („prosto z Petersburga”), choć szanse, że choć dotknę czegoś z tych rzeczy, były żadne. Ale goście, trzeba wystawić.

Zapaliła, wyjęła sreberko z paczki papierosów, zwinęła w rulonik i zaczęła sobie grzebać w uchu, co oznaczało namysł. Potem odłożyła palącego się papierosa na skraj zlewu i jak zwykle zaraz o nim zapomniała, zapaliła następnego.

Zalałem sobie rozpuszczalną w starej filizance znalezionej na śmietniku lub kupionej za bezcen na targu staroci w Młynie Sułkowice.

W końcu zaczęło się zebranie. Pierwsze zdanie Pauli po dokładnym wysłuchaniu opowieści:

– Najgorzej, jak się kurwa zakocha. – Jakby się zmówiły z Jacką spod wiaduktu.

– Najgorzej, jak się kurwa zakocha, to już wtedy wióry lecą. Całe życie byłaś kurwą, nie masz doświadczenia w miłości, to, co robiłaś, to nie była żadna miłość. Jak Wokulski, całe życie gromadził kapitał miłości i potem to się wszystko wylało na głupiutką Łęcką, bo wybór osoby jest w sumie przypadkowy. I potem takie jak ty, pod czterdziestkę, nie śpią, nie jedzą, poruszają góry, żeby jakieś siuśmajtki się z nich podśmiechiwały.

Dlatego tak to opornie idzie, ale jeszcze bym z niego ostatecznie nie rezygnowała, sprawa nie jest ostatecznie przegrana. W tym „kaczym love story” zdecydowanie jednej stronie bardziej zależy, a to źle. Tym bardziej że jest szeroka widownia. On nie może tego wyczuć, choć mleko już się rozlało. Szkoda, że ten numer ze spotkaniem na ulicy już spalony, teraz trzeba będzie znowu przychodzić na kaczkę, ale rzadziej i jakby od niechcienia, w żadnym wypadku się nie stroić, tylko w najgorszych ciuchach! Albo chociaż w stylizowanych na najgorsze. Panie i tak wszystko doniosą, czy był. Ale nie dopuścić, żeby one mu opowiadały, że czekałeś odstawiony jak stara ciota na imieniny i łyżę ci ciekły do kaczki! No ludzie! To ci dopiero kacza zupa! Pamiętasz taki film? To był surrealizm!

– Pamiętam raczej *Śmierć w Wenecji*.

– I bardzo na temat pamiętasz. Kiedyś przyjdzie, a wtedy będzie już z górki. Twierdza! Pamiętaj, nie ucieknie. Jak krokodyl będziesz patrzył nieruchomym okiem, jakbyś był krokodylem i się wygrzewał na wysepce jak martwy, jak sztuczny, a oczy masz wszędzie, nawet z tyłu głowy, i już ofiary nie wypuścisz. Nie patrz na niego, a widź go. Niech on podejdzie do twojego stolika! Młodszyś. A zasady niepisane są takie, że starszy ma młodszego zdobywać, choć ci oczywiście już gały wychodzą, kisiel w majtkach i nie możesz się doczekać. Lecz on podchodzi, krokodyl się nie porusza, ledwo oko na milimetr uniósł, on się ośmiela, dosiada, krokodyl siedzi jak sztuczny i nagle jeeeeeb! Chrum chrum mniam mniam już go zjadłeś!

– Jezu, a jak nie podejdzie? On jest psychiczny pod tym względem, przepije do mnie i będzie się

pogapiął. A poza tym ja nie wiem, czy jestem od niego młodszy. Możliwe, że mamy tyle samo lat! To co? Mam mu pokazać ręką „chodź tu”?

– Niech cię Bóg broni, dziecko!

– Więc jak mam być twierdzą i jednocześnie go doprowadzić do swojej sypialni, do mojego wielkiego łóżka z Ikei z materacem Sułtan najgrubszym?!

– No, twierdzą stylizowaną na niezdobytą, w rzeczywistości brama główna tak byle jak zamknięta, tylko na klamkę, a wszystkie tylne drzwi na oścież pootwierane! A ty z tej wieży, z twierdzy spoglądasz na niego i upuszczasz kwiat. Ty nie jesteś zamurowaną Aldoną z *Konrada Wallenroda*, moja droga, tylko krzakiem dzikiej róży, tfu!

– Czyli on wchodzi, a ja tam siedzę jak krzak dzikiej róży, samotny, senny, zadumany i co?

– No, Jezu, czy ja ci muszę tłumaczyć? Rzuć mu spojrzenie, gdzie twój cały dorobek kurewski? Wiesz co, że ja ci odejmę jedną belkę, jak dalej tak będziesz się kompromitowała. Pani de Merteuil mówiła: kobieta ma stworzyć amantowi podczas flirtu kilka przeszkód na tyle łatwych do pokonania, żeby on sobie z nimi szybko poradził, ale żeby nie wyglądało, że poddała się bez oporu. Mężczyzna nienawidzi łatwych kobiet. Powiedz, że nie możecie iść do ciebie, bo masz w domu remont, i że następnym razem. Wytrzymaj.

– Ja rzucam, uwierz mi, ja rzucam mu spojrzenie! No i co z tym chłopcem, z którym wszedł do Podwójnej? Dlaczego tak?

– Ten chłopiec mi się nie podoba. To było jakby przeznaczone dla twoich oczu, jakby przedstawienie, jak w *Pornografii* Gombrowicza (tfu!), oni tak wykonują dziwne gesty na wyspie, żeby Fryderyk, tfu! Wacław zobaczył ich... To ci się przyda do prozy.

Z namaszczeniem czyściła sobie zęby sreberkiem od papierosów, zażywała hallsa, nakładała turban z ręcznika, cytowała Telimenę (*Serce nie sługa, nie zna co to pany*), cytowała Fredrę, cytowała nawet Orzeszkową i Prusa, uciekała się do relatywizmu Nałkowskiej, do literatury obozowej, cytowała wszystkie polonistyczne mądrości o miłości dobre na tytuł wypracowania i rozwiń myśl w oparciu o znane lektury... W jej głowie tańczyły ze sobą Rachel z *Wesela* z tą od globusa z *Nad Niemnem*, mistrz Polikarpus z ofiarami obozów koncentracyjnych z *Medalionów*, kuratorka z dyrą, związek zawodowy Solidarność z Aldoną... O, mamó! Człowieka można zniszczyć, ale nie pokonać!

Paula patrzyła na kakao i już mówiła tekstem tej Emilki od globusa z *Nad Niemnem*:

– A wiesz, że ja też czasem tak bym gdzieś... Czegoś więcej... Kiedy pomyślę, jaką długą drogę przebyć musi kakao, zanim stanie na naszym korczyńskim stole, to zaraz bym biegła gdzieś, biegła, daleko, daleko, byle dalej!

– Ja też bym biegła! Uciec!

– Właśnie, co to za rok, nuda, duszno, i co to za rok, tysiąc dziewięćset trzydziesty dziewiąty, w ogóle nie do zapamiętania. (*Szczepkowska, Kronika wypadków miłosnych*)... Tak, cioty ciotom zgotowały ten los...

– I trzeba wymyślać sobie winy, i trzeba podpisywać, wszystko podpisywać! Bo jak nie, to kula

w łeb! Tu zabierają torebki! (Janda, *Przesłuchanie*).

– Jeśli nie chcesz mojej zguby, krokodyla daj mi luby! (Fredro, *Zemsta*).

– Boże, jaki u mnie jest wuefista nowy, młody, w tym roku po studiach, ja pierdolę, jak bym go lizała! (Paula, *życie*).

Tymczasem przez cały miesiąc na horyzoncie literalnie zero Studenciny. Podobno raz tam był, czekał, ale ciągle mu dzwonił telefon. Panie zastanawiały się nad wprowadzeniem nowego produktu: „gnocchi d’amore”.

Po miesiącu już byle jak ubrany w dres, z adidasami na siłownię w siatce z Lidla, bo błoto, idę na kaczkę, jest! Stoi przed knajpą i gada przez telefon. O nie, myślę sobie, mój panie, dzisiaj to już mi się nie wymkniesz, tu już jest maj ’45, Hitler z Evą Braun w bunkrze, powietrza coraz mniej, Göring umalowany, naćpany, Eva przebiera się co piętnaście minut, żeby zdążyć przed śmiercią wykorzystać choć raz każdą swoją suknię, ta kopnięta Madzia Goebbels zabija dzieci zastrzykami, duszno, wyłączają prąd, do wyboru cyjanek lub pistolet, koniec, ślepa uliczka! Można sobie najwyżej wyjść na papierosa z Magdą Goebbels na górę, do zrujnowanej Kancelarii Rzeszy, ale dalej już bombardowanie, zakupujesz i rałś curik nach nora!

Nie masz też dwudziestu lat, łachy nie robisz, w tym wieku trzeba brać, co dają. A że dają akurat Witkowskiego, to już takie masz szczęście, sorry. Studencina psina zostanie sprowadzona do mnie taksówką najtańszą Ryba, prosto na Wojnow.

Stałem przed drzwiami do Kaczki jak krzak dzikiej róży, niby to samotny, senny, zadumany, w rzeczywistości w każdej chwili gotowy do skoku, jak krokodyl.

On skończył rozmowę, podaje mi rękę, mówi, że się nazywa Bartosz (a jakże!), ja mówię, że Michał, no to on robi gest w kierunku Kaczki, ale tu już ja mam wszystko od dawna przećwiczone:

– Nie, nie, nie, zabierz tylko swój plecaczek i zaraz idziemy do mnie.

Pięciodniowy zarost natychmiast przecięła pionowa, cyniczna zmarszczka: wiedział, skąd się bierze moja determinacja i, że tak powiem, pęd do domu. Przy okazji zauważyłem, że ma zajebisty pieprzyk na szyi. Zgodził się! Więc jest z tych, którzy – tak jak ja – się nie bronią, którzy się zgadzają, których można bezkarnie dotykać, wszystko im robić! Którym się mówi: do domu, a oni jak jagnię na rzeź, idą do tego domu, nie szarpiąc się na postronku.

Chciałem zadzwonić po taryfę Ryba, ale okazało się, że Studencina jest rowerem. Wiem, że nie mówi się „jest rowerem”, bo jest Studenciną, ale ja tak właśnie pomyślałem, a moje myśli nie podlegają redakcji, Marianno droga. Rower Studenciny idealnie do niego pasował, pokaż mi swój rower, a powiem ci, kim jesteś, wręcz właśnie był tym rowerem. Był to rower jak najbardziej studencki, stary, czarny, poobijany, malowniczy, skradziony z ulicy w Amsterdamie i opylony pod Młynem Sułkowice, z koszykiem na kierownicy i, o zgrozo... z bagażnikiem z tyłu, na którym miałem usiąść. Oj. Pozostała tylko nadzieja, że nic nie pęknie ani się nie załamie pod moim ciężarem. No, nie miałem zbyt pewnej miny, kiedy tak jechaliśmy.

W monopolowym na rogu Wybrzeża Wyspiańskiego i Curie-Skłodowskiej kupiliśmy marlboro i wino najlepsze, jakie było dla niego, czyli za całe trzydzieści złotych, dla mnie wodę mineralną i jazda! Studencina zorientował się już dawno, że nie piję, ale na szczęście nie popełnił tego faux-pas

i nie zapytał dlaczego.

Minęliśmy burdel Afrodyta ze świecą czerwono palmą, knajpę U Mikiego, zajechaliśmy, otworzyłem bramę. W mieszkaniu panował syf i malaria, bo jak kiedyś na niego czekałem ubrany pięknie i wykąpany, to chałupa była na obce oczy przygotowana, lecz teraz już porządku mego potiomkinowskie wioski z tektury od dawna padły pod naporem wichru codzienności, ukazując prawdę: z powodu braku kasy pani Władzi od dwóch tygodni nieobecność; skąd mogłem wiedzieć, że to akurat dziś ten wielki dzień?

Pod pozorem konieczności udania się do toalety zaraz w ustronnym miejscu esemes do Pauli o treści: PIES JEST U MNIE, wysłałem. Zmieniłem też nieco wystawkę kosmetyków w łazience, jedne eksponując, inne usuwając w cień. Wyszedłem i od razu serce mocniej zabiło, gdy zobaczyłem jego trampki i plecaczek, jakże młodzieżowe. Choć w ostrzejszym świetle jego twarz zdradzała aż za dobrze mi znaną drugą połowę trzydziestki. Oglądał książki na półkach i olbrzymią kolekcję wszelkiego rodzaju leków i suplementów diety, cóż, nie zdążyłem schować. Podejrzliwie oglądał poprzypinaną pinezkami na ścianie w przedpokoju osobliwą kolekcję pieczołowicie poodlepianych z przystanków i słupów ogłoszeń o poszukiwanych chłopcach, którzy wyszli z domu i nie wrócili. Były tego dziesiątki, ponieważ od lat oddaję się temu niewinnemu hobby – jak tylko widzę takie ogłoszenie, od razu odlepiam i potem dopisuję na nim, czy zwłoki zostały znalezione i w jakim stanie, słowem – interesuję się.

Drugą osobliwością było powiększone czarno-białe zdjęcie Jelinek naklejone na tarczę strzelniczą, w które rzucam strzałkami, gdy najdzie mnie zazdrość, że suka tak fajnie pisze. Ma na tym zdjęciu minę psychopatki, ale psychopatki genialnej, i rzucanie w nią strzałkami to doskonała terapia.

Za oknem hałasował pociąg wiozący kurz i pył z Jelcza na Psie Pole i potem dalej, w postindustrialne krainy przedmieść i bocznych torów, gdzie tylko hurtownie i hangary.

Dałem mu wino i otwieracz. Nie, wcale nie zamierzaliśmy się całować, gdyby to był jakiś gówniany amerykański harlequin, toby mu zadzwoniło akurat, gdy nasze usta zbliżały się itd., ale nie był, więc zadzwoniło przy otwieraniu wina.

I – ledwo je odkorkował:

– Nie obraż się, Michaś, praca, praca.

Nienawidzę, jak się do mnie mówi „Michaś”.

Postanowiłem, że absolutnie nie będę wyglądał na zmartwionego.

– Co to za praca?

– A... Spodobałaby ci się... Tu masz mój numer telefonu, zadzwonimy się. – Dał mi wizytówkę.

Zamknąłem za Studencikiem drzwi na wszystkie, jakie miałem, antywłamaniowe zamki, jakbym chciał obronić swą twierdzę przed najazdem dzikich Hunów, i oparłem się o nie. W tym momencie przyszedł esemes od Pauli o treści tu absolutnie nie do powtórzenia, a ja odpisałem: „już go nie ma, ha, ha, ha”. Z zamkniętymi oczami, mimo kataru podniosłem do nosa wizytówkę. Studencik. Coś

słodkiego i coś korzennego. Stare papiery poźółkłe i męska koszula. Proszek do prania, taki jakby amerykański. I coś jeszcze. Fajka? Cynamon? Skórzana kurtka? Tak jak z mieszkaniem. Wchodzisz i od razu wiesz, że to mieszkanie ma swój zapach, nie do podrobienia, nie do opisania. Wymieniasz jakieś komponenty, ale głównego nie zgadniesz.

Nie wytrzymałem, otworzyłem oczy i spojrzałem na wizytówkę. Nic! Na pustym kartoniku wydrukowany jakąś czcionką rodem z fantasy jeden wyraz: „Bartolomeo”, potem jest trupia czaszka z dwoma skrzyżowanymi puszczelami, a pod spodem numer telefonu. Ani nazwiska, żeby się dało go zgoogłować, nic!

Bartolomeo!

Mój wzrok padł na zostawioną przez niego na krześle w kuchni siatkę z nocnego i otwarte wino. Wylałem je do kibla, a butelkę wrzuciłem do przegródki na papier.

Jebał to pies.

Za to papierosa zapaliłem i wyszedłem na balkon. Sarna gapiała się na mnie ufnie i niewinnie, nieświadoma, że zaraz może dostać Nagrodą Gdynia w głowę.

Paszła won!

Z tyłu liceum, z przodu muzeum – usiłowałem sobie zohydzić Studencika. Dość mam facetów, którzy jeśli się do nich nie zadzwoni, to sami nigdy pierwsi nie zadzwonią, choćby i przez sto lat! Bo nie dzwonił. Zawsze miałem wrażenie, że to ja mu się narzucam. Jak już w końcu nie wytrzymałem i dzwoniłem, zaraz słyszałem albo sekretarkę, albo zajęte, albo jakąś bardzo wyrafinowaną muzyczkę w oczekiwaniu na połączenie (chyba Miles Davis), albo najbezczelniej odrzucał połączenie. A jak już odbierał, to zawsze:

– Sorry, Michaś, nie mogę teraz, przedzwonię później. – Pip – pip – pip.

To czemu nie przedzwoniasz, do cholery?! Już jest później! Już dwa tygodnie minęły! Co, przez te dwa tygodnie nie miałeś dwóch minut? Nawet na kiblu siedząc, nie mogłeś zadzwonić? Jedyne, co mi po nim zostało, to jego sweter, który u mnie zostawił, tak mu się spieszyło, żeby jak najszybciej uciec do tej swojej pracy.

Minęła połowa listopada.

Paula wciąż cytowała Wyspiańskiego.

Postanowiłem, że narzucanie się byłoby absolutnie poniżej mojej godności, już i tak nadwyreżonej, że należy milczeć jak głaz, zawiązać sobie na pętelkę, cenić się itd. Pisarz światowej sławy i w ogóle osoba nobliwa, a zachowuje się jak jakiś naćpany viagra, penis enlargement pills i sterydami z siłowni szalony krzak dzikiej róży! Jak jakaś Jagna Boryna, co ją wywieźli ze wsi na taczkach z gnojem za kurewstwo z lujkiem Jantkiem.

Bez łaski, ja jestem już na emeryturze. Miałem jeszcze na koniec zaszaleć przed samą czterdziestką, ale się nie udało, trudno. Pojadę na DKK, to jeszcze coś się ruszy w kwestii życia seksualnego, a tak to żywot emerytki, działeczka, krzyżóweczka, do kościoła, do ZUS-u na Reymonta, do lekarza, do biblioteki, nabrać biografii, wspomnień, listów, kryminałów – to będzie teraz moim udziałem! Wszedłem w komputerze w skrót pliku wordowego „zasady”, gdzie spisywałem sobie różne życiowe postanowienia, typu: że nie palę albo nie jem, albo nie wydaję kasy, i dopisałem: ignorować S, już nigdy S! Nie chodzić na K! Drób z płaskim dziobem tuczy!

Zamiast na kaczkę przed siłownią chodziłem do wegańskiej knajpki na Ruskiej „Machina Organica”, gdzie było tak zdrowo, że nic nie mogło się zdarzyć. I dobrze! Do picia tonik z arbuza, do jedzenia kanapka z chleba pur-pur, z bakłazanem, organicznym humusem i cukinią. Tatar tak, ale z dyni. Powiedziała mi o niej Młoda, polecając, bo to akurat prowadzili jacyś dalecy znajomi Hani i Borysa.

Powoli zaczynałem zapadać w sen zimowy, pozbawiony hormonów pochodzących z mięsa zachowywałem się jak roślinka, a moje życie szło zupełnie automatycznie, jakby ktoś włączył w nim autopilota. Jedyne obowiązkiem, jaki miałem w tygodniu, było pognanie trzy razy na Spiską na trening z moim personalnym lujem. Poza tym raczej niewiele się ruszałem. Dużo czytałem w łóżku. Dużo latałem po galeriach handlowych, empikach, sephorach, starbucksach itd.

Nocami czytałem albo włóczyłem się w sieci po sklepach całego świata, po czynnych 24 h na dobę centrach handlowych w Tokio, po Harrodsie, kupowałem lub nie, ale była w tym namiastka podróży i przygody. Poza tym mojemu pokoleniu brakuje tej adrenaliny co wtedy, gdy za komuny przychodziła „paczka z Ameryki”. Więc kupowałem mało, ale kupowałem. („Kupiła mało, ale kupiła ciekawie”). Po kilku dniach dzikim, ostrym dźwiękiem domofonu budzili mnie spoceni kurierzy z kieszeniami wypchanymi pieniędzmi, a każdy inny. Znałem ich wszystkich. Ten z DHL-u, ten z DPD, a ten z Siódemki. Jeden brzydki, inny cudowny, jeden zawsze skacowany i roztaczający wokół siebie zapach przetrawionego alkoholu i papierosów, jeden osiemnastolatek, z którym się droczyłem, dawałem pieniądze, a gdy wyciągał rękę, cofałem moją. Bardzo go to rozśmieszało, ponieważ wiele nie było trzeba tej śmieszce. Mogłem ich ustawić od największego byka do tego najmniejszego pazia ze skrzydełkami przy stopach, bo słowo „kurier” na bank pochodzi od Merkurego. Mały kurierek był tak cute, że specjalnie dla niego zawsze, gdy miałem wybór, wybierałem jego firmę, ranną dostawę, aby te paluszki nacisnęły mój domofon. Raz był tak zdyszany, że dostał w drzwiach kompotu ze śliwek i wypił duszkiem.

Kurierzy mieli zniszczone ręce, brudne paznokcie, którym można było się przyjrzeć, gdy podsuwali „paczki z Ameryki” i prosili o pokwitowanie. Bezradnie szukali reszty po kieszeniach wypchanych wszelkim dobrem, ale prawie nigdy drobnymi. Paczki z daleka można było poznać po tym, że były już opłacone kartą w sieci, po prostu Every day is Christmas! Odbierałem nieprzytomny, w szlafroku, bo zasnąłem gdzieś w Atlancie dopiero o szóstej rano i śniłem przygody na łączach. Powoli przestawiałem się na czas amerykański. Poza tym paczki z daleka miały dużo stempli, kolorowe papiery i były chyba z pięć razy pakowane, że frajdy z przecinaniem nożem było potem co niemiara. W środku zachował się obcy zapach Pewexu i powietrza z innych kontynentów. Nie, nie kupowałem jaj ptasich, jak Ojciec w *Skleпах cynameonowych*, nie chciałem ich wysiadywać i hodować egzotycznych papug z całego świata, kupowałem rzeczy związane z urodą, ciuchy, kosmetyki, dodatki, „baty na Studencika”. Moje uzależnienie mówiło mi, że jeszcze tylko ta mała poprawka, jeszcze tylko te buty, jeszcze tylko ten krem i Studencina po prostu padnie. Powoli stawałem się najbardziej zadbanym facetem we Wrocławiu, a raczej w Wenecji. Sam nie wiedziałem, co bardziej uzależnia: adrenalina przy naciskaniu ikonki „do koszyka”? Adrenalina przy czytaniu napisu „transakcja zaakceptowana, dziękujemy za zakupy”? Ostry dźwięk domofonu? Folia z kulkami powietrza, którą zabezpieczone były rzeczy i którą nerwowo (wraz z moją mamą) strzelałem przy czytaniu, uwalniając powietrze z innych kontynentów? Próbki, których nie zamawiałem, a które cieszyły? Droczenie się ze Śmieszką? To, jak czasem kurier łapał mnie na mieście i przekazywał paczkę, a potem pytał, w którym kierunku jadę, i mnie podrzucał swoim samochodem pełnym paczek z wszelkim dobrem?

Umawiałem się o dziewiątej wieczorem z Paulą na długie nocne spacerunki i łaziliśmy po najgorszych dzielnicach, zaglądaliśmy ludziom w okna, właziliśmy w stare bramy i podwórka, mało w łeb nie dostaliśmy na Wyspie Słodowej o czwartej rano. Ale Paula coraz częściej była chora. Albo wykańczał ją *Krzak dzikiej róży*, albo Judym, albo dyra, albo stołówka, albo Nałkowska, albo ZUS.

Albo aura.

Albo wizytacja z kuratorium.

Albo skończył się leksotan, a wstyd już znowu do niej iść, bo niedawno był po to L4...

Albo poszła do teatru, a tam same wycieczki szkolne szeleściły czipsami, aż musiała się ewakuować.

– Ja już nie mogę. Ja już sobie robię takie bergi, że niby jestem w Paryżu i że zamiast jeść śniadanie o szóstej rano, to niby schodzę na dół do kawiarni na kawę i croissanta. W rzeczywistości nic na dole nie ma poza sąsiadami, więc idąc do szkoły, wstępuję do takiej piekarni, bo kawiarnie jeszcze nieczynne, i biorę coś, co przy dużej dawce dobrej woli można nazwać rogalem poznańskim. Na dworcu, bo gdzie indziej jest coś czynne o siódmej rano. Kupiłam tam też kawę w papierowym kubku i usiadłam przy białym plastikowym stolyczku przy oknie. Polska wersja paryskiego zejścia do kawiarni. Nałożyłam okulary przeciwsłoneczne od ARKADIUSA i piję, jem. Siódma rano. No i zaraz mi się poprawił humor, jak sobie zrobiłam mały Paryż, nawet chciałam pisać do ciebie esemes, ale ty i tak śpisz o tej porze. I taka scena: wariatka siedzi w okularach, pije kawę, patrzy na drogę do mojej szkoły, a po drugiej stronie szyby, w tym innym, gorszym świecie, dworcowym, młodzież idzie do szkoły i się kłania... Potem się mnie na lekcji pytali: „a był pan w kawiarni? A pan chodzi rano do kawiarni?”. Ja mówię: „tak, dzieci, bo ja długo mieszkałem w Paryżu, a w Paryżu schodzi się rano do kawiarni na dole i tam się je śniadanie”. „To pan nie je kanapki na śniadanie?”. A te dzieci takie wstrętne, jak z Boscha, jak już nos ładny, to jakaś strasznie spiczasta broda, jak nie broda, to uszy, mówię ci, „gen zepsuty”, jak mówi Masłowska...

Wczoraj miałam robić *Przedwiośnie*. Oczywiście kurwy nie przeczytały i musiałam całe opowiadać. Już myślałam, że się porzygam. Cezary Baryka urodził się w dalekim Baku, a czy wy wiecie, dziewczynki, gdzie teraz leży dalekie Baku? Gdzie, kurwa, leży piękne Baku?! One patrzą, jakbym im ojca i matkę zabiła. W Azerbejdżanie leży piękne Baku. A gdzie leży piękny Azerbejdżan? (Cisza. Lęk). A w Montevideo, jakbyście się pytały, leży daleki Azerbejdżan! One na poważnie to wszystko biorą i jedna nawet zanotowała. W Montevideo nad rzeką Wołgą leży piękne Baku, gdzie baki samochodowe produkuje się od niepamiętnych czasów. Notują.

One słuchają i jedna sobie wyciąga kuferek, stawia na ławce, otwiera i tam ma patyczki do uszu, różne przybory do makijażu. No i się beczelnie maluje. Ja już, żeby je zainteresować, myślę sobie, jakieś śmieszne momenty wyeksponuję, o tych quasi-szyjach. Dawniejsze klasy, sprzed dziesięciu lat, toby już leżały na ziemi ze śmiechu. Patrzą, a one jak na pogrzebie słuchają, obrażone. Taka się teraz zrobiła młodzież. Jeszcze wiesz, dyra mi teraz same żeńskie klasy ponadawała, żebym lujów nie podrywała, ale jak miałam kiedyś klasę zawodową, to Jezu! Przynajmniej można było bergować do woli. Luj, wiesz, w szaliku Śląska siedzi rozkraczony, a ja w szalu kremowym, polonistka, i recytuję uduchowiona, zadumana, z oczyma ku górze:

Nic dwa razy się nie zdarza

*i nie zdarzy. Z tej przyczyny
zrodziły się bez wprawy
i pomrzemy bez rutyny*^[21].

– Proszę bardzo, Marcinie, co rozumiesz przez to piękne stwierdzenie noblistki? Ustosunkuj się. Jaki antyczny cytat przychodzi ci na myśl? Co miał na myśli Heraklit z Efezu, mówiąc, że nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki? Kto powiedział „panta rei”? A kto „wszystko się dziwnie plecie na tym tu Bożym świecie”?

– Oj, Paula, za dużo pytań, jak na prostego luja z klasy o profilu „zakłady naprawcze taboru kolejowego”, przecież mu się zacznie w głowie kręcić! Musisz po jednym!

– A on tak się gapi na mnie spod tego szalika zielonego. Ja do niego, że może być wstał. Wstał jak na ścieżce. No i jak to taki luj prosty, co stara się coś powiedzieć nie swoim językiem z warsztatu samochodowego, tylko cudzym, w tym wypadku tym wstrętnym, pseudopolonistycznym slangiem, głos nawet nieco ma wyższy niż normalnie, i coś tam próbuje:

– No, że po prostu dwa razy nic się nie zdarza, to autor ma na myśli.

– Autor?

– No, autor.

– Bardzo dobrze, Marcinie, a jak się ma do tego zdanie Heraklita?

– No, że po prostu... No, że rzeka płynie i nie można wejść dwa razy do tej samej rzeki? – i patrzy na mnie pytająco, czy dobrze.

– Bardzo dobrze.

A taki inny luj, na którego już nieraz się brandzłowałam, mówi, nie wstając, tak jakby go poprawia:

– No, ale chyba wody, nie? Bo rzeka jest ta sama, tylko woda już przepłynęła... Co, jak raz wszedł do Wisły, to potem tam jest już Odra?

I patrzy na mnie ironicznie, z politowaniem, za co ci płacą, na takiego jak ty to nawet bym się nie chciał odlać.

Tyle miałam.

Aż w końcu rozpacz się przebiła przez to antydepresantowe sztuczne ożywienie. Stałem przed lustrem i z uroczystą miną obiecałem sobie, że z S. (już nawet nie chciałem wypowiadać tego słowa!) koniec, koniec! Żeby to uczcić, włączyłem maszynkę i zacząłem golić się na łyso. Żeby coś zmienić i tak dalej. Że niby Kora mówiła, że jest papugą i w stresie zostawia za sobą pióra jak jaszczurka ogon, że włosy mają w sobie stres i uwalniając się od włosów, uwalniasz się od stresu. Ale trzeba wszystko zgolić z całego ciała aż do samej skóry, a potem zakopać.

Wiedziałem, że mam brzydką czaszkę, ale co tam, ładny już i tak nie będę, zresztą dla kogo? Właśnie! Jakby było dla kogo! Goliłem się z obsesyjną dokładnością, na milimetr, żadnych nakładek. Gdy na głowie nie zostało już nic, zacząłem golić klatkę, pachy, brzuch i dopiero zaczęło się świntuszenie, włosy w powietrzu. Włosy czarne, włosy siwe, wszystko zmiotłem w worek i położyłem się na łóżku. Uda już mnie kłuły, gdy w nocy szedłem osiedlem z siatką pełną czarnych i siwych włosów, szukając pierwszego lepszego miejsca do ich zakopania, choć właściwie to powinno być na rozstajach przy pełni. Pełnia może nawet i była, ale nie dało się tego stwierdzić z powodu zachmurzenia – jesienne chmury jak płuca gruźlika na prześwietleniu wisiały nad samą ziemią. Nowe osiedle spało, ludzie, zmęczeni spłacaniem kredytów za mieszkania, odpoczywali. Mieszkańcy parteru mieli do dyspozycji małe ogródki. Upewniłem się, że żaluzje antywłamaniowe są spuszczone, przelałem przez niski płotek i zakopałem u sąsiadki. Za to, zołzo, że już o piątej rano wyłazisz do ogrodu na papierosa i mi smrodzisz, hałasujesz otwieraniem żaluzji antywłamaniowych, za kaszlenie i smrodzenie grillem oraz za inne twoje sprawki!

Następnego dnia, zupełnie zdołowany, jak Raskolnikow po Petersburgu, łąziłem po tym mokrym i ciemnym Wrocławiu. Kręciłem się w okolicach dworca, aż w końcu przy trzonolinowcu zaczepiło mnie kilku bezprizornych lukków:

– Skąd uciekłeś?

Nie zrozumiałem.

– Nie martw się, my cię nie wydamy. Nie masz gdzie spać?

Patrzyłem na nich, jakby rzeczywistość przewróciła się do góry nogami, luje mnie zaczepiają? Luje mnie podrywają? Luje chcą ze mną spać? Roma, jeśli to oglądasz w zaświatach, to zrób sobie głośniej, podkreć kontrast! I nagle olśnienie – przecież łusy! Oni myślą, że jestem więźniem, który uciekł! Błyskawiczna myśl, że proza mi tego nie wybaczy, że Paula mi tego nie wybaczy ani fani na fejsie, ani nikt mi tego nie wybaczy, a nade wszystko oni mi tego nie wybaczą, jeśli teraz powiem wyniośle, że toż to najmodniejsza fryzura, prosto z Nowego Jorku, wczoraj przyleciałem, w Londynie byłem u Vidala Sassoon, rok temu się zapisywałem na strzyżenie... Splunąłem i zapytałem cicho:

– Macie coś zajarać?

Tylko się odezwałem, natychmiast wyczuli fałsz w moim głosie, teatr. Spojrzeli po sobie zdziwieni i w brecht! Tyle ich widziałem.

noc z piątku na sobotę,
z 30 listopada na 1 grudnia 2012

Aż w andrzejki stało się – tak się kręciłem, tak się kręciłem w okolicach Rzeźniczej, zbliżałem, oddalałem, że w końcu... poszedłem na przeklętą kaczkę. Zgubiło mnie łakomstwo, miałem dość zdrowej żywności. Panie, gdy mnie zobaczyły po zdjęciu czapki, mało nie wypuściły niesionych tac z jakimiś sztucznymi, niebieskimi drinkami. To dla niego zrobił! To dla niego się oszpecił, z miłości, z nieszczęścia! Dla niego głowę wsadził do piekarnika, mikrofalówki! Dla niego włosy swe piękne sprzedał, zęby swe złote wyrwał, zaniósł do lombardu, do Domina! Dla niego sprzedał swoje włosy na perukę dla pani, co ma raka i chodzi na chemioterapię, żeby mieć na pięćzłotówki dla Matki Boskiej w katedrze, żeby jej zapalać elektryczne świece! Jak Fantyna z *Nędzników* dla ukochanej Kozety zęby swe sprzedał, zastawił u Domina w lombardzie na placu Grunwaldzkim!

Wiem, Marianno, że w tym momencie napiszesz ołówkiem na marginesie „to włosy czy zęby, zdecyduj się”. Otóż ogólnie włosy, ale one idą dalej i uznają, że pewnie też zęby sprzedał.

Cała kacza knajpa ustrojona była dyniami jeszcze z Halloween. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że Studenciny nie ma, ale panie były jak na to zbyt podminowane, jedna się schowała za kasę jak za wał umacniający i zza niej wyzierała, co się będzie działo. Druga zaraz, z bardzo świętą miną, znikła w mniejszej sali. Ta zza kasy zaczęła mi pokazywać licznymi minami na tę drugą, małą salkę, gdzie Wenecja ti aspetta, a i ktoś jeszcze aspetta. Bo z powodu andrzejków na głównej sali nie było miejsc.

Siedział w kącie małej sali, jak Szatow w *Biesach*, z ironią i obrzydzeniem spoglądając na świat, czytając w okularkach lennonkach coś na tablicie, a przy jego stoliku druga kelnerka z bardzo świętobliwą miną zapalała świeczkę w dyni i zezowała na mnie z całych sił. Tak jakby na innych stolikach świece w dyniach były pozapalane. Gdy mnie zobaczył, uśmiechnął się ironicznie, jakby chciał powiedzieć „wiedziałem”. Usiadłem daleko od niego (błąd nr 18), a kelnerka zaraz pobiegła jak z ogniem olimpijskim mnie też zapalać świeczkę w dyni, mnie też w dyni, mamy wspólny ogień, gdzie ten ogień, do cholery?!

Tak więc, wbrew przestrogom Pauli, nie wytrzymałem, wstałem i podszedłem, ponieważ byłem pewien, że on będzie się tylko uśmiechał przez salę jak głupi do sera, a już mnie znudził ten fabularny pornol i chciałem trochę przewinąć naprzód. Pod pozorem: „chcę ci oddać twój sweter, który u mnie zostawiłeś. Ale musisz sobie sam po niego przyjść, najlepiej od razu, mój panie”. Ale gdy to już powiedziałem, zauważyłem naraz, że ten jego sweter właśnie mam na sobie.

– Nowa fryzura – zauważył.

Kurde, zapomniałem, przecież jestem łysy, bez sensu! Ogolony krzywo, jak Britney Spears w depresji, po pijaku, golarką, a w ogóle wyglądam jak przymuś z siłowni, z ringu.

Ale przynajmniej nie miało to nic wspólnego z syndromem „Wenecja ti aspetta”.

Szliśmy środkiem ulicy, mostem Zwierzynieckim, mówił, że bardzo ceni sobie moją prozę (czyli że zanosilo się na seks), choć właściwie to czyta tylko fantasy, i to też raczej słucha audiobooka w samochodzie (może on nie jest pedałem? Takie heteryckie czytanie?). Szczególnie lubi heroic fantasy. Czyli że idzie do biblioteki i prosi, żeby mu znaleźć coś z czarami, z zaczarowanymi jeziorami, z księżniczkami, karetami, gnomami, elfami, pierścieniami... Czyta Tolkiena i Sapkowskiego, oraz pomniejszych autorów, z braku laku nawet *Zmierzch* Stephanie Meyer czy *Harry'ego Pottera*. *Harry Potter i Czara Ognia* szczególnie mu się podobała. Po prostu młodzieńczy jest nawet w lekturze swojej!

Te okularki to też masz na Pottera – pomyślałem sobie, czy ja zawsze zamiast kochanka muszę dostać syna? Pogięło was wszystkich z tym fantasy, ale to bardzo dobrze, bo przemyśliwuję właśnie, żeby trochę elementów tej konwencji wykorzystać w nowej książce, żeby trochę czarów, księżniczek i nimf, ponieważ jestem autorem szczególnie lubianym wśród młodzieży, a młodzież teraz tylko o wampirach i fantasy.

Mimo czerwonej bejsbolówki noszonej teraz przeze mnie non stop z powodu ogolenia było mi zimno w głowę. O dziesiątej w nocy wylądowaliśmy nad Odrą, wbrew mojej teorii, że za wszelką cenę w mieszkaniu, zanosilo się na mroźny i ciemny outdoor. Sturlaliśmy się z wału przeciwpowodziowego, pooblepialiśmy jesiennymi liśćmi jak piaskiem nad morzem, darliśmy się z jazu, wśród dzikiego, ostrego zapachu spadających kaskad wody, całowaliśmy się na Wyspie Opatowickiej wśród dalekich odgłosów syren, i byłem nienasycony jak kwas tłuszczowy i w ogóle wszystko „się”, wszystko „się”, się i się. Była taka książka Stachury pt. *Się* i rzeczywiście, jest w tym coś, się jest osobnym, a potem nagle się stajesz „się” i wszystko połączone, wszystko wobec siebie nawzajem. Siłowaliśmy SIĘ na rękę, goniliśmy SIĘ, SIĘ nawzajem podciągaliśmy na metalowych, surrealistycznych konstrukcjach jak z Felliniego, SIĘ syren statków słuchało. No dobra, ubarwiam, nie było syren, ale woda naprawdę dawała szlamem jak dzika.

Po Wyspie Opatowickiej od razu było widać, że jest ewidentnie zaczarowana i zamieszкана przez elfy, hobbity i pierdolnięte, naćpane eukaliptusem krzaki dzikiej róży. Księżyc odbijał się srebrną poświatą w zaczarowanej wodzie Odry. Wyspa zdawała się pusta, ale od zawsze nocą użyczala kochankom bez lokum swoich niedrogich podmokłych pokoi, więc coś tam w krzakach na pewno się ruszało.

Zapalił latarkę.

Most był niemrawo oświetlony, lecz sama wyspa tonęła w mroku. Pachniała wilgotną jesienią, Wszystkich Świętych, gniły liście, stała mgła na wysokość metra o ostrym zapachu rzeki i szlamu, krakały wrony, gdzieś daleko czekał pies. Mgłę można było wziąć ręką i urwać sobie kawałek, jak

szmatkę z gazy, zrobić z niej listek figowy i się zasłonić w adekwatnym miejscu, gdyby tak się było nagim, ale niestety się nie było.

Zamówiliśmy Rybę pod jaz, co bardzo wystraszyło panią przyjmującą zamówienie, która z uporem maniaka pytała o adres jazu, i pojechaliśmy do parku Południowego, gdzie chciał mi coś pokazać. Nie bardzo zrozumiałem, co i po co. Była to taka przedwojenna świątynia dumania z kolumnkami, wchodziło się po stopniach i w środku było miejsce właśnie do dumania, gdyby tak się ten park miało na własność i było wytworną rokokową damą. Obserwował moją reakcję i nic, tylko nawijał o różnych przedwojennych sprawach, więc poczułem się w obowiązku powiedzieć: faktycznie, czad, choć chyba bez przekonania. Myślałem, że może w środku będziemy się całować, i rzeczywiście, przez chwilę nawet tak było.

Aż znowu pojechaliśmy Rybą do mostu Zwierzynieckiego. Wleźliśmy pod most, gdzie on dalej pił wodę z butelki. Panienska Najświętsza z Katedry miała już obiecane całe tony pięciozłotówek... Nad nami po moście z turkotem przejeżdżał nocny tramwaj, odwozący z klubów zwęglone zwłoki nawalonych polskim piwem Arabów, Murzynów, Hiszpanów i Azjatów do akademików na Wittiga. Odra wzbierała, niosła gałęzie, pianę, kłody, siatki z Tesco i napuchniętych topielców chłopców, którzy wyszli z domu i nie wrócili. Pod mostem było tak ciemno, że Studencina zapalił zapalniczkę i zawstydziłem się, że teraz pewnie nagle zobaczy, z kim się całował, przypomni sobie, że to tylko ja, sorry, Winnetou. Na dodatek łysy, z tej całej deprechy krzywo ogolony maszynką. Ale on tylko mrugnął do mnie zawiadaczko, młodzieńczo, zapalił papierosa i oświetlił ścianę pod mostem, gdzie ktoś też przed nami robił sobie imprezę, po której zostały trzy na pół stopione świece i liczne butelki. Studencik pozapalał te świece, a potem na nie sikaliśmy i je gasiliśmy.

Wykorzystując efekt echa pod mostem, urządziliśmy San Remo, śpiewaliśmy niby to po włosku te wszystkie piosenki, którymi całą jesień stręczyły mi go kelnerki „na kacze”, amore, cantare, nie cantare, sole mio. Niczym ci, co w Wenecji zabierają turystów na przejażdżkę gondolami, prosto do krainy marzeń z duty free.

Pociągnął ostatni łyk wódki i rozbił pustą butelkę o solidne, niemieckie ocembrowanie z głązów. Zacząłem śpiewać *You Know That I'm No Good*, ale urwałem w pół słowa.

I właśnie wtedy, gdy wydawało się, że wraz z rozbitą butelką żołądkowej w proch poszły ostatnie więzy łączące nas z gorzką rzeczywistością, Studencinie zadzwonił ten jego iPhone. Trzeba mu przyznać, że nie zamierzał odbierać, ale system głośnomówiący zaczął powtarzać coś jak „Aśka” i to musiał być ktoś ważny. Telefon o drugiej w nocy z soboty na niedzielę u normalnych ludzi może oznaczać tylko śmierć. Rozmawiał z tą Aśką ze sztuczną trzeźwością, która każe wyrażać się zbyt precyzyjnie, stać zbyt prosto, poruszać się ostrożnie i sztywno jak robot.

Jego słowa odbijały się echem, dudniły jak nocne tramwaje przejeżdżające nad nami, a on nie umiał rozmówcy wyjaśnić, skąd bierze się ten pogłos.

– Nie, nie, nie, Aśka, nie mam nawet dyżuru telefonicznego, mam wolne, jestem niedysponowany, pijany, jestem na wygwizdowie! Nie mam obowiązku się stawiać! Wyślijcie tam Wifkę ^[3]! A oprawców ^[4] nie ma? No, tak, andrzejki... Dzielnicy tam nie wysyłajcie, bo narobią tylko gnoju.

– ...

– O kurwa. Poczekaj... Michaś... – odszedł kilka metrów, ale i tak echo pod mostem odbijało jego słowa. – To, kurwa, to nie on! – Odszedł jeszcze dalej i zniżył głos, ale akustyka pod mostem mi sprzyjała. – Jesteśmy razem od dziesięciu godzin! To nie on. I ucharakteryzowana? Ale dziewczyna? Zaraz tam będę.

Spojrzał na mnie błagalnie i wyglądał jak człowiek, który jest chory i blady, ale na siłę opalił się w solarium, nałykał witamin, uróżował i udaje młodego, wybierając się do Wenecji, gdzie młodość jest w cenie. Ta jego młodzieńczość nie była zatarta, tylko spod spodu wyzierała blada prawda, czterdziestka, zmęczenie i kac. Usta miał zupełnie spierzchnięte od palenia na wietrze i lekkim mrozie, ale na szczęście nie wyjął żadnej pomadki ochronnej.

Z powodu andrzejków nie można się było dodzwonić na żadne radio taxi. Dobrze mówił mój luj z Międzyzdrojów, że ryba to spośród wszystkich zwierząt największa kurwa i nawet to nie jest zwierzę, ponieważ głosu nie ma. W końcu baba mi mówi, że „do godziny czasu”, a moja redaktorka już sięga po ołówek. (Marianna: „Nie sięgam po ołówek, bo nie jestem taką idiotką, żebym nie wiedziała, że one tak mówią”).

W końcu poszliśmy do postoju na skrzyżowaniu Wróblewskiego z Wystawową. Ani jednej taksówki. Od strony Hali Stulecia ku zaparkowanym samochodom szedł tłum wystrojonego wrocławskiego mieszczaństwa, a prowadziła go dziennikarka Wanda Ziembicka. Skończył się słynny doroczny, andrzejkowy bal dobroczynny u prezydentowej, na który przychodziła ta sama publika, co na teatralne premiery, wernisaże, galę Przeglądu Piosenki Aktorskiej, pokazy mody itd. Właśnie z tego powodu przestałem chodzić w tym mieście na premiery. Wszystkie panie prezentowały suknie

od Max Mary lub Deni Cler, specjalnie nabyte, panowie wynudzeni marzyli o piwie, bo prowadzili i nie mogli nawet pić. Na szczęście bogate mieszczaństwo w ogóle nie interesowało się taksówkami, czego nie można było powiedzieć o trzech małych Azjatach wystrojonych jak ciotki z Haemu, z zapuszczonymi po samą brodę i utlenionymi na żółto grzywkami. Kryjąc się przed światem za tymi grzywkami, dłubali w smartfonach.

Staliśmy jak kołki. Studencik rwał się, podskakiwał, jakby chciał siku.

– Chcesz orzeszki? – wyciągnąłem z naszej siatki paczkę.

– Gumę do żucia, jakbyś miał.

Miałem tylko gumę z nikotyną, ale żadna by mu nie pomogła, i tak by jechało od niego jak z gorzelnii. Nic nie mówiliśmy. Poczułem się nagle bardzo stary i zmęczony. Gdy taksówka wreszcie przyjechała, Studencik krzyknął tylko coś, co zrozumiałem jako „nazbrudzewamigiem”, a ja czekałem na następną. W końcu z rozkoszą rozparłem się na tylnym siedzeniu Ryby, a piękny, młody Arab ruszył płynnie Curie-Skłodowskiej w kierunku placu Grunwaldzkiego. W taksówce śmierdziało perfumami nie pierwszej jakości, przetrawionym dymem papierosowym, przedawkowanym drzewkiem WunderBaum, wanilią i oczywiście nieuniknionym tej nocy grzańcem. Niczym w arabskiej knajpie leciało jakieś ich tam „habibi, habibi, oj, habibi, łoj, łoj, łoj, habiibi...”, co każda lubiąca Arabów ciota szybko rozszyfruje jako „kocham cię i chcę ci obciągać”. Patrzyłem na poniemiecki, pseudogotycki labirynt klinik na Chałubińskiego, z czerwonej cegły, z syfilitykami, cudami, różnymi ukrytymi za murami tabu. W tym szpitalu przyszedłem na świat i oto jestem już od trzydziestu siedmiu lat. W siedemdziesiątym piątym roku siostry oddziałowe miały sztywne, jakby plastikowe czepki z czarnym paskiem, były poczciwe, grube i rubaszne albo chude, chciwe i złe.

– Pan, dokąd, dokąd?

– Nazbrudzewa.

– Na Fociecha Sbrucefa?

– Nazbrudzewamigiem.

– Taki krótka kurs? Pan!

– Tam pan poczeka i potem pojedziemy do domu, na Wojnów.

Wojnów działa na taksówkarzy uspokajająco, bo to jest daleka i pełna burdeli dzielnica. A właściwie pełna jednego burdelu. Więc zafundowałem mu taki taksjarski chill out.

W taksówce skończyło się „habibi” z kasety i teraz leciało Polskie Radio, coś bardzo współczesnego i gównianego, jakieś typowe badziewie w stylu Opole 2012. Wszystkie te laski mają taki sam głos i złe teksty, w stylu „życie to kit”, „żałuję, że cię znałam”, zaciągają, jakby wyszły z tej samej złej szkoły śpiewu, i starają się być agresywne. Potem inna laska przekonywała mnie i Araba, że od kiedy stosuje pewien lek, w ogóle nie ma już problemów z nietrzymaniem moczu i spokojnie znów może cieszyć się życiem.

Gdy staliśmy na światłach, patrzyłem przez okno na rozświetloną czerwonym neonem Grand Café na placu Grunwaldzkim, na taksówki stojące w rzędzie i czekające na tych, którzy je zamówili. Taksówkarze trąbili ponaglająco na tłumy odstawionej młodzieży, a oni już o nich zapomnieli, zwlekali, palili, esemesowali zawzięcie, pijani, chcieli jeszcze gadać, bawić się. To było już inne miasto. Wszędzie angielski i hiszpański oraz znajomi Marysi z iPhone’ami, a jak nie, to chociaż znajomi z Facebooka Marysi ze smartfonami. Murzyn palący e-papierosa, Arab z cygaretką, kabriolet, ławica podstarzałych macho na harleyach, biznesmen z notebookiem, Starbucks, Coffee Heaven. Minęliśmy akademiki Kredka i Ołówek. Przejechaliśmy koło Spalonej Pikiety, która nie chciała brać w tej wielorasowej nocy udziału, więc otoczyła się szczelnie boa faszystowskich mgieł i dymów, bo była ponemiecka i nie zgadzała się na rzeczywistość od ponad sześćdziesięciu lat, a już na tą nową, wielorasową to w ogóle. Skręciliśmy w Kochanowskiego, a potem w Wojciecha z Brudzewa, którą podążały w stronę słynnych akademików Bliźniak i Jubilatka hordy nagrzanym medycznym spirytusem przyszłych lekarzy i pań doktor, zmarznięty pies oraz dwa policyjne, srebrne i opływowe radiowozy.

Przed nami, jak atrapa, wyłoniły się z mgieł dwa bloki. Jeden właśnie ocieplany papą. Pomiędzy nimi jakieś stołówki, również prostokątne. Kąt prosty to jednak moc. Jak przez mgłę pamiętałem jakieś anegdoty związane z tym przybytkiem Erosa, że na stołówkę mówią po prostu „Świnia”, na Jubilatkę oczywiście „Kopulatka”, a na panią w dyżurce – „Barbie”. Jeśli Studencik kazał się tu zawieźć, to musiał mieć na myśli właśnie kompleks Akademii Medycznej, bo to była jedyna atrakcja na tej ulicy.

Wiedziałem, że nie dostanę się do środka, bo jest już po dwudziestej drugiej. Nie wpuszczają bez zostawienia dowodu i opowiedzenia się, do kogo, ale przecież tu mieszkał mój Pan Ząbek, mój zboczony student stomatologii, ten wielki, mleczny, niebieskooki, długowłosa blondyn o uśmiechu niemowlaka, który spał z jeszcze większym od siebie pluszowym misiem. Kupa chodzących protein, jak golem ukrecony z mleka w proszku i odżywek dla sportowców, jak dżin, który wyszedł z butelki truskawkowego szejka, różowe paznokcie, wielkie usta, męski odpowiednik cycatej blondyny z włosami do ziemi. Ów wielki, lukrowany dzieciak był na to wszystko jeszcze nienasycony, przysysał się jak do cycka i nie puszczał. Miał w sobie coś z niemowlaka, takie jakby jeszcze niemowlęce sadełko pod białą skórą, coś infantylnego, co było chwilami wstrętne, szczególnie w łóżku, bo miało się poczucie jakiejś pedofilii. Żeby pachniał papierosami czy piwem albo potem,

ale nie – jego włosy pachniały, ni mniej, ni więcej, tylko wanilią, słodyczami i oliwką Penaten. Mimo że właśnie on palił, pił i ssał wszystko, co wpadło w jego różowe usta, z zachłannością, z jaką bobaski przysysają się do cycka. Bo to pulchne dziecko było zepsute i lubieżne zupełnie nie po dziecięcemu.

Na dodatek była to jedyna osoba z mojego otoczenia, z którą mogłem do woli świntuszyć także na temat trupów i różnych innych strasznych rzeczy, egzorcyzmów, ekshumacji i w ogóle. Jak się dobraliśmy, to zawsze wchodziliśmy na takie strony w sieci, dla zboczków, gdzie po zalogowaniu można było oglądać różne świństwa.

Kubuś, czyli Pan Ząbek, to jest temat na film, na operę, na erotyczno-stomatologiczno-pediatryczne divertimento. Zamierzałem powiedzieć na dyżurce, że do niego idę, tylko trzeba było uważać, żeby go nie spotkać, boby mnie nie wypuścił z tego łóżka z misiem przez trzy dni. Był nienasycony, był jak dentystyczne wiertło i jednocześnie znieczulenie. Wysiadłem z taryfy, jednak ją zwolniłem, niech sobie jedzie, nie wiadomo, ile mi tu zleci, jeślibym wpadł do tego zębodołu dentystyczno-erotycznego. Arab się wściekł, bo takiego krótkiego kursu by nie wziął, a mętne wizje Wojnowa właśnie prysły, ale trzasnąłem mu drzwiami w twarz i poszedłem. Zaraz na pocieszenie wtarabanili mu się pijani w sztok studenci, którzy postanowili się ewakuować do klubu w Śródmieściu, płacąc za kurs nieważnymi lejami rumuńskimi z czasów Ceaușescu.

Już miałem wejść na teren akademików, kiedy zauważyłem, że coś dzieje się za ogrodzeniem, przy samotnej drodze wiodącej do nich od przeciwnej strony. Była to ponura ścieżka wyznaczona przez dwa pasma krzaków. Podszedłem. Latarki drenowały mgłę. Wyłaniała się z niej to biało-niebieska taśma policyjna, to opływowe auto, jacyś ludzie, jakieś nawoływania, luje ubrane na granatowo z odblaskowymi napisami POLICJA na plecach! Jeden z nich podszedł do mnie:

- Tutaj nie ma nic do oglądania.
- Właśnie widzę.

Już miałem sobie iść, kiedy nagle mignął mi we mgle Studencik. Bardzo węszący i zaaferowany, jak mały piesek na tropie. Krzyczący coś do krótkofalówki, nagle zupełnie trzeźwy.

Policjant.

Zdębiałem. Jego wygląd, półdługie włosy, całe zachowanie, rzemyk w miejsce zegarka, koraliki na szyi... Lecz te stereotypy szybko zostawiłem dla czytelników „Faktu”, bo przypomniałem sobie z lektury miliardów kryminałów, że istnieje coś takiego, jak pracownik operacyjny, który ma się zlać ze środowiskiem przestępczym i jak najmniej przypominać policjanta.

Nagle wyrosła koło mnie kobieta wyglądająca na świat z wnętrza olbrzymiej, różowej puchówki ciekawskimi oczkami lokalnej prasy. Jak wielka beza. Obok stał młodzieniec z aparatem fotograficznym i klął na mgłę. Zapytałem, czy wiedzą, co się stało. Beza szepnęła teatralnie:

– Mają trupa! Dziewczyna. Podobno goła i cała w liściach.

– Co?

– No co: co? Andrzejki! Nie wie pan, co się dzieje w tym mieście?

– Ona jest goła i cała w liściach! – potwierdził radośnie fotograf. Ten obraz musiał działać na jego zmysł fotograficzny, więc patrzył na policyjną taśmę jak byk na czerwoną płachtę i tylko strzelał lampą błyskową w mgłę.

– I coś tam jeszcze jest, ale... – Beza ugryzła się w język i spojrzała na mnie, jak tylko „Gazeta Dolnośląska” może patrzeć na groźną konkurencję z... została jeszcze jakaś inna lokalna gazeta we Wro? Na „Słowo Polskie”? Na „Wieczór Wrocławia”? „Twoja Hala Stulecia”? „Wrocławskie Krasnale”? Portal „Wroclove”? Radio Wrocław na Karkonoskiej? W każdym razie powiało chłodem. – Przejdziemy się popytać do akademika.

Zgasła papierosa o podeszwę glana i poszła. To ja też – do Bliźniaka! Lepiej się tu nie kręcić, żeby Studencik mnie nie zobaczył, bo chciałem jeszcze trochę poudawać przed nim, że niczego się nie domyślam. Przecież on... Tak, Jezus, przecież jak bardzo! Jak bardzo on i jego koledzy mogą się przydać do prozy! Jak zwykle – miał być romans, miał być seks, a oczywiście tylko proza będzie coś z tego miała.

Na dole w Jubilatce jest przeszklona sala komputerowa, tak zwany ryjec, gdzie oni, z własnymi notebookami i notatkami, czytali, notowali, pili herbatę. Noc andrzejkowa, godzina druga, akademik mieszany, nieopodal „naga i cała w liściach”, w każdej knajpie w mieście promocja grzańca, a oni kują. Tylko w Medycznej możliwe. Właściwie zawsze imponowało mi takie niepodleganie wpływom, wszyscy na sylwestrze, a ten ci robi pranie, wszyscy balują, a oni kują, zero imprezy w Jubilatce, totalna odporność na trendy z miasta. Czytali, analizowali różne przekroje przez nerkę, przez ząb, jakieś chemiczne wzory... Przed akademikiem stała grupka Arabów w dresach i paliła papierosy.

Na portierni Bliźniaka dwóch policjantów uspokajało dziewczynę. Widać było po niej, że się wystroiła, ale nie pobałowała, a teraz cały nastrój szlag trafił. Pewnie to nieszczęśnica, która znalazła trupa. Beza zaraz zaczęła się do niej dobierać ze swoim dyktafonem, ale podeszło do niej dwóch gliniarzy i ją pogonili.

W dyżurce siedziała kobieta, którą dla jej złotych włosów nazywali Barbie. Dołączyłem do imprezowej grupy i bez najmniejszych trudności wszedłem do środka. W Bliźniaku było już bardziej imprezowo, ale też niemrawo. Symbolicznie. Impreza odbywała się w kiblu. Wchodzili i wychodzili młodzi ludzie poprzebierani najprościej, czyli w lekarskie kitle. Trudno wymagać czegoś mniej oczywistego, to nie są akademiki szkoły teatralnej czy choćby polonistyki, gdzie różni hipsterzy sami już nie wiedzą, co wymyślić.

Przysiadłem na schodach, zapatrzony w pięciolitrową plastikową butelkę po mineralnej, pełną petów pływających w brązowej zawieszynie. Ze wspólnych kuchni nawet o tej porze dochodził zapach smażonej wątróbki. Przez okno w korytarzu widziałem w dole całe zamieszanie na drodze za ogrodzeniem akademika, koguty, ludzi. Gdzieś tam Studencik podczołgiwał się i zaglądał ciekawie pod każdy krzaczek.

Siedziałem tak zapatrzony w okno, gdy nagle ktoś zasłonił mi oczy. Takie miękkie, ciepłe i pachnące oliwką dla niemowląt łapki. Tej nocy paradował w białej koszulce Fishbone, w białych spodniach i w białych crocsach jak w chodakach ortopedycznych, pachniało od niego harribo i ledwo wyczuwalnie gabinetem dentystycznym.

Musiałem jakoś odwrócić jego uwagę.

– A wiesz, że tam jest zabójstwo? Trup dziewczyny, goła i cała w liściach, policja, koguty! Plamy opadowe, smugi dyfuzyjne, sadistic.pl!

– E tam, zemdląla jakaś czy za dużo wypięła... Chodź...

O nie.

– Zobacz przez okno, co się dzieje, cała droga oświetlona!

Teraz dopiero spojrział.

– Ty, rzeczywiście! Idziemy do mnie? Na kawę...

No, ładny ty jesteś, ale już piliśmy tą kawę tyle razy...

– Mnie lekarz zabronił pić kawę na noc, z ciśnieniem mam problemy... – Miałem nadzieję, że aluzja do mego podeszłego wieku i chorób geriatrycznych ostudzi jego zapały, ale z czym do ludzi! On był jak geriavit, był młody za nas obu!

– No, chodź... Nie ma u mnie nikogo w pokoju – liznął mnie w ucho. „Lodzicie wijechali”, dziecko jest siamo i boi się siamo śpać, bo oglądało na kablówce film dla dolośłych.

– U ciebie nigdy nie ma nikogo w pokoju, bo sam mieszkasz!

Poddałem się. Może w każdym z nas gdzieś na dnie drzemie pedofil? Może z powodu braku własnych dzieci niezaspokojony popęd rodzicielski nałożył się u mnie na seksualny i kumulował w fantazjach o przewijaniu wielkiego blond bobasa? A może po prostu jestem za łatwy. Zero asertywności. Choć sam tę cechę u Studenta skrzętnie wykorzystywałem, więc wszystko jakoś się równoważy.

Pospiesznie wyłowiłem jakieś strzępki tych macierzyńskich uczuć i poszedłem za bobasem, bo nie miałem pojęcia, jak zamknąć ten wieczór, a za żadne skarby świata nie miałem już siły dalej go ciągnąć. W łóżku gigantyczny miś osłupiałym wzrokiem wpatrywał się w sufit akademika, który był jednocześnie podłogą, tańczono nad nami i krzyczano. Na balkon spadło z wyższego piętra coś jakby but. Dzięki temu po raz pierwszy nie pojawił się problem z łóżkiem Ząbka, że mianowicie strasznie hałasuje.

Spuśćmy zasłonę milczenia, wykonaną w tym wypadku z wielkiej pieluchy, na dalsze zajścia tej przeklętej nocy. Dziecko majstrowało przy mnie, a ja miałem o czym myśleć. Studencik okazał się policjantem. W głowie stawała mi jego rozmowa spod mostu, echo, turkot samochodów nad nami. Coś tam, że przebrana... Ciekawe, jak przebrana, skoro goła?

Policjant! A sam się migdali w nocy po szaletach z nieletnimi chłopcami! Policjant! Czyli że może mi dużo powiedzieć do kryminału, załatwić wejście na sekcję do Zakładu Medycyny Sądowej... Policjant, czyli że jak był taki zajęty... no tak, studentom przecież komórka tak nie dzwoni. Musiał mieć jakąś poważną sprawę i teraz nagle się okazało, że ona nie jest zamknięta, kolejny trup, a już myśleliśmy, że go mamy! „To nie on”. Czyli że mają seryjnego mordercę, już kogoś zamknęli i teraz trzeba będzie go wypuścić. I on przebiera te ofiary. No jasne, ta moda na skandynawskie kryminały musiała się tak skończyć!

Ząbek chrapał, rozchylając różowe usteczka. Białe kosmyki długiej grzywki podskakiwały mu na twarzy w rytm oddechu.

Ogólnie, że policjant, to dobrze. I nawet podniecająco. Ale jak on teraz złapał jakiś nowy trop, to znowu komórki nie będzie odbierał Bóg wie jak długo. Już nie zasnąłem. Słuchałem, jak zamierają odgłosy i akademik wypływa z cieśniny imprez na lodowaty Ocean Spokojny skacowanej piątej rano. Niebawem ból miał przepełnić te mury.

Kuba ciągle spał z otwartymi ustami, jak wielkie niemowlę w luku. Pogłaskałem go po białych włosach, po cichu zamówiłem taksówkę i wymknąłem się na korytarz, prosto w smród z otwartej wspólnej kuchni, bo przecież o piątej rano nie ma nic pilniejszego od smażenia wątróbki.

Nagle z pokoju obok wyszła ta dziewczyna, która siedziała przy dyżurce. W uchylonych drzwiach mignęła mi wymiętoszona twarz Studencika i jakiejś kobiety, może prokurator. Nie zauważyli mnie. Więc tu sobie zaanektowali salę do przesłuchań. Na korytarzu stali jacyś ludzie z takimi minami, jakby trzymali na smyczy wilczury, które wrywają się, bo złapały trop. Wokół nich kręciła się zaaferowana Beza i fotograf. Mogłem dogonić dziewczynę i o wszystko ją wypytać, bo zdaje się, że to ona znalazła ciało, ale pojechała windą, a że w windzie było narzygane, zrezygnowałem i zacząłem schodzić. Na półpiętrze leżał jak martwy student przebrany za lekarza, ze słuchawkami na szyi. Przekroczyłem przez niego i wyszedłem przed akademik prosto w zimę. W czasie, gdy znajdowałem się w zębodole, zdążyło napadać śniegu i zrobił się mróz. Cały świat spał, cały świat miał kaca. Ryba czekała jak wierna kasztanka przy bramie na teren akademików. Taksiarz wyspany, po kawce, pierwszy kurs dzienny, wesoło wypytuje, podobno zabójstwo, czy ktoś wyleciał oknem, czy jak? Ale brak odpowiedzi z mojej strony szybko go zgasił.

Dziewczyna policjanta nie może wyjawiać szczegółów śledztwa.

Nigdy nie znajduję niczego wartościowego na ulicy. Paula na przykład od niepamiętnych czasów znajduje różne piękne lub śmieszne, lub straszne rzeczy na śmietnikach.

– A tak, wiesz, przechodziłam tu u nas na osiedlu, i co? Ikonę ktoś wyrzucił świętą! No, żeby Matkę Boską na śmietnik wyrzucać, musiałam zabrać, teraz jej palę świece na przebłaganie, odkadzam złe moce... A wiesz, wracałam właśnie z lekcji, myślę sobie: a, przejdę się przez te śmietniki, i co? Ktoś się wyprowadzał albo jakaś staruszka umarła, bo cały śmietnik w cudzym mieszkaniu, leki (o, zobacz, nawet lorafen, lekko przeterminowany, ale co tam!), butelki po syropkach, obrazy, fotele, zastawa stołowa (zaraz ci podam herbatkę w tym cudownym, co znalazłam), aż mi musieli tu nasi chłopcy, Cimicki i reszta, pomóc wnosić... Zobacz, z kamionki takie figury, kotek, niedźwiadek, to już wraca do mody, nie nie, to piękne, TO OLDSKUL! A teraz popatrz na to! – wyciągała nagle wielki, oprawiony w solidne ramy portret Stalina. – Sama rama ile warta! Powiesiłam na próbę z tym zbirem w środku, ale oczywiście zaraz Matka Boska z ikony obok zaczęła płakać ludzkimi łzami, musiałam natychmiast zdjąć. Myślę, czyby w nią nie oprawić tego pięknego zdjęcia carewicza Aleksego, zobacz? Dobrze by wyglądało? Będzie teraz świętym, cerkiew ma go wyświęcić.

Często u Pauli z prawdziwą podejrzliwością patrzę na poduszkę, zanim oprę na niej umęczoną głowę, ponieważ szanse, że została znaleziona na śmietniku („prawdziwe pierze! To luksus w dzisiejszych czasach! Satynowa powłoczka!”), są ogromne. Paula nigdy jeszcze w życiu sama nic nie kupiła, przynajmniej w normalnym sklepie po pełnej cenie. Lumpeksy, przeceny, żerowanie na mnie, dokańczanie cudzych nieużytych kosmetyków itd. Ale właśnie dlatego mniej jest niewolnicą systemu, ma mało kasy, ale też mnóstwo czasu. I jest fajna, moja hipsterka mimo woli.

Tym bardziej więc byłem zdziwiony, gdy wracając nad ranem sponiewierany dentystycznie z Bliźniaka, na własnej wycieracze znalazłem piękny złoty pierścionek! No, może piękny to jak kto woli, ale naprawdę złoty i wypasiony. Najpierw dziadówka Mańka Badziewie odwieczna we mnie pomyślała, że całkiem ciężki i że by go się dało u Domina na placu Grunwaldzkim opylić na złom złota, przelać na złote zęby i sobie wprawić, zastawić w lombardzie i kasę przegrać w kasynie na Piłsudskiego. Potem stało się jasne, że to któraś z sąsiadek musiała zgubić, bo kto inny chodzi po naszym ostatnim piętrze? Trzeba będzie jutro popytać i oddać, choć dziadówka we mnie i Cyganka rwą się już co koń wyskoczy do lombardu, do jubilera, do Domina! Na razie okazało się, że mi pasuje na najmniejszy palec, a jak jeszcze trochę schudnę, to może i na przedostatni. Więc w nim pisałem, bo zawsze nakładam pierścionki do pisania, żeby palce były cięższe i bardziej zdecydowanie spadały na klawisze mojej starej toshiby.

Rzuciłem jeszcze strzałką w zawieszone na ścianie zdjęcie Jelinek wycięte z czwartej strony okładki *Pianistki*.

Dobranoc, suko.

Spałem słodko, kołysany odgłosami pociągów towarowych wiozących postwęgiel z Jelcza na Psie Pole.

sobota, 1 grudnia 2012

W sobotę wyrwał mnie brutalnie ze snu ostry i nieco zboczony dźwięk domofonu. Nic ostatnio w Internecie nie kupowałem, więc ani mi w głowie było odbierać, pewnie dzieciaki dzwonią do wszystkich, a potem uciekają. Ale ktoś dzwonił z wytrwałością kuriera DHL, a za chwilę odezwał się też dzwonek u drzwi. Zwlokłem się z łóżka i wyrzałem przez judasza. Studencik z jakąś babą. Czyli policja.

– Zaraz!

Przejrzałem się w lustrze w przedpokoju i stwierdziłem, że jak zwykle po obudzeniu wyglądam jak seryjny morderca i jednocześnie jego ofiara leżąca pięć miesięcy w wodzie. Ale nie dało się nic zrobić. Nałożyłem szlafrok i postanowiłem, że zachowam się jak na amerykańskim filmie – przychodzi policja, a ja w turbanie z ręcznika, na rozbebeszonym łóżku, nie proponuję ciasteczek ani kawy, nic. Jakby codziennie odwiedzały mnie gliny w tej tu spelunie.

Tak starego Studenciny jeszcze nie widziałem. Od naszego wczorajszego rozstania przy taksówkach na Wystawowej ani się nie przebierał, ani nie był w domu, więc też nie spał. Nie mył twarzy ani zębów, wskutek czego jechało od niego przetrawioną wodą. Od wczoraj runęła cała ironia, wszystkie żarty, świdrujące gwiazdki w oczach zgasły, ironiczne zmarszczki przeszły w statyczne starcze zmarchy, znikło całe fantasy, gnomy, nic nie jest zaczarowane, po prostu już jest tu na jawie, przyjechał na sygnale, żeby mnie zapuszkować, już jest rzeczywistości teczka zimna i nie wolno żartować, Krystyna Janda już budzi się w więzieniu i nie wie, gdzie jest, szuka torebki takiej czerwonej, a starucha informuje ją, że tu zabierają torebki.

Obok Studenciny stała niska, bardzo szczupła kobieta, która już wczoraj mignęła mi w otwartych drzwiach w akademiku. Potraktowała mnie zmęczonym uśmiechem i przedstawiła się jako prokurator Joanna Pospieszalska. (Czyli że to jest ta cała Aśka, co wczoraj do niego dzwoniła, jak był pod mostem). Mimo wstępnych założeń, że niby ich przyjmę jak kurwa w slumsie, od razu obudziła się we mnie moja mama, byłem moją mamą przyjmującą gości, a ona musiała natychmiast przeprosić za bałagan, powiedzieć, żeby w żadnym wypadku nie ściągali butów, posadzić, zaproponować kawę, herbatę, ciasteczka, obiad, zamieszkanie tu na stałe za darmo, z pełnym wiktem i opierunkiem.. Wszystko to robiłem, a gdzieś ponad dawałem Studencinie ukradkowe ironiczne znaki, że to tylko moja matka karmicielka przeze mnie mówi, ale nie wiem, czy był w nastroju do wychwytywania takich niuansów. Opadł ciężko na kanapę i zanurzył twarz w dłoniach.

Pani prokurator zaczęła czytać grzbiety książek, oglądać zagraniczne przekłady mojej prozy, które kartkowała i odkładała na półkę. Potem spojrzała na zdjęcie Jelinek naklejone na brystol, z narysowanymi cyrklem coraz większymi okręgami, na rzutkę tkwiącą w oku wielkiej pisarki.

Wymieniła ze Studencikiem porozumiewawcze spojrzenie pod tytułem: „dobrze trafiliśmy, to on jest tym psychopata, seryjnym mordercą, którego ścigamy”. Upewniła się, kiedy zobaczyła przyczepioną do ściany pinezkami kolekcję ogłoszeń o zaginionych chłopcach. Dobrze trafiliśmy, oto jego trofea.

Ale nie. Studencina od razu mnie uspokoił, że nie jestem o nic podejrzany, ponieważ wczoraj, w czasie gdy morderca podłożył ciało pod akademik Bliźniak, byłem z nim pod mostem Zwierzynieckim. W związku z tym mogą mi trochę powiedzieć, niewiele, ale trochę, bo potrzebują mojej konsultacji...

– Że tak powiem... literackiej... – zaplątał się.

– A to w dziedzinie? – udawałem głupiego.

– Nie udawaj, Michaś, przecież wiem, że zaraz tam wczoraj pojechałeś, specjalnie tak głośno powiedziałem adres, bo znając twoje wścib... znaczy, że to mogło ci się przydać do prozy, a... – znów się zaplątał, po czym bez pytania, bezczelnie zapalił.

– Dlaczego państwo nie częstują się ciasteczkami? Pełnoziarniste, słodzone fruktozą, z jagodami goji, eco, bio i organic – zachęciła moja mama we mnie i nalała kawy.

– Zostaw to na razie, Misiek – westchnął zmęczony Studencina, aż dym dosięgnął sufitu, i spojrzał na kawę tak, że od razu było widać, ile ich już przez tą noc wypił. Odłożył papierosa na przyniesioną przeze mnie popielniczkę. Włożył pomiętoszoną twarz w ręce, chwilę tak trzymał, jakby się skupiał, jakby zbierał resztki sił, potem przetaił, rozciągając skórę. Białka miał całe w czerwonych żyłkach. Prokurator zaś, świeża jak róża, posłusznie jadła ciasteczka i nawet z wielkim apetytem, zamiast kawy poprosiła o herbatę.

– Posłuchaj. Powiem ci trochę, ale jeżeli o tym komuś opowiesz, będziesz miał problemy, już ja się o to postaram. To nie jest do żadnej prozy, żadne tam anegdotki do przechwalania się w wywiadach, że ci Żmija pożyczył swojego tasera, o co potem miał w brygadzie antyterrorystycznej nieprzyjemności...

– No dobra, Jezu, wiadomo...

Mów już, mów!

– Chodzi o to morderstwo wczoraj pod akademikiem. Jak by to najkrócej ująć?

– Słyszałeś może o „Przedwojennym Mordercy”? – uratowała Studencinę prokurator.

– Nie.

– No właśnie. A wiesz czemu? Bo dotąd udało nam się utrzymać to w tajemnicy przed mediami. A zajmujemy się tą sprawą już od maja. Więc wiesz... Jak teraz coś się wyda, to będzie na ciebie. Nie wolno. I mówię to śmiertelnie poważnie.

Zauważyłem. Beza i tak wywęszy, a będzie na mnie.

– Zajmowałem się tym całe lato i całą jesień, może dlatego było mnie czasem trudno złapać. Teraz miałem więcej wolnego czasu, bo myślałem, że go złapaliśmy. Co ty, w damskich pierścionkach chodzisz? Nieważne. Wszystko zaczęło się w maju...

Przedwojenny Morderca

Długi weekend, 1–4 maja 2012. Miasto Spotkań dyszy od wielkiego ocieplenia, zdycha, kąpie się w Odrze, Morskim Oku, gliniankach albo w gęstym przedburzowym smogu. Nad Wrocławiem, po rozpalonym niebie, płyną białe samoloty, dokładnie oświetlone bezlitosnymi promieniami. Wiozą doszczętnie rozbrojonych z nożyczek, pilniczków, płynów i scyzoryczków, bezbronych, oślepionych słońcem postludzi.

Na dole zdechłe forsycje: wszystko, co powinno dopiero zakwitać, już zakurzone i zwiędłe, pokryte tłustymi spalinami. Pustka, brak korków, wolne miejsca do parkowania, wszyscy wyjechali na długi weekend. Tylko Rynek przeżywa kulminacyjne obłęzenie. Tłumy bębniarzy, dredziarzy, warkoczykarzy, tych, co stoją surrealistycznie ustrojeni i się nie ruszają, jak Facet Wieża, niemieccy turyści, szwedzcy turyści i wszyscy, którym nie chce się siedzieć w domu ani leżeć na Majorce, tylko koniecznie muszą zwiedzać niewielkie, na dobrą sprawę pozbawione atrakcji miasta, oferujące zakupy w tych samych sieciach, co u nich w domu. Przy dumie rady miejskiej – szklanej fontannie – angielski i niemiecki, oraz bliżej niezidentyfikowane bulgotania szwajcarsko–holenderskie mieszają się z bulgotem wody i zapachem trawki, papierosów, piwa, grillów, rozgrzanych budowli. Na lotnisku Strachowice, pospiesznie rozbudowanym na Euro, koczują młodzi ludzie brudni jak nieboskie stworzenia, brudem międzynarodowym, roznoszonym od kraju do kraju, zakurzeni kurzem globalnym, kurzem z Schengen. Wszędzie śmiecą papierowymi kubkami po kawie ze Starbucksa, Coffeeheaven, Green Coffee, McDonalda itd. Grają na gitarach i wystawiają te papierowe kubki, żeby im w nie wrzucać od razu euro, bo już nawet dobrze nie kojarzą, w jakim kraju się akurat znajdują. Z Amsterdamu do Rzymu, z Rzymu do Oslo, z Oslo do Zurychu, z Zurychu do Helsinek, z Helsinek do – nagle – Wrocławia. Samolotowy autostop. Samolotowe trampy w trampkach Conversa. Zakurzeni rozbierają się i wylegają w słońcu na każdym trawniku, w każdym parku i od razu wyciągają tytoń, zaczynają robić skręta, grzebać w smartfonie. Zapach rozgrzanej trawy, papierosów, kapsli i ozonu, jakieś odległe reminiscencje z dzieciństwa, z wypadu na basen w upalne popołudnie, matury, pierwszego wina.

Ten kurz pięć razy dziennie zmywają lub rozmazują tropikalne burze, które pomiędzy występami bez przerwy kokoszą się, pomrukując, gdzieś na horyzoncie nad Leśnicą. Bloki na Kozanowie stoją w sinych chmurach i opalizują na ich tle. Od tych burz robi się mokro tylko na chwilę, bo kałuże natychmiast wysychają i deszcz znowu znajduje się w chmurach nisko zwieszonych nad miastem, gotów spaść po raz kolejny. Mokre od ciepłego deszczu kasztanowce, miesiąc później zżerane tajemniczą chorobą, (na walkę z nią można oddać jeden procent podatku) wydają intensywny zapach.

Murzyni, Arabi i wszyscy inni synowie pustyni cieszą się, że Wrocław, dzięki wielkiemu ociepleniu, tak szybko dostosowuje się do ich rodzimego klimatu, i to bez żadnych dotacji, nawet bez oddawania na ten cel procenta podatku. Ci, którzy nie są aż tak ciepłolubni, przeglądają na Allegro oferty nieruchomości w Suwałkach.

W młódzież i gówniarzerię wstąpił przedwcześnie juwenaliowy diabeł, jakby wypili wszystkie napoje energetyzujące ze wszystkich nocnych sklepów naraz, jakby podłączyli się do Strefy Mocy. Na Wyspie Słodowej – festyny, koncerty, na Stadionie – to samo. Echo niesie wzmocnione głośnikami pokrzykiwania „pozytywnie nakręconych” prowadzących, didżejów i wszelkiego rodzaju cwaniaków z Warszawy. Wszystkie parki, szczególnie Południowy i Szczytnicki, są pełne nagrzanym piwem małolatów i studentów, wszystkie ławki pełne, wszystkie łodzie na przystani przy zoo – wypożyczone. Za dużo energii – i nagłe napady zmęczenia tą biologicznością. Pogoda psychiatryczna, wybujała, jak w dżungli. Czasami po burzy, kiedy zwiędły bez w parkach jest cały mokry, a powietrze w ciemności pachnie ozonem, wychodzi spod tego biologizmu jakaś wstrętna melancholia, chandra i nuda.

O piątej rano już nie daje się spać z powodu wszechobecnego wiercenia, walenia młotkiem w ściany, koszenia trawy, krzyków, pierwszych burz, jakby całe życie chciało się wyżyć przed zimą właśnie teraz. Już o szóstej z każdego balkonu dobiega Lato z Radiem, *Autobografia* Perfectu, cokolwiek, byle tylko nie dało się spać. Upał. Miasto Stu Mostów jest też miastem stu rzek i ze wszystkich wylęgają się hurtowo komary, we wszystkich przy brzegu jak plemniki szarpią się nerwowo kijanki, co sekundę zmieniając zdanie co do kierunku.

– Już o czwartej rano ubrani w obciste kostiumy biegacze uprawiają jogging w parku Szczytnickim i jeden z nich chce się wysikać, więc – tu, Misiek, coś dla ciebie – podbiega do przedwojennego szaletu, który ty nazwałeś w *Lubiewie* Spaloną Pikieta... Spalona Pikieta jest, jak wiesz, ogrodzona i w rozbiórce, a nawet ogrodzenie już było rozwalone i nikt się tymi ruinami nie interesował. Biegacz przechodzi przez nie i natychmiast się cofa, rażony strasznym smrodem i zaatakowany przez roje much i komarów. Ale już zobaczył coś, co mu się będzie śnić do końca życia. Rozkładające się ciało jest ucharakteryzowane na przedwojennego młódzieńca, jakby nastąpiło przesunięcie rzeczywistości. Nie zidentyfikowaliśmy go do dziś. Miał wyjedzoną przez ptaki część twarzy, ale ta resztką, dolna część, też była jakby przedwojenna, z zakręconymi na brylantynę wąsikami, w meloniku i tak dalej, w kieszeni przedwojenna gazeta i przedwojenne marki. Nie miał dowodu, ale jakby miał, to, znając tego psychopata, byłby to najprawdziwszy przedwojenny dowód osobisty, niemiecki, jakaś tam ich kenkarta.

– To wszystko jest jakieś takie... jak mawiał jeden mój profesor, przefajnowane. Za dużo. To już nawet nie dwa grzyby w barszcz, to cały las, kto to zje? Artystycznie zjechane zabójstwo. – Wtrąciłem.

– Masz rację, za dużo tych atrakcji. O coś mu chodzi. Jakby tego było mało, trup był maksymalnie rozłożony, po prostu pływał w tym, co cię tak interesuje, czyli jadzie trupim.

– I też w jadzie kiełbasianym! – wykrzyknąłem.

– Co? A to skąd? – zdziwili się. Chyba coś pokręciłem.

– No, jak to? Jak jest mięso, kiełbasa nieświeża, to się w nim wytwarza jad kiełbasiany? –

powiedziałem, już nie tak pewny swego.

Spojrzeni po sobie i zaczęli się śmiać:

– To ty myślisz, Michaś, że jad kielbasiany to się bierze z kielbasy?

– No... Jezu, a nie? No, w kielbasie nieświeżej, czy w ogóle w zepsutym mięsie się załęga... –

powiedziałem, ale już bez żadnego przekonania. Chyba w kielbasie tak, ale w mięsie nie?

– Ha ha ha, to kwas foliowy pewnie bierze się z folii...

– No, kto wie... – nic już nie wiedziałem. – Bo mrówkowy to na pewno z mrówek, ale foliowy...

– Chodź tu, Misiek. – Studencina szepnął mi do ucha. – Jad kielbasiany to jest botoks. Tu go masz

– dotknął mojego czoła. – Więc cały pływał w jądzie trupim lub jądzie kielbasianym, jak wolisz, he he.

Spalona Pikieta ma tę cechę charakterystyczną, że choć od wojny nigdy właściwie nie była używana, do dziś śmierdzi jakby przedwojenną szczyną i lizolem. Te zapachy musiały stanowić niepokojącą nutę głowy tych perfum strasznych.

– Tak więc facet z lubością i do ostatniego szczegółu robi ci plan filmowy, że oto, no... się przesunęła ta rzeczywistość...

– Robi ci schizo po prostu – poparła go prokurator, wyglądając przez okno i podziwiając widok na nieużytki i tory kolejowe.

– No, robi ci maksymalne schizo centralnie w mózg.

– Wiecie, co mi przychodzi do głowy? On tym teatrykiem odwraca waszą uwagę. Wychodzi z siebie, żeby podkreślić, że nie warto pytać, kim są te ofiary, bo i tak to tylko statyści w jego teatryku. A tymczasem może to ani o pedalstwo nie idzie, ani o przebieranki, ani o przedwojenność, tylko o to, kim są ofiary? Może ofiary by nas do niego doprowadziły?

Miałem nadzieję, że nie widać po mnie, jak strasznie podoba mi się ten morderca, jak go lubię, jak cudownie nadajemy na tych samych falach, Robertowi z Międzyzdrojów też by się podobał.

– Nie, nie, nie, on jest nostalgikiem – broniła mordercy prokurator. – On w domu się tym rozkoszuje, ogląda zdjęcia... On im robi zdjęcia, on im szyje ubranka, on sam z całego serca nie chce mieszkać w tym dzisiejszym świecie, ale że nie może się przenieść, to jakby ich transportuje w przeszłość zamiast siebie, on uważa się za ich dobroczyńcę! On się rozkoszuje, on czyta Krajewskiego, on chodzi po antykwariatach i kupuje stare mapy!

No to widzę, że nie tylko ja jestem zakochany w tym mordercy.

– Tam go nie zabił, żeby tak przygotować zwłoki, musiał je mieć jakiś czas w bezpiecznym miejscu, podkręcić mu te wąsy i ułożyć włosy na brylantynę, przymierzać ubrania. Przyczyny śmierci nie dało się ustalić. Prawdopodobnie scenariusz był taki: gdzieś w knajpie wrzuca do piwa upatrzonemu facetowi tabletkę rohypnolu, potem, kiedy ten robi się potulny, pakuje go do samochodu, zawozi do swojego domu lub innego bezpiecznego miejsca, krępuje, puszcza Zarę Leander, puszcza Marlenę Dietrich, puszcza Ordonkę i Faliszewskiego, robi sobie jakiegoś staroświeckiego drinka, zaciera ręce... Koleś po jakimś czasie się budzi. Tu ma nasz morderca trochę zabawy, męczy go, drażni, torturuje, aż w końcu dobija i zaczyna charakteryzować. Bardzo długo i starannie. Potem zawozi go w upatrzone wcześniej miejsce związane z przedwojennym pedalstwem.

– Torturuje? Skrępować-Torturować-Zabić^[5]?

– Nie będziemy wchodzić w szczegóły, ale sekcja wykazała znęcanie się.

– A rohypnol we krwi wykazała?

– A rohypnol dlatego jest tak lubiany przez przestępców, że ma bardzo krótki okres trwania we krwi, po prostu szybko się wysikuje.

– Jak dobija?

Spojrzeni po sobie i westchnęli. W końcu prokurator przyzwalająco spojrzała: już mu powiedz.

– Zabija tak, że nie da się udowodnić, że zabił. Brak przyczyny śmierci. Słynna niewydolność krążeniowo-oddechowa. Czyli po prostu zatrzymanie akcji serca.

– No nie, Bartek, no tak mu nie ściemniaj, bez przesady... Na obdukcji to nie widać, ale z raportu patomorfologa, z badań próbek pod mikroskopem wszystko wychodzi. Możemy mu powiedzieć, wstrzykiwał im po prostu powietrze. Widzisz, ty się tym fascynujesz, w kryminałach śledczym zależy, nam też, ale tak ogólnie we Wrocławiu, w ogóle w Polsce raczej wszyscy usiłują zawsze przeciągnąć zgon w stronę śmierci naturalnej. Morderca o tym wie i im to ułatwia. To nie jest tak, że policjanci nie mogą spać, bo wciąż się zastanawiają, czy to aby nie było zabójstwo.

– Czemu?

– No, po pierwsze: statystyka, nikt nie chce mieć niewykrytych morderstw w swojej dzielnicy i z tego powodu wiele ewidentnych morderstw już na samym początku jest klasyfikowanych jako śmierć naturalna. Po drugie: im się po prostu, kurwa mać, nie chce wykrywać sprawcy! To kwestia podejścia. Przecież pomyśl, jest trup, wołają ekipę, Wifkę itd., no ale myślisz, że tam jest specjalista patomorfolog albo tanatolog? W ogóle nie ma lekarza. Policjanci i prokurator muszą oceniać czas zgonu, to w ogóle urąga wszystkiemu, bo oni nawet nie potrafią zmierzyć zwłokom temperatury, no to o czym my mówimy. Niby jest ustawa, niby jest Kapek^[6]...

Prokurator mogła tak jeszcze długo. Miałem nadzieję, że jeśli zostanę zabity, to przynajmniej na pocieszenie przyślą do mnie właśnie ją z wielkim termometrem.

– Zwłoki wyglądały naprawdę niesamowicie, bo raz, że jak z czarno-białego filmu czy z teatru, dwa: ustawił go wypiętego, z opuszczonymi spodniami i galotami jakimiś starymi, ale stężenie pośmiertne puściło i wywalił się na brzuch, trzy: rozkładał się, był upał! Nawet w nocy temperatura nie spadała poniżej dwudziestu stopni. Wiesz, że jak majowe upały we Wrocławiu się uprą, to dają mocniej niż w lecie.

– Nawet w tej temperaturze aż tak się nie rozkłada, no, nocami tak, nocami się rozkładał, bo jak jest dwadzieścia stopni, to się rozkładasz, a jak jest czterdzieści, to już jest na rozkład za gorąco i się mumifikujesz.

Muszę to zobaczyć! Tak wejść się odlać i natknąć się na coś takiego...

– Może podarujemy sobie... – prokurator chciała mnie ochronić przed opisami.

– On to uwielbia, mówił, że ogląda na YouTube sekcje zwłok, egzorcyzmy, filmy naukowe o rozkładzie ciała, on się tym pasjonuje. Wiesz, sadistic.pl, kategoria 2hard, tylko po zalogowaniu.

Znowu wymienili między sobą wielce znaczące, porozumiewawcze spojrzenia.

– Tak! Pokażecie mi zdjęcia?

– Zobaczymy, zobaczymy...

– Ale opowiadaj dalej. Na jednym się nie skończyło. Jaki interwał?

– Na razie o żadnym interwale nie było mowy, nikt nie wiedział, że te zabójstwa coś łączy, bo dzielnice nie wymieniają się między sobą wiadomościami, więc jak znaleźli tego drugiego w parku Południowym, to jechali ze śledztwem jednorazowym, a ci ze swoim, i dopiero jak już w każdej niemal dzielnicy pojawił się trup, to my, Komenda Miejska...

– Im jak zwykle wszystko, co ciekawe, pozabieraliście – dokończyła za Studenta radośnie prokurator.

– A ty myślisz, że oni tak się do tego palą, żeby mieć enena w dzielnicy, żeby im psuł statystyki wykrywalności? I tu już w maju? Muszą sobie na koniec roku coś zostawić!

– Nie, to było tak, że ja od początku wiedziałam, że to sprawia facetowi zbyt dużą frajdę, żeby on miał tego nie powtórzyć. Zbyt się lubował w tych wszystkich szczegółach. On musiał tym żyć. To była jego fikcja, w którą uciekał od rzeczywistości, która mogła być szara i nudna. I współczesna. W ten sposób wyładowywał swoją nostalgię. To zapowiadało serię. Im więcej nowych galerii sklepów i oszklonych biurów powstanie, tym dłuższą.

Czyli jest trochę artystą. Nie zgadza się, nie podoba mu się rzeczywistość, więc robi happening artystyczny, ucieka w sztukę, dla sztuki zabija.

– Facet postanowił robić stop-klatki z przedwojennych filmów, fotografie przypieczętowane śmiercią. To, że on robi zdjęcia tym ułożonym zwłokom, to było dla mnie jasne. Może jakimś maksymalnie starym aparatem z czarną płachtą. Więc wystosowałam takie pismo, a raczej poprosiłam moją szefową w prokuraturze, żeby wystosowała pismo do innych szefów jednostek organizacyjnych prokuratury, czy były podobne przypadki, żeby nam przesłali akta z artykułu tego i tego, z cechami podobnymi, do wglądu, celem rozpatrzenia spraw do wspólnego prowadzenia. Uff. No, taki język mamy, sorry. I zaczęły napływać sprawy. A szefowa na dźwięk słowa „seryjny” tylko się skrzywiła: „Chyba masz za mało pracy”. – Wzrok prokurator błędził po przypiętych do ściany także i w „salonie” ogłoszeniach o zaginięciach chłopców. Zatrzymała go na jednym sympatycznym osiemnastolatku, takim Dawidku, którego losy szczególnie zaciekle śledziłem na stronie Itaki i miałem wielką nadzieję, że przebywa w Irlandii na zmywaku, zbiera truskawki, w przejściu podziemnym gra na gitarze piosenki Starego Dobrego Małżeństwa.

– A tu sobie dopisz. Znaleziony w Lasku Osobowickim. Nagi. Nieżywy. Obok w krzakach leżał stary melonik.

Czyli on zabił „mojego” Dawidka!

– Zaczęły napływać sprawy. Najpierw z dzielnicy Krzyki, z parku Południowego. Powieszony w altanie, takiej okrągłej, murowanej, z jońskimi kolumnami dookoła, jak to się mówiło, „świątynia dumania”. Pokazywałem ci ją zresztą. Twoim zadaniem będzie sprawdzić, czy to miejsce miało przed wojną coś wspólnego z pedalstwem...

Aha, to on mi tą altanę pokazywał wtedy w nocy na spacerze, jakby chciał wy badać, czy to aby ja nie jestem tym mordercą, poznać moją reakcję.

– Miało! Miało! Oczywiście, że tak! Panowie w szapoklakach, panowie w melonikach, z laseczkami, eleganckie szalety z czerwonej cegły, zapach tytoniu na mrozie, krakanie wron, odległy odgłos dorożki na kocich łbach, miało! Czuję, że miało!

– W dachu altany był hak, stary, nie przez niego tam zamontowany. Cała reszta – czysty teatrzyk. I znowu piąta rano, kobieta idzie z psem na spacer, bo jest chora na serce i potem już dla niej jest za duży upał na wychodzenie. No, sercu to się tym spacerem nie przysłużyła. Młody chłopak powieszony, ubrany jak syn stróża, spodnie i majtki opuszczone. Tym razem musiał go tej samej nocy powiesić.

– Znowu za dużo, znowu przebijane, młody chłopak powieszony w altanie to już jest czad, a jeszcze przebierać, dobrze, od biedy, ale już te opuszczone spodnie i majtki? Z jakiej racji? To tak, jakby nałożyć i kolczyki, i klipsy, i naszyjnik, i bransolety, i pierścionki. To Violetta Villas! Za dużo!

– No, masz rację. Po tygodniu Śródmieście donosi: Wzgórze Partyzantów. Potem na placu Polskim w ruinach. Aż w końcu młody chłopiec, chyba z szesnaście lat, w pikiecie Podwójnej, jak się idzie do mostu Uniwersyteckiego. Ej, co jest?

– Nic, nic.

Prokurator i Studencik spojrzeli po sobie i wymienili jakieś znaki.

– Młody chłopak w mundurku szkolnym jak z *Umarłej klasy* Kantora, uczesany z przedziałkiem na środku, z książkami niemieckimi, pożółkłymi, w rzemieniach...

– W rzemieniach? Że niby nie stać go na tornister? – mówiłem, żeby coś powiedzieć, ale byłem pewien, że to ten sam chłopiec, który wchodził ze Studentem do pikietki Podwójnej, co go śledziłem w ów mroczny wieczór.

– A potem się posypało. Cały wykaz obejmuje dwadzieścia pięć osób. O, z tych twoich na ścianie też taki jeden... Niektórych mogliśmy jeszcze nie znaleźć.

– Ciekawe, skąd on miał te wszystkie stare gadzety. Staraliśmy się dotrzeć od tej strony, ale we Wrocławiu wciąż pełno piwnic z takimi rzeczami, pod Młynem Sułkowice można w niedzielę rano kupić wszystko.

– Czyli co? Zabijał zastrzykiem, brał do domu, tam charakteryzował i potem robił teatralne odsłonięcie?

– Najpierw pigułka gwałtu. Jak najbardziej współczesna. Czyli wrzucił mu ją do alkoholu, bo żeby chłopiec po tej pigułce grzecznie robił wszystko, co on chciał, to ten rohypnol musi się mieszać z alkoholem. Co znaczy, że poznawał ich albo w klubach, albo w jakichś barach, albo zapraszał na piwo, albo kupowali piwo czy wódkę i szli to pić na ławkę, a kiedy chłopiec odchodził parę metrów się odlać, wtedy mu wrzucał. Chłopiec stawał się grzeczny i potulny jak baranek. Szli do mordercy. Tam chłopaka gwałcił albo i nie, w każdym razie ciało było całe wymyte rozpuszczalnikiem. Penetracji raczej nie było, ale wszystko inne dosyć łatwo ukryć. Dodawał mu jeszcze, gdy środek przestawał działać, i przez jakiś czas mógł go trzymać żywego.

Miał „chłopaka do spania”. Jak Dennis Nilssen, który kładł zwłoki na kanapie przed telewizorem i puszczał im film, mówiąc: niebawem wrócę, pooglądaj sobie, i tak z nimi mieszkał i gadał miesiącami, karmił je, jak dzieci karmią misia.

– Ciała były porozcinane (za życia), na brzuchu, na udach ślady stearyny, jakby ich polewał z zapalonych świec, wewnątrz, w jamie brzusznej znaleziono kilka włosów, jakby wkładał im głowę do środka. Wyobrażasz sobie? Chłopak żyje, a on mu rozcina brzuch i wkłada do środka głowę, to wszystko jeszcze pulsuje i on normalnie czuje, jak ciało umiera!

– To macie jego DNA?

– Mamy. Włosy siwawe.

– Ale przecież mówiliście, że on zabija zastrzykiem z powietrzem, żeby leniwi policjanci nie wszczęli sprawy o zabójstwo, a teraz mówicie, że zwłoki miały porozcinane brzuchy?

– Właśnie, niektórzy są nietknięci, jakby spali, a inni cali porozcinani. I bądź tu mądry.

– Szukajcie człowieka, który ma nudny, monotony zawód, źle płatny, robi na poczcie w podwrocławskiej wiosce, sortuje paczki, mieszka w kawalerce w bloku, jest brzydki, po czterdziestce, nikt go nie kocha i nie dostaje rachunków za komórkę, bo nie ma telefonu, nawet rachunki nie piszą do niego listów. Szukajcie człowieka, którego uwiera rzeczywistość.

– Łał! Jaki profiler! – ucieszyła się prokurator. – To samo mówię. Szukamy nudziarza o wyglądzie podstarzałego magazyniera.

– No i jak się już nim nabawił, a na pewno się jakoś tam bawił, to robił dziurę w brzuchu i charakteryzował. Wiesz, ten garniturek gimnazjalny wygląda jak szyty na miarę. Wyobrażasz sobie? Chłopak leży na pół przytomny, a ten mu pobiera miarę? Potem: szalec zwany u ciebie w Lubiewie Sądówką... Dworzec Świebodzki...

Dworzec Świebodzki! No tak, a gdzie by indziej. To miejsce, jeśli idzie o kurewstwo, ma chyba najdłuższą tradycję. Ile tam się musiało dziać! Lata dziesiąte, lata dwudzieste, trzydzieste, czterdzieste, pięćdziesiąte, sześćdziesiąte, siedemdziesiąte, osiemdziesiąte! Może nawet już w średniowieczu tu się gromadziły wszystkie lewe przybytki, lombardy, kantory, tanie kredyty, chwilówki... Trzysta sześćdziesiąt pięć pachnących wódką i końskim łajnem wieczorów rocznie! Trzysta sześćdziesiąt pięć mroźnych lub upalnych kaców nad ranem. Parszywe jesienne noce za komuny, wstrętne dziwki, grube, w beretach, padający na to deszcz ze śniegiem, końskie gówno. Nawet ja na samym początku lat dziewięćdziesiątych dodałem swoją szczyptę kurewstwa do historii tego miejsca. Od kiedy pamiętam, Dworzec Świebodzki nie działał. Dworcowe pomieszczenia były podnajmowane na najpodrzedniejsze lokale: lombardy, burdele, tańce na rurze, gej- i lesbary działające góra pół roku, w miejsce których natychmiast powstawały nowe, by zaraz upaść. Kraina Mańki Badziewie. To tam można było zastawić wiertarkę o piątej rano. Tam można było kupić od pijaków wyniesione z domu talerze (Paula: „I widzisz, jaka okazja! Rosenthal!”). Burdel z lewej, burdel z prawej i nagle w tym wszystkim – Scena na Świebodzkim. Ale że w teatrze też zawsze było coś podejrzanego i dwuznacznego, więc tu pasowała.

– Już grzebaliśmy i u pedałów, i u handlarzy starzyzną, ale wiesz, ile warte jest takie grzebanie, wszystkich i tak nie prześwietlisz. Zna się, skurwysyn, na tym zabijaniu, oj, zna, czysta robota, zator od wstrzykniętego powietrza, więc i lekarze wchodzą w grę, ale lekarzy tak łatwo się nie prześwietla, od razu taki ma prawników i za dobrze zna swoje prawa. Z drugiej strony: historycy, mieliśmy naszego agenta na wydziale historii, udającego pedała, nic. Kto pytał w czytelnicy o stare albumy, kto wypożyczał przedwojenne gazety! Wiesz, ilu wariatów lata po pikietach.

No, ja myślę... Ten z piłką na Szczytnikach! Dziadek uznaje, że ta część parku Szczytnickiego to jest jego teren. Przychodzi odrana z piłką w ręku i zbiera papierki, odpiłowuje małe gałązki z choinek, zabiera do worka, układa z nich gwiazdy i rozgwiazdy i Boże broń mu to zburzyć!

Wścieka się, goni z piłą.

Wyłączyłem się na chwilę.

– ...no i teraz musimy go wypuścić, bo to ewidentnie nie ten weterynarz... Musimy wszystko zaczynać od początku. To wczorajsze morderstwo... Ani chłopak, ani w pedalskim miejscu, na dodatek dosyć szybko ją zidentyfikowaliśmy, studentka medycyny, z dobrego, bogatego domu, poszukiwana od dziesięciu dni, ale ucharakteryzowana tak samo i wyczyszczona rozpuszczalnikiem. On ją mógł znać. On tego zabójstwa nie zamierzał. Ale skoro już zabił, to ucharakteryzował ją tak samo. Błąd. Tak toby za niego odpowiadał weterynarz. To znaczy tylko tyle, i to jest dla nas dobre, że jego namiętność do tworzenia fikcji zaczyna górować nad poczuciem własnego bezpieczeństwa i że on zaczyna chcieć, żebyśmy go złapali. Czuje, że ktoś zabiera mu laury. Podświadomie zawsze uważał, że kiedyś wszyscy się dowiedzą, że to on był taki mądry i tak wodził policję za nos. A tu ma wszystko zgarnąć jakiś weterynarz? Więc po jego zatrzymaniu dalej zabija. Ale tym razem kogoś nie do końca przypadkowego. Trzeba szukać w przeszłości ofiary. Tej studentki.

– A jakieś ślady?

– Żadnych śladów, brak narzędzia zbrodni, brak torebki z dowodem osobistym, żadnej komórki, kluczy, nic. Nie rozciął jej, jak tych chłopców, nie wkładał do niej głowy. No i ta stylizacja... Brak farby na włosach, lakieru na paznokciach, makijażu, zegarka, biżuterii, warkocz ułożony w koronę, ta jakaś lniana halka... Bosa! Trochę pulchna. Pod halką miała staroświeckie koronkowe majty. W promieniu dziesięciu metrów od epicentrum brak nawet najmniejszego śmiecia, plastikowego kubeczka, niedopałka, wyczyścił całe miejsce. Ciekawe, kiedy, jak tam w każdej chwili mógł ktoś iść na imprezę do akademika. A z drugiej strony, kobieta, poza tym poszukiwana, więc od razu ją rozpoznaliśmy. Co gorsza, córka znanego polityka. Ale to on. Jego liczne podpisy, wyczyszczenie ciała rozpuszczalnikiem, wszystko się zgadza.

– No masz, tu czyści wszystko w promieniu kilometra, a poprzednio wkładał łeb do brzucha chłopca i zostawiał w nim swoje włosy! Jakby przy chłopcach się nie mógł pohamować...

– To jest córka tego... Stanisława Kamieńskiego?

– Kim on jest?

– Jakąś wielką szyczą. Od razu myśleli, że porwanie dla okupu.

– No i gdzie ja w tym wszystkim? – zapytałem skromnie.

– Misiek, ty będziesz naszym tajnym agentem. Ty będziesz naszym pracownikiem operacyjnym 007. Idź w środowisko pedalskie, to z *Lubiewa*, i wiesz, miej oko na wszystko, co się tam dzieje. Kto się interesuje zastrzykami (poza tobą, oczywiście), kto się interesuje klimatami retro (poza tobą), antykami, strojami starymi, kto lubi młodych chłopców (poza tobą), kto się fascynuje trupami (poza tobą). Podobny do podobnego ciągnie, swój do swego po swoje.

– A dostanę paralizator?

Studencik tylko westchnął.

– Jezus no, ale ja bym musiał wsiąknąć znowu trochę w środowisko... Ja już całe lata nie byłem na pikiecie, Paula może pomóc.

– To wrócisz. Wróćcie razem. Będzie wielki come back Michaśki na pikietę.

No nie wiem, czy to jest miejsce dla damy... Ale zaraz aż mi zamusowało, aż mi gorąca krew podeszła do głowy z podniecenia. Że niby nagle tak mają wrócić lata dziewięćdziesiąte i ja, pijana, paląca, złachana, nad ranem, z zarobkiewiczem wracam Purkyniego, jak w Nocach Cabirii...

– One mnie rozpoznają! A Kangurzyca mówiła, że jak mnie pozna, to mi nogi z pizdy powyrywa, bo powiedziałem, że ona „we więzieniu siedziała”, a nie siedziała. Dobrze jeszcze, że Kangurzyca ślepa, okulary ma jak denka od słoików, a przecież ci nie pójdzie w takich na pikietę, więc nigdy mnie nie pozna. Nieraz już miały cioty ubaw, jak Kangurzyca z powodu braku okularów starą ciotę za luja brała, stara przed nią uciekała gdzie pieprz rośnie, ta za nią jak w szale, a inne po krzakach sikały w majtki ze śmiechu. I Łazienna z Maciczną też mnie zabijają, bo fakty zostały poprzecinane, bo Maciczna trzy bramy dalej mieszkała od miejsca, które opisałem, i do dziś się o to kłóć. Patrycja też mówiła: „Już ja się tej kurwie dobrze, oj, dobrze przyjrzałam... Ona nieraz taka gruba w telewizji siedziała i ja już ją poznam. Niech no ją tylko piczka zaswędzi, niech ją tylko do parku wygna wieczorową porą...”.

Prokurator od razu weszła w swoją rolę:

– No, to są groźby karalne i możesz to zgłosić.

– Już one tam wiedzą, co to znaczy groźby karalne, trzeba uważać, żeby kamieniem nie zarobić.

– Nie, nie... Plan jest taki, żeby cię nie rozpoznał. Incognito. Idziesz w noc, na szczęście zaraz zima, masz czapkę, kaptur, a jakby co, to jesteś łysy, brodę sobie zapuść, no co, ja mam cię uczyć, taką aktorkę?

– Już kiedyś chodziłam łysa po pikiecie, co mnie Shineth o’Connor nazywały! No, jakbyś mi tak dał jakiś paralizator, bo Żmija po *Drwalu* to już mi tego tasera zabrał... Ja się będę bała tak sama nocą chodzić... To już nie ta Michaśka, co to po pijaku serce jak u orła, niczego się nie bała, tylko szalała do rana, w spodniach orzeł rozwija skrzydła! Teraz to ja jestem nobliwa starsza pani, taka bardziej wiesz... Alkoholu nie, palić nie, jeść nie, na odwyku od wszystkiego, co się kiedyś nazywało życiem. Choć za życie w sumie uważało się bardzo ograniczony zestaw: chłanie, ćpanie, ruchanie, rozbijanie się ful wypas samochodami, żarcie i latanie na Kubę.

– Nie tylko dostaniesz paralizator, ale też dostaniesz ochronę, będziesz miała cień, zadowolona, mała?

Prokurator zaczęła się śmiać.

Tak. Tak. Zadowolona.

– A pokażesz mi trupa?

– O Jezu, Michaśka, chodź, ja cię zaraz zabiorę do Zetemesu i pokażę. – Prokurator wstała.

Wstał Studencina.

– Teraz nie, teraz nie, tylko nie teraz, ja się muszę przygotować psychicznie!

– Teraz to tam już nikogo nie ma. W poniedziałek o szóstej rano zaczyna się obdukcja tej dziewczyny.

– Dobrze! Ale to straszne jest, nie?

– No, bo ja wiem... Pewnie przykro, że nie żyje, ale ja to tam, jak widzę tyle tego mięsa, to przede wszystkim robię się strasznie głodna. A najgorzej, jak takie z pożaru, zwęglone. To takie kulinarne

zapachy, jak pieczeń. My tu zaczynamy o szóstej rano, śniadanie to może jakiś kefir i kawa, a kończymy nieraz o drugiej po południu, to już każdy umiera z głodu. Kiedyś przed Zetemesem stała budka z hot dogami i była cukiernia „Pod Trumienką”, bo tam wszędzie zakłady pogrzebowe, tak że można było sobie w przerwie wyskoczyć, ale oczywiście już komuś przeszkadzało, teraz tam zakład pogrzebowy jest...

Osobliwe połączenie gastronomii z tanatologią życia codziennego... Ale cukiernię „Pod Trumienką” pamiętam, tyle że szybko zbankrutowała, co nie dziwota, z taką nazwą, i ją przejęli znajomi mamy Marysi, ale już pijar był zniszczony...

Matko Boska, już jutro! Przecież na YouTube to ta obdukcja wygląda tak, że aż wciska w krzesło i trzeba się trzymać na zakrętach!

– No to ją zobaczysz. Tą dziewczynę z wczoraj. Ale do prozy to trzeba było być na starym zakładzie. Tam przy kaplicy szpitalnej. Co były odpływy przy stołach i szczury z kanałów przychodziły, wystawiały pyszczki, żeby im co dać, jaki ochłap. Notuj, notuj. A te wszystkie bebechy też wrzucali w odpływy i prosto do Odry. A handel krw...

– Cicho, ty go nie znasz, on to wszystko potem do książek wstawia!

– Jezu, to ja zacznę wsiąkać w to towarzystwo jako... Mirek. Mirek. Tajny agent Mirek.

– Mirek? To jak ze wsi... Tadeusz. Kryptonim „Tadeusz”.

– Tadeusz! Tak jakby przedwojennie. Tadeusz Faliszewski!

– Poza tym chcę, żebyś wiedział, że we wrocławskim środowisku już działa jeden nasz agent, nazwijmy go Rafał. On nie jest homo, ale wygląda i bardzo łatwo umie nawiązywać kontakty. On siedział jako agent operacyjny jeszcze za czasów, gdy istniała obyczajówka, jeszcze w Małej Ciotce na Świdnickiej, jeszcze w kawiarni Monopolu, u cinkciarzy! I nigdy nikt nie nabrał podejrzeń, że to nie jest homo. Ma opinię bardzo starej i szanowanej piosenkarki.

To może być Rafalica albo Bronka Ubeczka... Jezu! To już Rafalica albo Bronka Ubeczka miałyby nie być homo? Świat się kończy! Jezu, to już całkiem wracają dawne czasy! Paula się ucieszy! Spełni się marzenie Radwanickiej. Żeby pedalstwo znów było inwigilowane, ważne, żeby było zakazane, żeby byli agenci, obyczajówka, bo od połowy lat dziewięćdziesiątych to już wszystko wszystkim wisi i powiewa, człowiek nawet nie ma wyrzutów sumienia, że zgrzeszył, gorzej już się czuje, jak zje coś tuczącego, niż jak na wietrze, pod mostem obciąża.

– On się do ciebie zgłosi, ten nasz agent. Poznasz go. Albo i nie. On w każdym razie ciebie pozna. Może zresztą się znacie od lat. Tylko wiesz, Misiek, cieszę się, że ci się podoba ten pomysł, ale zdajesz sobie sprawę, że możesz na niego trafić i cię potem znajdą ucharakteryzowanego w kiblu na dworcu albo w fosie? Musisz zapamiętać zasady bezpieczeństwa. Założenie jest takie, że po Wrocławiu, a szczególnie po pikietach, grasuje koleś, który jest psychopata, nie muszę ci wyjaśniać, co to oznacza. – Spojrzał znacząco w kierunku Jelinek ze strzałkami i kolekcji ogłoszeń o zaginionych chłopcach. – Tak jak te twoje ukochane Dahmery, Fritzle, Piczuszki^[7]... Poluje na małolátów, którzy uciekli z domów i pracują pod Panoramą jako prostytutki męskie. Nie wiemy na pewno, ale zakładamy. Są z innych miast, z innych województw, z niskich klas społecznych, narkomani. Dlatego np. matka pijaczka nie zgłasza zaginięcia. Albo są facetami, którzy stracili pamięć. Ogólnie zasada jest taka, że im grubsza ryba, tym większy hałas po jej zabójstwie...

Niestety, w takim systemie żyjemy, że policja ochrania nietykalność cielesną i majątek bogatych, a co do reszty, to już jak starczy czasu. Jakby zaginęła Paris Hilton i jednocześnie mały Murzynek ze slumsów, to ciekawe, które dochodzenie byłoby dokładniejsze?

– ...Więc on wybiera „ludzi-śmieci”. Mówię to w wielkim cudzysłowie, ale niestety tak jest. To musieli być naprawdę chłopcy albo z patologicznych środowisk, albo kompletnie sami, albo tacy, którzy się zbuntowali przeciw swojemu środowisku, albo nielegalni emigranci. Przecież wiesz, że Piczuskin zabił czterdzieści ileś osób, bo chciał przebić Czikatilę^[8], i dopiero na końcu zaczęto się orientować, że kogoś brakuje, a trzydziestu kilku wcześniejszych zgonów nikt nie zauważył, takie to były żule. To cię chroni, lepiej, żeby cię rozpoznał, takiej gwiazdki kabaretu i musicalu jak ty nie ruszy. Ale z drugiej strony dobrze, żeby cię nie rozpoznał, bo trochę cię wypuszczamy też na wabia.

No, dzięki.

– Poza tym, on to wszystko robi jakby pod ciebie (miejsca z *Lubiewa*, pedalstwo, retro, twoje klimaty), on pogrywa z twoją prozą! Więc nie możesz z kimś pójść do mieszkania, bo tam cień za tobą nie wejdzie. Nie możesz nic pić, nawet swojego, żeby ci nic nie dołał. Wystarczy się na chwilę odwrócić. Nie mamy jego profilu, nie mamy odcisków palców, nic. Tylko te włosy, może nie jego? Może specjalnie cudze powkładał? Nie bój się, my też tam będziemy parkować w samochodzie i siedzieć ze zgaszonymi światłami.

– Dlaczego niby uważacie, że on chodzi po pikietach i jest pedałem? Równie dobrze może nienawidzić pedałów. I tak się na nich mścić. No i skąd wiecie, że to pedały są ofiarami? Po odbycie to się ich rozpoznawało w dziewiętnastym wieku, teraz okazuje się, że mają taki sam...

– Słusznie! – prokurator spojrzała na mnie z uznaniem.

– No właśnie, zawsze wszystko na pedałów! A może to skin czy inny jakiś neofaszysta, kibol... Ale faktycznie... Który kibol by miał taką ciotowatą wrażliwość na retro... No i gdyby nawiązywał do przedwojennego Wrocławia, to nie podarowałby sobie czegoś związanego z faszyzmem, jakiejś swastyki, czegokolwiek.

– Misiek, mamy sto tysięcy teorii i zespół kilku tylko ludzi, ty po prostu musisz sprawdzić jedną. Gdybyśmy rozpoznali te ofiary, ale najczęściej są w takim stanie, że nawet nie można pokazać ludziom zdjęć. Wiesz, że w Internecie teraz jest takie zezwierżenie, że ludzie wysyłają sobie zdjęcia trupów enenów, które pokazujemy, żeby ktoś rozpoznał. Wysyłają sobie, żeby się śmiać, jaka głupia twarz, jaka głupia mina.

– To już lepiej zabrać się do tego od strony tej studentki, tej dziewczyny. Na przykład pomyślcie: dziewczyna dostarczała mu jakieś lewe recepty na te jego pigułki gwałtu, po znajomości czy za kasę, i nagle wyniuchała, po co mu one, jakoś skojarzyła, zbuntowała się albo powiedziała, że na niego doniesie, no i wtedy on ją uciszył.

Pękałem z dumy. Prokurator i Studencik znowu patrzyli na mnie z uznaniem!

– To ja przede wszystkim zadzwonię do Anny Jantar, żeby się dowiedzieć nowych plotek. Ponoć Maciczna nie wróciła do więzienia z przepustki i jest poszukiwana, ponoć Tabaza wypuszczona, to trzeba wszystko ustalić. Tylko że one są za prymitywne na takie przebieranki, najwyżej cegłą w łeb, wymacać luja i w nogi.

– Tak, ty się dowiedz. W poniedziałek o godzinie dwudziestej meldujesz się w pracy. W parku

Słowackiego. Tylko ani Pauli, ani Jantarce nie mów o sprawie, powiedz, że książkę nową piszesz w tym środowisku i musisz odnowić kontakty. A my jeszcze wypuścimy kogoś na wabia, po kim od razu będzie widać, że jak się go zabije, to nikt się nie zgłosi, bo to chłopiec bezdomny. Mamy takiego chłopca, którego wysyłamy na wabia do różnych szaletów.

Uf! Uf! Uf!

- Ciebie chroni to, że koleś może cię rozpoznać i wtedy cię – jako Witkowskiego – nie ruszy, bo wie, że byś natychmiast został zidentyfikowany i by się zrobiło w mediach piekło.
- No, mam nadzieję, że w „Vivie” byłby nekrolog na jedynce i czarny pasek na Polsacie.
- No to musisz jeszcze troszkę popracować.

sobota, 1 grudnia 2012, wieczór

Tylko zamknęły się za nimi drzwi, zaraz zadzwoniłem do Pauli i powiedziałem grubym głosem:
– Juuudym, doktor Judym, czy mogę prosić z Joasią Podborską?

Mało nie dostała zawału.

– Musimy się natychmiast spotkać.

– Nie mogę! Jest sobota, a ja w szkole. Piję piętnastą dzisiaj kawę, zimną, kwaśną, z ekspresu przelewowego, z pokoju nauczycielskiego. Wywiadówka. *O szyby deszcz dzwoni, deszcz dzwoni jesienny*. Potem w domu będę musiała rysować flamastrem na papierze milimetrym jakieś idiotyczne słupki wzrostu jakości nauczania w klasie drugiej ce... dyra mi kazała. Czy kiedyś rysowało się słupki?

Czułem, jak jej ta zimna, rozwodniona kawa podchodzi do gardła. Wiało grozą. Śmierdzącą, duszną salą klasową, z pelargoniami na parapecie, pełną woni gumy do żucia, młodych, spoconych jeszcze po wufie ciał...

– Wiesz, co mi się śniło? Idę ci ja na pikietę, na Szczytniki, noc, deszcz leje, ja prosto ze szkoły, jeszcze z poezją w plecaku, luj idzie, wchodzi w krzaki. Obciążam go, a on coś tak po kobiecemu zaczyna gadać, patrzę, a luj ściąga taką maskę luja, a to moja dyra! Pani dyrektor ze szkoły! I zaraz okazuje się, że obciążałam dildo. I tak ta dyra pokwikuje: jeb mnie, jeb mnie!

Odpuściłbym jej to spotkanie, gdyby nie to, że sprawa mogła się okazać dla niej ucieczką od strasznej rzeczywistości. W końcu morderca ucieka od swojej codzienności, zabijając, to i Paula może uciekać od swojej, szukając go.

Przyjechałem do niej o dziewiątej wieczorem, mimo że mi nie pozwoliła. Ale otworzyła. Wiedziałem, że mnie wpuści, bo gdyby miała rozmawiać w drzwiach, to ciepło by za długo uciekało, a kurwisko jeszcze nie zostało milionerką.

Była w pidzanie. Wyglądała źle. Była zła. Miała dosyć. Naćpała się już leksotanu na noc. Zamierzała załatwić sobie co najmniej dziesięć dni zwolnienia od znajomej psychiatrki i wyjechać byle dalej, pierwszym pociągiem. Kiedy opowiedziałem jej sprawę, niczego nie ukrywając, bardzo się zapaliła.

– Razem, razem, razem! Od poniedziałku idę na L4 i mamy dziesięć dni na znalezienie Przedwojennego Mordercy! To znaczy nie – dzisiaj jest sobota, w poniedziałek to ja dopiero do niej pójde, naściemniam jej, zresztą – wcale nie muszę ściemniać, jestem wypalona! No i mi da, przy okazji wezmę nową receptę na leksotan. A jakby miała nie dać, to się jednocześnie do takiej drugiej o godzinę później zapiszę, ona zawsze daje, ale trzymam ją na czarną godzinę, nie chcę doić. Tak że się ubezpieczę i nic mi niespodziewanego nie wyjdzie. Jakby co, to mogę się zapisać jeszcze do zwykłej internistki, tu, w rejonie. Czasem inne, sprawdzone, nie dadzą, a taka da. Oczywiście, pan

bardzo źle wygląda i ja nie chcę nic słuchać, panidzie na zwolnienie i nie ma gadania. Bo teraz z tych firm to się boją brać zwolnienia, nie chcą. Do Jantar zaraz zadzwonię, ona z Kangurzą się koleguje i wszystko w tym swoim Koszalinie wie, co u nas...

Paula trajkotała.

– ...w ogóle podobno w parku się straszne rzeczy dzieją. Mnie się popęd ostatnio od tego, wiesz, wypalenia, co je mam, zupełnie wyłączył, nawet jak się brandzłuję, to zaraz mi staje przed oczami tylko ten Hłasko albo, co gorsza, Żeromski, rozdarty krzak, tfu – rozdarta sosna. Więc nie bywałam zbyt często. Ale tak: Owca umarła i zaraz inne zaczęły umierać, zawsze ciągną za sobą te trupy. Przedwojenny, powiadasz, przebiera... Jakie to oryginalne!

Paula nie czytywała skandynawskich kryminałów ani w ogóle żadnych, tylko o carach i królewnach i żeby były karety, więc nie wiedziała, że w co trzecim przebierają.

– Ale że on tak cię wystawia, patrz... Nie chcę cię martwić, ale to mi wygląda tak, że cały ten romans z jego strony to po prostu była obserwacja i inwigilacja ciebie, że byłaś podejrzana, a wyobrażałaś sobie Bóg wie co. A on był po prostu pedalskim seks-agentem Tomkiem. Potem, jak byłaś z nim pod mostem i w ogóle cały wieczór, a ten zabójca w tym czasie podłożył ciało pod akademik, to on zyskał dowód, że to nie ty. Ale że te zbrodnie są jakoś powiązane z tobą, więc postanowił cię wprowadzić do śledztwa, co jest wielkim przewinieniem służbowym. Czyli że bez ciebie się nie obejdzie. I teraz cię wystawił, to widzisz, jak cię kocha!

Gapiłem się na tą durną małpę w milczeniu. W końcu zacząłem się histerycznie śmiać.

– Hahahahahahaha! A ja głupia, durna, ja się stroiłam jak nie powiem co, ja całe noce obmyślałam, co powiedzieć, jak go spotkam, ja inwestowałam pięciozłotówki w Matkę Boską, idiotka, głowę ogoliłam na łyso, jak luj, jak debil z siłowni! Jak Kozeta! Całą jesień, całą jesień zakochana jak nastolatka! Ja już miałam iść do Dermamedu robić usta na restylane dla niego! No nic. Już ja go chociaż spieniężę, już ja go wykorzystam do prozy, za ten katar, co go dostałam od wystawiania pod jego oknem, za wszystko! Spieniężę i wszystko na Kubie na kurwy wydám!

– Cieszę się, że tak do tego podchodzisz, bo jeszcze dziesięć lat temu byś się wieszala, znam cię. Ta fluoksetyna to jednak błogosławieństwo. A jakbyś leksotan chciała, żeby się trochę rozluźnić od tych stresów, to ja ci mogę dać, bo będę u trzech lekarek i wezmę po recepcie...

– Nie!

– Ja na Ukrainie miałam podobne doświadczenie. Wchodzę ci ja do marszrutki (takie ich busiki, nawet dobry system) i siadam przed zajebistym lujem. No i jedziemy. Oparłam głowę na siedzeniu i czuję nagle, że on mnie tak strasznie delikatnie mizia w szyję.

– Mizia?

– Mizia mnie w szyję, tak delikatnie. Co robić, myślę. Boję się poruszyć, żeby ta fatamorgana słodka nie prysła, luj jak byk paluchami czarnymi jak święta ziemia (wiesz, jacy oni są na Ukrainie), pół Ormianin, pół Arab, pół Tatar, mizia mnie najdelikatniej za uszami. I w końcu dojeżdżamy, marszrutka staje, a on dalej mnie mizia. Myślę sobie, chodź ze mną, smoku, odwracam się i co widzę? Taki sam kubeł zimnej wody jak u ciebie: luj zasnął pijany i spał sobie, rękami trzymając się mojego zagłówek, a że marszrutką na tych wybojach ukraińskich trzepało, to i mnie raz po raz

delikatnie miział. Tyle miałam. To do naszych baśni Andersena dopisz w nowym wydaniu *Lubiewa*.

Co do tego, że Student wchodził z chłopcem do szaletu, to najlepiej udowadnia, że cię podejrzewał. Wiedział, że będziesz go śledził, sam już pewnie w kieszeni trzymał cały czas rękę na paralizatorze, bał się ciebie, on się ciebie bał! Przyszedł pierwszy raz do twojego domu, a tam na ścianie chłopcy, z których dwóch jest ofiarami Przedwojennego Mordercy! A tam Jelinek i strzałki! On tam za pierwszym razem zyskał prawie absolutną pewność! Nic dziwnego, że zaraz uciekł i na pewno zarządził twoją obserwację przez dwadzieścia cztery godziny na dobę! Ty jego śledziłaś, on ci chłopca wystawiał! Ty w kawiarni po drugiej stronie ulicy, a ktoś ciebie obserwował! Ty się dziwisz, że w tym romansie nic nie wychodziło, że tam była taka sytuacja patowa, taka jak w *Weselu*, ja wiem... *Trzeci akt Wesela – pesymistyczna diagnoza czynu...*

No i wieczór skończył się tak, jak po prostu musiał: wzięłyśmy po leksotanie i dostałyśmy z tego wszystkiego głupawki, co jedna na chwilę przestawała się rechotać, to druga naraz dawała znaki, że już dłużej nie może się powstrzymać, bo się udusi. Na ziemi się pokładałyśmy i nogami w powietrzu wymachiwałyśmy, gadałyśmy rozlicznymi językami jak ewangeliści, szczególnie zaś kwestiami z filmów. A potem Paula wyciągnęła stare zdjęcia i swoje dzienniki, które pisała jako „dziewicza nastolatka zakochana we wstrętnej (jak się potem okazało) ciocie ze szkoły aktorskiej” – i znowu śmiech. Śmiech, który niszczy, unieważnia wszystko, jak niszczarka do dokumentów.

poniedziałek, 3 grudnia 2012, godz. 6 rano

Pan sobie nałoży ten śliczny fartuszek. – Biały, lekko pokrzwawiony. Na wierzch jeszcze rzeźnicki, gumowy. Lateksowe rękawiczki. Zielona maska na nos. Przejście przez służbę pomiędzy światem żywych a światem martwych trwało krócej niż kurs promem przez Hades i Lete. I oto nagle przekraczamy granice tabu i wchodzimy do rzeźni, gdzie wszędzie leżą trupy w bezruchu mięsa położonego na desce do krojenia.

Dwie otwarte trumny czekały spokojnie z boku, wyściełane białą koroneczką. Na stołach sekcyjnych leżały aż dwa trupy. Jeden z pobliskiego szpitala na Chałubińskiego, drugi – enen przywieziony z nocki, bo prawie zawsze noc wrocławska wyrzuca na brzeg zamarzniętego bezdomnego. Dziewczyny nie było i nie wyobrażałem sobie jej nagiej, wśród tych dwóch ciał.

Przy żułu uwijał się Studencik i dzielnicowy, który go znalazł na nocnym dyżurze i przywiózł, oraz znana mi już pani prokurator, po której od razu było widać, że jest cholernie głodna i najchętniej by tu jadła, że tęsknie wspomina hot dogi i cukiernię „Pod Trumienką”.

Trzech dziadków z wprawą odklejało od żuła ubranie, rozbierało mięso. Jak trzy Parki.

Studencina, mimo że znowu po zawalonej nocy, miał dzisiaj piętnaście lat, był młodszy i bardziej cool od Justina Biebera, zachowywał się bardzo nonszalancko, wyglądał jak mały skejczik, względnie Janosik, żartował z obsługą sali, czyli rubasznym panem Piotrusiem. Najbardziej śmieszyło go odklejanie z wyschniętego i poniekąd zmumifikowanego ciała żuła kolejnych warstw ubrań i zabezpieczanie ich w czarnych workach na śmieci.

– No, ściągamy mu kapciuszki i skarpetki, zaraz wybuchnie bomba wodorowa, Michaś, trzymaj się!

– Tęgi szacuneczek panu pisarzowi! Co, panie, w perfumerii nie pracujemy, nie? – odezwał się do mnie rubaszny pan Piotruś „od czarnej roboty”. – Ale musiałby pan tu wpaść kiedyś latem, to ci Sephora! Teraz to oni zamarzają, a w lecie się rozpuszczają i przywożą nam ich w stanie półpłynnym...

Chciałem zrobić zdjęcia, bo widocznie moje pokolenie tak już ma, ale zaraz się zmytygowałem: nie jesteś, kurwo, na wycieczce do Krakowa, Oświęcimia, Wieliczki, na Wawelu nie jesteś.

Ciuchy szły do czarnego worka, ponieważ oficjalnie jeszcze przyczyna śmierci żuła nie została ustalona i należało na zimne dmuchać. Zamarznienie można stwierdzić dopiero na podstawie badań próbek z wątroby. Poza tym trzeba go było jeszcze zidentyfikować i ciuchy mogły się przydać do „okazania”. Kiedy już był goły, wyglądał jak poczerniała, zaschnięta jaszczurka. Jedna studentka przestraszona zapytała panią doktor, dlaczego on taki czarny.

– Taki brudny, że nawet nie widać plam opadowych.

– Bo widzisz, jak ktoś nie dba latami o higienę i w ogóle prowadzi niehigieniczny tryb życia, to brud tak się wżera na stałe. Należy codziennie się kąpać, najlepiej ciepłą wodą i mydłem

antybakteryjnym...

Każdy człowiek by umarł ze wstydu, że tak po śmierci przydaje się do propagandy higieny, żuł zaś leżał zamyślony i dumny, może dlatego, że umarł już tydzień temu. Stężenie pośmiertne dawno puściło i żuł wyglądał, jakby spał. Kubek w kubek jak jeden z tych bezdomnych z *Antygony w Nowym Jorku* Głowackiego, jakby Pchełka grany przez Peszka.

Zamiast słynnego smrodu po sali roznosiła się tylko jakaś delikatna, wyrafinowana nuta, perfumy Calvina Kleina „Eternity”, przełamane nieuniknionym zapachem sklepu mięsnego.

W tym wszystkim Studencik w skejtowskich, opadających i ukazujących majtki DKNY spodniach, z kaburą na gołym ciele, po prostu szalał, podczołgiwał się, tu uszczypnął jakąś panią doktor (nieumalowaną, nieufarbowaną – na oko też piętnaście lat – i podjadającą ukradkiem kiełbasę), tam zażartował, przestraszył biedną, bladą studentkę asystującą przy drugim trupie i najwyraźniej zdającą jakiś egzamin z krojenia mózgu, z panem Piotrusiem gadał o kredytach, o prezentach na święta, nagle zażartował:

– A nie pocałujesz mnie na święta?

– A nie, bo nie ogoliłeś się, brzydalu – odciął się pan Piotruś. Studencina nigdy nie był tak do końca dogolony.

Studentka kroi mózg i pokazuje opony mózgowie, które wyglądają jak warstewka śluzu grubości folii. To takie gówienko w ogóle może mieć zapalenie?

Przy każdym katafalku znajduje się szlauch, umywalka, półeczka z dwulitrowym ludwikiem, który jest jednak w Polsce płynem uniwersalnego użytku, kosmetykiem numer jeden. Zaczynam wierzyć, że niektórzy myją nim włosy. Trupy zostały lekko uniesione, pan Piotruś polewa je szlauchem, kropi ludwikiem i kosi po twarzy, po oczach taką szczotką jak do zamiatania podłogi.

– Panie Piotrusiu, pan nie ma litości! – doktor patolog wznosi oczy ku niebu.

A pan Piotruś beznamiętnie, śpiewając sobie pod nosem Marylę Rodowicz, namydlał je ludwikiem i szorował wielką szczotką, jak przedmioty, wszystko: oczy, jaja, włosy łonowe. Trupy są jednak cielesne, to już jest samo ciało, są obsceniczne i bezwstydne tym bezwstydem manekinów połamanych, wypiętych.

– Oj, ten to chyba pierwszy raz od dawna w kąpieli...

– Pani doktor, to już możemy ściągać mu paluszki?

Pani doktor, ta nieumalowana, niska, z krótkimi, niefarbowanymi włosami, pozwoliła. Studencina wytarł dokładnie swojemu enenowi dłonie i zaczął ściągać z nich odciski palców na pięciopłowe bloczki. A żuł z miną zamyśloną i obojętną, totalny trupi chillout, spokojnie na wszystko pozwalał. Nawet miło mieć tak głęboko gdzieś cały świat. Tu mu doktorka mierzy linijką rany i zapisuje, potem otwiera powieki (piękne, niebieskie oczy w tym poczerńiałym ciele zaświeciły nagle jak szafiry), wkłuwa się w nie strzykawką i pobiera płyn z gałek ocznych, a on ma to gdzieś, nie mruga, rysy przez śmierć wyszlachetnione, pozbawione ziemskich namiętności, ostrzejsze. Tu się studentki sterylne jak z apteki gapią beczelnie na jego kutasa, a ten jakby czytał filozofów, stoików. Ach, to o to chodzi

z tą śmiercią, chyba coś właśnie rozumiałem, kiedy oni go tak na brzuch, a pozbawione stężenia pośmiertnego ręce mają na lewo i prawo jak u śpiącego, zagląдают do tyłka, golą golarką jednorazową, potem znów na plecy, a on jest na tej sali najbardziej zrelaksowaną osobą. Wygląda jak własna woskowa figura, dokładna kopia kogoś, kto jeszcze niedawno żył. Lecz długo tak wyglądać nie będzie, bycie świeżym trupem to stan jeszcze bardziej ulotny niż bycie osiemnastolatkiem, już za tydzień będą w grobach, sini, fioletowi, ale nie samotni. I nie będzie im tam ani ciasno, ani zimno, ani mokro.

Nagle zobaczyłem na kafelkach podłogi mały, krzywy krzyżyk, który musiał spaść z któregoś z trupów, raczej tego ze szpitala. Facet leżał cały napakowany i wytatuowany, wygolony na dole, i wyglądał, jakby się opalał. Podniosłem z ziemi ten krzyżyk i stałem z nim bezradnie, a doktor kazał go wsadzić do koperty i dołożyć do worka z ciuchami faceta.

Jeden z dziadków zaczął ostrzyć nóż o nóż. Rozległ się charakterystyczny rzeźniczy dźwięk.

Wtedy zaaferowana pani w białym fartuchu, mocno uróżowana, przywiozła na łóżku z kółkami jeszcze jeden podłużny kształt w czarnym worku, położyła na nim wydruk komputerowy, powiedziała do lekarki:

– Tu masz jeszcze poprawkę z wczoraj... – i znikła w pokoju, z którego pachniało kawą. W ten sposób na scenę wjechała ona. Oba trupy były już otwarte i cała sala wypełniła się zapachem świeżego tataru i surowego jajka. Twarze umarłych dalej wyrażały idealną obojętność, szczególnie żul zachowywał się, jakby podsypiał podczas delikatnego masażu, a nie był tak rozkrojony, że żółty tłuszcz na dwa centymetry można było oglądać zaraz pod skórą jak watowaną podszewkę zimowej kurtki. Fluorescencyjnie żółty jest tłuszcz. I już jak w tym wierszu Szymborskiej *Pogrzeb*, mam skojarzenia: tłuszcz, proszę, nawet taki żul ma w dzisiejszych czasach tłuszcz, trzeba sobie wreszcie zrobić tą liposukcję, trzeba zacząć się pilnować z jedzeniem, „ksiądz istny *Belmondo*”; „*ty jedna byłaś mądra, że wzięłaś parasol*”^[9].

Pan Piotruś rozcina nową paczkę. Od razu pojawiają się te słynne liście, jesienne liście dębu wypadają, Studencik nabiera ich w ręce i podchodzi do pana Piotrusia:

– Chcesz trochę liści, brzydaldu?

– Nie, dziękuję.

Dziwna, doprawdy, więź ich łączy...

Ale zaraz wszyscy poważnieją i gromadzą się wokół wyciągniętej z worka dziewczyny. To jest sprawa kryminalna i obowiązują tu inne reguły niż przy nieboszczykach ze szpitala czy zwykłym enenie. To jest bogata córeczka ważnych rodziców, willa na Zaciszu, studia medyczne, ewidentnie zabita przez seryjnego mordercę. Długie włosy ufarbowane na czarno. Kolczyki w wielu miejscach, mniej i bardziej intymnych. Tatuaze w dużych ilościach, ale wszystkie w rzadko pokazywanych partiach ciała. Jeden przedstawia węża wijącego się wokół laski, jak w symbolu apteki. Paznokcie u rąk i nóg pomalowane na czarno. Jakieś implanty podskórne, jakieś wypustki, jak u genetycznej

mutantki. Na plecach dwa kolczyki, jak uchwyt. To ciało nie należy do świata natury, nie jest nagie, ono jest całkowicie przetworzone i samo stało się ubranem.

Przyglądam się jej twarzy i wiem, że skądś ją znam.

– Ja ją gdzieś niedawno widziałem, ale nie mogę sobie przypomnieć – mówię, ale nikt nie zwraca na mnie uwagi. Doktorka dyktuje asystentowi ubranemu, jakby przyszedł tu prosto z dyskoteki:

– Zofia Joanna Kamieńska, urodzona dwunastego stycznia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku we Wrocławiu, zamieszkała przy ulicy Moniuszki sto czterdzieści sześć, córka Stanisława i Izabeli. Rodzice zgłosili zaginięcie dwudziestego listopada dwa tysiące dwunastego roku, znaleziona martwa nieopodal akademików Akademii Medycznej trzydziestego listopada br. Data zgonu: bliżej daty zaginięcia niż znalezienia, około dziesięć dni temu. W tej chwili nie da się na razie określić dokładniej. Sekcja numer 432/12. Data pobrania próbek do badań hist-pat: trzeci grudnia dwa tysiące dwanaście...

Ona nie jest taka świeża jak inni. Rozebrana już wczoraj, tak że nie widać tych wszystkich elementów przebrania, poza brakiem makijażu i jakąś dziwną fryzurą, ale zaraz po niej nie zostanie nic, bo trzeba ogolić jej głowę. Przed zakładem podobno stoją jej rodzice, ale chwala Bogu, nie zostają tu wpuszczeni, co jakiś czas chowają się w samochodzie, bo jest zimno. Choć byłoby im zimno, nawet gdyby panował upał. Przez oszkloną ścianę widać, że pada śnieg. Lekarz, lekarka, Studencik i jeszcze jakiś jękający się młody asystent także w skejtowskich spodniach deliberują nad zwłokami dziewczyny, zaglądnają we wszystkie szczeliny, golą głowę elektryczną golarką, a czarne włosy spadają na podłogę i pan Piotruś musi je wymiatać jak u fryzjera. Rozcinają. Natychmiast dziewczyna przestaje już raz na zawsze być człowiekiem i staje się krwawą tuszą z doczepioną głową i kończynami. Ze środka bucha na całą salę zapach alkoholu. Raczej wódka niż wino. Studencik pochyla się, wącha, zapisuje.

Patolog wyciąga z piersi silikonowe wkładki, chwilę trzyma bezradnie w ręku i odkłada obok głowy. No, szczupła to ona nie była, pod skórą zalega gruba warstwa żółtego tłuszczu. Człowiek jest w środku jak komputer, pełen jelit, bebeczków, krwawej miazgi, która jednak jest bardzo precyzyjną maszyną. Najpierw, jak część obudowy od komputera, wycinają (nożycami jak do krojenia kurczaka) mostek i odkładają na bok. Potem jednym ruchem wyciągają całą płataninę fioletowych i czerwonych, wyslizgujących się z rąk jelit. Czerwony worek żołądka, który należy rozciąć i zbadać zalegającą w środku treść – normalnie, łyżką do zupy, wyjąć ją i nalać do szklanej miski. U żywego to by się nazywało po prostu rzygi. Szklana miska zostaje podgrzana w mikrofalówce, ponieważ treść żołądka bada się, gdy jest ciepła. Młody toksykolog z grzywką opadającą na twarz już czeka i się nudzi, grzebie sobie w smartfonie, a jękający się asystent coś mu klaruje w kącie sali. Po wyciągnięciu treści żołądek i inne bebecchy zamieniają się w śmieci i zostają wywalone do dużego kosza. Twarz dziewczyny nie bierze w tym wszystkim udziału. To pocieszające, że cała ta masakra tak mało ją obchodzi, że poniżenia nie są już poniżeniami, bo niby kto miałby się czuć poniżony, ta tusza? Gdyby żyła, to rzeczywiście byłoby poniżające, goła damska tusza przy gołych męskich tuszach, ale zacznam rozumieć Borowskiego, śmierć robi wrażenie tylko na odległość. Borowski

pracował w rzeźni i miał te same problemy, co inni rzeźnicy. Mięso jest takie łagodne i takie bezwolne, najbardziej obojętny przedmiot świata. Nie można skrzywdzić, poniżyć ani zbezcześcić mięsa.

Nagle wszyscy nachylają się nad krwawą miazgą. Doktor Kawecki coś z niej wyjmuje. Płód. Była w ciąży. Mniej więcej drugi miesiąc. Wszyscy notują. Doktor odkłada płód na bok i wszyscy poza mną zapominają o nim. A on tak sobie leży, jak mały ptaszek.

Głowa dziewczyny jest już ogolona i teraz odbywa się skalpowanie. Skóra z tyłu zostaje nałożona na twarz, jak maska, na wierzch wychodzi czaszka. Pan Piotruś już ma piłę („Najlepsze te piły to się, panie, kupuje w Ikei, he he”) i zaczyna wycinać z czaszki kawałek w kształcie jarmułki. Potem dłutkiem i młotkiem podważa i kawałek odskakuje, wydając mlaśnięcie jak przy otwieraniu piwa. Mózg pływa w czerwonej wodzie, trudno o tym pamiętać tak na co dzień, kiedy się na przykład przy jego pomocy czyta dobrą książkę albo zastanawia w Starbucksie, czy wziąć kawę latte, czy czarną americanę. Teraz zostaje wyjęty i odłożony na bok, a resztki płynu z czaszki wylane na ziemię. Widać od wewnątrz oczodoły. Jeśli ona była studentką medycyny, to ten mózg, tak odłożony jak na talerz, musiał kiedyś pracować na podobnych obrotach, co mój, gdy ona brała udział w sekcji na studiach i dziwiła się, dlaczego to wszystko jest takie banalne. Nawet nie obrzydliwe, tylko banalne i na dłuższą metę nudne. Wciąż czeka się na coś więcej, jakąś duszę czy co, a tu tylko rzygi i gówno w środku, cała tajemnica.

Kroję wątrobę na cienkie plasterki i robię się głodny. Podobno mięso tak już działa. Gdybym rzucił tą wątrobkę na patelnię, byłby taki sam zapach jak przy zwierzęcej. Smakowity. Kroję mózg. Wcale nie jest taki galaretowaty, ma konsystencję szynki mielonej i w środku jest jasny jak kalafior. „Jednym ciachnięciem, proszę nie kroić jak w kuchni, tu nie program o gotowaniu, tu nie Magda Gessler!” – poucza mnie lekarka. Czuję się oszukany tą całą śmiercią. Odcinamy i wyciągamy wielki kawał mięcha lekko przerośniętego tłuszczem. To ma być to całe liryczne i poetyczne serce. Nie wiem, czy jest coś mniej poetyckiego! Serce, choć może i kochało, zostaje pokrojone na kotlety i wywalone do śmieci.

Śmierci nie ma.

Śmierć to tylko minus, coś, co się nie stało, ostatni raz nie uderzyło serce. To nieuderzenie to śmierć. Śmierć, śmierć, śmierć. Coś, co miało się stać i się nie stało, a zaraz potem wszystko inne w życiu tego człowieka też się już nie dzieje. Nikt już nie współczuje, nie zasłania genitaliów i niczego się po nas nie spodziewa. Powinna teraz pacnąć ręką albo pierdnąć, to dopiero by było śmieszne, jak w sitcomie ozwałby się nagrany chóralny brecht.

Doktor patomorfolog dyktuje asystentowi:

– Nie żyje od około dziesięciu dni, plamy opadowe są ładnie zarysowane, stężenia pośmiertnego oczywiście brak, początek zmian gnilnych, pierwsze smugi dyfuzyjne w okolicach ud, nieznaczne wybroczyny z nosa. Larwy nam nie pomogą w ustaleniu dokładnej daty, bo ostatnie tegoroczne muchy już poszły spać (śmiech na sali). Trzymana była w temperaturze mniej niż pokojowej, w jakichś szesnastu stopniach. Bez badań histopatologicznych nie da się w tej chwili określić przyczyny

śmierci, możliwe zatrucie CO₂, na co wskazywałyby intensywnie łososiowy kolor tkanek wewnętrznych (faktycznie ona jest w środku po prostu pomarańczowa). Poza tym, że nie żyje, organizm jest zdrowy, badania treści żołądka, krwi, płynu z gałek ocznych, szpiku i wszystkich innych substancji nie są jeszcze gotowe. Zleca się dokonanie wycinków mózgu, serca, lewego płuca, prawego płuca, trzustki, wątroby, nerek: lewej i prawej, wycinków z podbiegnięć krwawych na plecach, z mięśni brzucha, ze skóry powłok miękkich czaszki (kasetka), wycinek ze skóry pleców z granatowym przebarwieniem, wycinek z lewego mięśnia skroniowego z przebarwieniami, H+E, zatory tłuszczowe nieobecne, glikogen, srebrzenie, obraz histologiczny płuc nie wykazuje cech ostrego rozdęcia, brak zmian urazowych poza śladami ciągnięcia po ziemi, bez znamion przeżyciowości ich powstania.

Pozszywajcie ją ładnie, bo ci biedni rodzice tam wariują.

Przez chwilę pan Piotruś stoi bezradnie z silikonowymi wkładkami w ręku, jakby nie wiedział, co z nimi zrobić, czy ona by chciała ewentualnie zmartwychwstać z nimi, czy już bez nich, jakie będą trendy w czasach Sądu Ostatecznego i czy Pan Bóg preferuje laski z silikonami? Raczej jest chyba jakimś prawicowym politykiem i pewnie woli dziewczęta skromne i czyste. Wkładki są okrwawione, miękkie. W końcu zapada decyzja: nie przydadzą jej się na tamtym świecie, jeden celny rzut i lądują w koszu na odpadki biologiczne, choć nie były tanie.

– Artystyczne cerowanie! – Pan Piotruś w swoim żywiole. – Będzie jak nowa. W przełyk wciśniemy kołek owinięty gazetami, żeby resztki płynów nie przelewały się do pustej teraz głowy i na przykład nie wyleciały ustami. (Babkom „Wysokie Obcasy”, a dla mężczyzn „Logo”...). – Cały korpus również napchany zostaje gazetami, które, niby tak ulotne, właśnie trafiły do muzeum i będą tu już po wsze czasy. Do tego śmietnika dorzucamy nasze rękawiczki (razem z siedem par), bo dziewczyna straciła nieco bebeczków, więc trzeba ją jeszcze czymś wypchać. W głowę zostaje włożony jakby jasiek z gazy, bo mózg, podobnie jak wątroba i reszta, został dokładnie pokrojony na plasterki w poszukiwaniu guzów (i też wrzucony do korpusu).

Zastanawiająco szybko dziewczyna znowu upodabnia się do człowieka, pan Piotruś zaszywa na okrętkę grubym rzemieniem wielkie rozcięcie pośrodku ciała i głowę. Wydawało się, że ta rzeź już nigdy nie stanie się na powrót dostojnymi zwłokami. To aż wstrętne, że bez mózgu, a raczej z mózgiem w brzuchu i watą w głowie, wygląda się tak samo inteligentnie! Rysy studentki, za życia niezbyt szlachetne przez zbytnią tuszę, stały się ostre i piękne. No, z tą łysą głową to już coś firma pogrzebowa będzie musiała zrobić, pan Piotruś za peruki nie może odpowiadać. Rodziców lepiej na razie tu nie wpuszczać, bo wszędzie pełno nerek i wątróbek, krwi i śluzu, z kosza wystają jelita, nie, nie. Nie zmartwychwstaniami. A nawet jeśli, to nie odnajdziemy już naszych nerek, jelit, mózgow i wkładek silikonowych. Nie dojdziemy z tym do ładu przez całą wieczność.

Teraz robią sekcję płodowi. Malutkim skalpelem. „To taka lalkowa sekcja” – wyjaśnia pan Piotruś. Doktor dyktuje. Wszyscy ziewają i chcą do domu.

Ja w tym. Zdziwiony, że o trupie można powiedzieć prawie wszystko, tylko nie to, że jest straszny. Zastanawiający się, czy to jest tylko trywialne, czy tak trywialne, że aż wzniosłe? Zdecydowanie za bardzo skupiony na sobie w całej sytuacji, za mało empatyczny, cóż, kiedy na fluoksetynie głębsze uczucia są całkowicie wyłączone i jest się trochę psycholem, trochę robotem. (Prozac – botoks dla duszy). Bardzo dumny z siebie, że nie robi to na mnie wrażenia, że nie mdleję. Za dumny. Za bardzo świadomy tego, jak wyglądam z zewnątrz. W tym fartuchu, w tej masce, krojący mózg na drobne plasterki. Upačkany krwią. I spokojny. Łysy. Zwykły świr.

Ale prokurator też ziewa, jest głodna, żartuje, kredyty, kredyty, święta, promocje w galeriach sklepów, a podobno mają nam podwyższyć od pierwszego.

– Jezu, ale na tej nowej sali zimno, na starej to przynajmniej piecyk był, nogi można sobie było ogrzać!

Poszedłem do kibla tak usytuowanego, żeby nie trzeba było wychodzić z sali i potem jeszcze raz się przyzwyczajać do zapachów. Oczywiście, leży sobie miesięcznik „Pani”, na ścianie wisi jakieś Hallo Kitty!, bo w naturze człowieka jest zapisane, że choćby nie wiem jak poważne i ponure było miejsce, infantylizm zawsze znajdzie sobie jakąś szczelinę i się wciśnie. Kiedy wracam z toalety, gdzie powietrze było nieco lepsze, dopiero czuję, jak na tej sali śmierdzi. Wchodzę jak w gaz łązawiący.

Wśród tych kredytów, promocji i galerii, wśród świątecznych zestawów (kup perfumy, balsam do ciała dostaniesz gratis!) wyjeżdża łóżko na kółkach ze studentką i więcej jej nie zobaczymy. To by było na tyle. Pan Piotruś nie poda mi ręki, żeby mnie nie uświnić. I tak bym mu nie podał, bo w rękę z całej siły zaciskałem kawałek mięsa.

Tak sobie niektórzy mieszkają. Mimo że są chodzącymi nerkami, żołądkami – bo tak teraz wszystkich postrzegałem. Na Zaciszu, na Moniuszki, wśród zieleni, mając za własny ogród cały park Szczytnicki, za miejsce do porannej gimnastyki – cały Stadion Olimpijski, za basen – całe Morskie Oko, do centrum blisko, a cicho... Samej willi nie widać, bo wszystko okala wysoki na trzy metry mur, najeżony drutem kolczastym pod prądem. Studencik pełen flaków, z bulgocącą, przelewającą się w środku ranną kawą, ja pełen własnych nerek. W tramwaju siedemnastce mnóstwo podrobów. Podroby – luje, podroby – starsze panie i małe, milutkie nastoletnie podróbki. Studencik już całkiem machnął ręką na skrupuły i wszędzie mogłem z nim chodzić, więc teraz staliśmy u tych pancernych bram, opowiadaliśmy się domofonowi, że policja. Zapaliła się pomarańczowa żarówka, zabręczało, weszliśmy. Trawniki, podjazdy, dęby, willa ponemiecka w stylu Bauhausu z oszkloną wieżą, elegancko odrestaurowana. Ale smutno, pusto, a jesień wchodzi w swoją decydującą, zgniłą fazę, szykuje się do zadania ostatecznego ciosu nożem sprężynowym w plecy, siąpi prawie niewidoczny, ale niedający o sobie zapomnieć deszczyk. Wokół ogród jak park, ale po jesiennemu zdechły, nawet choinki porudziały, trawa jak siano, kraczą wrony, zimno, smutek, śmierć, żałoba. Wiadro i grabie, wór ze śmieciami związany, wszystko odarte z życia i podane na ten deszczyk wstrętny.

Studencikowi to się skojarzyło z liśćmi, że tu jest pełno dębów, ale ani jednego liścia, musiał ogrodnik wszystko wygrabić.

– Trzeba to jeszcze dokładnie sprawdzić, ale dlaczego na niej znaleźliśmy liście?

– Bo ciągnął ją po alejce?

– Ale tam chyba nie było specjalnie drzew, tylko krzaki, tam nigdzie nie leżały ot tak sobie liście.

– A co to były za liście? Z czegoś, co tam rośnie w okolicy?

– Właśnie nie! To były liście dębu, znajdź mi tam dąb, tu za to rosą dęby! Tam może dopiero w parku Szczytnickim jakieś by się znalazły.

– Czyli co? Element teatryku? Że jesień? Żeby było... ładniej? Estetyka jest dla tego zboczka najważniejsza?

– Nie zawsze warto odczytywać te wszystkie przekazy mordercy, bo traci się mnóstwo czasu i energii, a już on sprawdził, że nas do niego nie doprowadzą. Zamiast czytać to, co on chce nam powiedzieć, lepiej wydrzeć mu coś, czego nie chce. Gdyby te liście zaplątały mu się tam przypadkiem, mogłyby coś mówić o sprawach, o których on nic powiedzieć nie chce, o miejscu zbrodni, o jego własnym ogrodzie. Ale kiedy te liście zostają nam położone na tacy? To wiadomo tylko tyle, że akurat ten motyw nas do niego nie doprowadzi. Ale co jest? Stoimy tu jak idioci!

Rzeczywiście, nikt po nas nie wychodził, drzwi były otwarte, więc weszliśmy do holu z minami winowajców. Ale od razu było widać, że ten dom jest na gości przygotowany dwadzieścia cztery godziny na dobę, cały jest zrobiony na pokaz, tu nie będzie nic wstydlivego ani prywatnego, żadnych

gaci na wierzchu, tylko taka jakby scenografia do *Zmierzchu bogów* Viscontiego w wersji dla ubogich. Bardzo wysokie drzwi, sufity, antyki, porządek, wazony z kwiatami, biały perski kotek siedział na krześle. Ktoś nam jednak otworzył bramę domofonem, więc wiedzą, że przyszliśmy, mogliby do nas wyjść, ale Studencik szepcze, że to typowe w tych sferach, że trzeba okazać lekceważenie policjantowi, już choćby dlatego, że zarabia dwa tysiące siedemset na miesiąc. Muszę przyznać, że mina mi trochę zrzędła – misja misją, ale bez przesady. Ale zaraz poczułem się dumny, ponieważ pierwszy raz potraktowano mnie jak policjanta i starałem się wycisnąć z tego lekceważenia jak najwięcej przyjemności!

Tylko ile można stać w tym holu, jak w muzeum, i zastanawiać się, czy buty ściągać, czy może nie wypada, tylko że deszczyk, choć prawie niewidzialny itd. W końcu Studencik mruknął coś i ostro, w butach, ruszył krętymi schodami na górę. No, teraz to my wam pokazemy, moi państwo, co to jest wkurwić policję! Zrobiłem minę z któregoś z tych amerykańskich seriali o parze uczciwych białych policjantów z Miami kontra reszta świata i wyciągnąwszy (mentalną) odznakę, ruszyłem za Studenciną schodami wyściełanymi czerwonym dywanem.

Willa sprawiała wrażenie pustej. Wspinaliśmy się schodami coraz wyżej, aż w końcu usłyszeliśmy muzykę i stanęliśmy w półotwartych drzwiach.

Studencik zapukał, ale tylko pro forma, żebyśmy my (policja) nie wyszli na chamów, po czym od razu otworzył drzwi na oścież, nie dając przebywającej w środku osobie najmniejszej szansy na przygotowanie się do naszego przyjęcia. Ale to my nie byliśmy przygotowani na to, co zobaczymy.

Pokoik był malutki, może siedem metrów kwadratowych, jakaś kłitka dla służby. Panował tu kompletny bałagan, kontrastujący z muzealną sterylnością reszty domu. Bałagan tak zwany krawiecki, znałem te klimaty od lat i od razu zachciało mi się nowej przymiarki. Na stole pod oknem dwie dobre maszyny i overlock, na podłodze oczywiście ścinki tkanin, guziki, poduszcзки ze szpilkami, kreda i mydło do rysowania po materiale, olejarka do maszyny, agrafki, znowu ścinki tkanin, napastrki, zamki błyskawiczne, nitki oblepiające wszystko jak bluszcz. W kącie olbrzymia góra wełny, na niej śpi kot. Kilka numerów „Vogue’a”, powyrywane z innych pism kartki przypięte pinezkami do ściany. Wszystko jak u moich humorzastych znajomych krawcowych ciotek, chudych jak patyki i ubranych na czarno. Na ścianach po chamsku przyklepione deathmetalowe plakaty, jakby tu mieszkał jakiś zbuntowany nastolatek. Wszędzie ciuchy. I to (Studencik ścisnął mnie za rękę) ciuchy w stylu retro! Na ścianie wisi olbrzymia chorągiew z napisem „Jezu, ufam Tobie”, który ktoś zaczął zahaftowywać złotą nitką, ale na razie nie wyszedł poza „J” i „e”.

Z przedpotopowego magnetofonu-jamnika leci opera, a mały, turystyczny czarno-biały telewizor nadaje reklamy i seriale z wyłączonym głosem. W popielniczce jakby znalezionej na śmietniku tli się niedopałek.

To Paula tu mieszka, nic, tylko jakaś krawiecka inkarnacja Pauli! W zimie, kiedy ogrzewanie stawało się już „bardzo drogie”, Paula zamykała wszystkie pokoje poza kuchnią i najmniejszym pokoikiem i w tych dwóch miejscach tylko grzała, bo jak wiadomo, w totka jeszcze toto nie wygrało. I w tym małym pokoiku, który miał może cztery metry, robiła sobie „domek Cabirii” z Felliniego,

robiła tam sobie taki berg, że mieszka w przyczepie, może gdzieś w dalekim Montevideo albo w Nebrasce w vanie mieszkalnym na parkingu przy autostradzie. O ile w reszcie mieszkania było lodowato, tam potrafiła stworzyć taką bańkę gorącego powietrza, tak nakopcić i nie otwierać okna, że stężenie paulizmu na centymetr sześcienny powietrza było po prostu zabójcze. Otomana, ściany wybite jedzącymi kurz i wdychającymi papierosowy smród indyjskimi materiałami, jak u Wisnowskiej na Nowogrodzkiej. Jeszcze kadzidełko, a co! i – tu największe podobieństwo, przy samym materacu, na którym Paula spała (mogąc jak Raskolnikow wyciągnąć się na szerokość całego swojego pokoju), non stop chodził turystyczny czarno-biały telewizor, nadając ruskie programy, bo toto mentalnie żyje przecież w Rosji. Na tym telewizorku stała popielniczka z tłącymi się zawsze papierosami, na podłodze leżały stosy starych miesięczników „Odra” i „Twórczość”, tygodnika „Przekrój”, wszędzie wisiało pełno zdjęć w ramkach, przedstawiających carewicza Aleksego, całą carską rodzinę, ikony oraz to zwierzę, samą Paulę, na licznych wycieczkach do Paryża, w różnych stadiach rozwoju, od lat sześćdziesiątych do teraz.

Zaczęliśmy oglądać stroje. Tu ktoś musiał je robić dla teatru oraz, na boku, dla gotyckich różnych dziewczynek i ciotek, no i dla Kościoła. Na środku pokoju stała krynolina, jak szkielet sukni, która się rozłożyła lata temu. Popatrzyliśmy po sobie.

– No gdzie panowie są, szukam panów po całym domu! – do pokoju wpadła jego mieszkanka i tak jak jej dotąd uporczywie nie było, tak nagle zrobiło się jej za dużo. – Siostry nie ma, pojechali z mężem do firmy pogrzebowej Hades, bo to urwanie głowy... – opadła na fortepianowy taboret przy maszynach, chwyciła kota, położyła go sobie na kolanach i zaczęła nerwowo głaskać.

Była chuda, starsza już, palec zabandażowany, co jest zwykłą chorobą zawodową krawcowych, opatrzony dziecięcym plastrem w infantylne nadruki z kreskówek. Ale była też „zrobiona”, wyczuwało się w niej szyk osoby, która obejrzała w swoim życiu dużo numerów „Vogue’a”. Nieźle ubrana i uczesana.

– Iwa też nie ma, ten by był, w ogóle nikogo nie ma, a ja mam robotę, wpuściłam, bo myślałam, że to przyjaciółka, a tu słyszę „policja”. – Zamilkła i wlepiła w nas zmrużone oczy.

Patrzyłem na nią, taki łysy, wzrokiem pozbawionym jakichkolwiek uczuć, jak więzień świr, co uciekł z zakładu, z Łubianki, z zesłania, żywił się w tajdze i tundrze jaszczurkami, stopionym śniegiem. Staliśmy, a ona siedziała, i to było wkurzające.

– Może pójdziemy gdzieś, gdzie będzie można usiąść?

– Ach, Boże! Oczywiście, panowie się napiją kawy, chodźmy!

W przestronnej, skandynawskiej kuchni „z wyspą” i blatami wylanymi z surowego betonu zrobiła nam kawę w ekspresie, położyła jakieś ciastka. Kontrast między jej pokoikiem a resztą domu był niesamowity.

Okazała się siostrą matki zamordowanej, która – jak dawniej stare panny w dworku – przyczepiła się do bogatej rodziny i po prostu jest, je z ich lodówki, śpi w ich łóżeczku, szyje sobie w dawnym pokoju Iwa, bo taki ma zawód. Poza nią rodzina składała się z matki, ojca (szycha), córki (trup) i syna (Iwo).

– Nikogo nie ma w domu, a ja to nie wiem, w czym bym mogła panom pomóc...

– Może zaczniemy od tego, jak się pani nazywa?

Ona od razu się przeraziła, bo przyszła władza i pyta o nazwisko, jeszcze ją „zapisze” i na pewno potem przyjdzie poleconym jakieś wezwanie, same kłopoty.

– Bednarz Janina, urodzona w Świdnicy, tysiąc dziewięćset czterdzieści pięć, córka Jana i Anny.

– Co pani robiła w nocy z trzydziestego listopada na pierwszego grudnia dwa tysiące dwunastego roku?

– No... co miałam robić? Tu byłam, szylałam. Mam zamówienia. Szyję dla opery, dla teatru, studiuję historię stroju, ostatnio dla reklamy nawet szylałam, jestem jedyną specjalistką na Dolnym Śląsku od takich rzeczy! Przed andrzejkami miałam dużo roboty, ale teraz też. Dla naszej parafii, głupia, zobowiązałam się w ramach pokuty wyhaftować to całe „Jezu, ufam Tobie”, choć nie wiem, czy aż takie te moje grzechy były... Bo tu się okazało, że oni chcą napis widoczny nawet z ostatnich rzędów, czyli litery na pół metra, złota nić pięćdziesiąt złotych za szpulkę, a szpulka idzie na jedną literę! O, na palec grubo muszę obszywać krytym haftem. No i jeszcze awantura z księdzem, bo teraz nagle on mówi, że to ma być bez przecinka! Tłumaczę mu jak komu dobremu, że to będzie z błędem. A on mi na to mówi, że święta Faustyna trzy klasy może miała skończone i nie wiedziała, ważne, że z Bogiem gadała, a czy z błędami, czy nie, to już nie pani sprawa. Jak się ze Stanami rozmawia, to tak nieraz źle słyhać, że trzeba krzyczeć, a co dopiero z niebem, to te wszystkie stacje orbitalne zakłócają... A tam, mniej do szycia będę miała.

– A wieczorem? Powiedzmy, od osiemnastej?

– No, byłam... – powiedziała, ale już bez przekonania. Byłam, no, Iwo potwierdzi, że byłam... – nastroszyła się. – No... nie ma go teraz...

– A pani siostra i jej mąż? Byli cały czas w domu?

– Oczywiście. Mieli zaproszenie na bal w Hali Stulecia, no, ale poszedł tylko Staszek, to znaczy Stanisław, a i to z obowiązku, no, oni byli załamani tym zaginięciem. W pewnym sensie teraz im łatwiej, kiedy już mogą zacząć żałobę.

– Bal dobroczynny organizowany przez prezydentową?

– No tak. Nie chcę się chwalić, ale ze dwadzieścia sukien na tym balu to ode mnie, od Bednarz! Mnie oczywiście nie zaproszono, chciałam iść na zaproszenie siostry, no, ale robota...

Przypomniałem sobie nasze czekanie na taksówki i obserwowanie „elity” wychodzącej z balu do samochodów na Wystawowej.

– A Iwo? Iwo to syn, tak?

– Syn siostry, ja też mam syna z poprzedniego małżeństwa, to znaczy jesteśmy z mężem po rozwodzie, ale mój syn tu nie mieszka, on już się usamodzielniał. A Iwo to syn siostry, przyrodni brat zamordowanej Soni. Kilka lat starszy od niej. Był... To znaczy... No wie pan, jacy są młodzi... Były andrzejki... A on taki utracjusz, odwrotność Soni, od razu widać, że ojciec inny, bubek z dyskoteki, w ząbek czesany. Sonia pracowita, kujonka, studiowała, a on nic nie robi, no... bloga prowadzi...

– To był czy go nie było?

– No, może gdzieś wyskoczył do jakiegoś klubu... Nie wiem. Byłam na górze, u siebie, szylałam. Mam taką suknię ślubną na termin, ślub nie poczeka, a na sukniach ślubnych największy zarobek

i zawsze zapotrzebowanie. Jak która chce mieć jakąś niebanalną, bardziej, powiedzmy, oryginalną, to do Bednarz, a do kogo? A teraz wszystkie, a to czarną, bo to „najsmutniejszy dzień w życiu”, a to na krynolinie, a to w jakieś ironiczne nadruki, podające w wątpliwość powagę tego całego przedsięwzięcia, a to taką, jaką miała Cate Middleton... I skąd ja mam wziąć takie materiały, jak ona miała ręcznie tkany jedwab i tiarę pożyczoną od królowej Elżbiety, tą po carach... Milion złotych to kosztowało na nasze, bez tiary licząc, oczywiście. Albo suknie z moro, jakieś takie militarne, naszyjnik z nabojów, co ja musiałam w sklepie dla fetyszystów w Internecie kupować spodnie po zomowcach.

Studencik nie był z tych policjantów, co to przerywają wywody, ale tu już nie wytrzymał.

– Czyli szyla pani u góry, tak? I nie wie pani, czy Iwo poszedł do klubu?

– Albo toto usiedzi na dupie? Poszedł, znam go na tyle, żeby być pewną, że poszedł. To znaczy wystylizował się i pojechał motorem. Mimo że ma zabronione, bo wraca pijany. – Westchnęła. – Iwo jest takim niespokojnym duchem. Wie pan, on miał ciężkie dzieciństwo, bo siostra, zanim się wżeniła w rodzinę Kamińskich, była krawcową tak jak ja. Zakład Śliczna Grażynka, może pan słyszał? Nie. No widzi pan. Razem miałyśmy. A Iwo jest jej nieślubnym dzieckiem, z którym ona została, jak ją rzucił facet, taki, szkoda gadać... W dyskotecce poznany, w ząbek czesany, niby ciacho, ale oczywiście na jedną noc, skonsumujesz i nie ma ciacha, tylko okruchy. Nawet jej nie rzucił, w ogóle ze sobą nie chodzili. Więc siostra szyla, a Iwo dorastał w jej salonie krawieckim, pod stołem, wśród ścinków tkanin...

...Spadał na niego cały czas kolorowy śnieg ścinków. Ścinki tkanin – oto kwintesencja krawiectwa. Kłuł się szpilkami, zamiast po tablicy rysował po dywanie kredą krawiecką, a jego pierwszą czytanką były paryskie żurnale i niemieckie „Burdy”. Oglądał reklamy marek modowych, zachody słońca, reklamy kosmetyków, wszystko pod stołem, cały wielki świat. A wokół bieda z nędzą i smalcem. Szybko zaczął pomagać matce, dekatyzował materiał w wannie, żeby się zstąpił, suszył, prasował wielkim żelazkiem, wachał te zapachy prasowania, pryskał wodą, zaznaczał klientkom szpilkami, ile do skrócenia czy zwężenia, zapisywał wymiary. A klientki bywały bogate. Raz jedna raszpla tłusta nie mogła wpaść odebrać swojego złotego namiotu XXL, to przysłała męża. I w miesiąc byli już po rozwodzie, słoń zaliczył kopa, a Iza z synem weszła dumnie do pałacu, w świat z katalogów modowych, oglądanych pod stołem przez Iwa, z miną, z której od razu było widać, że to się jej po prostu należy. Bo mieszkali wtedy z siostrą i Iwem w takiej willi na Krzykach, podzielonej na mieszkania, w strasznych warunkach. Iwo miał sześć lat i już szyl pod stołem, kiedy pan Kamiński zbuchał... Znaczący, kiedy przyszła na świat Sonia już w nowym życiu, tu, w pięknej willi.

– No więc wielką księgą dzieciństwa Iwa był katalog modowy, żurnal paryski, z niego uczył się świata, i nic dziwnego, że teraz się modą bardzo interesuje, prowadzi bloga modowego, robi sobie co kilka dni wystylizowane zdjęcia i tam zamieszcza, z opisem, co ma na sobie, gdzie i za ile kupił, tysiące ludzi go lajkują. Czasem przychodzi do mnie z aparatem, a kupił sobie taki solidny, ciotka,

zrób mi sesję, a wygląda jak wampir, oczy całe na czarno, bo on jest pod wielkim wpływem Rickiego Owensa. No to mu popstrykam. Ja mówię, dziecko, zlituj się, myślisz, że z tego będziesz żyć? Że z tego będą jakieś pieniądze? A on: „no raczej, ciocia”. Zlituj się, mówię, fajne to by musiały być czasy, żeby z przebierania się za czupiradło i zrobienia kilku zdjęć można było żyć, a on, że niektórzy już z tego żyją, Jessica Mercedes, Maffashion, Macadamian Girl, a jemu już też kilka razy przysłali różne gify, tyle tylko, że gówniane. No nic, może nic z tego nie będzie, a może będzie, zobaczymy, na szczęście na biednego nie trafiło, z głodu nie umrze. Na razie jeździ na te wszystkie pokazy mody do Łodzi i Warszawy, a ja czasem też z nim się zabiorę. To nawet jemu robią zdjęcia prawdziwi fotografowie, paparazzi, że „blogger”, bo blogger to teraz celebryta.

– Czyli jedyną osobą, która na pewno była cały czas w domu, jest mama tej dziewczyny, pani Izabela Kamińska? Bo pani alibi miał potwierdzić Iwo, a pan Stanisław był na balu...

– No... Tak. – Nastroszyła się i zaczęła skubać przy plastrze na palcu. – Ale tak naprawdę to pan Kamiński... Istnieje taka możliwość, że wcale też nie poszedł na ten bal, tylko na spotkanie... To tak mówię między nami.

Zapadła cisza. Studencik podszedł do okna i wpatrywał się w powoli zapadający mrok.

– Państwo macie ogrodnika? – Postanowił zastosować lewy sierpowy.

– No... Mamy.

– Chcielibyśmy z nim porozmawiać.

– To jest firma, to znaczy pan Bartek ma firmę, zatrudnia kilku chłopaków, zaraz wam dam telefon.

A co? – Nie wytrzymała i ciekawie wyjrzała oknem na ogród, jakby tam jakieś trupy pokotem leżały.

Ale pytaj się o coś gliny, już ci na pewno powie. Zawsze mnie wkurzało w kryminałach, że świadek pyta, a ci pomijają to milczeniem, teraz zaś rozkoszowałem się wkurzaniem świadka Bednarz Janiny. Fajnie tak, wszystko do nas trafia, a nic nie wychodzi!

Wyszła na chwilę, a Studencik mrugnął do mnie filuternie i zdawało mi się, że zaraz cmoknie mnie ukradkiem w policzek. Ale tylko mi się zdawało. Zaraz Bednarz wróciła z oldskulowym papierowym notesikiem, z tych, co jak ktoś umrze, to się po prostu wykreśla jego telefon. Nałożyła okulary i podała nam numer do firmy Bartek & Chłopaki. Od razu uznałem, że pójdę i na to przesłuchanie, ponieważ odczuwam ostatnio wielki niedobór chłopaków w swoim życiu.

wtorek, 4 grudnia 2012, po południu

Kiedy rozstaliśmy się ze Studenciną, poszedłem do Biblioteki Uniwersyteckiej na Szajnochy, bo walczę z tamtejszą obsługą, żeby mi wypożyczyła staropolskie dzieło o kile pt. *Przymiot*. Wygląda na to, że jeszcze kilka papierków i już je dostanę w swoje łapy, oczywiście tylko na miejscu, w lektorium, w białych rękawiczkach. Tymczasem postanowiłem wypożyczyć o wiele, zdawałoby się, łatwiejsze do zdobycia przedwojenne gazety codzienne, żeby w kronikach kryminalnych sprawdzić, gdzie tak naprawdę spotykały się pedały. Okazało się, że w tej sprawie muszę iść do biblioteki Na Piasku, a że mi się strasznie nie chciało przechodzić przez Rynek, to wziąłem sobie podręcznik medycyny sądowej, żeby trochę odsapnąć i posiedzieć. Obsługiwała taka jedna, co jej bardzo nie lubię. Nazywam ją „Ta z Wąsem”. Oczywiście ledwo załatwiłem wszystkie formalności, usiadłem w miejscu w miarę samotnym, bez ładnych studentów wokoło, otworzyłem książkę, powąchałem i zagłębiłem się w uczonej lekturze. Od razu Ta z Wąsem powiedziała cichutko: „proszę państwa na przerwę, wietrzenie lektorium”. Standard.

Założyłem książkę piórem i z samym tylko portfelem i wyciszoną komórką poszedłem na odwieczną kawę z automatu, na siku odwieczne i na obserwowanie spod oka odwieczne. Odwieczne wypełnianie rewersów i odwieczne opieranie się o kamienną ścianę. Zauważyłem już dawno, że im kulturalniejsze otoczenie, w teatrze, na wystawie, w bibliotece, tym ludzie bardziej erotycznie na siebie patrzą, jak na mięso. A ja do tego miałem jeszcze wzmożoną wciąż świadomość nerek, wątróbek, płuczek, serc, śluzu, jelit, kupy, rzygów pod wymyślonymi na dziś ubrankami. Poszedłem do odwiecznej toalety, przeczytałem napisy na ścianach, pomyślałem o tych wszystkich niepotrzebnych referatach, które na różne zajęcia musiałem tu pisać, o bibliografii bibliografii Estreichera, którą tu przeglądałem, myśląc o niebieskich migdałach i migdaleniu się, o tych wszystkich drzewach zmarnowanych na papier. Grzebanie w pozółkłych kartach, pachnących cudownie jak klawiatura starego fortepianu...

W holu było dużo ludzi, bo późną jesienią wszyscy nagle stają się pracowici, wszędzie pełno niedotlenionych studentów, z objawami przedawkowania musujących tabletek Plusssz Sesja. Drzwi do lektorium się otwierają, wchodzimy do środka, siadam przy swoim podręczniku medycyny sądowej. Otwieram na stronie, na której skończyłem czytać, założyłem ją piórem, a teraz jest założone czymś zupełnie innym! I to w innym miejscu! Na zdjęciu rozkładających się zwłok, zielonych, fioletowych, napuchniętych! Nałożyłem okulary i nagle przeszedł mnie mróz. Po chwili już stałem na korytarzu i dzwoniłem po Studencika, który jak zwykle nie odbierał.

Wciąż jeszcze roztrzęsiony patrzyłem przez okno policyjnego volkswagena. Wrocław topniał, w miarę jak oddalaliśmy się od centrum, dyskurs Miasta Spotkań i Wroclove słabł, ustępując miejsca takim samym budom jak wszędzie. Kostka brukowa, kamieniarstwo, zakłady pogrzebowe, luje, mrok, potoki jesiennego deszczu, i nagle czerwień. Właściciele najwyraźniej toczyli swoją małą walkę z szarością i mrokiem, a ich orężem były czerwone lampki choinkowe. Obwieszali nimi całe drzewa, wypisywali krzywo nazwy firm, raz po raz wyrastała taka sama świecąca na czerwono palma, jaka stoi na Wojnowie przed burdelem Afrodyta.

Ale to właśnie tu lokowała się większość firm tego miasta, nie w Rynku i nie w Sky Tower. Zakłady pogrzebowe czyhały tu na życie uśmiechniętych wrocławian, świadome, że wystarczy odrobina cierpliwości. Niech oni sobie tam, na tych ulicach Krokodyli w centrum, pouprawiają jeszcze chwilę propagandę wybielonego uśmiechu i sukcesu, pochodzą na fitness, połykają witaminy, a my poczekamy w deszczu i błocie, z łopata, i ostatecznie też na nich zarobimy. Wesołe młode lujki, pełne podrobów i śluzu, dokazywały w czarnym combi z napisem: Zakład Pogrzebowy Acheront, wyprzedzały nas, nie bacząc na to, że policja, wygłupiały się. Śmierć ich nie dotyczyła. Śmierć nie dotyczyła też nieszczęśnika, którego mieli w samochodzie. Nikogo nie dotyczyła. Nie istniała.

Policyjny volkswagen podskakiwał na słynnych wrocławskich dziurach, które brały się stąd, że za komuny polewano kolejnymi warstwami asfaltu niemieckie kocie łby, i teraz jechało się po palimpsestach dziur ze wszystkich powojennych dziesięcioleci. Studencik prowadził, przeklinając, gdy auto wpadało w rozpadlinę. Skręciliśmy w Kiełczowską i znaleźliśmy budę opatrzoną numerem dwadzieścia dwa, gdzie mieściła się firma Bartek & Chłopaki. Dzielnica nie wytwarzała dziewczyn, najwyżej stare baby, a nazwa „Bartek & Stare Baby” byłaby zdecydowanie zbyt hipsterska jak na prostych ogrodników.

Wciąż przed oczami miałem duży, zasuszony liść dębu, którym założony był mój podręcznik medycyny sądowej w Bibliotece Uniwersyteckiej, i to na stronie ze zdjęciem trupa. Czekać na Studencika, obserwowałem wszystkich wokoło i nikt (poza mną) w tej szacownej sali nie wyglądał mi na seryjnego mordercę. Same bezbarwne studentki, zasuszone, siwe panie doktor, ładni studenci z poprzekłuwanymi nosami, płuca, wątroby, jelita, wszystko schludnie zapakowane pod skórą i ubraniami, wypełnione po brzegi treścią, że już szpilki byś nie wcisnął. Bez przekonania zapytałem obsługi, czy aby nie wyleciała komuś zakładka do mojej książki, a raczej pióro, i nie założył liściem. Patrzyłem, jak niektórzy wychodzą z lektorium, i zastanawiałem się, czy powinienem zablokować salę. Pióra, taniego, czarnego parkera, nigdzie nie było, jakby zamienił się ze mną i chciał teraz dalej pisać tą historię sam, moim piórem.

Studencik oczywiście nie odbierał, abonent cholerny, ale udało mi się dodzwonić do tej miłej prokurator, która zaraz kazała zamknąć drzwi do lektorium, nikogo nie wypuszczać, i obiecała zaraz przyjechać na sygnale w towarzystwie policjantów. Ta z Wąsem oczywiście zaczęła: „ależ

absolutnie nie, że liść? Ja mam nie wpuszczać i nie wypuszczać ludzi?”. Myślę sobie: czekaj, jak tu zaraz wpadnie cała brygada antyterrorystyczna Kozanów, Żmija, reszta, to zobaczysz, że jak Witkowski mówi ci, że liść, to, kurwa, kładź się Rejtanem na dywanik przed drzwiami i kęsaj wszystkie wychodzące stopy.

Ale na razie musiałem stać w drzwiach i mało się nie pobiłem z jednym typem. Taki profesorek niby, ja go znam, ale mówi mu się, nie wychodzi pan, a to pyskate!

Policja natychmiast ustawiła dwóch osiłków w drzwiach do lektorium, a ja spojrzałem wyniośle na Tą z Wąsem, jak Alexis na Kristal po udanej utarczce słownej. Wtedy już wszyscy na sali się zorientowali, że coś ciekawego dzieje się wokoło, po prostu „zbrodnia w bibliotece”, a ja jestem epicentrum tego czegoś. Czekaliśmy na technicznego, który się spóźnił, w tym czasie policjanci spisywali dane wszystkich w lektorium, nie zapominając o tytułach naukowych. Część ludzi weszła dopiero po przerwie, część już mimo wszystko poszła, więc trzeba było odtwarzać poprzednią listę obecności z wpisów w księdze, a nikt nie sądził, żeby morderca wpisał się swoim imieniem i nazwiskiem. I rzeczywiście: w jednej rubryce zamiast podpisu narysowany był ołówkiem symbol nieskończoności. Na pierwszy ogień poszli wszyscy faceci, a szczególnie chudzi, Bogu ducha winni, pomocnicy od przynoszenia ciężkich encyklopedii i bibliografii z zaplecza, bo oni byli na sali w czasie przerwy. Z cieniutkimi nóżkami i w kraciastych flanelowych koszulkach wyglądali jak mrówki dźwigające pracowicie o wiele cięższe od nich księgi. Jakoś tak nie byłem przekonany do tego, że liść został podłożony w przerwie przez pracownika. Kiedy otwarto lektorium, ja jeszcze dopijałem odwieczną kawę z automatu – z uśmiechniętą fotoszopową panią reklamującą i z niezbyt świeżą wodą – więc od razu nie wróciłem na salę, każdy mógł podejść i podłożyć. Z drugiej strony podobała mi się myśl o mordercy, który jest stałym bywalcem Biblioteki Uniwersyteckiej, który czytuje tu właśnie przedwojenne gazety (zapytać, czy ktoś nie wypożyczał!), który uczy się tu medycznych sztuczek, a może i czytał niedawno mój podręcznik medycyny sądowej. Że to na przykład jest doktor Bednarek od nas, z polonistyki, czy to nie byłoby piękne?

– Ten nowy techniczny to jest nieobowiązkowy, wczoraj też się spóźnił.

– On młody, on się jeszcze wyrobi...

Znudzony techniczny przyjechał w T-shircie z napisem „niezadowolony pracownik miesiąca”, z kaburą i w kamizelce policyjnej, jakiś taki wymiętoszony na twarzy, bidny. Przewrócił oczami, że to tylko liść, wielkie mi halo, zielnika nie prowadzę, wsadził go w foliową koszulkę, zrobił zdjęcie i zdjął odciski palców z blatu i książki, zabrał też księgę wpisów, ale robił to tak bez przekonania, że Studencik musiał się na niego wydrzeć. A on się bronił:

– We Wrocławiu tak nie ma, jeden drugiego nożem po pijaku i tyle, awantura domowa, ale nie takie rzeczy, no może, jak ktoś się naogląda tych Wallanderów, to coś tam usiłuje wymyślić, ale żeby aż tak?

Prokurator, która była chyba w głębi duszy zachwycona, że tym razem „aż tak”, bo miała dosyć przypadków jak z programu „997”, zadawania się ze skacowanym marginesem, historii o picciu spirytusu z miski na działce o szóstej rano, spojrzała na niego z obrzydzeniem. Coś tam poszeptała ze Studencikiem, który oczywiście od niej telefonu odbierał, więc przyjechał. Zrozumiałem z tego, że

jest jakaś awantura z rodzicami tej zamordowanej dziewczyny, bo jak znaleźli trupa pod akademikiem, to w wykazie jak byk stało, że miała na palcu złoty pierścionek, jest też na fotografii z miejsca zdarzenia, a na sekcji już nie miała, może się gdzieś ześliznęła, w każdym razie my wyszliśmy na hieny cmentarne, że jej ukradliśmy, po to zarabiamy po dwa tysiące na miesiąc i zapierdalamy od rana do nocy, żeby teraz się łąsić na pierścionek!

Ale ja już wtedy wiedziałem wszystko, u mnie! Wszystko jest u mnie! No to pomyślałem sobie...

Opowiedziałem im o znalezionym po powrocie z Bliźniaka pierścionku. Studencik nawet pamiętał, że się dziwił, czemu chodzę w damskich złotych pierścionkach po domu.

– No, ale to z jego strony głupota, podrzucać ci dowody, co on, nie wie, że już ciebie nie podejrzewamy? W każdym razie śledzi cię. Więc teraz będziemy ciebie obserwować. Będziesz miał ogon.

– On był pod moimi drzwiami.

– On jest coraz bliżej – rzuciła prokurator smutnym tonem, ale było widać, że jest zachwycona.

wtorek, 4 grudnia 2012, rano

Już sam nie wiedziałem, co mam sobie wyobrazić, tak podobała mi się nazwa Bartek & Chłopaki, a tymczasem otworzył nam klasyczny dziad. Chyba coś ta ich firma miała na bakier z podatkami, bo gdy usłyszał, że policja, strasznie zmarkotniał i niemal trzeba mu było podawać sole trzeźwiące. Oznajmił, że Bartka ani chłopaków nie ma, bo teraz, późną jesienią, firma nie działa, a on tu tylko pilnuje. Było widać, że w jego świecie nic już nie działa, wszystko wyłączono na zimę, ukryto pod plandeką i wchodzenie tu teraz z normalnym życiem, jakby świat nie został wyłączony, to jakieś grube faux pas.

Zapytaliśmy go, czy u państwa Kamieńskich nie grabią przypadkiem liści jesienią w ogrodzie. Owszem, robią ostatnie jesienne porządki przed zimą, ale to musielibyśmy zapytać Bartka, kiedy ostatnio robili u Kamieńskich.

– Teraz już nic, aż do wiosny – powiedział i było widać, że do wiosny jest daleko, całe lata, a to jest klasyczny facet w małym domku, najbardziej konserwatywna odmiana, model: „cieć”, który już popadł w zborsuczenie listopadowo-grudniowe, zamknął się w sobie, czeka tylko, żeby się za nami zamknęły drzwi, a wtedy pierdnie, beknie i od razu popadnie w swój zimowy trans.

Wzięliśmy numer tego Bartka na komórkę i pozwoliliśmy ślimakowi schować się do muszli.

Studentik prowadził i wyglądał wyjątkowo cute, a ja zastanawiałem się, czy można jeszcze nawiązywać do naszego „romansu”, czy też już oficjalnie sprawy nie było. Czy na przykład mogę go uszczypnąć albo położyć mu rękę na udzie. Nawet w policyjnym samochodzie Studencina puszczał swój hymn, Amy Winehouse *You Know I'm No Good*. Palił marlboro lighty, robił cyniczne miny, aż liczne dołeczki i zmarszczki przebijały spod warstwy pięciodniowego czarnosiwego zarostu. Postanowiłem, że go zapytam. Łatwo powiedzieć. Najpierw trzeba skierować rozmowę na ten nasz niby „romans”. Zanuciłem z Amy, wskazałem na radio i powiedziałem:

– Pamiętasz?

Pokazał zęby w uśmiechu jak koń. No cóż.

– Zadzwoń do tego całego Bartka.

– Ja? – zdziwiłem się. – Dlaczego ja?

– Powiedz tak: Michał Witkowski, komenda miejska. Bądź poważny. W sumie jakąś tam umowę z tobą podpiszemy, więc poniekąd działasz w naszym imieniu. A ja nie bardzo mogę dzwonić, kiedy prowadzę...

Zrozumiałem, że nie o to chodzi. Samochód był wyposażony we wszystkie najnowocześniejsze systemy, radia i na pewno miał też system głośnomówiący. Po prostu Studencina chce mi zrobić frajdę i żeby się przydało do prozy. Mrugnąłem do niego porozumiewawczo. Już ja tego ogrodnika nastraszę! Najpierw nastraszę, a potem będę łagodny jak baranek. Wyjrzałem przez okno. Jechaliśmy Krzywoustego koło Centrum Handlowego „Korona”. Najbardziej oldskulowego we Wrocławiu.

– Gdzie jedziemy?

– Wracamy do Kamieńskich. Umówiłem się z tym synalkiem, z tym całym Iwem.

– Ja też?

– Ty też. Będziesz go obserwował podczas rozmowy. Patrz, co robi z rękami, czy oczy są skupione, czy rozlatane, noga czy skacze... Patrz, w których momentach zaczyna się denerwować.

Wykręciliśmy koło Kredki i Ołówka. Studentik zatrzymał się na parkingu przed McDonaldem, wybił numer i dał mi komórkę, śmiejąc się filuternie. My tu się świetnie bawimy, a to wszystko się źle skończy. Aż mi ciarki przebiegły po plecach. To coś, te siły zła, które śledzą każdy mój krok, są od nas o stokroć silniejsze.

W telefonie, w czasie oczekiwania, włączyła się idiotyczna skoczna muzyczka, jakby Golców, coś tam... słowo, na które czekałem, padło z twoich coś tam... Mój luj z Międzyzdrojów, Mariuszek, ma podobną piosenkę, za którą zapłacił esemesem, aby „umilać” dzwoniącym czas oczekiwania. Jeśli miałem jakieś wątpliwości, to prysły, ach, no, słowem – luj. Od razu przypomniało mi się, jak luj dziki, nabuchany kokainą porwał mnie w Koszalinie i wywiózł do Mielna, karmił rybą z głębokiego tłuszczu, poił oranżadą, prowadził tak, że się bałem, puszczał kierownicę i jechał bokiem.

– Tak?

– Pan Bartek? – Studentik szturchnął mnie z całej siły i napisał mi na kartce „Bartosz Studziennik”, więc poprawiłem się: – Michał Witkowski, Komenda Wojewódzka... – Studentik szturchnął mnie

jeszcze mocniej. – Znaczy się... Komenda Miejska, przepraszam, pracowałem w Wojewódzkiej wiele lat... – Studencik kopał mnie i pokładał się ze śmiechu, ale trzeba mu przyznać, że śmiał się bezgłośnie. – Mam... mamy do pana z kolegą parę pytań odnośnie pana firmy, to znaczy pana pracy u państwa Kamińskich.

– Jakich pytań?

– Wolelibyśmy się spotkać, może za dwie godziny, w Starbucksie na placu Grunwaldzkim. Bo chyba woli pan to niż na komendzie...

– Dobra, to o...

Studencik napisał mi na kartce: 19!.

– Może być o dziewiętnastej?

– Dobra.

– Do widzenia, mój chłopcze, a! – powiedziałem, ale natychmiast Studencik walnął mnie w kark, jakbym się zakrztusił.

– Trzeba było od razu powiedzieć „moje dziecko”, skoro jesteś taki stary, że pracowałeś całe dziesięciolecie w Wojewódzkiej. Już ty się, Witkowski, dzisiaj lepiej nie odzywaj.

Szybko zjedliśmy coś w McDonalddie z tyłu Ołówka i Kredki. Już doświadczałem spadku jakości życia spowodowanego nowym, policyjnym powołaniem. Dotąd obiad to była cała wyprawa, a jaka dieta obecnie panuje, a czy organiczna, czy nie, a może vege, może bezglutenowa, może dieta pięciu przemian. A teraz jadło się same fast foody, i to nawet bez wysiadania, Studencina podjechał pod McDrive’a i się wzięło na kolana gorące żarcie w torbie. Oczywiście udzieliłem sobie zwolnienia z wszystkich ideologii i diet na czas śledztwa i teraz rozkoszowałem się pysznym, zakazanym na co dzień hamburgerem z cebulką. Do tego cola, żadna tam light, tylko jak najbardziej z cukrem, a potem marlboro light!

Beknęliśmy.

To się nazywa życie!

– Nie będziemy – mówił Studencina, przeżuając – nie będziemy prowadzić śledztw w sprawie tych wszystkich zabójstw w pedalskich miejscach. Jesteśmy pewni, że studentkę zabił Przedwojenny Morderca, a więc skupmy się na tym jednym śledztwie. Powtarzam ci, on ją znał. On się kryje w jej przeszłości!

Ten cały Iwo należał do gatunku „emo”. Wążył może pięćdziesiąt kilo, był blady jak śmierć, oczy podkrążone. Czarna, farbowana grzywka spadała mu na twarz. Miał niewinną, dziecięcą, zdegenerowaną, zepsutą twarzyczkę niemowlaka pojonego w kołysce ginem z tonikiem i wodą z żelazka. Po prostu chudy wymoczek, jakby zbyt długo dekatyzowany, zbyt długo prasowany. Powinien chodzić w pokazach Comme de Garçons: boskie, wychudłe, zaćpane, trójkątne twarzyczki.

Siedział w swoim pokoju na skórzanej kanapie, żuł gumę, palił papierosa, pił drinka, obgryzał polakierowany na czarno paznokieć i patrzył na nas bez sympatii jak na facetów z elektrowni, którzy przerwali mu seks życia, żeby spisać liczniki. Oglądał sobie krzyże wytatuowane na palcach u rąk, moim zdaniem trochę odwrócone.

Po Studenciku było widać, że ma wielką ochotę zabrać go na komendę, wyrwać mu tego peta, szklankę, gumę z ust, wrzucić do izby wytrzeźwień na dwadzieścia cztery godziny, oblać lodową wodą i dopiero z nim gadać. Poza nim w domu było około dziesięciu jego emo koleżków, bo rodzice i Bednarz wyjechali na dwa dni załatwiać jakieś wyjątkowo wysuczone marmury na grób i synalek robił imprezę, bo przecież jest ostatnio bardzo wesoło. Było dla nas oczywiste, że jakby dobrze poszperać, a nawet byle jak, zaraz znalazłyby się jakieś brudy, narkotyki.

Teraz Iwo uświadomił sobie nagle, że przecież siostra została zamordowana i w świetle tego faktu impreza jest nie na miejscu. W środku głowy miał mózg, a w mózgu to śmieszne „ciało cycate”, przysadkę, wszystko pływające we krwi, i teraz latał tam prąd, zagrzewały się zawory. Serce jak mięsny ochłap, wręcz mięsny jeź, pompowało krew. W brzuchu alkohol metabolizował się w octany. Było dla mnie jasne, jak wygląda w środku, i on to jakoś wyczuwał. Nie podobało mu się, że tak go widzę jak na prześwietleniu, widzę jego obiad w żołądku, widzę jego kutasa i jelita. Moje patrzenie konfundowało go i taka chyba była moja rola. Studencik woził mnie ze sobą jako przenośny rentgen.

Tego się nie wybacza, oglądania naszej kupy w jelitach. Iwo czuł, że coś jest nie tak. Zaciągnął się papierosem, ale od razu stało się jasne, że ja widzę dym wpływający przełykiem do płuc i zostawiający tam czarny nalot. Zgasił z niesmakiem. Sięgnął po drinka, ale odstawił, nawet nie próbował łykać i dawać mi tego całego skomplikowanego przedstawienia z licznymi kaskadami i chlupotami, bąbelkami, osuwaniem się kropelek po przełyku...

Skupiłem się na jego pęcherzu i dałem znak Studencinie, żeby zaczynał. Włączył dyktafon i rozpoczął przesłuchanie, a ja – sekcję.

– Bartosz Januskiewicz, Wydział Dochodzeniowo-Śledczy Komendy Miejskiej. Przesłuchanie świadka. Iwo Kamiński, urodzony...

– Nie Kamiński, tylko Przybylak. Po panińskim matki. Urodzony: Wrocław 1983.

– Co robisz?

– A no... najpierw studiowałem wiedzę o tańcu w Londynie, ale nie skończyłem, to studiowałem historię sztuki w Berlinie, ale też nie skończyłem, to poszedłem na filozofię... no i teraz niby jestem na muzykologii... A tak właściwie to chyba wezmę sobie drugi fakultet: historia stroju, bo prowadzę bloga i w ogóle...

W tym momencie na dole buchnęła na cały głos dzika muzyka. Jakiś postdeath metal. Wczepiłem

się wzrokiem w jego woreczek żółciowy i trzymałem tak długo, aż w końcu chciał iść ich uciszyć. Ale Studencik nie pozwolił mu wyjść. Wstał i sam poszedł z miną: „zaraz to całe bractwo rozpędzę”. Myślałem, że mi uszy pękną. Jak tylko zamknęły się drzwi za Bartkiem, ten cały Iwo kompletnie się zmienił, łyknął drinka i mrugnął do mnie:

– Nie mów mi, że jesteś policjantem. Widziałem cię na Fashion Weeku. Ty jesteś jakimś pisarzem czy stylistą...

– Kucharzem. – Naciąłem profesjonalnie brzuch, jak to mówią w Zetemesie: „od kija do ryja”, i dalej szło już samo, aż do klatki piersiowej, gdzie rozwidliło się na dwie czerwone odnogi.

– Policjant, kurwa. Tu mi kaktus wyrośnie.

W ogóle nie miał pod skórą warstwy tłuszczowej. Postanowiłem pocałować go w samo serce.

– Ej, nie dość, że moja siostra została zamordowana, to jeszcze wy musicie mnie męczyć?

– Właśnie widzę, jak się martwisz.

– Muszę jakoś odreagować.

Cztery nacięcia sekatorem do strzyżenia żywopłotów i można wyciągnąć mostek, który odkładamy na bok. Wkładamy rękę do gardła, chwytamy za język i jednym pociągnięciem wyciągamy całą sekcję górną: płuca i serce. Rok produkcji: 1983, a gwarancji nie ma. No, widzę, że trochę się już od tego osiemdziesiątego trzeciego wypaliło...

Wrócił Studencik i od razu zatkał nos. Nie spodziewał się, że cała górna sekcja pójdzie mi tak sprawnie. Wyciągnąłem przed siebie płuca i przyjrzałem się czarnym nalotom, a Iwo natychmiast cofnął rękę, którą już wyciągał w kierunku paczki papierosów. Za to Studencik zapalił.

– Co robiłeś w nocy z trzydziestego listopada na pierwszego grudnia?

– No, byłem w klubie.

– Mimo że siostra się nie znalazła?

– Ej, ja myślałem, że ona uciekła do tego swojego gacha.

– Jakiego gacha?!

– Miała romans z jakimś facetem. Nie chciała powiedzieć, z kim, ukrywała to przed rodzicami, bo... ponieważ oni nie są tacy zupełnie normalni, jeśli jeszcze ich nie poznaliście...

– Co wiesz o tym facecie?

– Nic.

Sekcję dolną wyrwałem jednym ruchem i położyłem przed nim. Jelito cienkie zebrałem w wielki kłębek.

– No... Był od niej starszy, to wiem. No i ona coś mu tam pożyczała, jakieś medyczne książki. Ale kto to? Jak ją znam, to jakiś zupełnie beznadziejny gostek. – Przewrócił oczami i wydmuchał dym z papierosa, którego jednak zapalił, aż farbowana grzywka pofrunęła do góry.

– Komu mogła się zwierzyć? Miała jakieś przyjaciółki?

– Jeżeli już, to albo ciotce Bednarz, albo takiej jednej z akademika.

– Medycznego?

– No. Tam gdzie ją znaleźli. To z jej roku dziewczyna. Ale jak się nazywa, popytajcie na jej roku.

– W jakim klubie byłeś?

– Co?

– No pytam chyba po polsku, w jakim klubie byłeś w andrzejki? Nie umiesz wymienić nazwy?

Zacząłem skalpowanie. Wszystkie czarne kudły nałożyłem na twarz i odsłoniłem czaszkę. Chwyciłem piłę, a on patrzył na mnie przerażony. Było oczywiste, że miał coś za uszami, może związanego ze sprawą, a może nie.

– Clubbing, heloł, mówi wam to coś? Impreza. Wygib. Wyjeb. Fotki na bieżąco publikowane na fejsie, na Instagramie. Internet w smartfonie. Jest to gucci. Jest to hot! Od zmierzchu do świtu # afterparty # vodka # happy # ready # for # party # drink # wygib # cherry # coke # club # fun # boys # instaboys # cool # instacool # glamour # fashion # stars # sunglasses # armani # emporioarmani # carrera # milano # fw # fashionweek # before # party # vodka # champagne # music # musicstars # gottalent # xfactor # poland # wroclaw # wroclove # warsaw shore # love # kiss # sweet # mirror # bathroom # beautiful # cute # catwalk # evening # night # alcohol # style # vogue # model # stage # money # dollars # celebrities # paparazzi # rihanna # taxi # ritz # hotelritz # madonna # london # club # bitch # sluts # power # chillout # wygib # clubbing # city # designer # photo # session # polaroid # iphone # apple # miami # americandream # americanlove # creditcard # mastercard # slut # instaslut.

Chwilę milczeliśmy.

– Chodzi się od klubu do klubu. Zaczęliśmy w Manianie, ale tam była Gizzi, więc poszliśmy do Siwego Dymu, ale tam nie czuło się chilloutu, potem do Przekrętu, potem do Madness, potem do Nietoty, potem do Czeskiego Filmu, potem do Das Lokal, potem do Nieba, potem do Formy, potem do Bułki z Masłem, potem do Szajby, ale że w Szajbie było normalnie beznadziejnie, to skończyliśmy nad ranem w H₂O. Potem byłem trochę pijany i miałem sto pięćdziesiąt nieodebranych połączeń w komórce od mamy. No...

Dwa bąbelki z siarkowodorem, jeden większy, drugi malutki, powoli, acz nieustraszenie zaczęły przesuwać się labiryntami jelita w kierunku zwieracza. Torowały sobie drogę wśród stolca, rzeźbiąc kanaliki, aż nagle Iwo pierdnął.

Dlaczego ci nie wierzę, mój drogi? Mimo że tak pięknie opisałeś jednego z moich znajomych, który popadł w „wygib” i ofiarował mu się bez reszty. Nie po kolei trochę ta wasza trasa, a poza tym dwanaście klubów jednego wieczoru... To gdybyście w każdym byli godzinę, już zajęłoby to wam dwanaście godzin.

– Od której do której to trwało? – zapytałem i odciąłem przewody łączące mózg z oczami. Położyłem go na stoliczku pomocniczym i ciachnąłem.

– Od jedenastej do czwartej rano.

Czyli pięć godzin. Nie zdążyliby. Ale on i tak się nie przyzna, co naprawdę robił.

– Z kim chodziłeś?

– Z Alanem.

– A ten Alan ma jakieś nazwisko?

– Z Alanem Kalinowskim.

Widział, że mu nie wierzymy. Nerwowo obgryzał polakierowany na czarno paznokieć.

– No dobra, i tak się dowiemy. To mówisz, że siostra musiała ukrywać przed rodzicami swojego faceta, tak? A właściwie dlaczego?

– No, oni nie są normalni. – Westchnął. – Oni na przykład sami wybrali dla niej męża. Takiego ich znajomego chirurga plastycznego.

Spojrzeliliśmy po sobie.

– Takie rzeczy jeszcze się zdarzają?!

– No widocznie tak. Oni... Oni też wcale po niej nie płaczą. Oni wszystko robią tylko na pokaz. I żeby nie było żadnego skandalu. A Sonia... Ona miała coś za uszami... Znaczą się, ona miała jakieś ciemne sekrety ostatnio.

– Jakie?

– No jakie, nie wiem jakie, ale potrzebowała pieniędzy. Pilnie potrzebowała dużo kasy. Oni nam nie dają tak dużo.

– Co to znaczy: dużo kasy? Skąd to wiesz?

– Ileś tam dziesiąt tysięcy. Wiem, bo po pierwsze, sam zawsze potrzebuję kasy, a po drugie, widziałem przecież, że siostra ma kłopoty...

No to za karę, mój drogi, twój niewiele wart mózg wrzucimy ci do brzucha, dodamy rękawice, watę, wszystkie bebechy z miseczek, skalpel, chusteczki i zaszyjemy. Będziesz sobie myślał jelitami, i tak nikt nie zauważy różnicy.

– Czyli Sonia miała kłopoty, potrzebowała dużo kasy, miała faceta ukrywanego przed światem i starała się wymigać od ślubu z chirurgiem plastycznym, który chodził na bibki z rodzicami?

– Nie tylko, też miał z nimi interesy. Bo my mamy klinikę chirurgii plastycznej Polish Beauty, a Kraśko ma konkurencyjną klinikę Prosektorium Urody, i zamiast ze sobą walczyć, postanowili doprowadzić do fuzji, no i ma powstać jedna wielka klinika Polish Brokat.

O łał!

– Aha, czyli współnika jej podsuwali. Żeby kaska została w rodzinie?

– Genau – potwierdził smutno Iwo i spojrzał na nas zupełnie trzeźwo.

– Jak on się nazywa, ten facet?

– Doktor Kraśko. Oblesny typek, moim zdaniem. Wyślę wam wizytówkę na ten cały debilny The Lash Palace.

– Wiedziałaś, że siostra była w ciąży?

Nie musiał odpowiadać, nie wiedział.

– To na to potrzebowała kasy?

Wzruszył ramionami.

Już mieliśmy iść; miałem wielką nadzieję, że do McDonalda, a potem prosto do Bartka and, ewentualnie, Chłopaków. Ale Iwo jakby się bił z myślami. W końcu wstał i wymruczał:

– Poczekajcie chwilę... Albo chodźcie ze mną. Do jej pokoju. Coś wam pokażę. Znalazłem u niej coś dziwnego...

Wreszcie jest z ciebie jakiś pożytek.

Poszliśmy piętro niżej.

– Właściwie to trzeba zaraz tu sprowadzić ekipę, żeby porządnie przeszukali jej pokój. Ciągłe coś zaniedbujemy w tym śledztwie – powiedział po drodze Studencik.

Ale gdy tylko weszliśmy do pokoju, od razu stało się jasne, że zrobimy to sami i zabawimy tu trochę dłużej. Może nawet będzie trzeba przełożyć spotkanie z Bartkiem.

Pierwszą rzeczą, jaka rzuciła nam się w oczy, było typowe, wygodne, duże łóżko z Ikei. Ktoś je zaścielił z pedanterią, z jaką ściela się tylko łóżka umarłych, które nie będą już rozkopywane (kto tu sprząta?), w nogach spał biały perski kot, a na poduszce leżał pojedynczy liść dębu!

Ściany pokoju były pomalowane na czarno. Meble też były czarne. Na parapecie stał staroświecki słój z włochatym pajakiem, którego Sonia najwyraźniej hodowała. Plakat z Mansonem i jakimiś fińskimi, nikomu nieznanymi zespołami z kręgu indie, ale wszystko ciężki metal i satanizm. W szafach kolekcja czarnych ciuchów, skór, flejersów, glanów, pasów z ćwiekami. W sumie kupa czarnego szmalu.

Iwo stał w drzwiach, obgryzał lakier na paznokciu i patrzył na nas zza czarnej grzywki, dziwiąc się pewnie, czemu liść zrobił na nas takie wrażenie. Zapadła cisza. W końcu powiedział:

– Tak się to wszystko buduje.

– No to, kurwa, niewesoło.

Iwo wycofał się i zamknął za sobą drzwi. Ani na chwilę nie wątpiliśmy, że podsłuchuje, więc podeszliśmy do okna, z którego roztaczał się piękny widok na stare drzewa wokół starych willi, należących do wyższej klasy średniej, kułaków jebanych, wszelkich doktorków Kraśko i ich lampucer ponaciąganych za darmo w salonie męża.

– Moim zdaniem kłamie tylko w tym miejscu, gdzie mówi o klubach. Robił coś, co chce ukryć. Ale w sumie całkiem się przydał. A kasy to pewnie potrzebowała na skrobankę. To dziecko pewnie miała z tym jakimś swoim sekretnym facetem.

– Widziałeś kiedyś skrobankę za pięćdziesiąt tysięcy? Bo ja nie.

– A po ile one są?

– Po pięć. Michał, nie możemy tych klubów tak zostawić, on musi mieć alibi. Zobacz, ile w tym domu jest z Przedwojennego Mordercy: liść, Bednarz szyje przedwojenne ciuchy, trzeba będzie jej okazać te zdjęte z trup... znaczy, z denatów, czy nie rozpozna w tym aby swojej roboty. Iwo na czarno, z odwróconymi krzyżami wytatuowanymi na palcach i bez alibi. Tutaj to piekło z Almi Decor – pokazał na pokój. – Tatusiek i mamuśka też pewnie jak z Jelinek. Ty, a czemu ty właściwie rzucasz tymi rzutkami w twarz Jelinek? Co, nie lubisz jej?

– To z zazdrości. I bo jak ją czytam, to taka suka, że tylko lać. Ona to lubi. – Patrzyliśmy, jak w ogrodzie Iwo żegna się z imprezowym towarzystwem i raz po raz zerka w okna pokoju siostry. – No, odwrócone krzyże to dziecinada, sam kiedyś chciałem sobie takie wytatuować. Wszystkie symbole straciły już znaczenie i zostały zdegradowane do zwykłej ozdoby. Przynajmniej w świecie takich Iwów z Fashion Weeka. Pacyfa, twarz Che Guevary, liść konopi – to tylko nadruki na T-shirtach. Zobaczmy lepiej, co tu znajdziemy. Choć jeśli to ktoś z nich, to tu już posprzątaano...

Cmoknąłem Studencika w policzek, w ten jego zarost. Chciałem się z nim całować. Tu, teraz, w „pokoju denatki”. Przez chwilę tak właśnie się działo. Miejmy nadzieję, że to wszystko nie idzie jakimiś kamerami prosto do Waszyngtonu, do Obamy i CIA.

Nagle Studencik zapytał (oczywiście przy całowaniu myślał o dochodzeniu):

– Słuchaj, czy ty nie masz wrażenia, że znasz go od lat? Albo raczej, że to on ciebie zna? Że to jest ktoś z kręgu twoich bliskich znajomych? Zna twoje przyzwyczajenia, drogi, którymi chodzisz? Jakaś Paula czy inne dziwo, ty masz takich różnych znajomych...

Tak, to jest Paula, już by się tej lisicy chciało tyle zachodu, kiedy aura... Gdyby to chodziło o chuja, może by się zwlekła z łóżka, ale jakieś zabijanie?

– Gdyby tak było, to na sali, gdzie podrzucił liść, musiałbym się na niego natknąć, a nikogo znajomego tam nie było. Znajomemu trudniej na przykład mnie śledzić, a on mnie na bank śledzi. Skąd by wiedział, że poszedłem do Biblioteki Uniwersyteckiej? Lepiej zawołajmy tego Iwa, bo przecież on chciał nam w tym pokoju coś konkretnego pokazać.

– Nie chodziło mu o ten liść?

– A skąd on ma wiedzieć, że liść jest istotny? Powiedzieliśmy mu o tym?

– No, nie... Kurwa, ktoś ten liść tu położył! Dawaj go tu. Albo poczekaj, przeszukajmy najpierw pokój. – Studencik zaczął znowu dzwonić do ekipy, opierdalać, czemu jeszcze ich nie ma.

Poza pająkiem natknęliśmy się na terrarium z kameleonem. Wszystko na jedno kopyto: kompakty pasujące do ciuchów, ciuchy do pajaka, pajak do tego całego satanizmu dla ubogich, ale było też kilka rzeczy oryginalniejszych: na ścianie wisiała *Olimpia* Katarzyny Kozyry, wisiały dzieła Doroty Nieznalskiej (najwyraźniej oryginalne), Agaty Bogackiej, Ewy Kuryluk. Kozyra – Nieznalska – Bogacka – wielka trójka zbuntowanych kobiet w plastyce... Może jednak miała w sobie jakąś ikrę ta cała Sonia.

Przyszedł Iwo.

– Co właściwie chciałeś nam pokazać?

– No właśnie, tak się podniecaliście tym liściem, że już w ogóle nic innego was nie interesowało.

Otworzył najniższą szufladę przy biurku i zaczął wyjmować stare szkolne podręczniki i kolorowe książki do nauki angielskiego. Na samym dole było opakowanie tabletek i zeszyt! Uf, jak jest zeszyt, to może dziennik! Okiem znawcy obrzuciłem tabletki. Rohypnol. Flumitrazepam. Od jakiegoś czasu niedopuszczony do obrotu w Polsce. Pamiętałem rohypnol, a jakże, nigdy nie zapomnę. Czy było coś, czego by Paula, Anka Jantar i kilka innych zwariowanych ciot nie zdobyło, nie przemyciło w dupie z zagranicy? Ktoś jechał do Brazylii, gdzie nic nie jest na receptę, przywoził. Rohypnol był z początku słodki jak małe chłopię, koteczek, a uzależniał jak najgorsza kurwa heroina. Taka kochana, słodka kurewka z małym skalpelem. Na dodatek w połączeniu z alkoholem stawał się pigułką gwałtu. Muszę przyznać, że jak tylko zobaczyłem to piękne białe pudełeczko firmy La Roche, od razu ręka mnie zaświerzbiała, żeby podprowadzić sobie choć jedną tabletkę, tak dawno się nie widzieliśmy, moglibyśmy ze sobą spędzić upojną noc w trójkącie z leksotanem... Ale zaraz obudziła się we mnie terapeutka i wyleciała z monarowym dyskursem. I chwala Bogu.

– Nie wiesz, skąd ona to miała? – zapytał Studencik.

– Na pewno od doktora Kraśki. On nam wszystko daje, co tylko chcemy. – Iwo za późno zorientował się, że liczba mnoga tu jest niewskazana, szczególnie przy policji.

Muszę go poznać!

– To ty też to bierzesz?

– Nie, nie. No, najwyżej tak... do kawy... Jak już, to jakieś moje antydepresanty. To nie jest zakazane. Ale rohypnol – przewrócił oczami ze sztucznym, źle zagranym oburzeniem. – To straszne.

– Zmykaj. – Studencik zaczął wydzwaniać jak szalony po spóźniającą się ekipę. – I dajcie mi tam jeszcze Dudka od kompów. Gdzie wy się, kurwa, podziewacie?! No nie umieć znaleźć willi na Moniuszki?! No skręcasz, gamoniu, z Różyckiego w Karłowicza. A ty, Michaśka, nie dotykaj mi tego zdjęcia, i tak tu już wszyscy napaskudzili.

Z zeszytu w jednej trzeciej wystawało jakieś stare zdjęcie. Trudno było powiedzieć, co przedstawia.

– Jak nie chcecie zobaczyć, co jeszcze znalazłem, to mogę zmykać...

Ten gówniarz był coraz bezczelniejszy!

– Pokazuj.

Otworzył szafę, wyjął z jej dna pudło, takie, w jakich wysyła się paczki, i postawił przed nami tryumfalnie.

– Co jest w środku?

– Czaszka.

– Taka sztuczna, do ćwiczeń?

– Nie, taka prawdziwa.

– Nie wiesz przypadkiem, jak ją zdobyła?

– Wiem... – Widać było, że musi się trochę podroczyć.

– No?

– Ona ją kupiła za wódkę od grabarzy na cmentarzu!

Studencik od razu pomarudził, że to podpada pod bezczeszczenie zwłok i na to są paragrafy. Zapytałem:

– Tak sama poszła w nocy na cmentarz do grabarzy?

– Nie, dlaczego w nocy? Po prostu była inna. Ostro popierdolona, ale jak w tym domu nie być pojebaną? – Grał teatrzyk, a najwyraźniej w środku, w tym swoim chudym emo-środku, pękał ze śmiechu. – Na przykład z tą głową to było jak z horroru. Wierzyć mi się nie chciało w pewnym momencie, że to nie jest jakiś koszmarny film. – Po czym ugryzł się w język i próbował zmienić temat, ale już ja wyczułem prozę i zacząłem go przynaglać, żeby koniecznie powiedział.

– No, Sonia się uparła, że zamiast kupić sobie na Allegro, to ona, tak jak dawniej studenci, pójdzie z wódką do grabarzy. Nic, tylko iść z wódką do grabarzy i iść z wódką na cmentarz do grabarzy, tak to powtarzała, że już i mnie zaczęło się podobać. Bardzo lubiła tradycyjnie się zachowywać. Widocznie już to pójdzie z wódką do grabarzy tak sobie upoetyzowała w tej swojej głowie, że chciała potem o tym opowiadać do końca życia, jak to ona, najlepiej nocą (skończyło się na tym, że o dziewiętnastej, ale jesienią, więc ciemno) szła sama (no, nie do końca) z wódką i papierosami do

grabarzy. Najpierw to my w ogóle nie mogliśmy znaleźć tych grabarzy. No przecież nie zapytasz faceta na cmentarzu, przepraszam, czy pan nie jest przypadkiem grabarzem? Poszliśmy do kaplicy, z boku nalepiona była kartka, na której wydrukowano na komputerze „Lodówki obsługuje personel WC”. A WC było z tyłu. Weszliśmy tam i od razu upatrzyliśmy sobie bardzo godną babcię klozetową w kapeluszu z woalką. Odsikaliśmy się, przy czym w kabinach pełno było kwiatów w wazonach, jak na grobach, pewnie im zostawały po pogrzebach w kaplicy i trzeba było coś z nimi robić. Babcia klozetowa pełna godności, wręcz „dama klozetowa”, poinformowała nas, że owszem, grabarze mieszkają w budzie z łopatami nieopodal, ale teraz ich nie ma, poszli na robotę i wrócą za parę godzin. I dała nam wizytówkę z amorkiem zadumany: kamieniarstwo, usługi pogrzebowe, Hryćko & Chłopaki. Przed tym Hryćkiem nas ostrzegła, że jak wróci, to będzie skonany, a wtedy jest bardzo oschły, szorstki. Zresztą to wszystko ludzie po wyrokach, westchnęła.

Faceci w małym domku. Luje cmentarne.

– Mieszkali na cmentarzu? – oczywiście tu niby dochodzenie, a zaraz, że to do prozy, że czemu ja dotąd nie robiłem riserczu z grabarzami itd.

– Właściwie to tak. Jak nie mieli roboty, to od razu pili, a w nocy udawali, że pilną cmentarza. Mieli tam telewizor i ciągiem oglądali Jedynekę i Dwójkę, bo tylko to odbierali na antenę.

Widzę to. Cmentarz, a na środku cmentarza, w budzie przy kaplicy, w której leży już na katafalku trumna z babcią, oni oglądają brazylijskie telenowele i „Wiadomości”. Gdybyż ci prezenterzy wiedzieli, w jak dziwnych okolicznościach wyświetlane są ich twarze...

– Ale to jest hardcore, to są ludzie bez zasad, do cna zepsuci, przeżarci wódą. Nie wiem, może ten jad trupi, może... Bo jak eksmaż ciotki Bednarz latami pracował jako liternik wśród rozpuszczalników, robił szyldy jeszcze za komuny, to od tego całkiem mu odbiło, więc może na cmentarzu też jest coś w powietrzu...

Tak, jad kiełbasiany. Z kiełbasy. Kwas chlebowy z chleba. Kwas foliowy z folii.

– No i myśmy poczekali, aż wreszcie przyszli. Trzech ich było, grali w karty. Rządził nimi ten cały Hryćko. Okazało się, że to są ludzie bardzo niemili, oschli, szorstcy, tacy, że wszystko idzie jak po, nomen omen, grudzie. Kilka klas skończonych, a i to nie uważali, kiedy było o zasadach savoir-vivre’u. Jeden za chudy, jakby miał raka, a drugi znowu aż słoniowaty, trzeci w liszajach, a wszyscy lekko pijani. Jedli, znaczy się, mieli otwartą puszkę z konserwą rybną i jedli prosto z puszki.

Jak zobaczyli Sońkę nagle u siebie, to aż im te facjaty pokraśniały. Baby raczej rzadko ich odwiedzały.

No więc Sońka poprosiła, że jak będą przekopywać jakiś stary grób, to żeby jej odłożyli czaszkę. A ich zatkało, bo raz, że czasy, kiedy do nich studenci przychodzili po „materiał”, dawno się skończyły, a dwa: laska, piękna laska u nich!

Ale dobrze im zapłaciła wódką i oni w końcu się zgodzili. Dała im numer komórki. Po dwóch dniach oni dzwonią, „mamy dla pani czaszkę, ślicznotko, śliczną czaszkę mamy dla ślicznotki, he he”, i już Sonia widzi te krzywe ryje, jak się krzywią w uśmiechu. Poszliśmy i tu zaczyna się horror. Dali nam pakunek w siatce z Tesco. Ale od początku coś za ciężkie mi to było na czaszkę. No i jak tylko wyszliśmy z cmentarza, zaraz do jakiejś bramy. W środku poobwijane coś w gazety, sznurkami

powiązane, zrezygnowaliśmy z otwierania i do domu. W domu do piwnicy i nożem rozcinamy te sznurki. Okazuje się, że dali nam nie czaszkę, tylko po chamsku głowę jakiejś laski, z blond włosami, ciężką, z tkanką w środku, z twarzą! Tylko to otworzyliśmy, smród jak nie buchnie, ja pierdolę! Debile, oni czasem rozkopują dwuletnie groby, bo ktoś chciał mieć więcej metrów na swojej działeczce (ludzie zachłanni na metry kwadratowe i po śmierci) i podpłacił ich, a tam obok ktoś nie zapłacił czy co. No i to dla nich jest czaszka. I myśmy tą laskę przynieśli do domu! Namawialiśmy się, co robić, w końcu Sonia poszła do pralni w piwnicy i ją gotowała chyba ze dwanaście godzin, śmierdziało jak rosół na kości, tak kulinarnie. Ale jeszcze to mięso nie chciało odchodzić. Dobrze, że rodzice kupowali wtedy dom w Hiszpanii i ich nie było, a ciotka Bednarz ma pokój na samej górze, bo musi się ruszać, to jest jej fitness. Dawny mój pokój, jeszcze plakaty zespołów wiszą. Nic to gotowanie nie dało. Więc zakopaliśmy, znaczy, zakopała głowę, po miesiącu wykopała i dalej gotowała, nic, mięso nie chce odchodzić... Nie, to chore było. W końcu ja powiedziałem: „umyłam rękę, Sońka, wyglądasz już od tego gotowania jak jakiś Dennis Nilsen, seryjny morderca. Ta głowa nie chce być twoja, ta laska się mści zza grobu za to, żeś ją przyjęła od tych debili. Pokaż ją. Widzisz, jaką złośliwą ma minę? Widzisz, te włosy tlenione, ta twarz żółzowata? Ona mi wygląda na jakąś wstrętną biurwę, na jakąś zupełnie chorą babę z ZUS-u, na tą wredną sekretarkę, co tak cię męczyła o coraz to nowe dokumenty, jak zdawałaś na medycynę... Ona za życia ze spinaczami i dziurkaczami coś miała wspólnego, z pitem, z pieczętkami, z całym tym gównem dorosłych i teraz pisze na ciebie skargi do sądu niebieskiego, namawia się ze swoim prawnikiem... Zobacz, ona cię teraz będzie straszyć, ponieważ na czas nie odesłałaś pitu...”

Rzeczywiście, po gotowaniu, zakopaniu i ponownym gotowaniu głowa mogła się spokojnie przyśnić, przypominała mi z miny kilka żółzowatych gwiazd szołbiznesu, których tu nie wymienię, jakby po zbyt wielu operacjach plastycznych, jak ta kobieta kot. I teraz to ta głowa ją zabiła, klątwa głowy. Mnie też dopadnie...

Ale Sonia jest, to znaczy była, uparta jak osioł. Wymyśliła jakiś kwas czy inny środek chemiczny i po prostu wypaliła nim to całe mięso. No i zafundowała mi traumę, bo ja musiałem to wąchać. Od tamtej pory jestem veganem i jadam tylko w Machinie Organice.

Popatrzyliśmy na siebie ze Studencikiem i było widać, że zaraz po wyjściu stąd gęby nam się nie będą zamykały, np. gdybyśmy tak znowu wpadli do McDonalda na danie o wszystko mówiącej nazwie „kanapka drwala”... A Iwo nareszcie zakapował, że to może podpadać pod jakieś paragrafy, bo powiedział już tylko cicho:

– Ale nie będziecie mnie...

– Nie będziemy, jak będziesz nam pomagać – przerwał mu Studencik. Na szczęście wtedy już odezwał się domofon, Iwo pobiegł otworzyć i zaraz cały pokój wypełnił się ekipą. Niejaki Dudek od komputerów, koleś zupełnie bezbarwny, z wystającą grdyką i tłustymi, długimi włosami, od razu zabrał komputer z kablem i wszystkimi pamięciami USB, ten debilowaty „niezadowolony pracownik miesiąca” z Biblioteki Uniwersyteckiej znowu zaczął fotografować liść i znowu marudził, że tylko liść, a tyle hałasu, ściągał paluszki z okładki zeszytu, a gdy już zdjął, natychmiast ten zeszyt porwałem wraz ze zdjęciem w środku, otrzepałem z proszku i poszliśmy ze Studencikiem do samochodu.

– No to trochę się dowiedzieliśmy.

– McDonald?

– Ty się nie przyzwyczajaj, grubasku. Ale w sumie nie ma za wiele czasu, bo o dziewiętnastej w Starbucksie mamy tego twojego ogrodnika.

Luj w Starbucksie. Znów pomyłka stylistyczna.

Zjedliśmy, jak to się mówi, „coś w locie”, same pyszności z McDrive’a. Jednak co facet z furą, to nie hipster Mieszko na rowerku, jaka wygoda, podjechać, zjeść milion kalorii i w ogóle nie trzeba ich spalać, nigdzie się ruszać. Jedliśmy na parkingu.

– Michał, ty jesteś specjalistą od pojebanych, powiedz mi, co to jest za laska?

– A skąd mam wiedzieć, ja nawet tego pudełka nie otwierałem, skąd ci po czasie poznam? Ale z tego, co mówił Iwo, to może być jakaś inkarnacja takiej strasznej sekretary u nas na studiach...

– Co to jest za laska ta studentka, ta cała Sonia Kamińska? Żeby dziewczynka szła w nocy do pijanych grabarzy...

– Po pierwsze: nie dziewczynka, tylko osiemdziesiąt kilo żywej wagi plus ćwieki, glany i kolczyki, po drugie: nie sama, tylko z tym swoim emo braciszkiem, którego mogła sobie przyczepić jako charmsa do bransoletki, po trzecie: nie w nocy, tylko o dziewiętnastej, a czy już byli najebani, to też nie zostało powiedziane. Jedziemy tam jutro i o wszystko wypyamy.

– Dobrze, to sam jedź.

– O nie, na pewno tam sam nie pójdę! Ja sama bym się bała... A kim jest ta dziewczyna? Myślę, że dowiemy się z zeszytu. W ogóle ja się skupię tylko na grzebaniu wokół niej. Jeśli ktoś wyprawia takie rzeczy, to spokojnie może być pomocnikiem, no, pomocnicą seryjnego mordercy.

– Albo i zwykłą studentką, co po prostu chciała mieć na czym ćwiczyć...

Zadzwoił do prokurator i umówił się w tym samym Starbucksie o dwudziestą na zebranie. Była wykończona, ale oczywiście, jak się dowiedziała, ile jest nowych danych, zgodziła się przyjechać.

Miejsce do parkowania znaleźliśmy dopiero gdzieś koło Zetemesu na Mikulicza-Radeckiego i przeszliśmy się na plac Grunwaldzki. Starbucks był nowy, jak wszystko wokół, ale szybko i dosyć ładnie się starzał, stwarzając pewne nadzieje, że za piętnaście lat będzie fajnym, mocno rozklekotanym miejscem, z popisanymi kiblami i podstarzałymi (dzisiejszymi) gośćmi. Mnie pasował do spotkań, bo właśnie przed nim zatrzymywał się autobus spod mojego mieszkania. Kiedyś w lokalnej „Wyborczej” napisali, że przychodzi tu Witkowski, i odtąd miałem mnóstwo różnych talonów na kawę, kart itd. Umawiałem się tu z fanami i fankami z Facebooka, z dziennikarzami, z fotografami. Paula ani Młoda by tu na pewno nie weszły, bo czytały *No logo* Naomi Klein i ogólnie są przeciwko sieciom. W Starbucksie jak to w Starbucksie, głównie starbucks people grzebiący w smartfonach, i nagle na to wszystko luj! Ciekawe, co on zamówi.

Otóż błąd, nic nie zamówił, luj nie piją café latte. Siedział w kącie sali i bawił się kluczykami do samochodu. Oczywiście był mniej dziki od mojego Mariuszka z Międzyzdrojów, ale jednak. Na tle starbucks people bardzo rzucił się w oczy. Jego wątroba, nerki, jądra, jelita, mózg, zęby grzecznie przybyły tu wraz z nim i też siedziały opatulone w skórę i dzins. Był naprawdę cudowny. Bawił się komórką i tymi swoimi kluczykami, ukazując nie najczystsze paznokcie.

Wstał na nasz widok i podał nam rękę z respektem młodego posiadacza firmy, który musi dobrze trzymać z władzą:

– Bartosz Studziennik.

Bardzo porządny luj, ale zbyt kulturalny.

Już wcześniej ustaliliśmy ze Studencikiem, że ja będę prowadził przesłuchanie. To, co robiliśmy, urągało wszelkim zasadom, ale mleko już i tak się wylało, wręcz cała cysterna, Droga Mleczna. Studencik czytał mnie i znał mój stosunek do lujów, wiedział, że zawsze z nimi znajdę wspólny język, podobnie jak ze złodziejami i mafiosami, policjantami i tirowcami... Szkoda, że nie był zazdrosny.

– Pan prowadzi firmę Bartek & Chłopaki, która między innymi zajmuje się ogrodem państwa Kamińskich w willi na Moniuszki?

– Tak. Wszystkimi ich ogrodami.

– To oni mają jeszcze jeden?

– We Wrocławiu mają jeszcze jeden dom na Januszowickiej, w Hiszpanii mają, w Juracie, w Warszawie, a raczej w Konstancinie, w Berlinie. Ale my zajmujemy się tylko wrocławskimi ogrodami państwa Kamińskich.

– To kto tam mieszka w tym drugim domu?

– Jest w tej chwili wynajęty jakiejś firmie produkującej izolacje cieplne. – Jak pojawia się prawdziwy facet, to zaraz za nim nieodłącznie nadchodzi jego słownictwo, kostka brukowa, wulkanizacja, hydraulika, instalacje cieplne, naprawianie kranów! – Oni kupili ten dom na Moniuszki

niedawno, a tamtego teraz, przy takich cenach, nie opłaca się sprzedawać, więc na razie wynajęli. A firma chce mieć piękną trawę wokół domu, więc robimy po prostu wertykulację.

– Niech mi pan powie, czy dużo macie roboty z ogrodem w tej willi na Moniuszki?

– Mnóstwo. Pani Kamińska ma trochę... znaczy: uwielbia ten ogród. I dobrze, jest co robić. Czasem gdzieś wyczyta, w jakiejś „Werandzie” czy w „Domu & Ogrodzie”, że teraz to tylko tuberozy i magnolie, nic, tylko tuberozy i magnolie, od biedy krzaki głogu, więc trzeba wykopywać sadzone w ubiegłym roku (najmodniejsze wtedy) rododendrony i forsycje. Czasami udaje mi się na nią wpłynąć, tłumaczę jej, że lepiej mieć i tuberozy, i magnolie, i rododendrony, i wszystko. Potem, jak to zaczyna kwitnąć, jest szal. Nie wiem, czy widzieliście te piękne rododendrony i forsycje za domem? Nie? No tak, o tej porze roku to i tak zwykłe badyle... No i oczywiście sadzonki ze szkółki, Boże broń z Castoramy czy Obi. Przecież tam u nich, za przeproszeniem, taki dobrobyt, że nawet koty piją wodę Evian.

Więc, niestety, to nie jest luj.

Nawet koty piją wodę Evian! Odtąd jak będzie coś bardzo wysuczonego, to będę mówił, że koty piją wodę Evian!

– Te persy?

– Mają jednego persa i dwa zwykłe, czarne.

– Kiedy ostatni raz grabiliście liście? Tam rosną dęby i powinny leżeć ich liście.

– No, proszę mnie nie obrażać, żadna szanująca się firma nie dopuści za takie pieniądze, jakie oni nam płacą, żeby się pałętały liście na trawie! Ostateczne sprzątanie liści będzie pod koniec grudnia, bo jeszcze może coś spaść, ale takie solidne robiliśmy nie tak dawno, przed andrzejkami. To jest też ostatnie oczyszczanie ogrodu z grzybów, bo nie każdy wie, że grzyby to też chwasty...

Ach, wiem, oglądam „Maję w ogrodzie” na TVN Meteo...

– I jak je zutilizowaliście? Te liście?

– No, zazwyczaj to się pali, ale pani Kamińska nie lubi tego dymu, więc wkładamy w worki na śmieci i wywozimy.

– Dokąd?

– Na kompost.

Studencik dał znak, żebym już nie drążył, i zapytał:

– Znacie innych domowników?

– Tak, pewnie, pan Kamiński, pan Iwo, pani Sonia, pani Bednarz...

– Pan nie wie, że Sonia nie żyje?

Coś dziwnego stało się z jego twarzą, z jego oczami. Widać było, że ta wiadomość spadła na niego nagle i totalnie przytłoczyła. Że miał do tej Soni bardzo emocjonalny stosunek. Zamknął twarz w dłoniach i westchnął.

Spojrzelismy po sobie ze Studencikiem. Mieli romans, na bank mieli romans! Zuch Sonia! Takiego sobie ogrodnika przygruchała!

– No... wiedziałem, że zaginęła, to tak, ale co? Nie żyje?

Tak zupełnie?

– Nie żyje. Może pan nam ją opisać? Jaka była?

– No ogród to ona akurat miała gdzieś, tak samo jak pan Iwo. No, była taka... mroczna. Ubierała się na czarno. Myśmy z chłopakami ją nazywali, a nie, to nieważne.

– Niech pan powie, przecież nie powtórzymy jej rodzicom!

– Czarna Wdowa. Black Widow. Oni oboje z tym Iwem tacy zupełnie inni od rodziców. Rodzice uwielbiają słońce, opalają się wszędzie: w ogrodzie, na tarasie, kupują domy w ciepłych krajach, a dzieci? Na czarno i słońca po prostu nienawidzą. Blade jak wampiry. Tym dziwniejsze mi się wydawało, że ona tak się ostatnio ogrodem zainteresowała.

– Co? W jakim sensie?

– No, kazała sobie wyznaczyć za budą na narzędzia kilka metrów kwadratowych pod swoje jakieś tam niby uprawy organiczne czy inne zabawy. Dziwne mi się to wydało, bo kto w listopadzie zakłada uprawy. No, ponoć na studiach jej kazali czy co. W każdym razie sama tam przekopywała, cudowała. Podobno tylko na użytek rodziny. Na wiosnę chciała sadzić, bez żadnych tam nawozów, chemii, nic. No, już nie zasadzi. Ale co się stało? Jak zginęła?

Spojrzelismy po sobie ze Studencikiem: co my tam znajdziemy, kolejną jakąś głowę?

Studencik wyraźnie wzrokiem zakazał mi mówić, co się stało, ale nie mogłem się opanować i powiedziałem grobowym głosem:

– Została zamordowana.

Ale, Michaś, nie będziemy tu już robić zebrania z Aśką, bez przesady, jedźmy na komendę. Ona też dzwoniła, żebyśmy przyjechali, bo nie może się wyrwać.

Pojechaliśmy na komendę na Sołtysowicką. Kompletnie odnowiony budynek po ruskich koszarach. Nowocześnie, na kartę magnetyczną, w pomieszczeniach plazmowe monitory, wszyściutko jak spod igły.

– Tutaj to jest tak, że nie ma w ogóle schodów, tylko winda, jakby był pożar, to gratuluję. – Studencik machnął kartą i drzwi windy się otworzyły. W środku od razu wyczułem perfumy prokurator. Wraz z nami jechało jeszcze dwóch policjantów, a ja robiłem miny pod tytułem: „fajnie, chłopaki, was poznać, jestem nowym kolegą z dochodzeniówki, z drogówki, teraz takie stare ciotki zatrudniają, bo ciotki nie mają żony ani dzieci i nikt nie zmywa im głowy, że za bardzo poświęcają się pracy i nie wracają na obiad...”. Robiłem miny Rambo, unosiłem lekko lewy kąt wargi do góry, a wtedy Studencik nagle przy wszystkich powiedział teatralnym szeptem:

– To, Michaś, dostaniesz kartę gościa i jakby co, nie mów nikomu, że jesteś pisarzem i chcesz napisać kryminał...

No, wielkie dzięki!

Żeby się nie roześmiać, przypomiinałem sobie najgorsze okropieństwa z podręcznika do patologii, „łyżka trupia”, „wyciekliny gnilne”, „poród trumienny”, „strupieszenie”, „przemiany woskowo-tłuszczowe”, ale od tego było tylko gorzej i o mało nie dostałem głupawki. Zatykając usta, wyszliśmy z windy, a że Studencikowi moje humory zawsze się udzielały, więc weszliśmy do salki konferencyjnej, krztusząc się ze śmiechu.

– Co wam tak wesoło, chłopaki?

– Ja w windzie robiłem miny, że niby jestem nowym policjantem, za żadne skarby nie chciałem wyjść tu na obcego, a ten mi na cały głos, niby szeptem: „to co, Michaś, to chcesz napisać kryminał?”.

Teraz już śmialiśmy się w trójkę.

Prokurator odchrząknęła uroczyście i oświadczyła nam, że jest w ciąży, pierwszy miesiąc, więc zaczęliśmy jej gratulować, opijając to kawą, na stole pojawiła się paczka języków, które są największym osiągnięciem cukiernictwa III RP.

– A jak tam ten, którego już masz? Ile on teraz ma? Piętnaście?

– Kamil? Siedemnaście niedługo skończy!

Ile ona ma lat? Te dzisiejsze czterdziestki po botoksie wyglądają naprawdę młodo!

– No, zaczyna się trudny okres, nie chce się uczyć, szczególnie ze ścisłymi przedmiotami źle mu idzie, wagaruje... Ale co? Wyobrażacie sobie, tyle wolnego? Cały macierzyński? Jezu! Ja wstaję o czwartej rano i wracam do domu w nocy, jak Bóg da, a tu nic...

– Ja tak mam zawsze. – Mrugnąłem do niej. – Będę panią odwiedzał. I małą żabkę. Ale mam

nadzieję, że do tego czasu nasz sprawca zostanie już wykryty...

Spochmurnieliśmy.

– Dobra, bierzemy się za dochodzenie. Zaraz zadzwonię jeszcze po Wojtusia. Michaś, poznasz naszego Wojtusia, on to ci się dopiero przyda do prozy!

Popatrzyli po sobie porozumiewawczo.

– Niech ci pokaże swojego enena – Bartek mrugnął do mnie.

– Jakiego enena?

Zaczęli się śmiać.

– No, ładny chłopiec, trzyma go w lodówce w Zetemesie już od pięciu lat.

Nekrofilia zawsze wydawała mi się taka wzniosła.

Wojtuś był nijakim grubasem o wyglądzie magazyniera ze składu – jak to mówił ten ogrodnik? – izolacji cieplnych? No, coś w tym stylu. Nawet jego ubranie przypominało fartuch, choć nie wiadomo dlaczego, bo było po prostu najtańszym swetrem z targu czy jakiegoś Lidla i najtańszymi džinsami, podróba podróby. Ubrany był po prostu w ubranie, a nie w żaden dyskurs ani styl, od dawna nie widziałem czegoś takiego. Skóra też miała tani odcień, biorący się pewnie z pielęgnacji wodą z domieszką wody, zęby były żółte, palił jakieś gówniane papierosy, choć od drogich też żółkną, ale inaczej. Dłubał sobie w uchu, siedział w sobie wygodnie, jak wygodne jest stare, od dawna noszone ubranie. Natychmiast w reakcji na niego zacząłem się pilnować, przyjąłem postawę pełną gracji i złączyłem nogi.

– Cześć.

– No, cześć. To ty jesteś ten pisarz.

Prokurator wzięła na siebie prowadzenie całego spotkania. Najpierw my opowiedzieliśmy wszystko, czego dowiedzieliśmy się tego dnia. W dochodzeniu pojawiło się mnóstwo nowych ludzi: Bednarz, rodzice, ogrodnik (potajemnie czy zupełnie jawnie w Soni zakochany?), tajemniczy chłopak zamordowanej, Iwo, Alan, którego należało podpytać, czy tamtej nocy Iwo faktycznie był w klubach, doktor Kraśko, Joanna Grządziel – przyjaciółka z roku, nawet koty pijące wodę Evian, nawet syn Bednarz z poprzedniego małżeństwa i jej eksmąż, który zwariował od lakierów, grabarze, głowa „jakiejś laski” mszcząca się z za grobu na Soni...

– Na pierwszy ogień idą Kraśko i gach. Teraz czytamy jej zeszyt, zaraz skseruję, żeby nie było kłótni o to, kto czyta. No i pokażcie to zdjęcie ze środka. A z tą głową to ja bym jednak tego tak nie zostawiła. Iwo ewidentnie brał w tym udział. Trzeba wysłać kogoś do tych grabarzy. To jest... nie no, to jest jednak trochę skandal, ja wiem, że grabarze to są dziwni ludzie i mają swoje doły związane z zawodem, ale bez przesady, żeby taką głowę komuś dawać. Gdyby dziewczyna była mniej odporna psychicznie, to mogliby spowodować u niej trwałe zmiany, wiktylizację.

– Skąd wiesz, że była zdrowa? Gotowanie głowy świadczy raczej o tym, że była nieczuła jak głaz, w sumie psychopatka. A że pozwoliliście jej starym wyjechać, to mnie też dziwi. – Wojtuś zgniótł kubek po kawie z automatu. – No i liść. Jeden ktoś podkłada Michałowi, a drugi – kładzie na łóżku zamordowanej, na poduszce, co ważne. No, wybaczenie, ale tam to już chyba postronna osoba z ulicy

nie mogła wejść. Albo chodziło o to, żeby pokazać, że nawet w tak intymne miejsce, jak łóżko zamordowanej, może wejść. Musiał kogoś o to poprosić albo...

– Albo mamy mordercę w domu – westchnęła prokurator. – Iwo, Bednarz, rodzice... Trzeba się jak najszybciej dowiedzieć, kiedy to łóżko zostało zaścielone i od kiedy liść może tam leżeć. Kto i kiedy ostatnio widział to łóżko bez liścia? W ogóle trzeba natychmiast ściągnąć Kamińskich do domu, co to ma być za wyjeżdżanie? Pamiętajcie: znajdziemy mordercę Czarnej Wdowy – Wszyscy już tak mówiliśmy na studentkę – znajdziemy Przedwojennego Mordercę winnego dwudziestu pięciu zabójstw!

Zamilkła na chwilę. W końcu powiedziała cicho:

– Tak sobie myślę, że nie damy rady sami. Spróbuję jeszcze kogoś skierować do pomocy. Ta przecież kopła coś w ogrodzie przed śmiercią. Iwo nie ma alibi. Bednarz, po mojemu, też. Ojciec w sumie też. Kto prowadził dochodzenie w sprawie zaginięcia Czarnej Wdowy, zanim zrobiło się z niego morderstwo?

– Dzielnica.

– Dzielnica... Hm... Wojtuś, zaproś tu na jutro rano dochodzeniowca z dzielnicy, który to prowadził. My nawet nie wiemy, o której wyszła z domu, trzeba prześledzić jej ostatnie godziny. Poszła do tego jakiegoś swojego faceta? Myślisz, Bartek, że oni w ogóle się starali?

– No, znają tatuśka tej Czarnej Wdowy, a właściwie jego pozycję, to mogli się starać.

– To dobrze. Wojtek, ściągnij go tu jutro na ósmą, a jak będzie marudził, to na dziewiątą. No nic. Przez noc czytamy zeszyt, jutro Michaśka z Bartkiem od ósmej rano stawia się tu na odprawę i ruszamy na całego.

Od ósmej rano za dwa tysiące siedemset! Wpadłam.

– Michaśce trzeba dać ogon, bo on jej jeszcze coś zmaluje.

– Ja nie pójdę do domu bez Bartka, ja się boję!

– Bartek, będziesz musiał spać u Michaśki. – Śmichy-chichy, ironiczne, ale ile szczęścia! To może byśmy się teraz przez chwilę nie zajmowali już tym całym dochodzeniem, tylko pojechali sobie do Almy po... Aha, jest dwunasta w nocy, pięknie. To znowu do McDrive'a!

W tym momencie właściwie już mogłaby się ta opowieść dla mnie skończyć, cel osiągnięty, żyli razem długo i szczęśliwie na pięćdziesięciu dwóch metrach w prestiżowej dzielnicy Wojnów, z widokiem na pociągi, na Kolej Transsyberyjską jadącą tajgą i tundrą. W mieszkaniu rozgościł się jakże mu obcy zapach papierosów marlboro light, w mieszkaniu leciała non stop puszczone na ful Amy. Siedzieliśmy w łóżku, na kolanach notebook i non stop trwało pidżamowe YouTube party, a pomiędzy dziki seks i robienie kawy z dyzajnerskiego ekspresu do małych czerwonych filiżaneczek. Jak nam brakło pieniędzy, to zanosiliśmy do Domina kolejny podłożony przez mordercę złoty pierścionek, sprzedawaliśmy na złom i zamawialiśmy frykasy na Alma24 w sieci, a moi kochani kurierzy, zmachani jak nieboskie stworzenia, dzielnie dostarczali nam pod drzwi całe zgrzewki mineralnej, wina, sztangi fajek, słoiki z oliwkami i łososia. Tak właśnie mogło być i – do diabła – tak właśnie miało być!

Jednakże wtedy wybiła północ i zadzwonił telefon stacjonarny, który odebrała prokurator. Już wychodziliśmy, ale jak zobaczyliśmy jej minę, to zrozumieliśmy, że nigdzie nie idziemy, a ona popatrzyła na nas bezradnie i było widać, że wyspi to się może na tym macierzyńskim, nie wcześniej. Wszyscy od razu wiedzieli, że znowu się stało. Jednocześnie rozdzwoniły się wszystkie komórki poza moją.

Jak strażacy, którzy zjeżdżają do pożaru po rurze, już byliśmy na dole, już byliśmy w wozie, ze wszystkimi Wifkami i oprawcami jechaliśmy na sygnale, na ulicach panowały idealne warunki, zero aut i migające na pomarańczowo, wyłączone na noc światła. Wszyscy poza mną rozmawiali przez komórkę, przez dwie, trzy komórki naraz, palili papierosy, parę papierosów, całą paczkę. Studencik, przysięgam na wszystkie świętości i niech mi prawą rękę odejmie, jeśli kłamie, wyglądał przez chwilę zupełnie jak Daniel Craig w *Millenium*. Z miny w każdym razie, bo w ogóle to był o wiele większym ciachem, z tą swoją urodą południowca.

Szalet na placu Świętego Macieja. Znałem go. Zabytek. Swego czasu robiłem mu zdjęcia, bo był wyjątkowo malowniczy, przedwojenny i mroczny. Do dziś działał, zawsze tam jakaś stara siedziała i czekała nie wiadomo na co, marzyła o niebieskich migdałach, nie dawała się odlać, brandzłowała się do upadłego, że mało jej nie odpadł. Piękny szalet, usytuowany na granicy parczku zajmującego środek placu, ogrodzonego żelaznym płotem jak w Londynie, zewsząd otoczonego przedwojennymi kamienicami. Rzeźbienia, kwiatuszki z metalowych pręcików, ozdóbki. W ogóle plac Świętego Macieja to było kolejne miejsce, które nigdy nie zaakceptowało żadnych powojennych zmian, pozostało niemieckie do cna.

Tylko się zbliżyliśmy do miejsca zdarzenia, stało się jasne, że medialna bomba właśnie wybuchła, i to od razu na skalę ogólnopolską. Beza z jakiejś tam „Dolnośląskiej” i Wanda Ziembicka z lokalnej telewizji oraz panie z dolnośląskiego dodatku do „Wyborczej” ze swoimi cyfrowymi dyktafonikami zostały już zadeptane przez rozstawiające odbłaskowe namioty ekipy Polsatu i TVN 24, prowadzący, cali w podkładzie i żelu do włosów, recytowali nerwowe sprawozdania do włośchatych mikrofonów. A tu nawet jeszcze nie rozciągnięto taśmy policyjnej. Wojtuś bawił się nią nerwowo, siedząc w samochodzie. Nie dało się też ukryć, że musiał jeść kapustę kiszoną, bo strasznie nasmrodził.

– No to się posrało.

– Uwielbiam pracę na wizji – skrzywiła się prokurator i otworzyła puderniczkę z wielkim napisem Dior.

Wanda Ziembicka, ubrana cała na czerwono, jak z Almodóvara, z rudymi włosami, nagrywała przed kamerą sprawozdanie na tle szaletu, widać jednak nie dała się ogólnopolskim telewizjom.

Moja komórka też dzwoniła, numer identyfikujący się na ekranie „baba z gazety”, więc

wyłączyłem aparat, bo nie sądziłem, aby wywiad miał dotyczyć mojej twórczości ani mody.

– Michaśka, ty się chowaj, bo jak oni jeszcze ciebie tu zwęszą, to będzie totalny miszmasz. Nie wolno ci w ogóle odezwać się do mediów. Nawet „cześć” do znajomego dźwiękowca. Nic. Dobrze, że jesteś łysa, może cię nikt nie pozna, gwiazdeczko. Wyglądasz na osiłka z siłowni, niezbyt inteligentnego, nie obraż się. Kaptur nałóż.

Rzeczywiście, kaptur nie rzucał się w oczy, bo na dworze był pierwszy w tym roku solidniejszy mróz i padał śnieg. Wokół szaletu kręciło się kilku policjantów i usiłowało zatarasować drzwi, o ile zbudowana jak muszla ślimaka pikietka ma coś takiego. Otwór. Wyszliśmy, a wraz z nami zaparkowały jeszcze trzy duże policyjne wozy, więc chwilowo media i tłum zostały spacyfikowane i odsunęły się od blaszaka. W oknach kamienic na placu Świętego Macieja siedzieli ludzie, jakby było lato, Paula by nie siedziała, bo nie została jeszcze milionerką, ale tu sami milionerzy, wszędzie ludzie, ludzie z wszystkich czasów, sprzed wojny, ze wszystkich wymęczonych powojennych dziesięcioleci, śmierzących skwaśniałym nabiąłem w Pedecie, postukujących butelkami z mlekiem o piątej rano, ludzie śpiewający w Emdeku na Kołłątaja *mkną po szynach niebieskie tramwaje przez wrocławskich ulic sto*, ludzie dzisiejsi, którzy z powodu mieszkania w nieodremontowanej dzielnicy nie załapali się na dyskurs sukcesu i Miasta Spotkań, duchy z Mattiasplatz. Z okien, mimo mrozu, patrzyły dzieci, które nie miały przeżyć nawet pierwszej wojny światowej: umrzeć na szkorbut, koklusz, anemię. Całe miasto było w duchach, duchy obudziły się i zabijały, duch głowy szalał, duchy miały dość unijnych dotacji i nowych stadionów na Euro, remontu dworca i „Capitolu”, remontu wszystkiego, wielkiego wyganiania ich z każdego kąta. Duchy chciały Wrocławia starego i rozklekotanego, z koszarami, z zapachem węgla i koksu, z żułami na dworcu i kurwami nie pierwszej świeżości na Gwarnej, z neonem „Dobry wieczór we Wrocławiu” i z ciotkami wyglądającymi w barze mlecznym Mewa, co się dzieje po drugiej stronie w pikiecie Podwójnej.

I tu, na placu Świętego Macieja, trochę tak było. Stare cioty zapaliły sobie beczki ze smołą i grzały się przy nich jak zomowcy przy koksownikach w stanie wojennym.

Na mrozie, między duchami, łąziła o kiju gruba Roma Piekarzowa, zapatrzona ze łzami w oczach w swoją pikietę, na którą szła zwykle na obciąg po zrobieniu zaczynu na ciasto, a teraz czyjaś ręka nalepiła na niej plakat reklamujący coś zupełnie niezrozumiałego.

Wyciągała z kieszeni materiałową, posklejaną chustkę i wycierała nos, bo na mrozie zawsze dostawała kataru. Obok niej, oglądając się za co fajniejszymi chłopakami, marzyła z siatką w ręce Radwanicka. W siatce miała zajebany z samu słoik dżemu, którym mogła przywalić w pysk wrogim elementom. Ignorowała policjantów, bo za dużo od nich przed śmiercią wycierpiała, choć nie bez własnej zasługi. Gorące hot dogi wprost z budy (po nieprzyzwoicie zawyżonych cenach) sprzedawała Jacka. Chwiały się na wietrze pomordowane męczennice: Kora, Lukrecja von Szretke, Hrabina, Jaśka od Księdza, Olga. Paliły papierosy, bo pochodziły z czasów, kiedy jeszcze nie rzucało się palenia, poprawiały sztuczne szczęki i łakomie patrzyły na blaszak, jak wampiry na krew. Wśród nich z rozświetlonymi, jakby rozmodlonymi twarzami chodziły wariatki takie, jak Maciejowa czy Gizela, wyciszone, bo na potrójnej dawce leków uspokajających, mocnych, od dwudziestu lat

wycofanych z aptek, wśród których „halopopierdol” był jeszcze najśłabszy. Chodzili cinkciarze i mafiosi z Monopolu – Małpa, Wariat, Lewy – w którym nie było jeszcze Likus Concept Store’u, tylko ich kawiarnia. Z nimi stała i płakała Goldzia, czyli Piękna Helena, gotowa w każdej chwili wymienić dolary na złotówki po kursie z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego roku. Stały wszystkie babcie klozetowe, które poznikały na początku lat dziewięćdziesiątych, stała Matka Joanna od Pedalów, wszyscy żebracy, Jasio Pawie Oczko, Hrabia Czajkowski, Semafor, pytający każdego o numer tramwaju, ta z szopą włosów, co gadała do siebie...

Wszystkie one tonęły w śnieżnej mgłę jak wiedzmy. Nasze cioty kupiły się razem, aby nie pomieszać się z grupą zupełnie nam nieznaną, przedwojenną, tragikomiczną „skórzanych” ciot niemieckich z podkreconymi wąsiskami. To one wybudowały ten szalet dla siebie i działało się tam w latach dwudziestych, a nawet w trzydziestych, mimo że faszyzm tępił pedałstwo. Trudno się dziwić, że nie lubiły naszych, zostały w końcu wypędzone, a ich blaszakiem cieszyły się obce. Nasze patrzyły na nie nieufnie, raz po raz uśmiechając się złośliwie lub ironicznie, z miną zwyciężczyń historii, ale widać było, że czują szacunek do obcokrajowca dewizowego, rodem jeszcze z lat osiemdziesiątych, że zaraz się zaprzyjaźnią, będą sztucznie miłe, będą chciały załatwić sobie saksy w Niemczech. Cinkciarze miętosili w rękach dojczemarki, gotowi w każdej chwili do podjęcia targu. Stały też cioty osiemnastowieczne, siedemnastowieczne, otwarte na świat, wszechstronne cioty – kobiety renesansu w beretach jak z portretów, podróżujące statkami i odkrywające nowe lądy, nowych lujów... Świętojeblliwe cioty ze średniowiecza, surowe cioty z okresu romańskiego i nawet dziko rozwiązłe z epoki kamienia łupanego, cioty dinozaury, cioty wykopaliska, cioty krzeszące ogień hubką w jaskiniach, zezowate cioty z osady z VIII wieku p.n.e., niedomyte cioty składające pokłony wielkiej maczudze w zaroślach góry Ślęzy, drobne cioty z kultury łużyckiej, bardzo aktywne seksualnie i rozpieszczone z powodu obfitości i bujności niedogolonych łużyckich lujów, będące odpoczynkiem wojownika cioty celtyckie, nerwowe cioty Wenedianki, piszące po ścianach pikiet i niszczące ławki w parkach cioty Wandalki, ubrane na czarno i ufarbowane jak Iwo gotyckie ciotki Gotki, ciotki Hunki, Sarmatki, Białochochwatki... I jedna, która była tak zakręcona, że sama nie wiedziała, do jakiej grupy się zalicza. Pochodziła z kultury sznurowej, lecz wiedział o tym tylko jeden stary profesor z polonistyki, profesor Woronczak, też już od dawna nieżyjący, ale przybyły tu z wiaderkiem na śmieci. Wszystkie one patrzyły na cywilizowane cioty z wyższością, gotowe w każdej chwili przypierdolić kamieniem łupanym lub kawałkiem brązu, ponieważ miały bez porównania więcej i lepiej od nich z tymi swoimi maczugami. Tylko Radwanicka, też w sumie dzika, z tym swoim dżemem miała by się czym bronić, ale Radwanickiej żadna nie zaczepiała, bo jak mawiała Jessica: „elektryka prąd nie tyka”.

Wysiedliłmy. W blaszaku pracował ten sam zły i olewający wszystko techniczny od T-shirta z napisem „niezadowolony pracownik miesiąca”, ale zaraz miała dojechać cała ekipa, bo odtąd nasza sprawa zyskała najwyższy priorytet, społeczeństwo dowiedziało się, i to od razu o wszystkim: grasuje seryjny morderca! Nie wchodziłem do środka, ale z ciekawością obserwowałem załamana minę wychodzącego Studencika. Spojrzał na mnie bezradnie, wzruszył ramionami, podał mi wielką latarkę i szepnął:

– Stań w progu i zajrzyj. Nie dotykaj.

Nie trzeba mnie było dwa razy prosić. Stałem w zaduchu dezynfekcji i moczu. W środku była typowa „rozwiazda”, oszczane ścianki wokół centralnej osi.

Głowę trupa obwąchiwał szary, spasiony szczur, który na mój widok natychmiast czmychnął. Już się nawet nie stara ten morderca. Ani przebrany, ani nic. Otwarte oczy, i odrobina krwi w kąciку ust. Leżał w czarnym płaszczu, z rozrzuconymi dookoła czarnymi, farbowanymi włosami. Sina szyja oznaczała, że został uduszony.

Iwo.

Czarny, obgryziony paznokieć. Waga emo. Studencik stukał mnie ręką w plecy i coś mówił, a ja stałem i patrzyłem w zardzewiałą ścianę. Tatuaze na rękach i szyi, „żeby było widać nawet w ubraniu z długim rękawem”. Jak to ci z Fashion Weeka. Tunele w uszach, ale w początkowym stadium rozwoju i już więcej nie będą podkręcane.

Głowa cię dopadła.

Studencik niemal siłą wyciągnął mnie na zewnątrz, a ja ukryłem łysą głowę jeszcze głębiej w kapturze, bo dookoła nas strzelały flesze.

Schowałem się do samochodu. Wszystko widziałem jak na zwolnionym filmie. Rozwalił mnie ten szczur. Musieliśmy być blisko, skoro Iwo zginął. Gdy tylko będziemy się zbliżać do mordercy, świadkowie będą ginąć. Teraz pójdziemy do akademika, znajdziemy przyjaciółkę tej całej Czarnej Wdowy i na drugi dzień ona zginie, a u mnie wyląduje jej pierścionek. Swoją drogą, ciekawe, czy Iwo ma całą swoją biżuterię? Miał mnóstwo małych kolczyków na uszach, miał przebitą brew i koło skroni, czego on tam nie miał, pierścionki, polakierowany paznokieć, jak tu teraz sprawdzić, czy nic nie zginęło? Musimy być ostrożniejsi ze świadkami. Ogrodnik!

– Bartek, trzeba uprzedzić ogrodnika, żeby się pilnował! – powiedziałem to do siebie, bo przecież nie będę krzyczał o naszych sprawach przez okno. Ktoś otaczał szalec biało-niebieską taśmą, choć właściwie wszystkie ślady i tak zostały już dawno zdeptane przez tłum. Jeśli oni zamierzają wypytywać wszystkich tych ludzi w oknach, czy coś widzieli, to nie zazdroszczę.

I nagle się rozryczałem, ciekło mi z nosa, wycierałem go w rękaw, bo nie miałem chusteczki.

Tymczasem Wanda Ziembicka wesoło zapukała w szybę samochodu, cyknęła mi zdjęcie, pomachała i już jej nie było.

Musimy być o wiele ostrożniejsi ze świadkami. On nas obserwuje i odtąd musimy mu pokazywać fikcyjny obraz śledztwa. Nie może być tak, że on widzi, że Michał z Bartkiem wchodzi np. do jej przyjaciółki.

Siedzieliśmy znowu w tej samej salce konferencyjnej na komendzie. Byłem śpiący i nie mogłem już pić kawy, ale za nic teraz nie zostałem bez Studencika. Iwo to jednak już było blisko mnie. Rozmawiałem z nim trzy godziny wcześniej.

– No, ale jeśli Michał z Bartkiem będą grali przed nim fikcję, to praktycznie nie będzie z nich wielkiego pożytku.

– Nie wiem, ja w każdym razie będę spał tej nocy w hotelu. I to z Bartkiem. I bym już się... byśmy się już zbierali, bo jest czwarta nad ranem.

– Wojtuś z tobą pojedzie, my musimy tu jeszcze z Bartkiem popracować.

O nie!

Kiedy Studencik zobaczył moją minę, mimo wszystko lekko się uśmiechnął i zlitował.

– Jadę z nim. Jutro. Wszystko jutro. Ty też powinnaś iść do domu, Aśka. Jesteś w ciąży i w ogóle.

– Powiadomiliście tych rodziców? Tracą drugie dziecko, ja do nich nie zadzwonię.

Uciec stąd. Uciec, zanim te wszystkie problemy na nowo nas uziemią!

Ale wtedy ta cała Aśka powiedziała coś, co wszystko zmieniło na lepsze:

– Poczekajcie. – Oparła głowę o ścianę i chwilę milczała, zbierając myśli. Wszyscy czekali. – Nie, tak nie możemy zrobić. On jest już w tej fazie, że się nie stara, nie pilnuje, on już nie obmyśla, chce zabijać, coraz więcej i szybciej, nie ma czasu na strojenie, cudowanie! Dlatego teraz łatwiej się zdradzi, ale jednocześnie będzie coraz więcej ofiar, coraz krótszy interwał. Obawiam się o wszystkich związanych ze sprawą. Michał, nie chcę cię straszyć, ale nie możesz tu zostać. Skoro on was obserwuje, skoro on będzie zabijał tak długo, aż nas wszystkich wykosi, to musimy skorzystać z tego, że nie może się rozdzielić. Powinniście wyjechać.

– Tak! Do Międzyzdrojów! Ze Stu... Z Bartkiem! Tak!

– Tak, wsiądźcie w jakikolwiek pociąg i jedźcie, byle na północ. Mogą być Międzyzdroje. Czy pojechał za wami, czy został z nami, to się okaże szybko. Tam też łatwiej go będzie wyłowić, w tej pustce.

Brrr.

– No, ale co? Tak bez ochrony wystawiacie nas na wabia?

– Wojtuś...

– Nie rozśmieszaj mnie! – podniosłem głos na prokurator. – No, w ogóle bardzo profesjonalne podejście! Po pierwsze, przy całym szacunku, pan Wojtek jest osobą, hm... charakterystyczną. Po drugie – co on, ten morderca, jest taki durny, że nie widzi, że wchodzimy do pociągu, a z nami wsiada dwóch smutnych panów, a potem my i ci panowie wysiadamy w Międzyzdrojach? Nie, my musimy jechać sami, a ochrona musi się pojawić na miejscu. Ktoś z lokalnej policji. Oni mi mówili, jak kręciliśmy Kulisy Sławy, że się nudzą, bo w zimie to tylko jakaś staruszka co jakiś czas się zapije...

– Dobrze mówisz. Ale i tak ktoś powinien obserwować naszą podróż, żeby sprawdzić, czy on nas nie obserwuje. Pociągi są w tej chwili tak puste, że każdy rzuca się w oczy. I niekoniecznie Wojtuś, bo on go już zna.

– No i trzeba sprowadzić solidnego profilerę. Tego z Katowic. Bohdana Lacha. To jest człowiek instytucja, ten pan Bohdan! – ucieszyła się prokurator.

– No. I trzeba zrobić konferencję prasową. I jak najszybciej przesłuchać przyjaciółkę i rodziców... I zapewnić im ochronę... Nie, faktycznie dziś już nie damy rady.

środa, 5 grudnia 2012, godz. 5 rano

Czyli jak zwykle: grudzień, ja do Międzyzdrojów, kąpać się i opalać, filtry słoneczne już przecenione, mam taniej, pociągi już wycofane, mój sezon, hotele już za pół ceny albo pozamykane. Leżałem w pustym przedziale, miałem całą stronę dla siebie. Oczywiście ogrzewanie się zacięło i było jak w saunie, snickersy i princessy, co je kupiliśmy w jedynym czynnym o tej porze kiosku na dworcu, roztopiły się. Ściągnąłem buty. Myślałem, że od razu zasnę, tak mnie to wszystko złachało. Za czasów, gdy byłem jeszcze pisarzem, a nie policjantem, spałem do oporu, a potem jeszcze dwie godziny beczelnie piłem kawę w łóżku, czytając sobie bez pośpiechu, a teraz ciągle ganiałem. Tymczasem zasnął po drugiej stronie Studencik. Leżał, a lodowate fabryczne światła jakichś przedmieść, przez które przejeżdżaliśmy, raz po raz oświetlały mu pomiętoszoną twarz trupim, białym światłem. Cierpisz Jadwiga, krawężniczka z Międzyzdrojów, miała grać rolę naszej ochroniarki, tyle tylko dało się załatwić „na dzień dzisiejszy”, po nocy. Była to osobka specyficzna: policjantka o wyglądzie moherowej baby, z trwałą na barana, w spódnicy i włochatym golfie, a ponoć wcale zdolna i skuteczna, uważała, że się marnuje w Międzyzdrojach, które tylko w sezonie przypominają Miami. Ta korpulentna pani jeździła po miasteczku na rowerze i zawsze z jakimiś siatkami, w których miała zakupy na obiad. Trudno było sobie ją wyobrazić z odznaką.

Dzwoniłem do Jadzi Parszywej, ale była tak najebana, że zrozumiała chyba tylko tyle, że jadę do niej. Ciągle mówiła o jakiejś głowie. Dzwoniłem też do mojego luja, ale włączała się tylko durna muzyczka, a potem wielce symptomatyczne nagranie dokonane najprawdopodobniej na wietrze, na przystanku, nagraj się, cze, ani dzieńdoberek, ani pocałujcie mnie w dupę, tylko pociąganie nosem, bo mam katar, a wszystkie chusteczki i ibupromy zatoki, multiwitaminy, minerały, hallsy, vita c od czasu wyjazdu Michaśki dawno się skończyły, inni luje też mi trochę wytracili na przystanku, daj chusteczkę, kopsnij szluga, daj tabletkę, daj vita c, rutinację, ty masz tyle tego od pedzia... Teraz znowu stoi się na wietrze, wyciera nos w rękaw katany, teraz znowu obgryza się paznokcie, sika się w bramie i znowu nie je się nic ciepłego. Ale ciocia jedzie. Wiezie termos z gorącą herbatą malinową, cukierki ślazowe prosto z Bullerbyn, wiezie ciepły szaliczek z napisem „Pogoń – fanatycy z Północy”...

Im bardziej posuwaliśmy się na tę fanatyczną północ, tym bardziej fanatyczna zima rozpętywała się za oknem. W pociąg waliły nawałnice śniegu. Śnieg, który we Wrocławiu od razu topniał, tu już tworzył zaspę. W moim smartfonie wszedłem na TVNMeteo i według nich było minus piętnaście stopni, przynajmniej w Szczecinie. Raz po raz staliśmy w polu, jakby tory utonęły w zaspach. Wszedłem na portale gazetowe: „Wyborczą” i tabloidy. Wszędzie nasz morderca. Wszystko nagle wiedzą. Że przebierał ofiary, że w pedalskich miejscach, że studentka i jej brat, że to dzieci słynnego polityka i biznesmena Kamińskiego Stanisława... Wszystkie programy telewizyjne żerujące na krwi

już kręcą na ten temat reportaż. Przypomina się poprzednich seryjniaków, Wampirów z Zagłębia, Arnolda, Kota, Tuchlina, Knychałę, nekrofila Kolankowskiego, Pękalskiego... Dla „Wyborczej” wypowiada się słynny profiler z Katowic Bohdan Lach i nie mniej słynny Kacper Gradoń. Dla „Super Expressu” – jasnowidz z Człuchowa, Jackowski Krzysztof, który widzi jeszcze długą serię, zaś dla wp – ksiądz egzorcysta, a wszędzie – Katarzyna Bonda. Mnie jeszcze tym nie ubabrali.

W przedziale obok ktoś kaszłał, jakby miał gruźlicę płuc, ale nawet nie interesowało mnie już, czy to ten morderca. Niech się nasza ochrona martwi. Naszą ochroną było wydelegowanych dwóch młodych chłopaków, moim zdaniem z drogówki, ale nie pytałem, bardzo sympatycznych i zupełnie nieskutecznych. Wchodzili do pociągu w sposób tak ostentacyjnie niezwiązany z naszym wchodzeniem, tak się nie rozglądali, tak nie wgapiali się w każdego innego podróżnego, że raczej należało uznać to po prostu za urlop dla nich i wycieczkę dla podleczenia zdrowia. W końcu Międzyzdroje uważają się za uzdrowisko. Ja wyłudziłem paralizator i już czułem się w rzeczywistości jak w domu, co ręka na stali, to ręka na stali.

W przedziale śmierdziało niemiłosiernie papierosami, do czego też przyczynił się ochoczo Studencik (palił na korytarzu, ale drzwi nie dało się do końca zamknąć, zostawało dziesięć centymetrów szpary). Było coraz bardziej gorąco, gorączka zimowej nocy w przedziale drugiej klasy PKP. Próbowałem otworzyć okno choć na centymetr, ale dla odmiany przymarzło. Nikt nie sprawdzał biletów, nie było kogo zapytać, co z tym ogrzewaniem, pociąg widmo. Dość długo staliśmy na jakiejś stacji bez nazwy, na kiju był tylko napis „peron”, więc staliśmy na tej stacji Peron, potem ruszyliśmy powoli, leniwie, aż w końcu, za Stargardem Szczecińskim, utknęliśmy na dobre w polu, a raczej w śnieżnej pustyni, z której wystawały ponure, pozbawione liści drzewa z licznymi kulami jemioly. Wyłączono prąd i nareszcie zrobiło się trochę chłodniej, choć nie należało się z tego zbyt cieszyć. Zasunąłem firanki i pocałowałem śpiącego Studencinę w nieogolony policzek.

Tyle mojego.

Leżałem z zamkniętymi oczami, raz po raz czując światła wymarłej Polski na twarzy. Myślałem o wszystkim, o panu Ząbku, o Międzyzdrojach, i nagle przyszło mi do głowy, że wcale bym się nie dziwił, gdyby Przedwojennym Mordercą okazał się mój drwal. Wszystko do niego pasowało: musiał mnie nienawidzić, a po *Drwalu* to już w ogóle, był kompletnym świrem, na dziewięćdziesiąt dziewięć procent nekrofilem i miał hopla na punkcie przedwojnia. Od początku z daleka pachniał mi czymś podobnym i broniełem się przed tą myślą, tylko żeby nie stracić atrakcyjnego noclegu, jakże przydatnego do prozy. Tymczasem już wszystko opisałem, spieniężyłem i kupiłem, wykończyłem oraz umeblowałem za *Drwala* mieszkanie z widokiem na tajgę, tundrę, domek Cabirii i Kolej Transsyberyjską.

Studencik zaczął trzeć oczy, obudził się, wsadził byle jak nogi w trampki (nie ubrał się zbyt ciepło), przygniatając pięty, i wyszedł na papierosa przy zamkniętym, zamarzniętym oknie. Wyciągnął szczeniaczka wódki gorzkiej żołądkowej, który robił mu za piersiówkę, i łyknął. Zdaje się, że

w czasie, gdy ja się męczyłem, on miał tu całkiem niezłą imprezę. Wyjąłem snickersa, ale pokręcił głową, więc sam go zjadłem, bo w swoim nowym, policyjnym życiu już nie dbałem o to, co jem, skończę jak Wojtuś, słoniowatość, podbródek (nazywany przez mojego brata „eurozłącza”) i pierdzenie.

Pisałem do Pauli mejla w komórce. Wszystko słowo w słowo jej opisałem i kazałem na razie samej się wywiadywać, a przede wszystkim poprosiłem ją, aby poszła na Cmentarz Osobowicki lub inny i pogadała z grabarzami, że niby chce kupić głowę. Ponoć „dziś prawdziwych grabarzy już nie ma”, bo firmom pogrzebowym opłaca się kopać doły i za wszystko pobierać opłaty, ale kiedyś to byli cudowni degeneraci i jeszcze kilku przeżytków dogorywa, szczególnie niejaki „Janosik” na cmentarzu na Bujwida. W dresiku, w białych adidasach. I żeby wszystko mi opowiedziała, jak siedzieli, jak patrzyli, jak ubrani, co leciało w tle itd. Obiecałem jej za to jedne z moich rozlicznych perfum, zupełnie jeszcze nową setkę Sisleya, na którą kurwizsoneria od dawna ostrzyła sobie zęby. Poprosiłem ją też, żeby na siebie uważała, ale bez nacisku, bo nie chciałem, żeby dostała hysterii. Choć z samego opisu ostatnich wypadków wiedziała już o wszystkim. Zresztą dziesięć procent mejla było historią dochodzenia, a dziewięćdziesiąt opisem, jak rozkosznie śpi sobie (czy spał) Studencina i że jedziemy do Międzyzdrojów, kolejowy romans z policjantem, jak w filmie *Zbrodniarz i panna* z Cybulskim, co też jechali, i nawet Studencina miał coś czasami w lewym profilu z Cybulskiego, a przede wszystkim w tym swoim ironicznym, inteligentnym uśmiechu, który wie więcej, niż sytuacja wskazuje. Zawsze ironiczny i zdystansowany, krzywo się uśmiecha, „gdybyście mieli moje informacje, nie podniecalibyście się tak, bo to to jeszcze pikuś” itd. Zbyszek Cybulski w Międzyzdrojach z lat sześćdziesiątych i ja w roli tej całej panny, co to na chwilę z banku, z okienka wyniesiona, podniesiona... I on też wystawiał ją na wabia, łowił zabójcę na żywca, tak jak teraz ja nim będę, brr!

W mejlach głównie opierdol od mojego trenera personalnego, dlaczego ja już nie chodzę na siłkę i że to się na mnie zemści. Zaproszenie do Polsat Café na dyskusję o tym, czego pragną współczesne kobiety, ale odpisałem, że teraz jestem już policjantem i moja twarz nie może być znana.

Tymczasem w przedziale robiło się coraz zimniej, jarzeniówki dawno zgasły i staliśmy, przymarzając do szyn. Studencik wrócił z papierosa i zapatrzył się w melancholijną tajgę i tundrę pod śniegiem, ciągnące się aż po horyzont, aż po Kamczatkę. Od tego wszystkiego zebrało mi się na poważne rozmowy, jak to nad ranem po nieprzespanej nocy:

– Bartek, powiedz mi, czy to wszystko z tą kaczą knajpą, z tym naszym niby to romanssem, z tym wszystkim, to tylko dlatego, że mnie śledziłeś? Nie było w tym nic innego?

Zapadła cisza. Byłem tak zdenerwowany, że wyjąłem jednego papierosa z jego paczki i drżącymi rękami zapaliłem. To było wstrętne i cudowne zarazem, tak się denerwować jak jakaś Krystyna Janda w filmie. A on patrzył w okno.

– A co to był za chłopiec, z którym wszedłeś wtedy do pikiety Podwójnej? Co potem mówiłeś, że niby tam też właśnie Przedwojenny zabił chłopca?

– Śledziłeś mnie?

– No pewnie!

– Myśleliśmy wciąż, że to ty jesteś Przedwojennym Mordercą. Chcieliśmy pokazać ci zdjęcia ofiar z miejsc zbrodni i jedno fałszywe. Ucharakteryzowałem chłopaka i robiłem mu tam zdjęcia. Chciałem zobaczyć, czy oglądając foty z miejsc swoich zbrodni, zdziwisz się, jakoś się wygadasz, że przecież to nie twoja robota. A potem wszystko się wyjaśniło i cała sesja poszła na marne.

Milczenie. On też zapalił, napił się i podał mi piersiówkę. Łyknąłem. To była nawet nie gorzka żołądkowa, tylko ordynarna siwucha. Objął mnie i szepnął w ucho:

– Misiek, wszystko będzie dobrze. Nic się nie martw. Wszystko pod kontrolą. Bardzo cię lubię.

Na korytarzu stanął jakiś facet i gapił się na nas, paląc papierosa. Od razu się spięliśmy. Studentik miał broń w kaburze, a ja paralizator. Tymczasem facet wszedł do nas:

– Nie wiecie może, co się dzieje? Podobno lokomotywa zamarzła? Czy tory pękły?

O nie.

Nagle jakby spod ziemi wydobyło się wycie, co oznaczało, że włączają prąd.

– No, bo ja do Stargardu Szczecińskiego muszę się dostać do rana. Żona rodzi.

Gówno, jebać, chuj, pizda, dupa, gówno – duszno, pierwsze wstające słońce zabija, papierosy, roztopione princessy jak rozdeptane królowny, chodzenie siku do zamrożonego kibla, wracanie bez radości, pierdolona Syberia za oknami, godziny ciągną się w nieskończoność, urodzić można.

O pierwszej po południu wysiedliśmy pomiętoszeni na Szczecinie-Dąbiu i słońce odbijające się w śniegu usiłowało nas zamordować. Lujom już całkiem odbiło, sperma uderzyła do mózgow, rozwaliły kompletnie ten dworzec, nazwa stacji SZCZECIN-DĄBIE leżała na śniegu, dodatkowo posprejowana napisami POGOŃ i opluta.

Ostatnią część podróży przespaliśmy i słońce miłosiernie zasłaniały firanki z nadrukiem PKP. Popatrzyłem na Studenta czerwonymi od nocy w przegrzanym pociągu oczami. W toalecie od strony peronów, za dwa i pół złotego, spojrzałem w lustro, żeby dowiedzieć się, że przez noc sam zamieniłem się w luja, względnie w Cygankę ze złotymi zębami, ósmy miesiąc w podróży. Co może zrobić z człowiekiem jedna noc w przegrzanym TLK.

Jak kto leżał w nocy, takie wzorki miał odcisnięte na twarzy. Całkiem już zżulowaciałem i czekając na busik Emilbus, paliłem jak stary, piłem wódkę mimo pory, bo dla nas noc się jeszcze nie skończyła. Marzyłem o tym, aby dojechać, dotrzeć jakoś do Międzyzdrojów i walnąć się na pachnące proszkiem do prania, zimne łóżko. Ci debile z ochrony stali obok nas i głośno analizowali rozkład jazdy Emilbusów (przy czym ta gra miała za widzów tylko nas, nikogo nie było). Najbliższy bus za pięćdziesiąt minut, więc kawa we wstrętnej knajpie i przymieranie przy niej. Od papierosów miałem zgagę, ale kawa przypomniła mi o nich i znowu wyszliśmy. Pokrótce opowiadałem Studentynie *Drwala*, bo oczywiście to nie fantasy ani kapek, więc nie raczył przeczytać, za mało tam księżniczek i gnomów, jak w nowej nie dołożę tego badziewia, to też nie przeczyta. W miarę

opowieści coraz bardziej ciekawili go Robert i Kran.

– Kran to Andrzej Kralczyk, podobno im uciekł i teraz się tu, w Polsce, szybko nie pokaże. I tak mu nikt już dziś nie udowodni, że zabił doktorową, zresztą, kto go tam wie. A Robert milczy jak grób. Robert Wojański, muzyk i poeta życia. Jak go znam, to *Drwala* nie czytał i w ogóle przeoczył swoją metamorfozę w postać literacką. Poznałem go na plaży w Lubiewie, zabrał mnie do tej swojej leśniczówki i zafascynował tym całym retro. Raz mu od czasu tamtej awantury wysłałem esemes, ale nie raczył odpowiedzieć.

Bardzo też cieszyła go postać Krewety, a że znałem to na pamięć, więc zacytowałem mu od razu całą scenę. Nawet chciał u niej zamieszkać, ale tu ja powiedziałem twardo: nie.

– Ni-chu-ja – zacierałem ręce na mrozie. – Żadnych bab moherowych, żadnych nieogrzanych bud na ogrodzie! Wszystko musi być jak w filmie *Zbrodniarz i panna*. Ty jesteś Zbyszkiem Cybulskim, a ja tą laską z banku, z Kamocka... I ty jesteś milicjantem, zajeżdżasz ze mną, na bogato, do hotelu, ty się ze mną afiszujesz, żeby morderca się zgłosił. Jestem przynętą, kochanie. Idziemy od razu do jakiegoś średniej jakości pensjonatu, ale murowanego.

– Ale nam policja tego nie zrefunduje!

– A babę zrefunduje, która na lewo odnajmuje, bez rachunku, bez faktur? – Na te słowa Studencik wykazał cięń zawodowego zainteresowania, ale raczej pro forma. Widocznie uznawał zasadę wszystkich Polaków, że przestępstwa przeciwko skarbowce się nie liczą. – Ja zapłacę, ja stawiam, ja jestem bogata! A może biedna, ale rozrzutna! Poza tym trzeba znaleźć luja, bo przy nim będę się czuć bezpieczniej. Nie wiem, czy też czasem masz takie wrażenie, że ten morderca jest zbyt dobrze zorganizowany, zbyt szybki, jakby to była więcej niż jedna osoba?

– Myślałem o tym. To nie jest typowe dla seryjnych morderców, ale faktycznie. Zobaczymy, wystarczy, że coś jeszcze stanie się we Wrocławiu, a jednocześnie tu nam ktoś podłoży jakiś durny liść czy inne gówno i od razu będzie wiadomo.

Boże, dlaczego ja nie zabrałem okularów przeciwsłonecznych, w końcu jadę nad morze. To słońce zamorduje mnie szybciej niż jakikolwiek morderca!

– Kogo tam jeszcze poznasz... Jadwiga Parszywa i jej kumpela Kurwiszon Jaśka, o ile nie wyjechała na saksy do Enerefu.

– No ty to masz zawsze towarzystwo!

– A co! Poznasz babę z budy, to znaczy prowadzącą zapiekanki i inne bzdziągstwa w budzie z napisem „flippery”, moja agentka, będzie nas informowała o wszystkim. Poznasz panią Angelę, dyrektorkę biblioteki... Poznasz pana Zbyszka, masażystę, właśnie! Od razu idę na masaż! Luj poznasz...

– Tego fagasa, co cię zaatakował siekierą? – najeżył się Studencik. Już było widać, że ciężko będzie obu kogucików naraz przy sobie trzymać. To dobrze: jest zazdrosny.

– No wiesz, jeśli mu nie nakupuję, to mnie dziewczyny na Facebooku zlinczują.

– Oj, Michaśka, ty masz za dużo pieniędzy.

– No i umówmy się – nikomu nie mów, że jesteś policjantem. Luj będzie cię unikał, baby będą wpadały w popłoch. To jest totalnie skorumpowane miasteczko! Tutaj każdy ma coś na sumieniu,

żeby przez dwa miesiące deszczowego sezonu (plus stare Niemki od maja do października) wycisnąć pięćset tysięcy. Będziemy utrzymywać, że jesteś moim... bratem. Bratem, tak jak w filmie.

Tak gładząc, doczekaliśmy jakoś do autobusu, w którym oczywiście leciało nieśmiertelne *One Way Ticket*, pachniało gumą do żucia, a my przełamaliśmy ten świeży zapach naszymi oddechami przesyconymi wódką i papierosami. Bardzo brzydkie i bardzo mocno umalowane laski jechały z nami i chichotały, że aż mi się chciało wziąć torebkę i jednej z drugą przywalić po tym durnym utlenionym łbie.

Jakoś dojechaliśmy. Poszliśmy do pana Wojtka taksówkarza, który bardzo się ucieszył, choć wiedział, że jak w tej piosence Amy, „I told you I was trouble...”, współpraca z nami może się dla niego skończyć wysadzeniem w powietrze jego starego golfa. Zatrzymaliśmy się w pensjonacie bez nazwy, chyba żeby za nazwę przyjąć „zim” (początek wyrazu zimmer?), za to prawie w samym porcie. Dom był ozdobiony licznymi bojami, kołami marynarskimi i chorągiewkami, wszystko posiwiałe od soli i pobielające od piasku, obsrane przez mewy drące się non stop jak zarzynane świnię, ale za to obsrane pod kolor, bo na biało. Słony zapach morskiej wody, zintensyfikowany jeszcze przez mróz, od razu wygnał ze mnie cały syf, jaki zalał mi za skórę przez noc w przegrzonym przedziale. Od portu dolatywały tu smakowite zapachy grillowanych ryb z Tesco ze Szczecina.

Miałem nadzieję, że pensjonat jest na tyle tani, że przyda się do prozy, bo ostatnio mieszkałem w samych dobrych hotelach i było zbyt sterylne, obsługa się nie spoufalala, a rzeczywistość bez żadnych rys i pęknięć jest mało literacka.

Długo dzwoniliśmy, było wyraźnie napisane, że pokoje przez cały rok, w końcu zadzwoniliśmy na komórkę podaną na szyldzie, odebrała baba. Na pierwszym piętrze uchyliło się okno i wyjrzała raszpla w turbanie. Przyjrzała nam się podejrzliwie i zesza. Drzwi uchyliły się tak aby-aby, z łańcucha ich nie otworzyła, patrzyła na nas przerażona.

– Tak? – zawsze dziwiło mnie to zdziwienie, że ktoś przyjechał po sezonie, choć baby zawsze wychwalały, zachwalały, żeby koniecznie przyjeżdżać cały rok. W końcu otworzyła i wpuściła nas.

Była w szlafroku, w jego dekolcie leżały dwie duże, spalone na czarno od solarium piersi, na nich złoty krzyżyk. Od całej postaci dawało amoniakiem, musiała przed chwilą farbować włosy. Z kieszeni szlafrocka wystawała drewniana rączka, jakby tłuczka do mięsa.

– Tak? Państw... Panowie w sprawie pokoju? – I tak dalej i tak dalej, zwykłe babskie gadanie, wypytywanie. Wzięliśmy dwa osobne pokoje (od razu musieliśmy zapłacić) i każdy z nas marzył już tylko o tej chwili, kiedy zostanie sam i walnie się na łóżko. A tu Raszpla zaczęła nam pokazywać jakąś „komórkę socjalną”, jakieś w niej plastikowe wiaderka, co gównem nas obchodziły. Ale ona była z niej bardzo dumna i uważała to za powód do podniesienia ceny, więc każdy musiał się dowiedzieć, że dostaje pokój z dodatkowym schowkiem. Dała nam w końcu po plastikowym czajniku elektrycznym, po ręczniku i tak, o godzinie piętnastej, nawet nic już nie jedząc, zakończyliśmy ten dzień w lodowatych pokojach (potem kaloryfery zrobiły się letnie, ale nigdy nie miały tego stanu przekroczyć).

Jakież musiało być Raszpline zdumienie, gdy pół godziny po nas przyszli do niej po pokój ci dwaj Romeowie z ochrony, bo w całym kurorcie nie znaleźli nic innego, dzwoniли do różnych drzwi niczym Najświętsza Panienka z Józefem i w końcu wylądowali w nędznej Raszplinej stajence. Obejrzelі ją bardzo podejrzliwie, sprawdzili drogi ucieczki w razie napadu, wywiedzieli się, że właśnie przyszło dwóch gości, i postanowili nie spuszczać z nich oczu, bo to na pewno mordercy.

Zostali potraktowani czajnikiem, ręcznikiem, musieli zwiedzić wiaderka w komórce socjalnej i poszli lulu. Jeden miał pidżamę w łosie, a drugi w stare samochody. Potem Raszpla miała nadzieję zmyć w końcu farbę z włosów, której nie można było trzymać zbyt długo, bo to był tani produkt z Rossmanna, ciężka chemia, amoniak, woda utleniona, jad kiełbasiany, kwas foliowy i cyjanek potasu. Tymczasem ledwo odkręciła wodę, znowu odezwał się dzwonek i pojawił się jeszcze jeden gość, jakby na narty tu nagle zaczęli się zjeżdżać. Mimo że Raszplę szczypało już i piekło w skórę głowy pod ręcznikiem, wola zarobku przeważyla wolę posiadania włosów, typ wszedł, dostał czajnik, z pozorowanym zainteresowaniem obejrzał komórkę, zapłacił sto pięćdziesiąt złotych plus opłata klimatyczna i poszedł do pokoju, gdzie natychmiast zapadł w głęboki sen, bo miał ostatnio strasznie dużo bieganiny. Nawet nie docenił pięknego widoku na portowy śmietnik, od którego waliło nieświeżymi rybami i tranem.

I tak wszyscy wreszcie spali, a Raszpla śpiewała sobie:

Bo to, co nas podnieca,
to się nazywa kasa,
a kiedy w kasie forsa,
to sukces pierwsza klasa.
Bo to co nas podnieca,
to czasem też jest seks,
a seks plus pełna kasa
to wtedy sukces jest!^[10]

Aby i drugi składnik niezbędny do osiągnięcia sukcesu mógł pojawić się na zamglonym, zimowym horyzoncie, Raszpla rozczesywała świeżo ufarbowane włosy (kolor wyszedł zbyt intensywny, miało być rudo, a była jakaś marchewka, ale dla kogo? do sezonu się zagoi) i jak zwykle zaczęła oglądać telewizję, w której o niczym innym nie mówiono, tylko o jakimś mordercy, dlatego baba otwierała wszystkim uzbrojona w tłuczek do mięsa. Pokazywano piękną willę we Wrocławiu, gdzie mieszkało zamordowane rodzeństwo, a Raszpla skasowała ją zawodowo, obliczyła, ile tam może być pokoi i po ile można by je wynajmować przez cały rok i aż się za głowę złapała, bo willa musiała obfitować w wielkie salony, które łatwo dałoby się podzielić na małe pokoiki jak w ruskiej komunałce, powstawić do każdego plastikowy czajnik elektryczny, pokazać komórkę gospodarczą, ogród...

Potem nagle na filmie z miejsca zdarzenia mignął jej ten facet, który przyjechał z kołesiem. Tego kołesia też już skądś znała. On coś gwiazdował w telewizji, Michał Wiśniewski się chyba nazywał.

Raszpla podkradła się pod drzwi pokoju numer pięć, gdzie mieszkał ten, co jej mignął, Bartosz Jakiśtam. Cisza. No nic, pożyjemy, zobaczymy. Na wszelki wypadek tłuczek trzeba mieć zawsze pod ręką.

Wrocław, środa, 5 grudnia 2012, godz. 6 rano

Nie, to nie jest żadne spanie – mruknął i podszedł do okna. Z dziesiątego piętra zwykłego bloku z wielkiej płyty widać było znieruchomiały, siwy, zamarznęty na kość krajobraz oświetlony latarniami: inne bloki, zamknięte warzywniaki, puste piaskownice, garaże, skwerki, garaże, piaskownice, huštawki, garaże, całe rzędy zamarznętych, pokrytych szronem samochodów bez szans na odpalenie, zamarznęte psie kupy, zamarznęty piasek w piaskownicach, zamarznęte gołębie, zamknięta Biedronka z samochodem dostawczym już przeładowującym towar, placyk... Po raz kolejny, jak co rana, zdziwił się, że tu brzydko jak w stanie wojennym i że w ogóle mu to nie przeszkadza.

Nie było warg u jej gęby, poziewając skrzyta zęby – wyrecytował. Nie było warg... Oczywiście, że śmierć w *Rozmowie Mistrza Polikarpa ze Śmiercią* nie jest przedstawiona jako kościotrup ani też jako rozkładające się zwłoki. W historii średniowiecznych przedstawień śmierci pomiędzy rozkładającym się ciałem a kościotrupem był krótki okres pośredni, kiedy wyobrażano sobie tę panią jako zabalsamowane zwłoki, mumię. *Chuda, blada, żółte lice, łszczy się jako miednica*^[11], czyli naczynie z miedzi, a więc jest koloru miedzi! Od najbardziej prymitywnego wizerunku we wczesnym średniowieczu – ciekącego trupa, przez zabalsamowane zwłoki, aż po eleganckiego kościotrupa. W końcu nawet kościotrup zrobił się zbyt nieestetyczny i emblemat śmierci znikł, a ludzie zaczęli mówić o konkretnych przyczynach śmierci: o raku, o wypadku, o zawale. Ze śmiercią nie dawało się walczyć, ale przyczyny można było eliminować jedną po drugiej. Kiedy wyeliminujemy wszystkie przyczyny, śmierć zniknie. Każde niezapalenie papierosa to mała walka ze śmiercią, pomyślał i sięgnął po papierosa.

A teraz przyszłaś znowu do nas – mruknął, bo od lat był ze śmiercią na przyjacielskiej stopie. Fascynował się nią. Mimo że obraz śmierci uosobionej znikł z kultury, on dalej wyobrażał ją sobie jako zwłoki z kosą, którym *z oka płynie krwawa rosa*. Wyciekliny gnilne. Na stole w Zetemesie wygląda to tak, jakby zwłoki zostały zmasakrowane. Początkujący patolog może się pomylić. Tymczasem trup cieknie „krwawą rosą” – płyn jaśniejszy od krwi, jakby krew zmieszana z płynami ustrojowymi, wylatuje oczami, nosem, ustami, uszami i można się przestraszyć, bo przekładasz zwłoki na brzuch, a tu nagle jeb – leci ci na fartuch szklanka płynu.

Tak... *Przewiązałaś głowę chustą, jako samojedź krzywousta*, i myślisz, że nikt cię nie pozna. A czasem wyobrażał sobie śmierć jako chudą panią doktor patomorfolog, zatrudnioną w Zakładzie Medycyny Sądowej, w okularkach i z krótko obciętych włosami. Śmierci nie ma. Na YouTube widział sfilmowany moment, gdy podczas operacji serce bije ostatni raz i potem już się zatrzymuje, a kardiogramy pokazują płaską linię. A więc śmierć to coś, co się nie stało, po raz kolejny nie zabiło już serce i wszystko inne, co interpretujemy jako śmierć, jest tylko następstwem tego czegoś, co się nie stało. Śmierć, jak by zdefiniował ją teraz Wojtuś, to niezabicie serca. A ludzie za śmierć uważają cały zespół następstw wynikający z tego niezabicia.

Tuś się ukryła, moja pani, w tym niezabiciu kolejny raz serca. Nie ma tam miejsca dla symbolu z kosą, szczególnie gdyby jeszcze chciał na koniu...

Zaparzył kawę, zapalił i przypomniał sobie wszystko, co ma na dziś w planach. Bartosz pojechał i teraz Wojtek musi robić wszystko sam. Najtrudniejsza będzie rozmowa z rodzicami, którzy w ciągu paru dni stracili córkę i syna. A mimo że są w szoku, trzeba będzie ich przycisnąć. Kiedy i gdzie ten cały Iwo wyszedł z domu, z kim, do kogo? Kto położył liść na łóżku zamordowanej? Ta sprawa nigdy się nie skończy.

Dym z papierosa nie miał się którądy wydobywać na zewnątrz. Rozszczelnił okno, od którego natychmiast zaczęło ciągnąć. Z dołu dobiegł odgłos przejeżdżającego tramwaju, jeszcze pustego. Była szósta rano. O czwartej wrócił z zebrania na komendzie. Nie zamierzało się rozjaśnić.

Ale blok zaczynał się budzić. W mieszkaniu obok ktoś odkręcił kran. Zawyla woda. Winda na korytarzu ruszyła. Potem się zatrzymała. Ktoś już oskrobywał szyby w aucie. Wywietrznikiem z labiryntów kanałów wentylacyjnych skradał się zapach kompotu z wigilijnego suszu. Teraz te zapachy będą się nasilać i Wojtek znów cały grudzień będzie głodny, a przecież starzy kawalerowie jego pokroju nie potrafią gotować.

Jak zwykle w takich sytuacjach pomyślał o swoim enenie. Wciąż nie pozwalał go pochować, trzymał w lodówce, choć w Zetemesie było tylko trochę ponad dwieście miejsc w chłodni, niektóre zamieszkiwane latami przez te same zwłoki. Na szczęście prokurator o nich zapomniał. To była historia sprzed pięciu lat. Szczuplejszy wtedy jeszcze i młodszy Wojtek miał nocny dyżur i patrolował ulice w Trójkącie Bermudzkim. Było lato, a wtedy miasto nigdy nie zasypiało głęboko. Ledwo zrobiło się ciemno, już jaśniało. Chłopaka znalazł na Traugutta w bramie, pobitego i pociachanego nożem. Nikt go nie znał w tej dzielnicy albo może się zmówili. Enen patrzył na Wojtka otwartymi, szklanymi oczami, jakby ze zdziwieniem. Potem wcale nie patrzył. Oczy zostały pokłute w czasie sekcji, bo pobierali z nich te wszystkie płyny do badań, ale nie nabiegły krwią, bo trupy w ogóle nie krwawią. Potem zaczęły wysychać i Wojtuś zamknął mu je na zawsze.

Enen miał mniej więcej szesnaście lat. Nikt się nie zgłosił. Wojtek, który pochodził z niezbyt opiekuńczej rodziny, rozumiał, jak to jest, kiedy „nikt się nie zgłasza”, bo często zostawał w przedszkolu i nikt po niego nie przychodził, aż w końcu rodzice w ogóle dali go do „tygodniówki”, czyli internatu, gdzie dzieci były w przedszkolu zawsze. „Tygodniówka” mieściła się na strychu i dla wszystkich dzieci oznaczała „ci najgorsi”. A tymczasem tam w nocy bywało wcale wesoło.

Czasami Wojtek wysuwał ciało chłopca z lodówki i patrzył, nawet z nim rozmawiał.

„Nikt się po ciebie nie zgłosił, zapomnieli o tobie” – mówił. Albo: „Nie wiem, kim jest twoja mama, ale mogłaby dać ogłoszenie o twoim zaginięciu, najlepiej ze zdjęciem”. Potem opowiadał mu o swoich codziennych problemach i chłopak zaczął się delikatnie, jakby błogo, uśmiechać. To nieprawda, że ciało trzymane w lodówce się nie zmienia. Cała krew spadła na dół i chłopak, który miał długie włosy, wyglądał jak woskowa księżniczka w szklanej trumnie, był prawie przezroczysty,

ulepiony z jakiejś nieziemskiej perłowo-księżycowej masy. Koniuszek nosa z diamentowego pyłu. Piękna powłoka młodego życia, które wcale nie zamierzało się kończyć. Wszystko, co złe, cała ta śmierć, zgromadziło się na spodzie. Wojtek wcisnął chłopcu tampon do odbytu, żeby nieczystości nie wypływały, jeśli coś tam jeszcze zostało, bo jelit już nie było. Na plecach i pośladkach chłopak był już czarny. Im bardziej górna część stawała się bezcielesna i księżycowa, tym bardziej spód stawał się zepsutym mięsem. Ale spodu nie trzeba było oglądać. Tył głowy też był czarny i Wojtek o tym wiedział, bo podczas sekcji chłopaka ogolono, pozbawiając go jego pięknych, długich włosów. Teraz znowu je miał, bo Wojtek kupił mu perukę w sklepie na Ołbinie.

Wojtkowi się zdawało, że chłopak wolałby być tu, gdzie jeszcze nie dotyczy go rozkład, niż w grobie. To znaczy – tu rozkład oznacza powolne zamienianie się w kryształ i księżycowy pył, a tam nie jest to już nic romantycznego. Nawet jego sztuczne włosy były oszronione i sztywne, szorstkie, jakby spryskane lakierem szronu.

Pięć lat temu, po sekcji, Wojtek przyszedł w nocy, umył go jeszcze raz dokładnie i ubrał w najlepsze (jego zdaniem) ubranie, które niekoniecznie by trafiało w „zbuntowany” gust szesnastolatka. Bo tak go aby-aby pan Piotruś umył tym ludwikiem, wsadził mu do klatki piersiowej, jak do śmietnika, wszystkie organy wraz z mózgiem i rękawiczkami od sekcji, wacikami, skalpelami, wszystko zaszył i gołego wrzucił brutalnie do czarnego wora. Gdyby pojawiła się chcąca zapłacić rodzina, można by mu zrobić tanatopraksję, pięknie podmalować, uczesać, wstrzyknąć toksyny balsamujące. A tak Wojtek sam wybrał się w nocy do prosektorium, wyjął mu ze środka te wszystkie śmieci i wypchał chłopaka sterylną ligniną, aby nie miało się co psuć. Usunął mu język z ust, wypełnił głowę gazą i niezbyt wprawnie wstrzyknął w aortę trochę toksyn i antybiotyków. Potem w nocy upudrował i tak białą twarz chłopca, najtańszym pudrem z Rossmanna (szybko rzucił pudełeczko na ladę kasy, cały czerwony ze wstydu). Niewprawnie wykonywał te wszystkie czynności w białym fartuchu z nadrukiem „ZMS” na górnej kieszonce. A malując go, mówił, cały czas mówił...

– Gdzie teraz jest twoja mamusia? Jakbym tą lampucere dorwał, zabiłbym! Nikt się po ciebie nie zgłosił, zostałeś w przedszkolu, inne dzieci już dawno są w domu i oglądają kreskówki na plazmowych telewizorach, a ty wciąż siedzisz w szatni z woreczkiem na obuwiu, ozdobionym wyhaftowanym muchomorkiem, z nudów przesiadasz się z krzeselka na krzeselko, pani przedszkolanka też chciałaby już iść do domu, więc raz po raz przychodzi do szatni i patrzy na ciebie z wyrzutem: a może już nie przyjdą? Oglądasz przyklejone na ścianie obrazki innych dzieci, przedstawiające domki, dymki z kominów, płotki, słoneczka z promieniami i koty, choć żadne z tych dzieci nie mieszka w domku z płotem i kominem, wszystkie w blokach z centralnym ogrzewaniem, i tylko twój obrazek przedstawia jakieś czarne zygzaki. Pokaż się, jakiś ty blady, przeźroczysty, cała krew spadła na spód, czekaj, mam tu coś – wyciągnął róż w okrągłym pudełeczku i pędzlem, na już upudrowane policzki, za mocno i nieudolnie go nałożył, że zrobiły się jakby ceglaste wypieki gruźlika. – Jeden z naszych kolegów od tanatopraksji, pan Piotruś (też cię kroił na sekcji), opowiadał mi, że trupy inaczej się maluje niż żywych. To już inna moda na tamtym świecie. Czasem przyjdzie rodzina, przyniesie zdjęcie jakiejś gwiazdy, o, tak proszę umalować, czerwone jak krew usta, fioletowe powieki, posklejane tuszem rzęsy, a pan Piotruś tłumaczy jak komu dobru: to jest

makijaż żywej osoby, na dodatek gwiazdy filmowej, dla martwej starej kobiety musi być bardziej stonowany, byle wypieki, byle czerwone usta od razu wyglądają makabrycznie, a spróbuj ufarbować włosy! Jezu, od razu mówią: włosów nie farbujemy! Nie ma takiej opcji! Usługi tej w ogóle nie ma w cenniku. Włos jest martwy i farbuje się nierównomiernie. Na przykład trochę czerwone, trochę rude, trochę siwe, w ciapki. Potem rodzina ma pretensje. I teraz ciebie też za mocno z tym różem, czekaj, następnym razem cię poprawię. Tobie i tak już wszystko jedno. Kto cię tam ogląda w lodówce? Nawet nie docenisz, że na koniec znalazł się ktoś, kto chce się tobą opiekować, kto chce cię rozpieszczać i że ten ktoś – Wojtuś poprawiał coś przy kołnierzyku chłopaka i stracił wątek – że ten ktoś... w sumie musi już iść do roboty. Ale wróci.

Zamykał puderniczkę, róż, pudełeczko z cieniem do oczu, znowu otwierał lodówkę i wsuwał swojego enena umalowanego jak ladacznica w szufladę, z której snuła się mroźna mgła.

I teraz NN był tylko jego.

Wojtek tak napalił, że w końcu musiał otworzyć okno. Ostry mróz natychmiast zaczął wysysać dym. Nagle przyszła mu do głowy myśl, że to mogła być bardzo wczesna ofiara Przedwojennego Mordercy. Jeszcze nie wpadł na pomysł, aby przebierać, jeszcze nie umiał zabijać tak, żeby gołym okiem nie dało się określić przyczyny zgonu, jeszcze nie w pedalskich miejscach, ale już niezidentyfikowany chłopiec, jak wszyscy późniejsi.

Kiedy nakładał w korytarzu wielkie, tanie buciory z CCC, z lustra patrzył na niego kompletnie nijaki grubas z worami pod oczami i poszarzałą cerą. Trudno, już dawno się z tym pogodził. Należało się pospieszyć. Zszedł na dół i zaczął odmrażać swojego fiata punto. Miał nadzieję, że prokurator Pospieszalska będzie dziś jeździła i słuchała świadków wraz z nim, razem raźniej, a ona miała na przestępców swoje sposoby: była miła, matczyna i łagodna jak terapeutka. Gdyby Wojtek był mordercą, miałby poczucie, że to jest ktoś, kto chce go wysłuchać, chce mu ulżyć, i jak jej wszystko opowie, to nie tylko zrzuci z pleców ciężar, ale ona mu doradzi, co z tym zrobić. Złuda. Przed tą drobną i miłą kobietką drżeli wszyscy wrocławscy recydywiści. Ale jeśli ktoś jej nie znał, wpadał w sieć, dawał się nabrać na rozmowę jak z przyjazną terapeutką.

Prokurator Pospieszalska nie potrzebowała do życia ani snu, ani jedzenia, przynajmniej dotąd, bo kto wie, jak na nią wpłynie ciąża. Była jak pies na tropie. Teraz piła z nim kawę, zagryzając długopisem. Ustalali plan dnia. Przede wszystkim Kamieńscy. Wczoraj już prokurator („jedyne prawdziwy mężczyzna”) wzięła na siebie niewdzięczne zadanie poinformowania ich o śmierci Iwa i teraz czekali na jakąś w miarę normalną porę, żeby do nich pojechać. W tamtym domu kryło się wiele pytań i – mieli nadzieję – także odpowiedzi: liść, brak alibi wszystkich na czas obu zabójstw, głowa czy czaszka, tajemniczy facet dziewczyny i jej oficjalny narzeczony doktor Kraśko, potem akademiki Akademii Medycznej, gdzie mieszkała przyjaciółka ze studiów, ta cała Joanna Grządziel, której mogła się zwierzać, np. na co potrzebowała nagle pieniędzy... Ale że była dopiero siódma, postanowili zrobić jeszcze kawę i wreszcie przeczytać zeszyt znaleziony u Joanny.

Zeszyt był w czarnej okładce, założony starym zdjęciem. Sprawiało wrażenie prześwietlonego

i poruszonego rentgena. Zeszyt rzeczywiście był dziennikiem, ale tekstu było bardzo dużo, na wiele godzin czytania, a wszystko zaczynało się w roku dwa tysiące siódmym. Z początku był to zwykły dziennik zbuntowanej nastolatki, pisany w sekrecie przed całym światem, mocno stylizowanym na gotyk pismem, z wielkimi inicjałami jak w średniowiecznej księdze. Na końcu pismo dorosłej osoby, może nawet brzydkie pismo lekarskie, byle jak prowadzone zapiski, bez dat, z nieczytelnymi znakami na początku notatki, jakby chciała pisać tak, aby w razie znalezienia zeszytu nikt nie mógł się niczego doczytać. Prokurator nałożyła okulary bez ramek i zaczęła czytać na głos początkowe zapiski o różnych bzdurkach, które w świecie nastolatek urastają do rangi Wielkich Tajemnic. Kiedy Sonia została zamordowana, miała dwadzieścia trzy lata, więc w dwa tysiące siódmym była siedemnastolatką. Wszystko kręciło się wokół nauki, matury, zdawania na studia, kucia, dwóch koleżanek (Sandra i Berenika), z którymi non stop się kłóciła i godziła. Kiedy się pokłóciły, to nienawidziły się jak suki, próbowały zatruć się cyjankiem potasu i jadem kiełbasianym, wymazałyby po sobie ślady na tej ziemi do siódmego pokolenia. A kiedy się godziły, to znowu miłość była wielka i stawały się siostrami do końca życia.

Bardzo przeżywała też swoje kilogramy i usiłowała się odchudzać, popadając w prawdziwą bulimię. Przy każdym dniu napisana była aktualna waga. Nic nie jadła cały dzień, a potem rzucała się na wszystko, bo „jej zapachniało kaszanką, kiedy przechodziła”. Jak się nażarła, to łapała moralniaka, więc powodowała wymioty. Rzygała w szkole na przerwie i rzygała u cioci na imieninach, i już nawet „rzucała rzyganie”, które podobno, jak wszystko dzisiaj, uzależnia.

Potem zaczęła się na stronach jej dziennika pojawiać niejaka „LC”, co w końcu, po trudach i telefonach, rozszyfrowali jako „Life Coach”. LC miała na imię „Katerin” i była kimś pomiędzy płatną przyjaciółką a psychoanalityczką czy nawet psychiatrą. Zajmowała się tak zwanym personal coaching, czyli wyzwalamieniem ukrytych sił w życiu osobistym. Potem nagle „Katerin” niknie gdzieś, ale w dzienniku zaczynają się ujawniać wyniki jej działalności. Sonia staje się coraz bardziej sobą. Na marginesie wymyślnymi literami pisze: „slut”.

Świeżo wyzwolona Sonia slut coraz wyraźniej dochodzi do głosu. Zaczyna jeździć na gotyckie imprezy i najwyraźniej Bednarz szyje jej na nie ciuchy. Pod wpływem tych imprez zamiast daty zaczynają pojawiać się uwagi typu „pełnia”, „przesilenie”, „odlot dzikich gęsi”...

Tak jej odwaliło, że na całych stronach były tylko po dwa, trzy zdania, pochyłym pismem, czarnym atramentem. Na przykład taki przepis:

Weźmi wilcze łajno, zetrzy-ż je z winem, uczyniże z siarką, a precedziw, dajże pić niemocnemu, a będzie zdrow^[12].

Albo:

Weźmi łoj cielęcy a mozg z wilczego gnata, a mozg psi, mozg kotczy, a sadło niedźwiedzie, olej białonowy – Latine estulus, pleśniwiec i z korzenim, a koszywał, a bobrowe stroje, wszego w miarę słączysz pospołu a tym nakropi siarkę, z tego będzie maść. A jestli z żoną chcesz mieć, tedy piecy to wszystko w gorącym piecu albo smaź, albo postaw w panwicy, więc potym maź maścią ciepłą^[13].

Odezwał się interkom i prokurator powiedziała, że przyszedł ten lokalny dochodzeniowiec, który prowadził w dzielnicy sprawę zaginięcia Soni. I tak mogliby teraz czytać ten zeszyt tylko po łebkach.

Zapukano. Do salki wszedł starszy policjant z pocziwą twarzą, okrągłą i płaską jak talerz, i siwymi włosami. Na głowie miał odblaskową, sportową czapkę, która zupełnie do niego nie pasowała. Pachniał papierosami i mrozem. Ze śmiertelną powagą podał obojgu rękę i przedstawił się jako Piotr Przesmycki. Z taniej torby wyciągnął papierową teczkę z aktami sprawy wówczas nazywającej się zaginięciem Soni Kamińskiej.

– Zofia Joanna Kamińska, urodzona dwunastego stycznia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku we Wrocławiu, zamieszkała przy ulicy Moniuszki sto czterdzieści sześć, córka Stanisława i Izabeli. Rodzice zgłosili zaginięcie dwudziestego listopada dwa tysiące dwunastego roku o godzinie dwudziestej trzeciej, znaleziona martwa nieopodal akademików Akademii Medycznej po dziesięciu dniach, czyli trzydziestego listopada br. Dwudziesty listopada to był wtorek. Przyjaciółka Kamińskiej z roku, Joanna Grządziel, zeznała, że zaginiona pojawiła się tego dnia na wykładzie profesor Hałoń, o godzinie ósmej rano, w auli przy ulicy Borowskiej, a po tym wykładzie już nikt jej nie widział, chociaż mieli tego dnia ważne zajęcia i kolokwia, a Kamińska uczyła się dobrze i podchodziła do swoich obowiązków solidnie. Wykład skończył się o godzinie dziewiętej czterdzieści pięć. Ta Grządziel, zamieszkała w akademiku Akademii Medycznej Bliźniak, nieopodal którego znaleziono zwłoki denatki, była zdziwiona, bo dobrze znała plany Soni na ten dzień i wieczór. Dzień wcześniej przyjechała rowerem do Grządziel i razem kuły w „ryjcu” do kolokwium z toksykologii u doktora Marcina Zawadzkiego, od którego dużo zależało. Tymczasem na kolokwium już się nie pojawiła. Co więcej, zaraz z wykładu profesor Hałoń studenci przenosili się środkami komunikacji zbiorowej (autobusem) do Collegium Anatomicum przy ulicy Chałubińskiego na wykład profesora Pawła Surowiaka, którego denatka jeszcze nigdy nie opuściła, a nawet niektórzy twierdzili, że podkochuje się w profesorze, ale ta Grządziel, jako najlepsza przyjaciółka i powierniczka denatki, może śmiało zdyskredy... zaprzeczyć temu.

Poza tym, po zajęciach, a raczej w nocy, Sonia miała zamiar zabrać przyjaciółkę na imprezę. Było to związane ze specyficznymi, mistycznymi zainteresowaniami denatki, która należała do tzw. subkultury gotyckiej. Co to dokładnie oznacza, należałoby poprosić o opinię specjalistę od subkultur młodzieżowych, tu można tylko powiedzieć, że był to jakiś rodzaj zabawy w czarne stroje i spotykanie się w dziwnych miejscach w czasie pełni księżyca, słuchanie specyficznej muzyki itd. Ze swojej strony osobiście pozwolę sobie wyrazić zdziwienie, wydaje mi się... w moim przekonaniu denatka była bowiem już na takie zabawy za stara, miała dwadzieścia trzy lata. Bądź co bądź, denatce bardzo zależało na wprowadzeniu przyjaciółki na tą imprezę i w związku z tym nieobecność Soni zaniepokoiła Grządziel. Dzwoniła do domu denatki, ale tam nikt nic nie wiedział. Do zaginięcia doszło zapewne po wykładzie, czyli około godziny dziesiątej rano, ale równie dobrze mogła się sama „urwać” z zajęć, pojechać na spotkanie z kimś, popaść w jakieś tarapaty i w konsekwencji zostać zamordowana lub porwana w dowolnej godzinie pomiędzy końcem wykładu profesor Hałoń a umówionym spotkaniem z koleżanką w celu pójścia na wieczorną imprezę. Mamy tu więc szeroki czasokres, od dziesiątej rano do dziesiątej wieczorem, kiedy to dziewczyny miały się spotkać pod

Iglicą przed Halą Ludową. Słucham? Tak, przepraszam, przed Halą Stulecia.

Ponieważ rodzice przyjechali na dzielnicowy komisariat jeszcze dnia zaginięcia, znaczy się: w dniu zaginięcia, ich zgłoszenie zostało tylko odnotowane. I, prawdę mówiąc, na dobre wzięliśmy się za to dopiero trzy dni później, dwudziestego trzeciego, kiedy telefon denatki dalej wysyłał informację o nieobecności abonenta, znaczy: abonentki, na kartach bankowych nie było żadnych ruchów i w ogóle nie odnotowano żadnej aktywności denatki. Trzeba jednak dodać, że sprawa miała priorytet tylko zaginięcia, a nie morderstwa, i w związku z tym działania podejmowane były rutynowo. Przesłuchano studentów obecnych na wykładzie profesor Hałoń, którzy zeznali, że widzieli, jak denatka wsiadała do środka komunikacji zbiorowej (autobusu) przy ulicy Borowskiej, przy czym zdania były podzielone, do jakiego. W każdym razie studenci z jej roku nie widzieli jej w środku komunikacji zbiorowej, którym jechali na wykład profesora Surowiaka. Wsiadając do autobusu, denatka rozmawiała przez środek komunikacji... telefon komórkowy. Numeru nie udało się zidentyfikować, ponieważ był to numer na kartę prepaid. To by było na tyle na dzień dzisiejszy. Numer i wszystkie powyższe informacje znajdują się w aktach, które przekazuję. – Przesunął teczkę w stronę prokurator.

Zapadła cisza. Wojtek drapał się w głowę, a prokurator oszczędziła sobie zbędnych gestów, nie miała zresztą zwyczaju macania się publicznie ani po włosach, ani po twarzy.

– Grzebaliście w tym jej całym gotyckim klubie?

– Co proszę?

– Grzebaliście w tym jej klubie, no, co miała iść na spotkanie w nocy? Co to za wygłupy? Jacy ludzie biorą w tym udział?

– Wiem tylko, że brał w tym udział jej brat, Iwo Przybylak, ale nie pytaliśmy go dokładnie...

– Cholera! To już nie zapytacie. Dobra, zabieramy się za tą koleżankę, tą całą Grzędziel. Telefon do niej jest w aktach?

– Tak, przy przesłuchaniu.

– Musimy szybko zdobyć rejestr jej połączeń. Znaczący Soni. Jeśli Grzędziel nie będzie nic wiedziała o tym „klubie”, to przecież jakoś się z nimi kontaktowała! Dudek już wszedł do jej komputera?

Nikt nie wiedział, więc prokurator znowu podniosła słuchawkę. Chwilę rozmawiała. Bardzo starała się nie dać nic po sobie poznać, ale zmieniała się cała na twarzy.

– Panu już dziękujemy – spławiła czym prędzej dochodzeniowca z dzielnicy. – Jak będzie trzeba, skontaktujemy się z wami. – Wyszedł. Wszyscy wlepili oczy w prokurator. W końcu Wojtek nie wytrzymał:

– No i co ci Dudek powiedział?

– Że to chyba ona... Idziemy do pracowni komputerowej!

O budziliśmy się w doskonałych humorach. Kiedy poszedłem do Studencika, mył zęby nad umywalką w swoim pokoju (łazienkę mieliśmy wspólną na korytarzu). Postanowiliśmy wybrać się na pyszną kolację i napić pysznej kawki. Pogoda zrobiła się całkiem niezła, było około minus pięć stopni i nie wiało, a śnieg wesoło chrupał pod podszewkami. Znałem jedną fantastyczną knajpę na placu Neptuna czynną cały rok, Dolce Vita się nazywała. Gdy już siedzieliśmy na sali pełnej jakichś Włochów (tym razem prawdziwych), zaczął lecieć Eros Ramazzotti i od razu spojrzeliśmy po sobie i w śmiech, poczuliśmy się jak w domu. Kiedy podeszła znajoma kelnerka w blond dreadach, zapytałem ją, co to za Włosi.

– To nasze błogosławieństwo, widzisz, ilu dzięki nim mamy klientów w samym środku zimy! To robotnicy z biednych Włoch, z biednego Południa, którzy przylecieli tanimi liniami do nas, na bogatą Północ, na saksy, budują nam nowy hotel, a wieczorami piją campari w knajpie Pod Molo, śpiewają *O sole mio!*. U nas zaś jadają śródziemnomorskie kolacje, mamy nowe zestawy, Roma, Wenecja, Triest... Polecam krewetki królewskie w pikantnym sosie winnym z chili, specjalność mojego męża. Ser Gonzaga di giorno, pizza Sycylia, pieczywo czosnkowe z tymiankiem, oregano, bazylią, oliwa i sos winegret gratis! Do tego wino z Toskanii...

– Ja znam ten sos, za sam ten sos można by oddać się każdemu! Bierzemy! My tu właściwie też z Południa przyjechaliśmy, też do pracy...

– Mamma! – zawołał na nią jeden z włoskich robotników i pokazał pustą butelkę.

– Donna! – krzyczała inna grupa z drugiego kąta sali.

– Signora! Jeszcze pizza, prego! Jeszcze molto salami, jeszcze scampi, jeszcze dolci!

Wtedy do restauracji weszło tych dwóch zadumanych Romeów z naszej niby to „ochrony” i ostentacyjnie na nas nie patrząc, zajęło ostatni wolny stolik, a „mamma” zaraz przyniosła nam wodę w szklanych naczyniach do mycia rąk obieraniem krewetek uświnionych, białe, krochmalone ręczniki, pieczywo czosnkowe i patyki do pogryzania. Oczywiście wzięliśmy wino, dużo wina, całą deskę włoskich pikantnych kiełbasek w plasterkach, salami, nie salami, Studencina wychodził zapalić, dzwoniła mu komórka, aż w końcu nie wytrzymał i powiedział, że coś we Wrocławiu śledztwo ruszyło na łeb, na szyję, kto wie, czy nie będziemy mogli lada dzień wracać. Zobaczył moją minę i od razu zmienił temat. Ale ja się nie dałem tak łatwo spławić i zacząłem wypytywać, więc w końcu powiedział:

– W komputerze tej Soni, w jakimś chronionym pliku, znaleźli kilka zdjęć, które dowodzą, że albo brała w tych zabójstwach udział, albo nawet działała sama. Kilka ofiar sfotografowanych jeszcze żywych, na kanapie w niezidentyfikowanym budynku, potem martwych w trakcie charakteryzacji, potem na miejscu znalezienia, ale jeszcze przed znalezieniem i odgrózeniem taśmą policyjną, przed uniesieniem kurtyny.

– No, raczej współudział, bo sama chyba siebie i Iwa nie zabiła, co?

– Nie no, ona nie dałaby rady sama. Ale jest jakaś organizacja czy „krąg”, cholera wie co, ona tam się spotykała, to było coś mistycznego czy satanistycznego, to może być ich sprawka.

– Albo ktoś jej te zdjęcia podłożył już po śmierci do komputera, tak jak liść na łóżku.. Ale ona miała coś z charakteru, który nazywam „aptekara”...

Przypomniały mi się wszystkie znajome studentki farmacji, które kilka lat temu wykazywały wyraźne skłonności do subkultury gotyckiej, robienia „kręgów”, jeżdżenia do Bolkowa na Castle Party itd. Właściwie stanowiły skrzyżowanie gotów z emo. Chorobliwie chude i blade, wiecznie pisały jakieś prace otwierające im drzwi do laboratorium pełnego leków, przybierały pseudonimy, takie jak „Mimi”, „Bebe”, „Calipso”... Poznałem je u Arturzy, krawcowej, takiej jakby Bednarz, u której szyły sobie te swoje czarne, gotyckie ciuchy nabijane ćwiekami. Wielbiły xRonixa. Miały upodobanie do stratyfikacji języka, nakładek na zęby udających kły, przebijania i tatuowania się w najdziwniejszych miejscach, kolczyków na zębach, lorafenu, czarnej, wręcz granatowej farby do włosów, pasów do pończoch, podwiązek, splecionych węży wytatuowanych na brzuchu, ćpania płynu do irygacji pochwy Tantum Rosa... Wszystkie uwielbiały cioty i wtajemniczały je w swoje czarne sprawy. A ja byłem wtedy ciotką gotycką, ważącą tyle co oskubany kurczak.

Z tego, co rozumiałem z opowieści podczas zaciskania im gorsetów, nie można było liczyć na specjalne atrakcje, Łysa Góra to mogło być jakieś mieszkanie, stancja w bloku wynajmowana przez jedną z nich, pokoje umeblowane na wysoki połysk i tylko wielki, czarny, włochaty pajak hodowany w słoju na parapecie miał przydać temu miejscu nieco gotyckości. Potem one podejmowały pracę, ale kamuflowały się doskonale.

Przychodziłeś do apteki i widziałeś sterylne, jasnego aniołka, co to tylko witaminy, minerały i temperament żelu do USG, a jak zaglądałeś do portfela, już na sekundę oblizywały kiel albo rozchyłały biały fartuch, a tam wisiał odwrócony krzyż czy choćby czaszka. To był ich mały, a może duży aptekarski berg, czerń mająca je uchronić przed wszechobecną kliniczną bielą, higieną intymną, niepieniącymi się szamponami bez parabenów, sulfatów i zapachu. Przychodziły do Arturzy, przynosiły wyniesione z apteki próbki kosmetyków, leki, przymierzały swoje ciasne gorsety i szerokie krynoliny, peruki, rysowały sobie pieprzyki na piersiach i robiły „zjazdy na Łysej Górze”, a raz na rok megazjazd w Bolkowie na Castle Party, na którym oddawały się chudym emusiom w załamaniach muru obronnego. Potem wyciągały czarną kredkę i czarny cień, poprawiały sobie i emusiomu makijaż i szły dalej w noc.

Nie brzmiało to zbyt poważnie, ale jeśli nie zaprzestały swego procederu aż do dziś, to kto wie, jak to się wszystko rozwinęło przez te kilka lat, przy tylu nowych lekach antydepresyjnych i life coachach wpływających na kreatywność. Potrafiły wykorzystać tajemne właściwości kropli do oczu, spirytusu, syropków, odsączyć wodę, uzyskać najczystsza kokainę. Nawiązywały do postaci bajkowych wiedźm, które też bytowały na obrzeżach aptekarstwa, czarów, jasnowidztwa i kurewstwa. Ale wszystkie te ich sztuczne kły zbyt mi pachniały przebieranką na Halloween, żeby brać je na poważnie. A z drugiej strony, jeśli ona od grabarza dostała „głowę jakiejś laski” i „ją obgotowywała w garnku”, to śmiało mogła to sobie „wrzucić do imażu”, jak mawiał pewien wrocławski poeta robotnik. „Ona już się z tym nie kryje, ona już sobie to wsadziła do imażu”. Na zasadzie: taka jestem czarownica, proszę, wszystkie pobiłam! Wtedy już ta głowa wprowadzona do zabawy staje się trochę kolejną dynią na Halloween, z plastikowym kłem na zębie i rozciętym jak u węża językiem.

– Myśmy u niej znaleźli tylko rohypnol czy też jakąś receptę? Warto by znaleźć receptę i zobaczyć, kto ją wypisał. Założę się, że w tym ich klubie są głównie dziewczyny z medycyny i farmacji. A jeśli Iwo też tam należał, to powinni jak najszybciej przeszukać jego pokój...

– Dziewczyna miała już dwadzieścia trzy lata, była za stara na takie gotyckie zabawy. Te aptekary lubowały się w breloczkach z trumnami, hodowały pająki, ale w życiu nie widziały trupa i uciekałyby, gdzie pieprz rośnie, jakby zobaczyły sekcję.

– Była za stara na zabawy, ale może to już przestały być zabawy? A że widziały trupa, i to dogłębnie, to jest dla mnie oczywiste, przynajmniej te z medycznej. Ta nawet przecież, fuj... Zapytam kogoś z Zetemesu, czy jakaś studentka nie wykazywała wyjątkowego zainteresowania tematem.

Blondynka podała krewetki. Ja mogę jeść robale i rozmawiać o trupach, ale że nie każdy, to umilkłem i zajęliśmy się kontemplacją tego najpyszniejszego na świecie sosu, z nutami wina, czosnku, chili, tymianku i czego tam jeszcze. Jedząc, dodałem tylko:

– Na rohypnol żadna recepta by się jej nie przydała, bo on już od dawna wycofany z aptek. Może doktor Kraško? Zauważyłeś, ile tu wszędzie medycyny w tej historii? A wiesz, że tytuł *Śmierć i medycyna* jest już od lat zajęty, więc jeśli to miałoby się przydać... Słuchaj, ten Iwo też należał do tego jakiegoś gotyckiego klubu. Czyli on wybrał się tam w noc, kiedy znikła Sonia? Bo miało być zebranie?

– Właśnie, ciekawe, czy oni spytali tego dochodzeniowca o to, co każdy z domowników robił dwudziestego listopada! Kurde, my tu marnujemy czas, tam trzeba być! A ci, zobacz – wskazał oczami na naszą niby to ochronę – zamówili butelkę mineralnej i dwie szklanki i jeszcze poproszą, żeby im wypisała na nią fakturę na policję! A nie, no proszę, jednak herbata nadchodzi, zaszaleli!

Blondyna niosła ku naszym Romeom przedmieść herbatę w dzbanuszkach i oczywiście dwie filiżanki. Włosi zrobili tu już sobie małe Włochy, wręcz San Remo, raz po raz wybuchali dzikim śmiechem, wołali „mamma” i „donna”, a mimo że robotnicy, to w koralikach na szyi, chustkach na głowie...

A we mnie narastała coraz większa tęsknota za lujem, najchętniej sam bym się wypuścił teraz nocą na Gryfa Pomorskiego, przez kiosk, w siatkę bym nakupował i zaniósł, a potem z nim już razem wszędzie chodził, z osobistą ochroną. Ale już to widzę, jak mnie Studencik puści samego. A nawet jak sam pójdę, to zaraz któryś z tych naszych opiekunów będzie za mną ostentacyjnie wszędzie chodził. Poza tym luj może przebywać obecnie na zmywaku w Newcastle, dokąd się wybierał, kiedy ostatnio do niego dzwoniłem. Postanowiłem załatwić to sposobem.

– Słuchaj, ten nasz morderca nigdy się nie ujawni, gdy będziemy razem. Powinniśmy się rozdzielić. Liść podłożył, jak byłem sam, pierścionek – jak byłem z panem Ząb... to znaczy, też jak nie byliśmy razem, przecież do nas nie podejdzie do stołu! Pamiętasz ten film *Zbrodniarz i panna*? Ona była wystawiana na wabia, ale sama, a Cybulski nie był do niej przyklejony. Poza tym mówiłem ci, że cała ta sprawa coraz bardziej pachnie mi moim drwalem, powinienem pójść do niego, do jaskini Iwa. Powinienem uruchomić tu moje kontakty, Jadzię Parszywą, luja, pana Wojtka

taksówkarza, Angelę z biblioteki... No co się tak patrzysz, jakbym zwariował? Ja w ogóle powinienem pójść nocować u Krewety, żeby każdy obserwator widział, że jestem sam.

– A jednak u Krewety! Już się do niej przekonałeś...

Zapłaciliśmy, poszliśmy do Raszpli, spakowaliśmy mnie, w taksówkę i oto stałem przed tym płotem krzywym na Gryfa Pomorskiego, czytałem ogłoszenie przyklejone na oknie, że „sprzedam wózek inwalidzki w idealnym stanie, laskę i garderobę męską prawie nową, leki na astmę ledwo napoczęte”. Przedarliśmy się przez barykady z odgarniętego z ulicy śniegu i oto przyciskaliśmy guzik przy furtce w płocie, ale nie działał, zamarzył, w końcu człowiek czuje, kiedy naciska guzik i nic się nie dzieje. Weszliśmy na podwórko i zadzwoniliśmy do drzwi.

– No wiesz, jak ona cały czas ogląda w telewizji o seryjnym mordercy grasującym w Polsce, to przecież nie otworzy dwóm facetom po ciemku!

Jednak było widać, że szelmutka jest, bo dym leciał z komina i szyby rozświetlał telewizor. Dzwoniliśmy, pukaliśmy, krzyczeliśmy „pani otworzy, letnicy!”, Lato z Radiem, surrealizm, para z ust. Staliśmy tak już jakieś piętnaście minut, obeszliliśmy podwórko, kurnik na wynajem, studnię, sznurki na pranie, aż w końcu przed dom Krewety zajechała policja. I teraz ci szli na nas, jakby chcieli nas skuć, aż Studencik musiał wyciągnąć swoją odznakę i wystawić ją przed siebie jak krzyż na diabła.

Jeden policjant to był taki zajebisty łuj, że wszystko przestało się dla mnie liczyć. Łysa Góra. Łysa góra mięśni w olbrzymim ciemnognatowym skafandrze z żółtym napisem „policja”. Dlaczego oni nas nie chronią, tylko jakaś Cierpisz z trwałą na barana?! Która pewnie teraz siedzi w kościele na roratach, bo nawet jej jeszcze nikt nie widział na oczy.

– Pani Halino, niech pani otwiera, to nie żadni mordercy!

Sprawa została wyjaśniona i teraz Kreweta na uprzejme pukanie policjantów (bo cały czas podglądała) już ostatecznie musiała otworzyć.

Jakoż wszyscy znaleźliśmy się w pachnącej laczków dojrzewających fermentacją sieni.

O dziwo, zamiast w ruinie, Kreweta była, jak na tę porę dnia i roku, zadbana. Włosy utlenione na biało i wyprostowane, blaszane papugi w uszach, bambosze różowe z wielkimi pomponami.

Coś tam gadała, że czuła, że odczuwała rozliczne odczucia, że tej zimy na narty przyjadę, ale ja już myślałem głównie o tym, jaką by intrygę madame de Merteuil zrobiła, żeby zamiast Cierpisz Jadwigi, starszej pani na rowerku z trwałą na barana, ten wielki, łysy blondyn (bo z jakiegoś powodu byłem pewien, że blondyn, może po brwiach poznałem) został oddelegowany do mej wyłącznej ochrony, to by było! Chwilowo jednak weszliśmy do „salonu”.

Tego jej sparaliżowanego nie było. W telewizji leciało You Can Dance, z Krystyną Mazurówną w roli głównej wygranej. Obok stała mała, ustrojona głównie białą watą i bardzo vintage’owymi ozdobami choinka.

– Co, znowu tylko zasięgnąć języka? – zapytała, bo ciekawość już ją pod pancerzykiem krewetkowym rozwalala. – Ostatnio tak tu narozrabialiście, że plotki do dziś chodzą po mieście. Normalnie jakieś gender. Strzelanina, powybijane szyby, koszty, a kto zapłaci? Ten cały Kurek czy

Kran się zaszył w lasach, to strasznie dziwnie i ciekawie tak się zaszyć w lasach, hi hi... Wszyscy: „Gdzie jedziesz?”, „A na Majorkę, a na Teneryfę”, a ty odpowiadasz: „A... zaszyję się w lasach”. Mój był zaszyty, ale w Szczecinie, w Ośrodku Leczenia Odwykowego, ale żeby w lasach? Teraz znowu wszyscy mówią tylko o tym, że na tej drodze na leśniczówkę znaleziono głowę i dwie odcięte ludzkie dłonie... – powiedziała, zezując na lokalnego policjanta, czy w ogóle może o tym mówić. – Dwie dłonie i głowę, nie do rozpoznania z powodu zgnicia. O niczym innym w kolejce do Biedronki i Netto się nie mówiło. Myślę sobie, oho, nic, tylko znowu ktoś się próbował u nas zaszyć w lasach, a las niebezpieczny! Malinowski tu się błąka, bo czy zginął, kto wie, znaleźli tylko motocykl, to może też się zaszył i teraz grasuje zaszyty już tyle lat? Będzie pan wynajmował? – zapytała bez nadziei i zaraz ugryzła się w język, bo policja, a to wszystko nielegalnie.

– Będę wynajmował budę w ogrodzie.

Kreweta spojrzała na policjantów spanikowana.

– Proszę pana, ja nie wynajmuję pokojów, jak ta zza płota, która po prostu bierze od letników pieniądze do ręki, ani rachunku, ani faktury, ani się z tego nie rozlicza, ani nie ma zalegalizowanej działalności!

– No już dobrze, nie przyszliśmy tu z urzędu podatkowego, pani mu wynajmie tą budę – powiedział Łysa Góra.

– Proszę pana, ja... To jest pawilon, bungalow, a nie buda. Poza tym teraz to ja panu tu pościelę, tu u mnie, mój umarł, swoje lata już miał, jesienią umarł. – Przywołała na chwilę pogrzebową minę.

– A, umarł – powiedziałem. No tak, skoro ona wózek w idealnym stanie sprzedaje...

– Umarł – powtórzył Studencik i wbił wzrok w ziemię, aktor mój, szłaawiła!

– No tak – mruknęli policjanci. – A koncesji na wynajem jak nie było, tak nie ma.

– Umarł, a ja już z nowym zaręczona!

– Z nowym? – zapytałem, choć wcale mnie to nie dziwiło, znałem te wieczne wdowy, wychodzące za mąż za wciąż nowe nieruchomości.

– Z nowym... – mruknął Studencik i jeszcze bardziej, aktor, posmutniał.

– Z nowym – przytaknął policjant Łysa Góra, bo pewnie już ją też znał jak zły szeląg.

– A nie za szybko? – wypalił nagle ten drugi, chudy z wąsem. Wszyscy zamarli na taki nagły zamach na Krewetę. – W żałobie już o nowym myśleć? Nie za szybko?

– U mnie tak, serce zawsze musi być zajęte. Pan Bolek, ten, co ma frytki... Piękną ma działkę przy samym morzu i willę, i w ogóle...

I pewnie też już ledwo dycha... To dlatego taka zadbana i cała w skowronkach, bo ona teraz w wersji „Alexis”! Ciekawe, który to już jej mąż. Ale że ona mi tu, u siebie, „pościeli” to niedobrze, nie daj Boże ona i do mnie startuje?

– Ja mogę na ogrodzie spać.

– A gdzie tam na ogrodzie, pan, taka gwiazda, no i tam się nie da teraz dogrzać, zresztą prąd drogi, ja jeszcze...

„Nie zostałam milionerką”, jeszcze trzy małżeństwa przede mną! Wszędzie te inkarnacje Pauli!

– ...nawet nie napaliłam...

Międzyzdroje, środa, 5 grudnia 2012,
godz. 22.15, pokój u Krewety

U mówiliśmy się ze Studencikiem, że jutro wprowadzi się tu jeden z naszych niby to ochroniarzy, a on tymczasem pogada z tą Łysą Górą, może coś wskóra. Po ich wyjściu poszedłem „do siebie”. Pokój, należy dodać, po mężu, z łóżkiem, w którym on pewnie umierał. Mam w nim spać. Ona ciągle wchodzi w podomce w żyrafy i pyta, czy czegoś nie trzeba. Raz wreszcie powiedziałem, że proszę o herbatę, to ją wywiało, bo nie chciała sobie robić dodatkowego ekspensu. Wszystko tu było stare i miało specyficzny, lekko słodkawy zapach. Bardzo chciałem się wykąpać, ale do łazienki musiałbym iść przez jej sypialnię, a poza tym znałem już ten zardzewiały brodzik.

Szybko się ubrałem jak na Sybir i powoli, żeby się nie pośliznąć, poszurałem na znajomy przystanek PKS. Nie chciało mi się wierzyć, że w takie zimnisko luje będą tam sterczeć, i słusznie, bo nikogo nie zastałem. Potem poszedłem do Netto po jakieś żarcie na noc i po kawę, bo przecież nie będę się cały czas użerał o to z Krewetą. Mimo braku widowni produkty żywnościowe i badziewia istniały niewzruszenie i dostojnie w świetle lamp jarzeniowych. Zaopatrzyłem się w ibuprom zatoki, chusteczki higieniczne, snickersy, piwo w puszcze, rutinacę, patyczki do czyszczenia uszu, jajko-niespodziankę, chipsy lejsy, hollsy, viceroye, kryształ, zapalniczkę, pastę i szczoteczkę do zębów, pilniczek do paznokci, golarkę, gazetkę „Świat Motocykli” i inną z gołymi babami na motocyklach, red bulla i mnóstwo innych rzeczy.

Było cicho. Wiocha była wyludniona. Choć miałem lęki, że może ten jakiś pomyleniec mnie śledzi, wystarczyło spojrzeć, aż po horyzont zero ludzi, tylko śnieg i mewy krzyczą. Ponieważ nie kupiłem zbyt wiele i wszystko zmieściłem w małym plecaczku, poszedłem jeszcze na Promenadę Gwiazd pod Hotel Wiedeński, żeby sprawdzić, czy chociaż Jadzia Parszywa siedzi na stanowisku. Otrzeptałem buty ze śniegu przed wejściem. Przywitało mnie ogłoszenie po niemiecku o Wielkim Balu Sylwestrowym, artyści z samej Warszawy, pokazy fajerwerków, bilety tylko po sto euro i w ogóle. Na razie jednak nie było żadnego sylwestra, tylko kicha. A w tej kiszce siedziała Jadzia Parszywa, skacowana i trzeźwa jak świnia. Patrzyła smętnie na serwetki w porcelanowym stojaczku, jakby tam pokazywali jakiś film o niej, z niemieckim dubbingiem. No, nareszcie ktoś znajomy!

Jakoż rzuciliśmy się sobie z kurwą w objęcia, zaraz zasilłem jej podupadły już kredyt, bo przecież ta abstynencja nie z własnej woli, nakarmiłem Jadzię deserem lodowym „Florida”, z licznymi parasolkami, kremem sułtańskim, wuzetką, wlałem w nią kawę i gin Gordon’s Dry, sam też niczego sobie nie odmawiając, ponieważ od tego śledztwa przysły już ostatnie zapory. Zapaliliśmy po marlboro przed hotelem. Było nieco wkurwiające, że co podeszliśmy za blisko drzwi, to zaraz się rozsuwały i trzeba się było cofać, więc w końcu w ogóle wyszliśmy na podjazd.

Opowiedziałem Jadzi wszystkie wypadki od początku do końca. Wielokrotnie podczas mojej

opowieści wykonywała ruchy rąk i grymasy ust, jakby chciała mi przerwać i coś dodać, ale nie pozwalałem, aż zakończyłem pytaniem o tą głowę i dłonie na drodze na leśniczówkę i o tego Krana, co to niby zaszył się w lasach. Ona, gdy zrozumiała już, że teraz wreszcie może mówić, aż nie wiedziała, jak zacząć, aż ją zatkało, tyle naraz chciała z siebie wyrzucić.

– Za... za... zaszył się! Zaszył się w lasach, hi hi! A kto go tam wie, czy on zajebał tą doktorową, lampucere, raszplę, pindę, murew, czy nie, nie jest to wszystko wcale jeszcze powiedziane. Czy się zaszył w lasach, czy, dajmy na to, wylądował w Kołobrzegu i tam żyje z robienia lewatywy bogatym starym Niemkom. Ja go w ogóle nie czaję, tego kolesia. Czy ty wiesz, że jest już u nas botoks? Bo był tylko w sezonie, a teraz Ruda założyła całoroczny. Zobacz! W ogóle mi się tu nie marszczy, robię lwa i się nie marszczy!

Twój, ten cały niby drwal, to siedzi u siebie w leśniczówce, nosa nie wynurza. Ten Mieszko wybył i tyle go widzieli. Ale dziwnie tu się dzieje, dziwnie. Z tą głową i w ogóle. No, szła baba na grzyby jesienią, tu jak się idzie na Grodno, i znalazła głowę oraz dwie dłonie. Baba w pisk, ale oczywiście miała komórkę.

Głowa. Znowu. Głowa, która jeszcze nie zdążyła stać się czaszką, ale jest na dobrej drodze. Znowu w miejscu związanym z moją prozą.

– Bądź tu mądra. Nie wiem, czemu ja tu jeszcze siedzę. Kurwiszon Jaśka mówi, że po prostu bakcyła złapałam. No, też prawda. Że można złapać bakcyła Międzydrojów i już cię nie wypuszczą.

Wiem coś o tym.

– No więc baba narobiła rabanu, Cierpisz przyjechała, ci twoi, co ich tak uwielbiasz, przyjechali, ze Szczecina były posiłki wzywane. Najpierw wszyscy myśleli, że to Kran, ale z czegoś tam poznali, że nie. Może po zębach. Ja na przykład mam kolczyk na zębie, widać? – wyszczerzyła się, ukazując złotą kropkę – toby mnie po tym poznali. Myślę, że oni z tą głową i rękami utknęli. Każda baba wynajmująca ma swój pogląd, jedne, żeby się z tym nie obnosić, bo to odstraszy letników, inne, że właśnie przyciągnie, bo ludzie teraz tacy, że „na głowę” przyjadą. Podobno mają też w sezonie robić oprowadzanie po terenie twoimi śladami, ale nie wiedzą, czy to się opłaci, bo wiesz, że hołota nic nie czyta. No, ale ta Angela z biblioteki coś tam knuje.

Ten cały, jak to go nazywałeś, Rozklekotany, wrócił do siebie do Hamburga i się więcej nie pokazał. Pan Kazimierz i Domino wściekli, bo ta głowa wygląda na porachunki mafijne, a wiadomo, kto tu jest mafią... Twoja Kreweta swojego pochowała i znowu się hajta, bo już jej jego renta nie przysługuje. A hajta się z Bolkiem od flipperów, ale jaki on ma w tym interes? Chyba ten sam, co ona, bo ona już trochę tych nieruchomości zdążyła odziedziczyć. Słuchaj, Michaśka, czy ty wiesz, że jest nowa odżywka do rzęs, nazywa się revitalash, po której normalnie rosną rzęsy na centymetr, zobacz, jakie mam, możesz pociągnąć, ciągnij, prawdziwe! Dwa centymetry! Trzy miesiące smarujesz i nagle masz! I usta mam nowe, zobacz, ile powierzchni do malowania, ile na to idzie szminki, Jezu, żeby te całe olbrzymie obszary pokryć! No, ale się zwraca, bo teraz słuchaj: WŁOSI!

– Mów, co z lujem, do cholery! Luj! Nie pamiętasz takiego chłopaka, co w górze czy dole od pidzamy szedł sam lasem, a tyś się darła „luuuju”?

Na to, jak za naciśnięciem guziczka, Jadzia dostała od razu głupawki i zaczęła się histerycznie, perliście śmiać, a że miała chrypkę, był to śmiech bardzo chrapliwy i obsceniczny, aż dwie stare, siwe Niemki, pijące herbatę ziołową („gezundhajtliś te”), spojrzały na nią z protestancką naganą w oczach.

– A wy czego tu jeszcze szukacie? – krzyknęła w ich stronę Jadzia. – Boże, co to jest za naród nadpobudliwy, że też ta stonka w domu nie usiedzi! Mróz, zaspy, zima stulecia, kurwa, one muszą tu i tak się przyplątać, psim zaprzęgiem, ale przyjadą. Raś na haśle! Haj Hitla! – aż musiałem ją uciszyć, bo jak każda alkoholiczka upijała się bardzo szybko i teraz salutowała w stronę starych Niemek, Bogu ducha winnych, które piły swoją herbatę protestancką, opłacaną z trzeciego i czwartego filara. Zaczęły na to odkładać pieniądze już za Hitlera.

Ale ona jeszcze się do końca o Niemcach nie wypowiedziała, więc teraz zaczęła mi klarować ściszym głosem, wymachując parasolką z drinka:

– Nienawidzę. Powiedz mi, dlaczego Czechów, Rosjan, Ukraińców, Litwinów tu nie ma, przecież też są naszymi sąsiadami! Białorusinów, o, dlaczego nie ma? Że też inne narody, nawet Szwedzi, zapadły już w sen zimowy, a to gówienko z Frankfurtu nad Odrą nie może, musi dalej budować metro, budować swoje dworce, czyścić okna, jeździć, zwiedzać, musi pójść do rezerwatu żubrów, teraz, w zimie, bo to jedyna u nas atrakcja turystyczna. Ej, wy! – krzyknęła w stronę starych Niemek – do was mówię, kurwy! Do żubrów! Won, już do żubrów! Zwiedzać! Albo lepiej – rozkaszała się. – Lepiej raus stąd nach Krakau, nach Oświęcim, tam żeście sobie sami lunapark zafundowali, to teraz zwiedzajcie!

No... No, piękne se buciki do górskiej wspinaczki kupiłaś... Bardzo pasują do brązowych spodni od garnituru zaprasowanych w kancik, szczególnie te odblaskowe sportowe elementy...

Ty wiesz, że one są niby na wakacjach tutaj, niby mają wolne i Słowianin by chlał do rana, a potem spał do wieczora, a one się zachowują jak w obozie, one wstają o piątej rano, robią gimnastykę, w ogóle, kto o piątej rano robi gimnastykę? Kto, do kurwy nędzy, o piątej rano robi gimnastykę? O szóstej już są na śniadaniu hotelowym, ale torciku nie wezmą, tylko jakieś protestanckie sucharki, herbatkę ziołową i o siódmej do roboty! DO ŻUBRÓW!!! Zwiedzać! Foto machen! Jechać wynajętym tramwajem z nagraniem po szwabsku, że po lewej Dom Zdrojowy, a po prawej park Zdrojowy! I taka jedna z drugą myśli, że odpoczywa... O, zobacz, jak teraz nas obgadują, jak szepczą między sobą ta Alfreda z Winifredą! Raś szlafen! Morgen arbjaten! DO ŻUBRÓW!

– O luj mów, bo ani jednego drinka więcej nie dostaniesz. A zaraz nas stąd wyrzucą.

– No ten Mariuszek, o sorry – luuuuj – o Jezu, jak ja cię lubię, Michaśka! Zaraz po twoim wyjeździe bardzo zmarkotniał i zachorował...

No tak, bez ibupromu zatoki i rutinacei.

– A potem wsiadł na statek!

– Na statek!

– Tak, na tanie loty, znaczy się, na tanie te, rejsy. I popłynął na zmywaku pracować czy w fabryce w Anglii, w Newcastle upon Tyne. Gdzie i tak już jest bezrobocie i same bloki oraz sytuacja społeczna i socjalna w tych blokach.

– Mów, czy wrócił, do cholery!

To ta śmieszka zaraz zaczęła się ze mną przekomarzać, że niby powiedziałyby, ale zapomniała, ale jakbym jej postawił jeszcze gin itd. Więc zaraz stała przed nią cała butelka zadrożona strasznie, bo w hotelowej restauracji się takich rzeczy nie kupuje, tylko na promie.

– Jest! – oświadczyła wesoło. – Bo wiesz, że są włoscy robotnicy u nas teraz? – Rozmarzyła się i przewróciła oczami, zatrzepotała nowymi rzęsami. – Patrz, co za kultura wiele... wielotysiąc... wielotysięcznoletnia... Nie to, co te Winifredy – wskazała głową na stare Niemki. – Jak Włosi mieli kanalizację w Rzymie, znaczy się, grubo przed Chrystusem, to te Winifredy jeszcze Enerefu nie miały, tylko w jaskiniach, nie żadne tam czibo nie czibo, banhof nie banhof, na drzewach! A tu prosty robotnik, a płaci za seks, i to dobrze. A majtki od Dolce and Gabbana, na udzie róża wytatuowana! Nasi robole już by ci zapłacili! Ci Włosi, mówię ci, w łóżku zwierzęta. Animaaaali! Warto dla nich w tego revitalasha zainwestować! Widzisz, że aż się po włosku poduczyłam. Kurwiszon Jaśka tak się tym przejęła, że teraz każe na siebie mówić Gelsomina. Dželsomina to się czyta.

– I gdzie ja tego luja teraz znajdę? Na przystanku pusto.

– A bo ja wiem... Poczekaj, bo Herman idzie. Herman! – krzyknęła w stronę staruszka wchodzącego właśnie głównym wejściem. Staruszek podszedł do nas, obracając w pomarszczonym i mimo zimy maksymalnie opalonym ręku kartę magnetyczną do pokoju. Przez szyję przewieszony miał profesjonalny aparat fotograficzny, jakby był sezon, a on był paparazzim czatującym na gwiazdy. Na palcu złoty sygnet...

Jadzia zaczęła z nim szprechać po niemiecku jak stara, że coś tam, że szpejte, nacht cymer bekomen, pirogi und barcz esen, langzam langazm aber zicher, kajne anung, ject kan yś nyś, ject majn frojnd aus Brrresłał bekomen, wir szprechen, szpaciren, Żubren kuken... Michaf. Ja ja, szajse weter, aber morgen file zone in ganc Uznam und Wolin. Cis bis szpejte!

Na tym polegała jej paranoja, że ona, nienawidząc Niemców jak psów, musiała jednocześnie dla męskiej części ich populacji być miła, bo Niemcy stanowili osiemdziesiąt procent jej klienteli, reszta to Szwedzi i teraz, wreszcie, włoscy animali.

Poszprechała, poszprechała, Herman poszedł nacht cymer, a ona mówi tak:

– W taką pogodę to oni siedzą w bramie, w bloku przy dworcu, to musiałabym ci pokazać, bo adresu tak nie znam, ale wiem, jak tam trafić. Albo mogą też siedzieć na dworcu, w holu.

W każdym razie siedzą.

– Ej, gdzie idziesz? Nie napijesz się jeszcze ze mną? Michaśka, nie wygłupiaj się! Durna! Na tle tego luja to jesteś zwariowana, a on na ciebie tak gada, że bym się nawet ja wstydziła powtórzyć. Michaśka, nie idź, wracaj! O Jezu, a zapłaciłaś chociaż za to wszystko? Ale ja jeszcze przed twoim przyjściem piłam kawę. Dzięki. Ta brama to wiesz, tam jak idziesz od dworca do rynku to po lewej stoi kilka bloków, tobyś miała do sprawdzenia może z pięć bram, pikuś. Tam jest taka piaskownica i huśtawki. Ej, ale zostaw mi papierosy... Ty, czekaj, a masz może chusteczkę higieniczną?

Nawet nie miała pojęcia, że nie tylko chusteczki higieniczne, ale i patyczki higieniczne do czyszczenia uszu, i wszystko by się znalazło, bo cały plecak pełen miałem zakupów dla luja. Lecz ja już byłem myślami gdzie indziej, wsadałem w taksówkę stojącą pod hotelem i kazałem się wieźć do

Polski B, do bloków. Znałem je dobrze, bo zawsze, idąc od dworca, się dziwiłem, że jednak aż trzy bloki ludzi mieszkają tu cały rok, i zastanawiałem się, co też robią. Żywią się ciastem na gofry pozostałym z lata?

Były szare, wstrętne i czteropiętrowe, szczególnie na tle tej pozłotki reszty Międzyzdrojów. Ale w przeciwieństwie do niej były prawdziwe.

Na dworcu ani na przystanku ich nie było. Sprawdziłem jeszcze w knajpie Bella Mi, w której czasem też siedzieli na flipperach, jak mieli kasę, ale gdzie by tam mieli kasę w środku zimy, zamknięte na głucho^[14].

Siedzieli na schodach w jednej z bram, gdzie nie działał domofon, i pili wódkę, podając sobie butelkę. Gdy mnie zauważyli, od razu stało się jasne, że jestem tu wydarzeniem roku, że dziś na żadne atrakcje nie liczyli, Madonna ani Rihanna z koncertem się nie zapowiadała, a tu znowu ten pedzio od Zulusa przyjechał i kto wie, czy nie z piwem. Miałem tylko nadzieję, że Studencik nie jest taki głupi, żeby zostawić mnie bez ochrony w sytuacji, kiedy jestem wystawiany na wabia seryjnemu mordercy. Dlatego teraz w ogóle się nie bałem, zbieraj się, Mario, idziemy, jest sprawa. Może sobie wmawiam, a może naprawdę się ucieszyła ta morda na mój widok. Ja w każdym razie byłem wniebowzięty, dopiero teraz uświadomiłem sobie, jak tęskniłem za lujem i jak się cieszę, że na koszt policji mogłem tu przyjechać, do Mariuszka, do mojego, mój-ci on, a nie kata!

No i teraz siedzieliśmy wśród włoskich robotników poubieranych jak piraci z pokazu Galliano, którzy z bidnego Południa przyjechali do nas pracować i luj był zachwycony, bo wreszcie mógł się dowartościować. Ubrany pięknie w angielskim TK-maksie w bluzę Lonsdale'a, T-shirt Everlast i martensy, które w Anglii są dosyć tanie, więc luj kupują wraz z trampkami Lacoste'a, a potem płaczą na lotnisku, że tylko dwadzieścia kilo bagażu, więc nakładają na siebie jedno na drugie, po pięć bluz od dresu, i poca się w ścisku tanich linii.

Więc pięknie ubrany we wszystko nowe luj jadł pizzę, ja piłem kawę, gęby nam się nie zamykały. Opowiadał mi, jak pracował w Newcastle upon Tyne, w pralni Sunlight na nocne zmiany.

Jednym uchem słuchałem, ale bardziej rozglądałem się, czy gdzieś nie dostrzegę kogoś z tych naszych facetów z ochrony albo chociaż Cierpisz, ale gdzie tam. Uznali, że jak już jestem u Krewety, to nie będę wychodził. W ogóle cała ta sprawa ze Studenciną, dochodzenie, liście dębu, cały Wrocław, wszystko wyblakło i zdawało mi się, że po prostu – jak to ja – wybrałem się tu, żeby „się powłóczyć”. Tymczasem luj opowiadał, zagryzając pizzą.

Pralnia Sunlight

Rozlegają się oklaski Polaków przy lądowaniu. Newcastle upon Tyne, drużyna: Newcastle United. Piwo: Castle Brown Ale. Nocne zmiany w pralni Sunlight, mantra z proszku do prania i monotonnej muzyki z głośników. Ostry, przypalony zapach prasowania. Fabryka czystości wytwarzanej maszynowo.

Osiem godzin i myślisz o całym swoim życiu. O Zupie Anecie, o Ystad i Malmö, o szkole morskiej w Szczecinie, do której się nie zdało.

Nazywa się tu Majus Kamekyk, pochodzi z Stetin.

W fartuchu.

Najpierw na sortowni, a potem na prasowalni.

Przypinając na haki prześcieradła z hoteli zabrudzone przez wydzieliny bogatych i wciskając przycisk, który wsuwa je w maszynę, a ta z kolei prasuje je, składa i owija specjalną folią.

Wydzieliny bogatych wydzielane są w wyniku czerpania pełną garścią z życia. Na przykład kiedy zbyt nagle opadło się na łóżko i różowe wino wylało się z kieliszka na poduszkę. Albo kiedy sprawdza się w smartfonie stan konta i trochę śliny polecie na koszulę. Albo jeśli tę samą koszulę upaćka się sosem winnym od muli.

Bo do pralni Sunlight w dalekim i pięknym Newcastle upon Tyne wielkie jak te straże pożarnej samochody przywożą wszystkie brudy ze wszystkich hoteli i szpitali w całym Zjednoczonym Królestwie. W olbrzymich worach. Luj w tych ciuchach znajdował najróżniejsze rzeczy, strzępki życia.

Zabawki z jajek-niespodzianek.

Bilety na metro.

Zasuszone tabletki.

Malutką kostkę Rubika dla krasnali.

Osiem godzin i myślisz o całym swoim życiu.

Piorąc.

Przypinając te prześcieradła.

Jak w ostatniej chwili życia. Jakbyś właśnie umierał. I staje ci przed oczami. Ta Zupa Aneta w Ystad, która teraz, jak wynika z jej profilu na Facebooku, ma trwałą i jest w związku ze wstrętym, rudym Niemcem w jakimś Schwiningen, ma dziecko i domek. Inne nieudane miłości, na co wydasz wypłatę – wszystko zostaje dogłębnie przemyślane. Międzydroje. Nawet ten dziwny facet z Warszawy, co przyjechał jesienią z paralizatorem Taser. Wszystkie wyniki Pogoni zostają dogłębnie przeanalizowane. Luj czuje się samotny w tej pralni pełnej Azjatów i Słowian.

Męczy się. Taka robota w pralni to jest, za przeproszeniem, babska robota, a on wolałby gdzieś na budowie pracować, tyle że akurat z powodu permanentnego kryzysu nie budowało się wiele w Newcastle upon Tyne, bo nazwa ta oznaczała socjal, zimny wiatr i bezrobocie, a wszystkie

budowle były stare i miały nieszczelne okna. Luj musiał nosić chustkę na głowie i fartuch.

Luj w chustce na głowie.

Chciałbym to zobaczyć.

Na takie babskie fidrygałki szanujący się luj może sobie pozwolić najwyżej wtedy, kiedy pracuje w piekarni. Za grosze wypłacane tygodniowo pralnia chce bardzo wiele, chce odrzeć go z męskości i wcisnąć w polską sprzątaczkę, w pomoc domową. Był taki film *Poszukiwany, poszukiwana*, gdzie facet musiał przebierać się za babę, ohyda. Teraz to spotkało wielu i to na własne życzenie. Żeby pójść i kupić sobie potem plazmę. Żeby kupić ciuchy.

Nike.

Adidas.

Lacoste.

Cała ta dzianina. Wełna. Bawełna. Także gdzieś w Chinach wytwarzana byle jak, maszynowo, przez niewolników.

Woda toaletowa Bossa na lotnisku.

Jack daniels kupiony w wolnoctowym.

Dla takich rzeczy luje pozwalają sobie nałożyć chustkę.

I jeszcze dla grania na promie w automaty.

I jeszcze dla dziewczyn. Na kebab dla dziewczyn.

Luj uważa, że ciała Anglików są tak naładowane chemią z tego całego angielskiego żarcia, że się nie rozłożą w ziemi. Normalnie ekshumacja po dwóch latach, a tu gościu cały i uśmiechnięty, a ubranie na nim też całe, bo to wszystko sztuczne jakieś poliestry.

Natychmiast opowiedziałem mu o GŁOWIE i grabarzach. Doszliśmy do wniosku, że ta nieszczęsna laska musiała pracować w Anglii i za dużo stołować się na mieście.

A luj obzerał się w najlepsze fish & chips i też mu wcale od tego nie ubyło kilogramów. Słoną rybę w occie i pływające w tłuszczu kawałki ziemniaka można było kupić prawie na każdym rogu.

Anglicy narzekali, że Polacy im zabierają pracę, ale sami nigdy nigdzie nie pracowali, bo w pięknym i dalekim Newcastle upon Tyne całe angielskie rodziny żyją od kilku pokoleń na zasiłkach i mają zniżki na taksówki, autobusy i na basen, nie chcą się uczyć, tylko „smarkają po taksówkach” i mówią, że nie mogą znaleźć pracy. Są brzydki jak dyskонт spożywczy w niedzielę wieczorem. I już nie pamiętają, co to znaczy rano wstawać, kiedy deszcz zacina niemal poziomo w dalekim i pięknym Newcastle upon Tyne.

Luj chciał uzbierać na beemkę, ale i tak od razu wszystko wydawał i wrócił z niczym.

Chciałem powiedzieć mu, że na beemkę nie zarabia się w pralni, bo to się stylistycznie kłóci, ale przypomniałem sobie, że stylistyczne koktajle Mołotowa to specjalność w barze luja.

O dziwo, luj zaprzyjaźnił się tylko z jednym Anglikiem, nikim więcej. O dziwo, że z Anglikiem, a nie że z jednym. Pracował na lepiej płatnym stanowisku, ale też na nocną zmianę już od siedmiu lat. Nazywał się Glen. Miał czterdzieści lat, był napakowany, ale jakby wyblakły: wyblakłe tatuaże na

rękach, wyblakłe niebieskie oczy, wyblakłe blond włosy, brak jednego zęba. Może tak wyblakł od braku słońca, bo od lat pracował tylko na nocne zmiany, co doprowadziło do stałych zmian w jego psychice, różnych tików nerwowych i chronicznego uczulenia na słońce. W uchu nosił duży kolczyk, według luja „jak u krowy”. Był dzieckiem późnego punka, mieszkał na wsi pod Newcastle, nie wyobrażał sobie życia poza nocną zmianą w pralni Sunlight. Jako młody chłopak pewnie powtarzał za matką i ojcem wszelkie „fuckin’ twat” i „cheeky slag” i pokazywał fucki w kierunku Margaret Thatcher. Naprawiał zepsute maszyny i dowoził pranie lujom, co jebali na prasowalniach. Gadał do siebie, ale nie za głośno, do każdego podchodził i mówił „turtle made” i przybijał żółtwia. Chodził po pralni w czerwonej koszulce i czarnej czapeczce Newcastle United, wywołując u luja fale nostalgii za Pogonią Szczecin. Był trochę debilowaty, woził pranie na wózku i ciągle pokazywał język, bo miał na nim kolczyk. Razem z Glenem pracował jego syn, też w koszulce Newcastle United, ale za to bardzo spokojny. Jego matka też ponoć w Sunlightcie pracowała, ale na zmianę popołudniową.

Kiedy luj już nie mógł wytrzymać, zamykał się w tak zwanym polskim kiblu na papierosa, dopóki go superwajzer nie nakrył i nie wygonił do roboty („You can not sit MAJUS, you have to stay up and work!”). Kibel nazywany był polskim przez Polaków, ponieważ pachniało w nim jak w kiblu pociągu pospiesznego nieintercity, tym tanim mydłem, i zawsze było trochę zimno, jakby się jechało pociągiem i wiało z niedomykającego się okna. Możliwe, że przez Słowaków był nazywany słowackim kiblem, ale luj to nie interesowało. Napisał tam nieśmiało markerem na ścianie „Pogoń”, żeby było już całkiem jak w Polsce, ale znów go superwajzer nakrył i kazał ścierać. To się po prostu siedziało na kiblu w spodniach i słuchało polskiego rapu, o tym, że żyjemy w getcie i że nie ma perspektyw, i mordo ty moja. To było pełne nostalgii miejsce. Luj potrafił siedzieć tam piętnaście minut, grać w coś na komórce, wspominać Szczecin-Dąbie i TLK do Świnoujścia. W kiblu było napisane „*With the bags of sweets and cheeky smile, Rado is a pedophile*”, a nikt tam tego Rado nie lubił, bo trzymał z superwajzerem.

Zawsze znajdzie się jakiś pieprzony przodownik pracy.

Przez tego Rado, który na luja nakablował, luj musiał przejść do gorszej pracy na pasie (czyli, jak to Polacy mówili, „na belcie”) i pracować nawet z Murzynami. Trzy osoby z przodu i jedna z tyłu odbiera złożone prześcieradła i układa na tym belcie.

Już w połowie pracy od tego przemyśliwania o całym swoim życiu bolała go głowa.

Na hali leciało angielskie Galaxy FM, ale i tak podstawowe zajęcie na zabicie nudy to były wyścigi ze Słowakami, kto więcej „przyjebie” prześcieradeł i wyrobi wyższą normę. Owa norma to było dwieście na godzinę, normalnie każdy robił około stu sześćdziesięciu, ale oczywiście Rado potrafił przyjebać trzysta dwadzieścia.

Lujowi przypominały się takie drobiazgi z jego biografii, jak na przykład śrubka od telefonu. Gdy był mały, rozkręcił całkowicie telefon i bawił się śrubkami. Potem jedną z tych śrubek jego mama trzymała zawsze w torebce, w razie gdyby trzeba było małego luja uciszyć w kolejce czy w przychodni.

Mały luj w wykończonej koronką białej czapeczce.

To Galaxy FM już im wychodziło uszami. Zresztą tam wszyscy non stop cierpieli, to ze zmęczenia, to z nudów, to od alergii na proszek do prania, to z powodu Galaxy albo z nienawiści do Rado. Własnej muzyki nie można było słuchać, ale luj zakładał kaptur i superwajzer nie widział jego słuchawek, w których łomotał prosty polski rap o tym, jak tu jest źle i jakie złe są elity.

Najgorszy był czas – każdy gapił się non stop na zegarek i liczył minuty do końca zmiany albo do przerwy. Jak zabić czas? Pod koniec wszystkim było już wszystko jedno, czy zmiana się skończy, czy nie, popadali w rodzaj transu, a rzeczywistość prześcieradeł nie miała żadnej alternatywy.

W polskim kiblu luj mógł też zjeść sobie coś z polskiego sklepu, bo przecież nie te angielskie octowe chipsy. Sprzedawali w nim z podwójną przebitką przeterminowane kubusie, kaszę gryczaną, majonez Kielecki i jakieś takie gówniane rzeczy. Były też polskie piekarnie, ale sprzedawały tak samo niedobry chleb jak angielskie. W hipermarkecie ASDA można było kupić polskie piwo, ale najpopularniejsze na północy było Newcastle Brown Ale. Więc Polacy ładowali w ASDA najtańsze piwa i polską wódkę co tydzień, a potem tym sikali z tyłu domu i krzyczeli wniebogłosy. W pubach pili starsi ludzie, otwarte były tylko do pierwszej w nocy, a potem Anglicy zawsze się przed pubami bili. Luj ani razu nie był w pubie. Tam siedzieli ci wyniszczeni psychicznie socjałem Angole, wyniszczeni fizycznie jedzeniem, nierozkładający się w grobach, bladzi, uczuleni, grubi... Różne miejscowe alkoholiczki czekające na to, że ktoś postawi im drinka. Wszyscy oglądali w telewizji na plazmie Newcastle United, pili Newcastle Brown Ale i palili, palili. Po wypłacie pili whisky i palili lepsze papierosy.

I znowu lotnisko, znowu problem, jak zmieścić się w limicie bagażowym Easy Jeta. Dlatego stare ciuchy się wypierdało, zakładało się jak najwięcej nowych na siebie (luj poci się w trzech bluzach Lonsdale'a), i resztę rzeczy upychało do podręcznego. A i tak kobieta ważąca bagaż przy odprawie dawała nalepkę „heavy” albo kazała dopłacać. I znów klaskanie Polaków po przylocie.

I już luj jest tylko mój.

Tak mnie wzruszył tym wszystkim, że postanowiłem być dla niego bardzo, bardzo dobry, jak najlepsza mama. Dostał pizzę, dostał piwo, drugie piwo, ja mu opowiedziałem wszystko, tak jak wcześniej Jadzi, a jemu się oczy robiły jak spodki. Pierwsza recenzja opowieści była taka:

– Ej, to ty teraz się z psami zadajesz, z mentownią?

Nie polubią się...

Druga:

– A czym jeździ ten Studencina?

Trzecia:

– I naprawdę widziałeś te wszystkie trupy?

Czwarta:

– Ja... To ta głowa na drodze na leśniczówkę to chyba też pod ciebie, to też twoje miejsce, to też on.

– Myślisz, że by przewidział, że ja tu przyjadę?

– A to trudno przewidzieć, jak ty tu ciągle przyjeżdżasz.

– No, Jadzia mówi, że złapałem bakcyła. Bakcyła Międzyzdrojów. Że mi się nie podobają, ale już muszę tu jeździć do końca życia. To jakiś psychofan. Myślisz, że on tu przyjechał za mną?

– No.

– Ej, a w tym polskim kiblu myślałeś czasem też o mnie?

– No, nawet opowiadałem temu Glenowi, że znam takiego bogatego faceta z Warszawy, z megazegarkiem „Radio” i w ogóle pisarza... Bo mi się skojarzył z tym całym Robertem z leśniczówki.

Tu należy sobie wyobrazić ruchomy emotikon „bijące serduszko”.

– Musimy go jakoś wydobyć, wywołać, sprowokować, żeby zaczął działać i się ujawnił. Tylko że jak zacznie działać, to pewnie zaraz będzie trup. Lepiej ustalmy wszystko jutro na spokojnie, razem ze Studencikiem.

Ale po minie luja było już widać, że nie będzie miłości między nimi. Zaczął mi pokazywać zdjęcia z Anglii w komórce. Pralnia. Pokój luja. Rado. Glen. Nudne i smętne krajobrazy północnej Anglii.

Urna. Trup w trumnie, wśród kwiatów.

– A to co?

Zmieszał się.

– Oj, no tak, bo to jest komórka, którą mi sprzedał Domino, a wcześniej zajął ją takiemu jednemu właścicielowi zakładu pogrzebowego, w ramach części długu, no i jeszcze nie wykasowałem tych jego zdjęć, same trupy wśród kwiatów i urny, trumny i tabliczki nagrobne, i jeszcze jakieś jego zdjęcia z wesela...

I nie kochaj tu luja.

Potem zapytał, czy mam może załatwić sterydy, „bo ty tak się z tymi wszystkimi lekarzami zadajesz”. Może bym i miał, ale nie zamierzałem oduczać jego jąder produkowania testosteronu.

– Poza tym trzeba jutro wy badać, co z tym całym drwalem, czy on siedzi w leśniczówce, czy miał

alibi, żeby już go wykluczyć. Niby bardzo wszystko do niego pasuje, ale znając go, jemu by się nie chciało. On jest trochę jak Iwona, księżniczka Burgunda Gombrowicza. Ma za niskie ciśnienie, a toby trzeba gdzieś jechać, do jakiegoś Wrocławia, nie. Nie sądzę. Z tych samych powodów, co Paula. Może, gdyby chodziło o jakąś wyjątkowo wysuczoną filiżankę, toby pojechał do Wrocławia, boby się bał, że mu się zbije w przesyłce.

Szliśmy do Krewety, bo nie byłem aż taki chojrak, żeby wracać sam. Padał śnieg i wszystko było białe, czyste. Miałem klucz, ale i tak spodziewałem się Krewety już na starcie. Poprosiłem luję, aby w najbliższych dniach uważał na siebie, bo jako mój znajomy jest szczególnie narażony, i umówiliśmy się na jutro, a właściwie już na dziś, na dwunastą, na zebranie ze Studencikiem. Miałem szczerą nadzieję, że tej nocy już nic się nie stanie, że nie znajdę u siebie na poduszce żadnego liścia ani nic. Przerazało mnie, że – żeby dostać się do swojego pokoju – będę musiał przejść przez Krewetę. Ale sam tego chciałem. Zadzwoiłem lujowi po taksówkę, dałem dwadzieścia złotych i nie wypuściłem, aż na własne oczy zobaczyłem, że wsiada do samochodu. Kazałem panu Wojtkowi odwieźć go prosto do domu, gdziekolwiek by to było, a zdaje się, że on mieszka w jakiejś piwniczce.

W pokoju było nagrzane, aż dziw, skoro Kreweta też jeszcze nie została milionerką. Na kanapie ułożyła wystawkę z lalek i poduszek.

Zarygłowałem drzwi i leżałem goły na łóżku, gapiąc się bezmyślnie w sufit.

Zasnąłem.

Rano obudziło mnie pukanie Krewety, całej w skowronkach. Ubrałem się w spodnie od dresu i uchyliłem drzwi.

– Panie Michałku, życie pan prześpi, śniadanko!

To podejrzane, że Kreweta, taka skąpa, inwestuje w jajecznicę dla mnie.

Miała ranny słowotok:

– Ja coś czułam, że pan przyjedzie. Coś mnie tknęło. Proszę się częstować. Idzie pan sam przez życie, panie Michale?

Siedziałem w Dolce Vita, bo nic innego nie było otwarte, a od Krewety uciekłem, gdy zorientowałem się, że ona umyśliła sobie mnie podrywać. I oto stał teraz przede mną „zestaw śniadaniowy”, talerz kielbas włoskich i deska serów oraz dwie kawy i notes, w którym spisywałem wczorajszą opowieść luja o pralni Sunlight, w której się światła słonecznego latami nie widziało. O dwunastej miał tu dołączyć Studencik i luj. Już się bałem. W knajpie nikogo poza mną nie było, a zamiast blondyny obsługiwał jej mąż, który zwykle siedzi w kuchni i robi ten świetny sos do krewetek.

À propos krewetek: postanowiłem wyprowadzić się od Krewety do Hotelu Wiedeńskiego, bo miałem dość brudu. Po prostu nie potrafię się myć, kiedy wiem, że każde odkręcenie kranu jest nożem wbitym w serce Krewety, która nadśluchuje pod drzwiami i liczy straty, pewnie nawet potrafi odróżnić po odgłosie, czy odkręcam ciepłą, czy zimną. No i w czym tam się kąpać, w tym zardzewiałym brodziku? Wiedziałem, że w Wiedeńskim są wanny w łazienkach, bo przecież kręciliśmy tam w maju z TVN-em Kulisy Sławy. Należało wyłożyć się w gorącej wodzie z pianą i leżeć. Zanurzyć z głową. Koniec syfu w moim życiu!

Pierwszy przyszedł Studencik: w okularkach, w spranych dżinsach, inteligent i glina w jednym. Obrzucił mnie swoim ironicznym, świdrującym spojrzeniem, porwał kawałek pikantnej kiełbasy, zajrzał ciekawie do czajniczka z herbatą.

Widząc go, zupełnie zwątpiłem w możliwość wsadzenia ich z lujem do jednego worka, ale musiałem przecież go uprzedzić:

– Zaraz tu przyjdzie luj.

– A niby po co? Co, luj ma się przysłuchiwać naszemu zebraniu?

Mąż blondyny postawił przy nas ciepły nawiew i włączył do prądu, bo mimo że grzano, to co za grzanie może być w Międzyzdrojach, całych pomyślanych tylko na czerwiec–sierpień.

– Słuchaj, ja już mu i tak wszystko opowiedziałem, jemu i Jadzi Parszywej, no przecież ustaliliśmy w pociągu, że nie będziemy tego trzymali w tajemnicy, morderca – wciąż czułem fikcyjność tego określenia – ma się dowiedzieć, że tu jestem. Jadzia już wszystkim rozgada. No i sprawdźmy dzisiaj Roberta z leśniczówki, proszę cię. Żebyśmy go już odfajkowali – powiedziałem, żeby zmienić temat.

– Zaraz po zebraniu tam pojedziemy z policjantami, przydzielili nam tych dwóch wczorajszych do pomocy, bo Jadwiga Cierpisz leży złożona reumatyzmem.

– O matko, ja się w tym roku przez to całe kacze love story zapomniałem zaszczepić na grype! Muszę tu iść!

– Dobra, dobra, lepiej zrekonstruujmy sobie, co dotąd wiemy. Jest ktoś, kto od maja zabija niezidentyfikowane osoby, przebiera w kostiumy z epoki i teatralnie aranżuje scenki w miejscach

związanych z przedwojennym pedalstwem oraz z tobą. Czekał, kiedy ty kręciłeś te Kulisy Sławy? W maju? To emisja była też w maju? No to on mógł sobie wtedy o tobie przypomnieć. Międzydroje, Wrocław, wypowiadają się nauczyciele, rodzice, całe twoje życie było tam wałkowane! A on pije do ciebie. Do tego pasują głowa i dłonie znalezione na drodze do leśniczówki opisanej w twoim *Drwalu*. Pokazywałeś w tych Kulisach tą drogę! W pewnym momencie my zamykamy kogoś, tego weterynarza, o którym ci kiedyś opowiadałem, i morderstwa ustają, najwyraźniej ucieszył się, że znaleźliśmy kozła ofiarnego na jego miejsce, i zamierzał już siedzieć cicho. Ale nagle ginie Sonia, związana z medycyną, przez tego swojego doktora Kraśkę i przez recepty na rohypnol, i przez swoje studia, i Bóg jeden wie, przez co jeszcze. A on potrzebuje rohypnolu. Sonia ma na tyle zimną krew, żeby gotować głowę z cmentarza w garnku, i należy do jakiegoś durnowatego kręgu pseudogotyckiego czy chuj wie jakiego, to już Wojtuś właśnie bada we Wrocławiu. No i jest w ciąży. Idziemy rozmawiać z Iwem, ginie Iwo. I na dodatek w miejscu bezdyskusyjnie związanym z przedwojennym pedalstwem, jakim jest blaszak na placu Świętego Macieja. Aż się dziwiliśmy, że dotąd w nim nic się nie stało. Czyli że on już wie, że my wiemy, że to nie Bogu ducha winny weterynarz, i może znowu zabijać, a że sprawia mu to przyjemność, więc sobie folguje. Ale „po przerwie” zabija już tylko świadków albo współników. Pierścionek Soni ląduje u ciebie, podobnie jak liść dębu, a właśnie w liściach dębu ją znaleziono, choć drzew tam żadnych nie było, tylko krzaki. W lektorium podpisuje się w książce czytelników znakiem nieskończoności. Kradnie ci pióro, którym założyłeś książkę. Czyli podeszliśmy za blisko, skoro znowu są trupy. Ponieważ to trupy świadków, więc nie chce mu się ich przebierać i charakteryzować. Oni mają po prostu zamilknąć. Ale nie mógł sobie odmówić odrobiny teatralności, żeby nam pokazać, że to on. Dlatego Sonia jednak przebrana, a Iwo jednak w szalecie. W każdym razie on ich znał, więc kryje się w siatce ich znajomych. I dlatego ze wszystkich ofiar uczepiliśmy się tego rodzeństwa i po powrocie dołączymy do Aśki i Wojtka, nie spoczniemy, aż przekopimy wszystko, co się łączy z tą rodziną. Facet Soni, Kraśko itd. Takich teraz mamy podejrzanych: tajemniczy facet Soni, doktor Kraśko, rodzice Soni, koleżanka z roku Joanna Grządziel, dziewczyny z „klubu”, Bednarz i tysiąc osób, o których nie wiemy, a które tworzą siatkę, takie całe drzewo pokrewieństw i znajomości... Wiemy na przykład, że Bednarz ma eksmęża. Z tego małżeństwa ma syna. Trzeba sprawdzić, czy spotykali się z Sonią i Iwem. I tak dalej, i tak dalej.

– Robert – dodałem z uporem maniaka.

– Niech ci będzie, Robert... To, że ty tego mordercę możesz znać na co dzień, jak znasz Paulę, to jest wielce prawdopodobne. Należałoby zrobić siatkę twoich znajomości i porównać, czy są jakieś punkty wspólne z ich znajomościami. Na przykład, że Paula, no nie krzyw się, przykładowo mówię, studiowała na jednym roku z byłym mężem Bednarz. Takie dalekie powiązania.

– No, to nie jest zwykła osoba, tylko taka, która, może z racji swojej pracy, ma nieograniczony dostęp do ludzi, którzy zabici stają się enenami. Na przykład w pogotowiu czy w psychiatryku, gdzie są ludzie z utratą pamięci, ja wiem? Skąd się bierze enenów?

– Część z tych niezidentyfikowanych chłopców, których zabił, była wyniszczona i miała zrosty na żyłach, jak u narkomanów. Żaden nie wyglądał na dobrze odżywionego i domytego chłopca z dobrej rodziny. Może ich wyhacza na dworcu. We Wrocławiu jest sporo narkomanów, są dwa główne

miejsca spotkań: „mały bajzel” i „duży bajzel”. Wystarczy spojrzeć, my, policjanci, od razu ich rozpoznajemy na ulicy. My mówimy na nich „latawce” albo „berzoloty”, bo nie idą, tylko jakby fruną, gnani byle wiatrem, zgarbieni aż do samej ziemi, z siatami, zawsze z siatami.

Cioty, stare cioty, też zawsze na pikiecie z siatami... Uzależnione od chuja. Jak narkomani od hery. Biegające za chujem od nocy do rana, żyły sobie wypruwające. Siatka – symbol uzależnienia?

Studencina zamyślił się. Milczeliśmy. W końcu spojrzął na zegarek:

– Gdzie jest ten twój luj?

Dobre pytanie. Była już za piętnaście pierwsza, a luja ani śladu. Zacząłem się denerwować, bo w końcu Mariusz nie miał żadnej ochrony. Dzwoniłem do niego na tę całą zaiwanioną właścicielowi zakładu pogrzebowego komórkę, ale tylko nasłuchiłem się durnowatej skocznej muzyczki oraz nagrania na wietrze, z powracającym lejtymotywym pociągania nosem.

– A jak on mu coś zrobił?

Studencik nie wydawał się zbyt zmartwiony. Zapłaciliśmy i postanowiliśmy pojechać z oddanymi nam do dyspozycji policjantami do Roberta. Poczułem lekkie ściśnięcie w dołku. Nie byłem tam od czasu opisanych już wypadków z jesieni dwa lata temu. Będziemy jechać drogą, na której Jadzia Parszywa wygłaszała swój słynny monolog, na której teraz znaleziono głowę i dłonie, drogą, która jest już tak moja, jakbym jechał własnym przewodem pokarmowym, bobslejem z góry prosto do własnej dupy. Już widziałem Roberta, jak nam otwiera po półgodzinie walenia kołatką w drzwi, w pidżamie, bo uciał sobie małą drzemkę w środku dnia, tak się zmęczył tym, że wstał na śniadanie, otwiera rozespany, na leksotanie i stilnoksie, totalnie zborsuczały, kompletnie złaszony, wypierzony, rozmazany i nieprzytomny. Drapie się w tyłek i patrzy, co to, a słońce go razi, bo nie jest przyzwyczajony do wychodzenia. W tle Faliszewski śpiewa o miłości fordanserki, w wiatrołapie wisi zajęc. Robert patrzy i nie poznaje, bo on, jak romantycy, nie lubi świata i o nim zapomniał, z wzajemnością.

Kto to? Jakbym skądś znał tego gościa, ale skąd? Ta ostatnia żywa szara komórka w mózgu, co jak las po pożarze, jak gorzelnia, co zgorzała, więc ta komórka ma mnóstwo roboty. Jest grudzień i Robert w ostatnich miesiącach już tak napalił, że wewnątrz wreszcie się rozgrzało na dobre i tak szybko nie robiło się zimno, ale teraz stoi w półotwartych drzwiach i cenne ciepło się ulatnia. Jest grudzień i wszystkie sprawy tegoroczne zostały załatwione, i Robert nie przewidywał już w tym roku żadnych kontaktów z rzeczywistością poza światem dziewiętnastowiecznych francuskich powieści, które czyta, i baroku, który panuje w domku. W tych dziewiętnastowiecznych francuskich powieściach z miłości można dostać zapalenia opon mózgowych i leżeć w gorączce, a Robert zaraz jej dostanie i bez tego, skoro w samej pidżamie stoi w drzwiach.

Bo nagle wpadamy my, niczym policzek zadany przez rzeczywistość teczką zimną, plastikową, z pitami, wprost w twarz, na której jeszcze odbity jest wzór poduszki. Niczym wstrętne jehowy, kocia wiara. Niczym facet z gazowni, niczym zawiadomienie o niedopłacie. On się przez godzinę przyglądał portretowi podstoliny, bo jak tak długo przed nią siedział i pił wino, to zawsze obraz w końcu się do niego odezwał, jak te prababki w *Strasznym dworze*.

I nagle będzie tak:

„Co robiłeś dnia tego i tego o tej i o tej?”.

„Spałem”.

„Czy ktoś może to potwierdzić?”.

„Jezus, no spałem przecież sam...”.

„Co robiłeś dnia tamtego i tamtego?”.

„Spałem”.

Albo:

„Siedziałem z winem i gapiłem się w obraz podstoliny dobrodziejki w szpiczastym kapturku na głowie albo waliłem konia, albo czytałem *Pitawale*, albo spałem, albo gapiłem się w kozę, albo dokładałem podartych pornoli do ognia, albo dłubałem w nosie, jednak pewnie spałem...”.

Już uśmiechałem się do siebie, choć ze względu na luja nieobecność tak do końca nie potrafiłem się wyluzować. Tym bardziej że podjechaliśmy do ich bramy, która okazała się pusta, tylko śmieci po nich zostały, na przystanku to już w ogóle zaspasniegu i baba w berecie czeka na autobus do Świnoujścia, bo postanowiła dzisiaj się wybrać do wielkiego miasta, zaszaleć, pójść do fryzjera i kawiarni, obejrzeć materiał na spódnice.

Jechaliśmy lasem, który był cały w śniegu, na gałęziach wszędzie nawisy śnieżne. Normalnie śnieg jest psychiczny, kiedy jest go tak dużo i kiedy jest taki nieruchomy.

Śnieg. Śnieg. Śnieg. Śnieg. Śnieg. Śnieg. Śnieg. Śnieg. Pachnie wodą i lodem.

A na śniegu tropy zwierząt, których nigdzie nie widać. Całą drogę pisałem esemesy do luja, żeby się odezwał. Studencik właśnie łapał bakcyła Międzyzdrojów, bo to się zwykle tak zaczyna, rozglądał się na lewo i prawo i gadał: „jak tu pięknie, ale pięknie, Jeeeeezu, jak pięknie”. Niby zwykły las, a jednak tu, gdy się wie, że zaraz za nim morze i plaża, bardziej się podoba, i to jest właśnie ten bakcył, na którym Krewety rok w rok żerują.

Zajechaliśmy.

Leśniczówka stała zasypana śniegiem.

Pukamy. Nikt nie otwiera. Dym z komina nie leci. Nie ma drwala. Ale zza drzwi dochodzi jakby skomlenie psa. Nie miał wtedy żadnego psa, ale może sobie kupił, nietrudno w końcu. Psa zostawił, czyli na krótko tylko wybrał się do Międzyzdrojów. Ale śladów żadnych, wokół domu śnieg zupełnie nienaruszony, tylko nasze buty. Padało w nocy, teraz śnieg stwardniał, idealna skorupa. Studencik zaczął pukać tą kołatką jak wariat. Skomlenie psa się nasiliło.

– Co ty, wiesz, jakie on ma drzwi? Antywłamaniowe, solidne, z blachą, pięć zamków, on tam taką porcelanę trzyma, że mu się nie dziwię.

Pies skomlał w wiatrołapie.

– Zobacz, ten pies w ogóle nie ma siły szczekać, tylko skomle. Słuchaj, jemu mogło się coś stać, mógł się na przykład zczadzić od tej kozy...

Nagle ogarnęło nas takie schizo, że żaden już nie wątpił, że mu się coś stało. Z jednej strony nie mieliśmy nakazu prokuratorskiego na wejście, z drugiej, nie wejść to też nieudzielenie pomocy, na

wszystko jest paragraf, lepiej nie znać tych kodeksów, bo człowiek nie może kiwnąć palcem bez naruszenia któregoś. Student dzwonił do prokurator Pospieszalskiej, miejscowi policjanci dzwoniли po miejscowych techników, ja dzwoniłem do luj i wrony krakały na nieszczęście, pies skomlał, ale coraz ciszej i bez wcześniejszego przekonania. Jeśli Robert się zaczadził, to równie dobrze ja mogłem też się wtedy zaczadzić, czekaj, zobaczysz mnie jeszcze, tfu, koniec z małymi domkami, koniec z romantyką w moim życiu! Ale żeby Robert miał psa? No, miał filizanki, ale filizanki jeść nie wołały, wody nie zużywały, po kanapach nie skakały i wyprowadzania na spacer się nie domagały, były odwrotnością psa, wpuść psa do filizanek... Wpuść luj do filizanek... Gdyby filizanki trzeba było wyprowadzać na spacer trzy razy dziennie, to Robert nie miałby ani jednej, a gdyby wołały jeść, to – znając jego skąpstwo – też by ich nie miał.

Wtedy ja sobie przypomniałem, jak luj uchodził przed Robertem oknem w kibelku, że w tym oknie nie ma krat, można je wybić i wejść. Łysa Góra kopnął w szybę z całej siły nogą w glanie, wlażł przez okno do środka jak strażak i poszedł otworzyć nam drzwi. Po jego minie od razu poznaliśmy, że dom nie jest pusty. Wpadliśmy do środka, ja z lękiem, bo boję się psów.

Wszystko jak było, zaduch w wiatrołapie, pizdryki, durnostojki, porcelana, lampa z runami, koza, a na kanapie pod lampą leży związany... luj! Nie było żadnego psa, tylko luj skomlał jak pies (mają coś wspólnego czasami) przez knebel, domagając się uwolnienia.

– Mariusz, dziecko, zlituj się, kto ci kazał tu samemu leżeć?! I gdzie Robert?

Skomlenie. Studencik wyjął lujowi szmatkę z ust.

– On jest na górze! On śpi na górze! On jest psychiczny! Chciałem tylko go trochę pośledzić, bo Michał mówił, że to może on jest tym Przedwojennym Mordercą. Ukryłem się i obserwowałem dom, a on się na mnie zaczął! Z pułapką!

Oj, nie przynosi ci, Mariuszek, szczęścia ten adres, dobrze wiesz, że to nie twój pierwszy tutaj nieudany występ...

I w ten sposób luj znowu wpadł do dołu przykrytego kijkami i trawą. Robert jakoś go obezwładnił przy użyciu jednego ze swoich wielu paralizatorów, pistoletów i innych narzędzi z magazynu wysyłkowego, z telezakupów Mango, od Wróza Zefira. Poszliśmy na piętro, gdzie Łysa Góra usiłował dobudzić Roberta, totalnie naćpanego wszystkimi tabletkami uspokajającymi świata.

Leżał na wielkim łożu w babskiej nocnej koszuli i czepeczku, jakiego nie powstydziałaby się żadna szanująca się podstolina. Nie dawał najmniejszego znaku życia, wokół ust i na poduszce pełno było śliny. Płyta na adapterze odtwarzała wciąż ten sam kawałek przedwojennej piosenki Faliszewskiego, bo się zacięła i przeskakiwała.

Szczęście tak krótko – prrr.

Szczęście tak krótko – prrr.

Oj, krótko, Robert, króciutko...

Studencik natychmiast zadzwonił po karetkę.

– Co on brał?

– Stilnox, imovane, lorafen, leksotan, olanzapinę, xanax, antydepresanty, lit jako stabilizator, ale głównie leksotan czyli bromazepam.

Zaraz nam się to skojarzyło z rohypnolem.

– To mi wygląda tak, jakby udusił się językiem albo zachłysnął śliną... Jak się tak naćpa, to nie kontroluje się odruchu przełykania... Wszystko przez twojego ukochanego luja, tak go nastraszył, że dziadek – powiedział na Roberta: dziadek! – za dużo wziął.

– Ten dziadek i tak za dużo brał...

Robert rzeczywiście wyglądał strasznie i mimo że z rocznika szczęściesziesiątego któregoś, był całkiem siwy. Siwy trzydniowy zarost, oj, znałem go i wiedziałem, jak potrafi się zapuścić, gdy popadnie w zborsuczenie...

– A samobójstwo wyklucasz? – zapytałem i dotknąłem Roberta w szyję. Nie znam się, ale raczej żył.

– A co tam można teraz sobie wykluczać. I weź, kurwa, wyłącz ten jebany adapter!

O mamó! Za dużo wrażeń naraz. Już sam powrót do tego wnętrza po dwóch latach by wystarczył, a jeszcze luj, którego teraz troskliwie rozwiązywałem, powstrzymując się od monologu zaczynającego się od zdania „Nie chcę nic mówić, ale kiedyś się doigrasz”, a jeszcze Studencik fir und cwancyś na dobę, a jeszcze morderca i Robert, który chyba jednak żył, bo właśnie z głośnym wyciem syreny roznoszącym się po ciszy leśnej, przyjechali faceci z pogotowia i położyli go na nosze, żeby zawieźć na toksykologię w Świnoujściu, notowali, co brał, przetrząsali szuflady, uwalniając wszystkie podstoliny i stolników.

Życie wtargnęło do dworku. Na starym fotelu siedział policjant, na sekretarzyku ktoś z karetki położył odblaskową pomarańczową torbę, strącając figurkę, wszędzie łazili obcy faceci, a miśnieńskie panienki z porcelany patrzyły zza szyby na ten nalot z niedowierzaniem i dostawały wypieków.

Oglądałem wnętrze, starając się wyczytać z niego coś o obecnym stanie psychicznym Roberta. Nic się nie zmieniło, doszło tylko kilka obrazów, parę filizanek za szybą, wszędzie panował idealny porządek, też jakby trochę psychiatryczny, jakby Robert się bał, że jeśli szmatka do naczyń nie będzie rozwieszona idealnie równo, pod kątem prostym, to cały świat się zawali, wszędzie wkradnie się chaos. Co też właśnie się stało. Nad wejściem doszły rogi, może to wpływy *Drwala*, którego jednak nigdzie nie widziałem. Studencik grzebał w szufladach, szukając jakichś powiązań z Przedwojennym Mordercą, choć w sumie wszędzie było tego pełno. Płyta z przedwojenną muzyką. Przedwojenna reklama „Pijcie piwo Skierniewickie Władysława Stakacza” w ramce nad stołem. Antyki. Łatwiej byłoby w tym domu wymienić rzeczy nowe, jeśliby się znalazły, to tylko jakieś tam czajniki elektryczne w kuchni, te sprawy, które w antykwariatach raczej trudno są dostępne. Poza tym znaleźliśmy prawdziwą broń, której „za moich czasów” Robert nie miał. Znaleźliśmy rohypnol, pod inną nazwą, ale substancja ta sama, flumitrazepam, kupiony najwyraźniej w Rosji. Rzeczywiście, Robert idealnie by się nadawał na Przedwojennego, gdyby nie moje przekonanie, że jest za leniwy nawet na to, aby robić takie kawały komuś z Międzyzdrojów, a co dopiero jeździć do Wrocławia

pociągiem od siedmiu do piętnastu godzin za każdym razem, w zależności od tego, w jakim nastroju danego dnia jest PKP. Ale z tyłu domu, w słynnej szopie czy też budzie, stał teraz wcale niezły mercedes, z wcale niemałym przebiegiem na liczniku, więc bądź tu mądry.

Wiedziałem, że po *Drwalu* Robert mnie nienawidzi, choć oczywiście nie mieliśmy kontaktu. On po prostu chciał zostać w cieniu, a tu ktoś nagle o nim wszystkim opowiada, wywleka na publiczny widok jego lęki, jego szuflady, wchodzi z kamerą do jego najbardziej intymnej nory i robi tam z jego życia Big Brothera. Jestem w stanie wyobrazić sobie taki motyw: „zabijałem, bo Witkowski ujawnił, że nie tylko słucham Faliszewskiego, ale też oglądam sitcom *Daleko od noszy*”. Albo: „zabijałem, bo Witkowski z nie dość należyty szacunkiem odstawił na półkę moją filiżankę z *Ćmielowa*”. „Zabijałem, ponieważ Michał Witkowski skaził mój dom lujem, który swoimi ludowymi paluchami dotykał portretu mojej prababki podstoliny”. „Zabijałem, bo jak śpiewaliśmy z Witkowskim na głosy *Straszny dwór*, który obaj znamy na pamięć od uwertury do końca, to on zawsze był stryjenką, mimo że to ja chciałem śpiewać jej partię w sukni zrobionej ze zsuniętego podkoszulka!”.

Tak, dla Roberta to mogły być powody. Tylko dlaczego zamiast zabić mnie, zabijał innych? I co mogło go łączyć z Wrocławiem, z Iwem itd.? I jak ustalić alibi osoby, która całe życie spędza bez świadków, zapatrzona w piec?

– Myślisz, że on mógł być mózgiem, a jakiś współlnik to wszystko robił we Wrocławiu?

– Seryjni mordercy nie miewają współlników. Prędzej czy później jeden drugiego zabije, bo jednemu ta zabawa przestanie się podobać.

– A jeśli jego współlnikami byli Iwo i Sonia?

– No, oczywiście, poszukamy powiązań, ale... Ja już nic nie wiem. Przydałaby mi się tu Aśka. Szukajmy dalej.

Mnie nie trzeba było dwa razy powtarzać, ponieważ grzebanie Robertowi to było moje ulubione hobby, dobieranie się do tego człowieka tak tajemniczego, odzieranie go ze skorupy, za którą chronił się przed światem. Przypomniało mi się znalezione tu zdjęcie i od razu stanęła mi przed oczami cała ta historia z Kranem.

– Jest jeszcze Andrzej Kralczyk. Przydałoby się go znaleźć. Nie wierzę, żeby „zaszył się w lasach”, bo on bez manikiuru i kawy z ekspresu nie mógł żyć. Chyba że ta głowa i dłonie to jego. To by mogła być sprawka Roberta i Rozklekotanego. Boże, to się chyba wszystko ze sobą wiąże!

– Wiesz co, tu, w Międzyzdrojach, to pewnie się wiąże, ale czy wiąże się z Wrocławiem? Jutro wracamy! Chcę zacząć pracować nad wątkiem tych Kamieńskich.

Widać jeszcze za krótko wdychał to powietrze i nie dość mocno złapał bakcyła.

Pomyślałem ciepło o swoim mieszkaniu bez cienia Krewety, z wielką, okrągłą wanną z hydromasażem i wszystkimi bajerami budownictwa Anno Domini 2012. Ale potem spojrzałem przez okno na luja, który z miną pod tytułem „o Boże, i o co tyle krzyku, to wcale nie przeze mnie” grzebał butem w śniegu w ogrodzie, i pomyślałem, że choć kilka dni muszę się nim nacieszyć, nakupować...

– No, ale czy my aby, jadąc tu, nie chcieliśmy tego mordercy wywabić z ukrycia? Czy nie powinniśmy jakoś go sprowokować?

– Ja wrócę, ty zostaniesz. Łysy będzie cię ochraniał.

Tak! Łysa Góra będzie mnie ochraniać, ja się przeniosę do Hotelu Wiedeńskiego i jak gwiazda, z ochroną oraz z lujem, będę wychodzić i wchodzić drzwiami automatycznymi!

Jedyne, czego się dogrzebałem, to „kącik Witkowskiego” w najniższej szufladzie. *Drwal* i *Lubiewo bez cenzury* starannie obłożone w papier, audiobooki, wywiady. Jak coś mówiłem w nich o Robercie, to podkreślone i wykrzykniki na marginesach. Znowu poczułem się jak we własnym przewodzie pokarmowym i zacząłem się zastanawiać, co by tu zrobić, żeby od siebie uciec! Żeby już nie: poniedziałek ja, wtorek ja, środa ja, tylko żeby uciec na zewnątrz, otworzyć się na świat poza mną, poza własną dupą. Czytanie wywiadu z „Wprost” z samym sobą u Roberta w leśniczówce to już jest terminal witkowszczyzny i dalej nie ma nic.

Morze wyrzuciło na brzeg martwego delfina. Robert powiedział, że „to od tego iperytu”. Na dnie leżą statki z czasów drugiej wojny światowej, z bronią chemiczną zamkniętą w coraz bardziej zardzewiałych pojemnikach. Naukowcy obliczyli, że właśnie teraz powinny pękać, zabójcza broń wydobywa się i zabija delfiny. Ja wraz ze znajomym doktorem postanowiliśmy kupić od rybaków martwego delfina, żeby zrobić mu sekcję i sprawdzić, czy zjadł iperyt. Poza tym byliśmy ciekawi, co ma w środku, bo z zewnątrz wygląda jak nadmuchiwana plastikowa zabawka. Ale rybak chciał za „to ścierwo” dwadzieścia tysięcy euro. I znajomy doktor, który jest bogaty, bo ma sieć gabinetów dermatologii estetycznej, zapłacił. Potem patrzymy, a ten delfin taki mały, takie gówienko byle jakie i jakiś nieświeży, zapleśniały, leży na pół zakopany w piachu, oblepiony tymi wodorostami z kulkami powietrza, oblepiony trawą morską, i żal się nam zrobiło tych dwudziestu tysięcy euro. Tylko że rybak już poszedł pić do knajpy Bella Mi, siedział na tarasie, postawił przed sobą w rzędzie pięć pięćdziesiątek i ostentacyjnie wychylał wódkę za wódką.

Obudziłem się już w Wiedeńskim, w pokoju z widokiem na pozbawione delfinów, lodowate morze. Był wieczór. Studencik pojechał do Wrocławia, przeklinając na czym świat stoi rozkład jazdy PKP, z którego wynikało, że czekają go trzy przesiadki. W pokoju było ciepło, kaloryfery gorące. O dwudziestej miałem się spotkać w holu z lujem i Jadzią. Patrzyłem przez zamknięte okno na ciemność w miejscu, gdzie powinno być morze, widoczne teraz tylko pod postacią świateł na moło. Zadzwoiłem na room service po kawę do pokoju, czekałem, aż pan opisany w *Drwalu* ją przyniesie na tacy wraz z rachunkiem do podpisania, mruknie pod nosem: „Nowa książka?“, i wyjdzie. Wziąłem gumę z nikotyną i wszedłem do wanny z gorącą wodą. Zanurzyłem w niej głowę, tak że wystawał tylko nos. Woda gadała po niemiecku. Trwała tam jakaś rozmowa z sąsiedniego pokoju. Jedna stara Winifreda klarowała Alfredzie, że muszą już iść spać, bo morgen arbjaten do żubrów. Potem do pokoju wszedł jakiś Herman i zaczął im coś klarować bardzo przemądrzałym tonem.

Ubrałem się w czarne spodnie i czarny golf. Zadzwoiłem po jeszcze jedną kawę, przyszedł ten sam kelner, odebrał brudną filiżankę, zastąpił czystą i całym srebrnym dzbanuszkim kawy, powiedział parę mających mnie zachęcić do zostania słów o prognozach pogody i poszedł. Otworzyłem zeszyt i opisałem mój sen z delfinem, zastanawiając się, czy to się może przydać do prozy, skoro mnie nudzi słuchanie cudzych snów, to pewnie innych tak samo będzie nudziło wysłuchiwanie moich. Łyknąłem cztery dwudziestki fluoksetyny, bo jakoś tak smutno się zrobiło.

Zlażłem na dół, chociaż było jeszcze za wcześnie.

Już nie zamawiałem kawy, wziąłem wino. Zadzwoił Studencik z pociągu, a raczej z przesiadki na zamrożonym na kość i doszczętnie zabitym dechami dworcu w Stargardzie Szczecińskim, gdzie był

stan wojenny, zima stulecia i afera mięsna.

– Każdy, kto o tej porze roku podróżuje innym pociągiem niż InterCity pierwsza klasa, sprowadzony zostaje do żebraka! Siedzę tu już drugą godzinę z bezdomnymi, kiosk z kawą zamknięty, wszystko zamknięte, policja łązi i grzebie w nas patykiem, chucham w sine palce, patrzę na chore gołębie! Robert odratowany, to znaczy żyje, ale jest w śpiączce, nie wiadomo, co będzie. Jest teraz w Świni, na intensywnej terapii. Michał, błagam cię, pamiętaj, że to nie jest żadne „do prozy”. Ta Sonia miała podobno w komputerze zdjęcia niektórych układów, no z tych pedalskich miejsc, wiesz, że to były całe spektakle dla nas. To oczywiście dowodzi tylko współudziału albo że była na miejscu zbrodni. Niczego więcej. Sama się nie zabiła, Iwa też nie zabiła. Kopiemy teraz wokół niej! Boże, jak tu beznadziejnie, idę się ogrzać przy koksowniku.

A u mnie bardzo przyjemnie. Znowu ten sam pan przyniósł wino i nalał do spróbowania, czy mi smakuje. Oczywiście austriackie, bo w Wiedeńskim wszystko jest austriackie. Zrobiłem minę konesera, pomodliłem się trochę nad odrobiną na dnie kieliszka, bo wcale się nie znam, i łaskawie przytaknąłem, że od biedy ujdzie, biorąc pod uwagę, gdzie się znajdujemy.

Kiedy sobie poszedł, zadzwoniłem do Pauli, żeby jej wszystko opowiedzieć. Zakończyłem:

– Tak że chyba będzie z tego książka. Weź mi zrób risercz wśród grabarzy, do tej sceny, gdzie ona idzie do nich po głowę, to znaczy, tfu, po czaszkę. Zobacz, jak się zachowują, jakie robią miny, jak się ubierają... Wiesz, gdzie oni tam siedzą.

– Ach, ależ to ja ci nie opowiadałam, jak ja kiedyś byłam porwana przez grabarza, wywieziona na cmentarz i zamknięta w takiej ciemnej komórce z grabiami, z łopatami, z czaszkami, no... skrzywdził mnie, po prostu, zabrał mi moją czystość, zabrał mi moją dziewczęcość, po prostu zbrukał mnie... I potem musiałam do niego przychodzić do domku na cmentarzu i mu to robić, musiałam mu przynosić wódkę, denaturat! To był prawdziwy łuj, cmentarny łuj, jego dwóch koleżków nie lepszych! Jego łapy jak łopaty, jego krzywy ryj, jak robił taką minę pod tytułem „nawet się na ciebie, cwelu, nie warto wyszczać, ale jebię cię, bo wolę cię od tych umarlaków!”. I potem mówił: „pizdę wyżej!”...

– No to idź...

– I potem – przerwała mi – ...jeszcze nie skończyłam! – Zrozumiałem, że zaczęła coś zmyślać i jest w transie jak Pytia na trójnogu, trzeba dać jej się wygadać. – I potem ja ubrana na czarno, jak ta „kobieta cmentarna” z *Medalionów* Nałkowskiej, przychodziłam do niego wpodłe kaplicy... Mówię ci, zawsze jak przerabiam z drugimi klasami czy wystawiam z kołem teatralnym *Dziady*, to aż muszę się w język ugryźć, żeby nie opowiedzieć. I myślę sobie, jak już jestem dziewczyną grabarza, to niech chociaż coś z tego mam. A był tam taki...

– O nie, Paula, żadnej nekrofilii, ja już nie wchłonę w tej książce ani jednej nekrosceny, dość, że Jantar wykopywała tego ruskiego żołnierza, co pod lipą pochowany był w jej wiosce, co jest opisane w *Barbarze*, co ona chciała z tą czaszką żyć i żeby był tylko jej. Nie interesuje mnie dalszy ciąg tej historii...

– Majtki, idiotko żołnierza ruskiego z cmentarza wojskowego, co zginął w czterdziestym piątym! Ja nie Jantar, ja majtki i klamrę od paska, guzik od spodni, tyle tylko chciałam!

– Paweł, teraz możesz dać upust wszystkiemu, idź, gadaj z nimi, proś, o co chcesz, obserwuj ich...

Spytaj o te czaszki dla studentów. Jakby co, to weź dla mnie. Jakbyś szła na cmentarz Świętego Wawrzyńca, to możesz mi wziąć czaszkę Wojaczka. Postawię sobie na półce i będę do niej gadał.

– Ta, która nie jest nekrofilką!

– Nie, tylko fetyszystką, gdybyś się pytała!

– Jeśli idzie o taki polonistyczny fetyszyzm, to ja bym Maryśki Dąbrowskiej chciała choć palec od nogi... Te *Noce i dni*... Arcydzieło...

– Pawełku, idź na cmentarz Świętego Wawrzyńca, tam jest podobno jeszcze jeden z ostatnich we Wrocławiu grabarzy, bo teraz wszystko robią firmy pogrzebowe. Mówią na niego „Janosik”. Taki gościu w dresiku, w adidaskach, mieszka na cmentarzu, zapytasz w biurze, gdzie, to ci powiedzą. Dwóch też podobno jest na Skowroniej Górze.

Pomyślałem o kotach państwa Kamieńskich, które piją wyłącznie wodę Evian, i z braku tejże zamówiłem San Pellegrino. Jestem tego warta. Nudy w tych Międzyzdrojach, nie dziwię się, że Robert się tu zaćpał, nie dziwię się, że baba z budy chleje, nie dziwię się nawet, że Kreweta się chajta z kolejnymi nieruchomościami ani że luje siedzą w bramie i męczą gołębie. Nie dziwię się też, że Parszywa chowa się coraz bardziej przed rzeczywistością za przyjemny, różowy, aksamitny szal bycia ujebaną, żeby nie widzieć tych wszystkich ryjów swoich klientów naćpanych gerivitem i viagrą. Tu jest po prostu koszmarnie smutno.

– A ty co? Grabarz? – Luj wyrósł jak spod ziemi. Ale nie sam, tylko z drugim lujem, który stał pięć metrów dalej i obgryzał paznokieć. Wspaniały okaz, około dwudziestoletni, wesoły i dobrze zbudowany, w kurtce džinsowej ze sztucznym białym futerkiem. Luje, jak nieszczęścia, chodzą parami. Zamawiasz luję i od razu dostajesz z kolegą w promocji. Albo z całą bramą.

– No jak już przyprowadziłeś kolegę, to przedstaw go i siadajcie.

– To jest... On się wstydzi, ale on czytał cię, czytał *Drwala*, i on by bardzo chciał nam pomagać w dochodzeniu... On się nazywa Piotrek – powiedział luj takim tonem, jakby to już miało wszystko wyjaśnić. Poniekąd wyjaśniło.

– Piotrek. Ja... pracuję w Świnoujściu w firmie pogrzebowej...

No to widzę, że kręcimy się w pewnym jasno zakreślonym kręgu semantycznym. Luj ma komórkę kradzioną właścicielowi zakładu pogrzebowego, ze zdjęciami jeszcze poprzedniego właściciela. O innych elementach nekro ostatnich dni nawet nie warto wspominać. A we Wrocławiu mignęły mi w czarnym kombi wesołe luje z zakładu pogrzebowego. Z uśmiechem jak kilo cebuli. I na coś się znów zanoszą, i na cóż to znów, na cóż?

– On może ci się przydać do prozy! – powiedział luj błagalnie, tak jakbym się wzbraniał przed przyjęciem nowego żołnierza do mojej armii.

– Bardzo się cieszę. Siadajcie. Zamawiajcie. To może powiesz mi, jak firmy pogrzebowe doją klientów.

– No stary, ile tego jest! Ten język: wisielec – „breloczek”, zwęglony – „frytka”, zgniły – „maślaczek”. A jak chujają to najlepszy przykład: trumna kremacyjna. Mieli problem z kremacją, bo niewiele na tym zarabiali, tyle co na urnach. Urny kosztują w hurcie po pięćdziesiąt złotych, a rodzinom się sprzedaje za sześćset, ale to nic przy tradycyjnych pogrzebach. Ale trumna kremacyjna

to jest top. Rodzina musi kupić trumnę, w której nieboszczyk będzie wjeżdżał do pieca. No to się sprzedaje za pięćset, sześćset, a że rodziny przy tym nie ma, jak gościu wjeżdża do pieca, to się go wyciąga i wsadza w papierowe pudło, a trumna idzie po raz drugi i trzeci, i tak dalej, dopóki się całkiem nie... no... nie ubrudzi.

Nie ubrudzi!

W ogóle kiedyś to te wszystkie rzeczy związane ze śmiercią robili tacy degeneraci, że tylko płakać. Ale szefowie zrozumieli, że rodzina może się przestraszyć i pójść do konkurencji, i nie dać się wydoić, więc teraz to nawet wymaga się znajomości angielskiego i prezencji.

– To gdzie tu teraz grabarze?

– No właśnie, to byli tacy degeneraci, a teraz przejęły to firmy i panowie z włosami na żel, w garniturkach kopią. Trumna też może jechać końmi, w szklanej gablocie, albo w limuzynie, albo normalnie, elektryczką. Może grać skrzypek, a mogą ci puścić twoją ulubioną za życia muzykę. Czasem nieboszczyki mają teraz takie wymagania w testamencie, że ludzie nie mają być ubrani na czarno, że ma lecieć Madonna, że mają pić szampana...

Muszę jak najszybciej spisać testament, żeby leciały u mnie niemieckie, przedwojenne, faszystowskie suki śpiewające rzewne tanga! Zarah Leander śpiewa Lass mich gehen, co w zaistniałej sytuacji brzmi dwuznacznie... I żeby mi wszyscy byli na czarno. I trumna zaprzęgnięta w czarne konie z czarnymi pióropuszcami, obita czarnymi kryształkami Swarovskiego! Wszędzie czarne pióra, czarne opalizujące cekiny, dzety, czarne kryształki Swarovskiego i przedwojenne, chude suki śpiewające tanga przebrane z trzeszczących płyt. I żeby koniecznie żadnej kremacji, tylko zabalsamowana Michaśka, wstrzyknięte toksyny, jad kiełbasiany, botoks, to, co żrą Angole, że się nie rozkładają, też na czarno w kreacji od Kamila Sobczyka, do trumny włożyć paczkę gum nicorette 4 mg bez smaku i USB z prozą... Za trumną idzie ten jeden jedyny zbieg z Montevideo, na jego ramieniu wyleniała papuga Kaszasa, wydająca „ochy” i „achy”. Poza tym kilku znajomych dermatologów i chirurgów estetycznych, kilku patomorfologów, jakiś tam tirowiec, mafioso, kilka gwiazdek z Warszawy, które myślały, że tu może będzie ścianka, będzie Pudelek, ale już ich złudzenia zostały rozwiane, idzie kilku wydawców, może redaktorka, a do tego Beza z lokalnej gazety czy radia, no i oczywiście Wanda Ziembicka!

– Przydasz się. Gdzie ta Parszywa?

– Parszywa złapała klienta i nie mogła przyjść, wysłała mi esemesa.

Przyszedł kelner. Luje zamówili po dużym piwie, a ja całą karafkę wina.

– No dobra, to zaczynamy. Słuchajcie. Opowiedziałeś koledze wszystko?

– No raczej...

– Więc jeśli on tu za mną przyjechał, a nic na razie na to nie wskazuje, to trzeba tak zrobić, żeby go jakoś wywabić, przy okazji wysledzić, ale żeby nas nie pozabijał. Sprawa jest delikatna. Nie chcemy, żeby znaleziono naszą głowę i dłonie... Znaczy: nasze głowy i nasze dłonie.

Luj zaczął się kręcić i dawać znaki drugiemu lujowi, „nie mów mu”, „mów mu”.

– On chciał ci coś powiedzieć. Tajemnicą poli... Polisyndeta...

– Polisyndeta?

– Poliszynela. To jest tajemnica poliszynela właśnie, z tą głową. Oficjalnie nie wiadomo, ale ci, co pracują dla pana Kazimierza, to wiedzą, a firmy pogrzebowe wszystkie są pod panem Kazimierzem. To Kran.

– No, to Kran – przytaknął Piotrek i zrobił urzędowo smutną minę pracownika zakładu pogrzebowego. Jakbym był jakąś jego rodziną.

– To by się zgadzało... Kran chciał od pana Kazimierza większą ilość pieniędzy za swoje dawne usługi, pewnie też go jakoś tam szantażował, to najłatwiej...

– Kran wcale nie zaszył się w lasach. W dzisiejszych czasach już nie można się zaszyć w lasach. To są ich porachunki i nie mają nic wspólnego z naszym mordercą. Tak samo jak Robert.

– Mariusz, to skoro o tym wiedziałeś, to po cholere tam lażeś do niego?

– No wiesz, no, jemu się już pogorszyło, musiałbyś słyszeć, co on wygadywał, jak mnie związał, normalnie nienormalny, że ja go prześladowę już od lat, że go podglądam, podsłuchuję... Ale on myślał, że to chodzi o niego, on sam się boi, śmiertelnie boi wszystkiego. Tu się boi sam siedzieć, ale wyjechać też się boi, jeszcze bardziej.

– No dobra, to Roberta i głowę odwieszamy na razie na kołek, zostaje nam Wrocław, wrocławski morderca, który tyle ma wspólnego z Międzyzdrojami, że może tu za mną przyjechał, choć nie ma po temu na razie żadnych dowodów. Jak chcemy go wywabić z ukrycia?

– Musisz „się przejść” nocą, niby to sam, a my cię będziemy śledzili!

Wyobraziłem to sobie: idę nocą po promenadzie, po lesie, a śledzą mnie dwaj cudowni luje. Od razu mi stanął. A jak oni mi coś zrobią, jak będziemy już sam na sam w lesie? Strach jeszcze bardziej mnie podniecił.

– Ale musicie mnie śledzić z bardzo daleka, bo on taki głupi nie jest, żeby uwierzył, że mi się chce samemu chodzić po nocach. I po żadnym lesie, bo tam będzie tak ciemno, że nawet z dwóch metrów nie będziecie mnie widzieć. Tylko po mieście. Jeden mnie wyprzedzi i będzie szedł przede mną, a drugi bardzo daleko z tyłu. I macie mnie obronić w razie czego, a nie uciekać...

– To chociaż po parku Zdrojowym, tam są latarnie...

– Pamiętajcie, zwracacie uwagę nie tyle na mnie, ile na to, czy ktoś mnie nie śledzi. Ustalmy trasę. Wyjdę z hotelu, skręcę w lewo, w kierunku portu, zejść na plażę, pobędę na dole trzy minuty, dojdę do pasa wody i wracam promenadą, mijam hotel i schodzę z góry, parkiem Zdrojowym do placu Neptuna. Tam idę coś zjeść, a wy nie zbliżajcie się do tego Dolce Vita. Znowu wychodzę i idę w kierunku hotelu Wolin. Uważajcie, bo tam już jest pusto na ulicach, was widać i do mnie łatwiej się dostać. Koło hotelu Wolin skręcam w Bohaterów Warszawy i idę promenadą aż do Wiedeńskiego, wchodzę i tyle. Spotykamy się na piwie i obgadać obserwacje. Jasne?

Chciałem jeszcze wyciągnąć od nich deklarację, że mnie obronią siłą swoich mięśni. Trzeba było zagrać na ich ambicji:

– Albo nie, ja rezygnuję, bo się będę bał! Gdyby tu był Żmija, to co innego, koleś zbudowany, pracuje w brygadzie antyterrorystycznej, broń palna, prawdziwy facet, a wy co?

– Nie bój się, Michaś, my też nie ułomki!

No właśnie, na to czekałem! Jeszcze, jeszcze!

– No, niby tak, ale nie wiem... – spuściłem rzęsy i pociągnąłem nosem.

– Też coś mamy – powiedział ten Piotrek, sięgnął pod kurtkę i wyciągnął nóż kibica, nóż do rżnięcia się na ustawce, nóż, który znał już krew.

– Ty, schowaj to zaraz! – krzyknęliśmy razem z lujem, bo znajdowaliśmy się w eleganckim drink barze Hotelu Wiedeńskiego. No, pseudoeleganckim, jak wszystko tutaj.

Wtedy przyszedł esemes od Studencika: „Michaś, to ważne, zapomniałem Ci powiedzieć, nie podejmuj sam żadnych działań, nie masz uprawnień, wracaj jak najszybciej do Wroc.”. Postanowiłem nie dzielić się z nimi treścią wiadomości. Zbyt się już napaliłem na to, że oni, że ja, że nocą, z nożem... Morderca i tak na sto procent został we Wrocławiu, nic nam nie grozi, a czy taka sytuacja się jeszcze kiedyś powtórzy?

– Dobra. Idę do pokoju i równo za pół godziny wychodzę. Posiedźcie tu jeszcze i za dwadzieścia minut ustawcie się na swoich stanowiskach. A żebym żadnego nie zobaczył!

Zaczęli nawiązywać do różnych rzeczy w sposób odległy związanych z piwem i pieniędzmi, więc zapłaciłem za wszystko i dopiero poszedłem.

Potem trzeba będzie im nakupować, bo przecież nie wypada tak wykorzystywać ludzi.

Idąc wąskim korytarzem do swojego pokoju, zacząłem się nagle bać. Gdybym ja był tym mordercą, teraz bym mnie załatwił, nie czekając na spacer z obstawą. Byłem na całym piętrze chyba jedynym gościem. Pobiegłem do pokoju, szybko włożyłem kartę w drzwi, oczywiście, jak trzeba to się to durne zielone światełko nie chce zapalić, przeciągam i przeciągam kartą, a wciąż czerwone i pipia. Kiedy wreszcie znalazłem się w pokoju, zamknąłem drzwi i przekręciłem gałkę. Było ciemno, teraz z kolei nie mogłem trafić kartą do tego czegoś, co się wkłada, żeby włączył się prąd w pokoju. Na drzwiach z tamtej strony ciągle wisiało „please, do not disturb”, ale co to dla mordercy. Złany potem rzuciłem się na łóżko. Cała historia nagle przestała mnie bawić. Zadzwoiłem do Anki Jantar, starej cioty z czasów *Lubiewa*, i wszystko jej opowiedziałem.

– No to, kurwa, już się zbieram, już się pakuję...

– Dokąd?

– No, żeby ci *Dobry Jezu a nasz panie* ładnie altem zaśpiewać, zawodząc jak stara baba w moherze... A mówiłam wam, od kryminału z daleka, z daleka, na odległość rzutu nożem! A tu u nas, w Koszalinie, też były dwa niewyjaśnione zabójstwa w pedalskich miejscach, więc może to wcale nie taki wrocławski ten morderca...

– Co?!

– No... Wera Gran, Wera Gran, pieśniarka getta, Boże, czuję się Werą Gran! Nienawidzę Szpilmana, całe życie słuchałam, że zdradziłam, a ja chciałam tylko wyśpiewać jakoś ten smutek getta...

– Jantar, nie pierdol mi teraz o Werze Gran, też czytałem *Tuszyńską*, tylko mów, co za zabójstwa?

– O, aszrabachramasz, o tatele mamele! Idę porwać dziecko na macę.

Nie dało się z nią rozmawiać po takiej porcji lorafenu.

– Villas nie żyje, nikt nie żyje, odchodzą nasze czasy! Paula mówiła mi, że wysłałaś ją na

cementarz i że obciągnęła wszystkich grabarzy we Wrocławiu, mówi, że smakują inaczej, jakby węglem, jakby wodą cementarną, pachną jak śmietnik cementarny we Wszystkich Świętych, tymi kwiatami, zgniłą wodą z wazonów, bo oni właściwie już nie żyją, cali są z wosku, z pobitych zniczy, ze zdartych ze ścian klepsydr... Jeden zapłodnił ją śmiercią i załęgła się śmierć w niej...

Zazwyczaj bardzo lubię potoki wymowy Jantarki i nawet czasem przydaje się do prozy, ale teraz jakoś wszystkie te ciotowskie ironie i wygłupy spływały po mnie jak po kacze, bo załęgła się we mnie powaga i śmierć, i strach. Więc szybko się pożegnałem.

Nie chcę już się wygłupiać. Odechciało mi się spaceru z lujami i wszystkiego. Iwo nie żyje, ktoś, kogo poznałem i nawet polubiłem. Wszedłem na Internet i zacząłem googlować: Iwo Kamiński – nic. Iwo... Jak on się nazywał po tym facecie z dyskoteki, który go zrobił za dyskoteką? Przybylak. Iwo Przybylak, blog moda. Szukaj. Aha, trzeba napisać przez V: Ivo i dobrał sobie nazwisko Tshaikoff, słusznie, Przybylak raczej tu nie pasuje. Wchodzę. Łał! Miał więcej lajków ode mnie! Delikatnie mówiąc, o wiele więcej. Nagle zdębiałem: ostatni wpis nosił dzisiejszą datę! Trzeba się natychmiast dowiedzieć, kto ma uprawnienia administratora tej strony!

Stylizacje Iwa były monotonne, bo zawsze czarne, ale bardzo dopracowane. Czarny plusz, czarna gaza, czarny aksamit i czarne prawdziwe futra: podobnie jak ja nigdy nie miał problemów z ubraniem się na pogrzeb. Oto do czego prowadzi uczenie się świata pod stołem, z katalogów krawieckich, pisanie po tablicy kredą krawiecką i ścieranie ścinkami tkanin.

Zadzwoiłem do Studencika, żeby mu powiedzieć o moim odkryciu, ale oczywiście abonent był niedostępny. Na Facebooku Iwo miał więcej lajków niż ja (prawie czterdzieści tysięcy), ale tu już się rozniosło i ludzie zaczęli zapalać świece. Tak jak w przypadku Matki Boskiej z Katedry, zapałki ani zapalniczka nie były potrzebne. Zapaliłem i ja. Popatrzyłem na ostatni, dzisiejszy wpis na blogu. Dotyczył problemu, czy wypada jeszcze nosić w uszach tunele, czy też stały się ostatecznie niemodne. (Już nie). Bardzo źle widziane są też skarpetki stopki. Należy nosić buty zupełnie bez skarpetek albo z klasycznymi. Poza tym koronka po dziesięciu latach panowania odchodzi w siną dal. Oto problemy, którymi zajmują się współcześni nieboszczycy kilka dni po śmierci.

Jeszcze sprawdziłem przez Google'a zdjęcia. Jak na osobę, która ma prawie czterdzieści tysięcy lajków, mało. Ścianki, pokazy mody, ale i zdjęcia z gotyckich party, na których jednak jest młodszy. Instagram, Tweeter, wszystko ma. Miał. Jedno zdjęcie z siostrą, z tą Sonią. Powiększyłem to zdjęcie. Sonię widziałem tylko na sekcji, w wiadomym stanie, a już mi się wydała dziwnie znajoma. Teraz zobaczyłem ją żywą i nagle byłem pewien, że kiedyś ją widziałem. I to niedawno. Gdzie? Tej jesieni nawet! To musiało być tej jesieni, w jakiejś knajpie. Jezu! W Przedwojennej! No przecież, laska, która gadała z Arabem, a potem do kogoś dzwoniła i stała na dworze. O czym ona gadała? Oświęcim to z Arabem, ale potem... Nie przypominę sobie teraz. Dreszcz mnie przeszedł, bo rzadko się zdarza taka kolejność, że ktoś najpierw kogoś widzi martwego, a potem żywego na zdjęciu, a na koniec przypomina sobie, jak tamten ktoś się ruszał, jak mówił. Samo mięso na sekcji, jeśli się go nie znało,

raczej nie budzi żalu. Ot, leży sobie i niewidocznie gnije, jak kiełbasa za szybą w mięsnym. Teraz nagle zrobiło mi się jej strasznie żal. Miała wszystko: fajnego brata, kasę, dostała się na studia medyczne, miała narzeczonego doktora, który dawał jej recepty (moje od lat marzenie, dopiero niedawno spełnione w wersji „znajomy doktor”), miała „gacha na boku”, na pewno bez brzucha i garba, miała zajebistego Araba, któremu pozwoliła wyjść z knajpy, czyli już go wielokrotnie skonsumowała, mieszkała sobie na Zaciszu, w najbardziej wysuczonej dzielnicy Wrocławia, o której normalny człowiek może sobie najwyżej pomarzyć albo hajtnąć się z dogorywającą staruszką bez najdalszej nawet rodziny. Miała czaszkę i rohypnol, żelazny zestaw przetrwania każdej czarownicy, miała stosy drogich ciuchów... Słowem, byłaby mną, gdyby życie wyglądało tak, jak ma wyglądać. Ja z całego zestawu miałem tylko fajnego brata i olbrzymie stosy drogich ciuchów, które musiały zrekompensować wszystko inne.

W tym momencie uświadomiłem sobie, że chłopcy już tam marzną na z góry upatrzonych pozycjach, wyglądają zza okrytych śniegiem, nieczynnych kiosków z lodami i goframi, tupią z zimna za automatami do gry w kształcie Godzilli, a ja nie mam serca ich tak mrozić, muszę jednak iść. Wziąłem naładowany paralizator, który wyłudziłem od Studenciny, oblokłem się w dwa swetry i kurtkę puchówkę, w której wyglądałem jak w kołdrze, i pobiegłem do windy. Znowu to uczucie, że ktoś mnie śledzi, odwróciłem się szybko, ale to był tylko hydrant czy gaśnica. W holu siedział jakiś facet w kaszkiecie i gapił się na mnie ze smutną miną. Pomachałem zaspanej pani w recepcji, zainkasowałem zawodowo przesłodzony uśmiech i wyszedłem. Majestatycznie sypał śnieg, a że nie było wiatru, nie spieszyło mu się ze spadaniem, zatrzymywał się, powoli zbaczał z toru i tylko pod latarnią wirował trochę zwawiej. Nie mogłem się zasłaniać kapturem, bo w czapce i tak już nie byłem do siebie zbyt podobny, a w założeniu ten cały morderca miał mnie rozpoznać. Lujów nigdzie nie widziałem, widocznie dobrze się kryli, puściłem tylko Mariuszkowi strzałę, żeby wiedział, że wyruszam.

Było całkiem pusto. Poszedłem w kierunku portu i tego pensjonatu z Raszplą farbującą włosy, w którym nocowaliśmy ze Studenciną pierwszego dnia. Pozamykane budy. Nagle usłyszałem za sobą chrzęst śniegu i musiałem zmobilizować wszystkie siły, żeby się nie odwrócić. Albo któryś z nich śledzi mnie zbyt mało dyskretnie, albo to idzie ktoś obcy. Doszedłem już do zejścia nad morze i na chwilę skręciłem, niby że czytam info Urzędu Morskiego o tym, że każda roślina na wydmach została zasadzona ludzką ręką i że nie wolno łązić po wydmach (co coraz bardziej niszczy obciąg w Lubiewie, które bez łożenia po wydmach nie ma sensu). Przy okazji szybko się odwróciłem. Ten z holu, w kaszkiecie. Mocniej ścisnąłem paralizator i jeszcze raz wysłałem strzałę lujowi. To miało oznaczać alarm. Teraz szedłem dalej w kierunku portu, od którego dawało nieświeżymi rybami, wędzonymi rybami, sieciami rybackimi śmierdzącymi morzem i rybami, czymś, co jest jak to, co pozostaje w ustach po połknięciu ostrygi... Należało zwabić zabójcę na plażę, a potem tylko czekać na naszych cudownych osiłeków, którzy, ach, mnie chronią, głupią ciotę.

Przyspieszyłem kroku, schodząc w dół, na plażę, a on też przyspieszył. W ogóle się już nie krył, że

za mną idzie. Pomyślałem, co zrobię, jeśli te osiłki siedzą teraz gdzieś na piwie, bo tak długo nie wychodziłem z hotelu, że uznali akcję za odwołaną. Stałem nad samym brzegiem. W tym miejscu, koło portu, zawsze było trochę łodzi malowniczo powyciąganych na brzeg, usiadłem na jednej z nich, ale zaraz się gibnęła i musiałem wstać. On zatrzymał się w zejściu, przy kolejnej tablicy informującej o tym, co zrobić, gdyby się znalazło na brzegu żywą fokę. Palił. Zupełnie jak na plaży w Lubiewie. Z brzegu widać było tylko hotel i molo, reszta tonęła w ciemności, aż do Świnoujścia, gdzie kilka niemrawych, czerwonych światełek w porcie. Na widok mola od razu przypomniała mi się ta scena z filmu *Zbrodniarz i panna*, w której zabójca dusi dziewczynę pod molo w Międzyzdrojach, w miejscu, w którym teraz jest knajpa Pod Molo i gdzie przychodzą włoscy robotnicy pić campari w każdy dzień tygodnia.

No i co teraz? Wracać? Jak on stoi i będę musiał koło niego przejść? Gdzie ci idioci?

Jakoż właśnie w tym momencie przyszedł esemes od użytkownika LUJ, „ić koło niego na górę”. Spojrzałem na wyjście z plaży, kolesia nie było. Jak w Lubiewie. Poszedłem na górę ze świadomością, że osilek jest blisko i nie da mi zrobić krzywdy. Minąłem Hotel Wiedeński i teraz miałem zejść parkiem Zdrojowym w dół, do placu Neptuna. Trzeba było uważać, żeby na pizdę nie upaść, bo pod śniegiem był lód, a droga stromo opadała w dół. Gdy jest śnieg, to nigdy nie jest ciemno, cały park było widać idealnie, nigdzie nikogo, nawet mewy. Szedłem w kierunku małego pawiloniku niewiadomego przeznaczenia, co wyglądał jak nieczynny szalet, i nagle ogarnęło mnie takie przerażenie, że aż się zatrzymałem, choć chciałem jak najszybciej znaleźć się na rynku. Poczułem, że przecież właśnie idę ku swojemu przeznaczeniu, że jest noc, jest ofiara, jest park i jest szalet jak najbardziej przedwojenny, czego jeszcze chcieć, stworzyliśmy temu mordercy idealne warunki. Wyobraziłem sobie, że teraz luje na przykład zostaną zatrzymani przez policję, w końcu dużo to trzeba? Za same gęby mogliby ich posadzić na dwadzieścia cztery godziny. Zmieniłem kierunek i poszedłem ku aptece i sklepowi sprzedajacemu nabijane brylantami podróby wstrętnych nawet w oryginale włoskich marek. Taka tekstylna pizzeria. Jak najdalej od pikiety! Wiadomo, że jeśli tu przed wojną były Niemcy, to był i kurwidolek. To jest (po Czechach i Austriakach) najbardziej zboczony naród świata, o czym wiadomo od czasów wynalezienia pornoli, a jeśli się gdzieś spotykali, to tylko w jedynym blaszaku i oczywiście na plaży, ale w blaszaku przede wszystkim. I teraz jest noc, a blaszak śpiewa po niemiecku *Sag mir, wo die Blume sind* i wabi mnie *komm, mein Schwanz*. A co gorsze, w blaszaku wisi coś czarnego i postrzępionego (*jak płaszczy z oskubanych wron*) i nie chcę wiedzieć, nie, uciekam, potykam się na śniegu i spadam na dupę, bo tu jest stromo, uderzam się o ławkę i leżę! Natychmiast dzwonię do luja, ale musiał wyciszyć telefon, bo jak się kogoś śledzi, to nagłe dzwonki nie są mile widziane. Tymczasem zbliża się do mnie ten zabójca w kaszkiecie, jest już coraz bliżej. Zamykam oczy i wiem, że za chwilę w szyję zostanie mi zrobiony zastrzyk i wszystko się skończy. Czuję smak i zapach śniegu. Zaciskam pięści. On pochyła się nade mną. Czuję, jak śmierdzi mu z gęby. To już.

Nieznamy w kaszkiecie zaczyna się ze mną szarpać, potem ciągnie mnie po śniegu w kierunku

szaletu, mojego przeznaczenia. Ich nie ma. Cały czas szedłem sam.

Wtedy zza krzaków wypada dwóch osiłków w adidasach, łączna waga dwieście pięćdziesiąt kilo samego mięsa, kości, nerek, płuc, wątrób, jelit – wszystko ganc ocieplone ortalionem, nylonem, sztucznymi, made in china wyrobami konfekcji sportowej. Rzucają się na faceta, jakby chcieli go zgwałcić, bo w przemocy mężczyzn wobec mężczyzn jest zawsze tyle pedałstwa i gwałtu, a i ja nie próżnuję, tylko kopa po nerach z całej siły i paralizatorem, który nie chce się włączyć, po głowie. Patrzę na czerwoną z gniewu twarz lujka, gdzie tam twarz, pysk, jak u psa, na zacięte oczy drugiego i myślę sobie, że tak właśnie wygląda niebo, jakoś średniowieczni autorzy apokryfów na to nie wpadli, tylko same kwiatki i inne nudy. W niebie teraz od razu można by ich obciążać, niejako „jeść z gałązki”, a potem wystarczyłoby przepłukać usta śniegiem i już następny! Pod nimi leży Przedwojenny Morderca. Dzwonię do Studenciny, żeby powiedziec, że go mamy. Jak zwykle nie odbiera. Przeszukujemy gościa i znajdujemy u niego pod kurtką *Drwala* i *Lubiewo bez cenzury*, więc to jednak on, więc stąd czerpie swoją wiedzę o mnie! On się szarpie i błaga o litość, ale już Piotrek mu znowu ryj w śnieg, a ja nagle myślę, chwilunia, chłopcy, chwilunia, zostawcie go, dajcie mu gadać. Posłuszeństwo u mnie w brygadzie jest stuprocentowe, co szef powie, Saszka zrobi, i już mu twarz za włosy podnoszą (kaszkiet dawno zgubiony). Ale morderca zamiast gadać, wymiotuje na śnieg, a lujka odsuwają się z obrzydzeniem i tak trzymają go z daleka od siebie, na odległość wyciągniętej ręki.

Nagle, nie wiadomo skąd, wypada na nas dwóch gliniarzy, Łysa Góra i taki drugi, ale zamiast atakować mordercę, rzucają się na mnie i na lujka, zakuwają w kajdanki, obmacują, rozbijają i skuwają razem. Tworzę z dwoma lujkami jeden pociąg, moja ręka przykuta do Piotrka, a Piotrka do Mariusza.

– Że niby teraz my jesteśmy ci źli, tak? – krzyczę. – Uważajcie lepiej na mordercę, zobaczcie, co tam wisi w pikiecie!

Lecz oni mnie nie słuchają, tylko pakują do samochodu z kratami, zaparkowanego pod apteką i tekstylną pizzerią. I oto podjeżdżamy dosłownie dwa metry pod komendę, która mieści się w starym domu, i zostajemy zamknięci każdy w malutkiej celi z krat, to znaczy nie ma ścian, tylko boksy z siatki, jak w szatni w mojej podstawówce. Oczywiście natychmiast wszystko osłodziłem sobie tym, że jak już to mi się nie przyda do prozy, to już nie wiem, co ma się przydać, i w ogóle, Witkowski w więzieniu, no, prawie, „na dołku”, łał, niestety, moje pokolenie od razu w takich chwilach robi sobie zdjęcia i filmiki smartfonem i zamieszcza na Instagramie, i w ogóle zachowuje się jak dawniejsze pokolenia na wycieczce w zoo, kiedy wyszedł lew czy słoń. Lew rzeczywistości, na co dzień serwującej zaledwie gówniane letnie zupki treningów z personalnym, nagle raczył wreszcie wyjść i trzeba było go jakoś zatrzymać na dłużej, nawet ryzykując, że chapnie. Postanowiłem, że przede wszystkim nie będę współpracował, żeby tak szybko mnie nie puścili.

W boksie obok już siedziała jakaś dziewczyna, ubrana jak Jadzia Parszywa, czyli jak co druga osoba na promenadzie w sezonie. Na białej sukience ze sklepu Pizza di Moda czy Piazza di Moda miała fatalną plamę od zapiekanki. Wyglądała tak, jak wygląda wysokiej klasy prostytutka, która

około dwudziestej ładnie i fajnie się zrobiła i potem się już nie poprawiała, a obecnie, o drugiej w nocy, na żadne poprawki nie było już szans. Mimo wszystko dało się zauważyć, że jest ładna, tą ładnością kurwisonów i artystek estrady – agresywną, zadziorną, przerysowaną, dawniej właściwą tylko dla transwestytek, potem również dla prostytutek, a teraz dla bardzo wielu kobiet, które wzorują się na swoich gwiazdach i ich białych kozaczkach. (Paula o swoich uczennicach z zawodówki: „One nie znają pojęcia «ubrana wyzywająco» i mówią na wszystko «elegancko», piszą w wypracowaniu, że Sonia w *Zbrodni i karze* jest ubrana elegancko. Nie dziwota, że same chodzą odstawione jak kurwy, a myślą, że są eleganckie”). W każdym razie odżywka przedłużająca rzęsy, o której opowiadała mi Jadzia, sprzedała się w Międzyzdrojach nie w jednym, ale co najmniej w dwóch egzemplarzach. Na dekolcie wytatuowane miała: „Amore”.

Ponieważ w całej miejscinie były dokładnie dwie prostytutki całosezonowe, szybko doszedłem do wniosku, że to musi być przyjaciółka Jadzi, Kurwison Jaśka. Ona też jakby mnie poznawała i zapytała ochrypniętym głosem, czy nie mam zapałki i draski, bo papierosa miała za uchem. No tak, jak cela, to zaraz papierosy. I draski. Luje z sąsiednich boksów zaczęły krzyczeć:

– Jaśka, my mamy, my mamy zapałki! Jego nie pytaj, on nawet nie pali! Do nas, do nas chodź!

Popatrzyła na nich z miną „i tak wam nie dam za darmo”, a na mnie jak na klienta, który nie trzyma moczu, a na koniec mówi, że myślał, że to za darmo.

– Ja nie palę?! Hm... Pani Kurwison Jaśka?

– Teraz to ja jestem Gelsomina Blanco! – Rozchyliła dekolt i pokazała więcej tatuażu. Poza „Amore” miała też napisane „Camorra” i „Corrida” bardzo pochyłym, pełnym zawijasów pismem. Ale jej chodziło o medalion.

– Jaśka, daj spokój, to nie są prawdziwi Włosi – odezwał się luj przez kraty.

– Tacy z nich Włosi jak z nas! – przytaknął drugi, ten od zakładu pogrzebowego. – To są z byłej Jugosławii, z Bałkanów emigranci, którzy przyjechali kilka lat temu do Włoch ze słoikami, z pierzynami i nie znaleźli tam pracy, to do nas jadą! To badziewie, Pakistan, kebaby!

Do Jaśki nic nie docierało.

– O, dał mi. Kazał wygrawerować „Amore mio”. Alessandro. Z Sycylii. W środku są jego włosy.

– Otworzyła i pokazała kosmyk czarnych, kręconych włoskich włosów. Herta Müller. Grzebień. Szukanie chuja wśród włosów. – Zamknęła i z największą starannością wsadziła sobie między piersi. Po czym powiedziała głośno:

– Halo! Proszę mnie już przesłuchać, ja nie mam czasu! Hej! Chłopaki! Bo jest dziś najazd Niemców, ponoć zjazd podstawówki, rocznik tysiąc dziewięćset trzydzieści dziewięć! Nojn und drajcyś!

Byłem pewien, że to wszystko nie jest na poważnie, ponieważ gdzie by taką gwiazdę i w ogóle zamykali na poważnie w więzieniu, zaraz tu przyjedzie jakiś rebe z „Gazet Wyborcz” i podniesie gwałt, zaraz tu przyjedzie TVN kręcić, bo jest akcja – stawiamy znanych ludzi w niespodziewanych i niezawinionych sytuacjach i nagrywamy ukrytą kamerą, zaraz tu przyleci Studencik, jak Superkrowa w kreskówce mojego życia *Krowa i kurczak*. Ale przypomniałem sobie jego esemes, w którym raczej

oschle zabraniał mi podejmować jakiegokolwiek kroki.

Usiadłem na krzywej, czarnej podłodze (wszystko wokół było czarne) i zagłębiłem się w ponurych myślach. Należało przede wszystkim doczekać do przesłuchania i wszystko jak najbardziej lajtowo opakować, chociaż jak opakować lajtowo kopanie faceta (który może jednak nie był mordercą) w nery i walenie go po głowie ciężkim paralizatorem? Kolejne pytanie, czy ja aby nie powinienem zadzwonić do mojego prawnika, pana Kwiatka, ale czy on zna się na czymś poza prawem autorskim i użeraniem się z wydawnictwami o zaległą kasę? I czy ja w ogóle mogę stąd, że tak powiem jak Janda w *Przesłuchaniu*, „zadzwoić na miasto”? Na myśl o Jandzie poczułem, że jak najbardziej palę, poprosiłem luję, żeby podał Kurwiszonowi Jaśce przez siatkę fajkę dla mnie, najlepiej od razu zapaloną, tylko mi nie ośliń! Kiedy mi dał, kucnąłem i paląc, zacząłem samotnie zebranie.

Od papierosa zakręciło mi się w głowie i zachciało kupę.

Cokolwiek by było, tym, że siedziałem z kurwą i dwoma lujami na dołku, będę wymachiwał w wywiadach do końca życia i pijarowo sprawa się zwróci, już moja w tym głowa, żeby to rozgłosić w felietonach dla „Polityki”. Poza tym, cokolwiek by było, może Studencik i jest wkurwiony, owszem, ma pełne prawo, ukryta zazdrość, do której sam przed sobą nie chce się przyznać, że ja z lujami, nie z nim, ale prokurator mnie bardzo lubi, czułem to i gdyby miała Facebooka, byłaby na bank moją fanką, ale że lekarze i prawnicy są doroślejsi na przykład od artystów, to oczywiście nie mają. Potem pomyślałem o tym, że do promocji nowej książki można by wyjawic właśnie to siedzenie w kiciu, no, na dołku, i zrobić w „Vivie” sesję w prawdziwym więzieniu. Te rozmyślenia przerwał mi dziki krzyk Kurwiszona Jaśki.

– Wypuście mnie, pierdolone klawisze, kurwa, ja mam samolot do Szwajcarii wykupiony, zapłacony! Że mnie coś podkusiło zostać jeszcze tydzień, tydzień temu miałam już jechać! Tu już nic nie będzie – tłumaczyła lujom – ale Jadzia mówi, zostań jeszcze tydzień, bo ponoć ma być zjazd pierwszej klasy podstawówki z roku trzydziestego dziewiątego i tu, z Ahlbecku, koło geriatryków niemieckich ma robić zjazd, konferencja na temat osteroporozy... osteopozy, metody leczenia reumatyzmu gimnastyką w wodzie, doktor Hans Günther ma mieć wykład w Domu Zdrojowym, ten, co lubi, jak się go kopie po dupie za sto ojro od godziny. Joga w wodzie i leczenie żyłaków wahadełkiem, przy okazji promocja sportowego obuwia do chodzenia po górach i, ech, konferencja dentystyczna na temat nowych gatunków implantów, sztucznych szczęk... Herman miał przyjechać... Nawet się nie załapię... I że ja się połasiłam, chociaż w Zug takie rzeczy codziennie są przez okrągły rok, bo społeczeństwo szwajcarskie się starzeje niezbyt fotogenicznie, ale za to ile roboty dla kurwiszonerii!

Zatkałem sobie uszy palcami i skupiłem się na wmawianiu sobie, że wcale nie chce mi się kupy.

– Słyszycie? Halo! Muszę zdążyć na wykład doktora Hansa Günthera w Domu Zdrojowym! A ty co się gapisz? Twoja Kreweta zabiła tego swojego, zagłodziła na śmierć!

Wrocław, wtorek, 12 grudnia 2012, godz. 6 rano

Leżałem we własnej wannie, otoczonej cudownymi zapachami, lecząc się ze smrodu dwunastogodzinnej podróży teelką i wcześniejszych więziennych zapaszków. W Międzyzdrojach byłem już spalony na zawsze, i bardzo dobrze. Okazało się, że pobiliśmy jakiegoś ważnego radnego, który chciał dać mi książki do podpisu i ofiarować z hukiem lokalnej bibliotece, żeby wyciągnąć z tego dla siebie jakiś lans. Najważniejsze władze powiedziały, że jestem już persona non grata. Bakcyl nie bakcyl, ale w końcu i tak już miałem poszukać sobie jakiegoś nowego miejsca, żeby w koło Macieju wszystko nie działo się na jednej ulicy. Trzeba się rozwijać! Dość, że rozeszło się po kościach i oskarżenia wobec nas nie wysunięto, dzięki aż trzem uruchomionym prawnikom, a szczególnie mojej kochanej pani prokurator. Natomiast Studencina nie ruszył nawet palcem. Ostatniego dnia jeszcze uroczyście zabrałem mojego lujka do Świni, żeby mu nakupować. Piotrek akurat pracował w swoim zakładzie pogrzebowym, ale i dla niego mieliśmy coś wziąć i mu zanieść do pracy.

A było to tak:

Żeby to „nakupowanie” zobaczyć, zebrała się cała wycieczka, bo i Jadzia Parszywa (Gelsomina wyleciała z Goleniowa dzień wcześniej obrażona, wygrażając, że jedzie do włoskojęzycznej części Szwajcarii i już nie wróci nigdy), i dyrektorka biblioteki Angela, i jeszcze taki Radek ze swoją żoną, co mają na placu Neptuna sklep z ciuchami Primavera, wszyscy chcieli w miarę swoich możliwości dołożyć się do „nakupowania”. Ubrali się uroczyście, a Mariuszek zachowywał się dostojnie, jakby miał urodziny, i cały czas grał w samochodzie na nowej komórce, którą dostał już rano. Jechaliśmy w dwa samochody: w jednym Radek z żoną i Angellą, w drugim Jadzia, ja i luj, szczęśliwy i uśmiechnięty. Aż mi się serce ścisnęło, kiedy pomyślałem, że już tu nie będę jeździł, ale co? Do Świnoujścia nikt mi nie zabroni! Luj dostał już „mały pakiet” na drogę, łatwy do skompletowania w każdym kiosku (czipsy lejsy, vita C, chusteczki, kartę doładowującą Heyah, jajko-niespodziankę, jak się od razu okazało – z żółwiem w środku, lusterko z gołą babą, ibuprofenem zatoki i puszkę Carlsberga). Teraz, w samochodzie, wszystko otwierał, a ja postanowiłem sobie nie być moją mamą, i nie pouczać go, że jajko-niespodzianka niekoniecznie pasuje do piwa i, dziecko, zostaw sobie coś na później, najpierw obiad.

W miarę, jak jechaliśmy wzdłuż lasu, za którym ciągnęły się dzikie plaże Lubiewa, bakcyl we mnie się umacniał. Jadzia prowadziła powoli, żebym mógł się dobrze przyjrzeć, co tracę.

– Ale mówię ci, że tam, w tym szalecie coś było, coś WISIAŁO! No, potem nic o tym nie mówili, więc pewnie nic takiego, ale co to mogło być?

– Hermina. – Jadzia skupiła się i zaczęła wyprzedzać tira.

Pewnie. Jakie to oczywiste. Hermina.

– Hermina, a dalej? Jakieś nazwisko posiada ta osoba?

Luj nie zwracał na nas uwagi, jedziemy na wakacje, rodzice rozmawiają, a dziecko z tyłu gra na komórce.

Wjechaliśmy na prom i Jadzia musiała się skupić na lawirowaniu wśród mnóstwa innych samochodów, mrużąc do siebie: „won, nazad do Frankfurtu nad Odrą, won do Erfurtu, won do Weimaru, won do Drezna, won do Lipska!”.

Minęło bezdennie nudne dwadzieścia minut, podczas którego nie ciągnąłem Jadzi za język w sprawie tej tajemniczej Herminy, bo czułem, że to jest jakaś długa i skomplikowana opowieść, która potrzebuje uroczystej oprawy. Lecące w radio non stop idiotyczne reklamy suplementów diety na nietrzymanie moczu, hemoroidy i wrzody w piździe nie stanowiły tu dobrego podkładu.

Z promu pojechaliśmy prosto do empiku i poczekaliśmy na drugi samochód z naszą widownią. Luj trochę się peszył, że to wszystko z jego powodu, i zrobiły mu się czerwone placki na policzkach, bo miał takie śmieszne naczynia krwionośne, że z byle powodu się rumienił. Pani Angela z biblioteki, która kiedyś zrobiła mi wieczorek autorski ze wszystkimi prototypami postaci na widowni, ten Radek ze swoją żoną, długowłosą blondyną, i my – wszyscy najpierw poszliśmy na pizzę i – kto nie prowadził – na piwo. Z wyborem knajpy był problem, bo co wchodziliśmy, to Parszywa się odsuwała już od drzwi jak diabeł od święconej wody, bo już na drzwiach napisane było po niemiecku „Herzlich willkommen”, a w środku las siwych łbów, popijających piwem golonkę, po prostu oktoberfest przez okrągły rok.

– Ale gdzie my ci tu teraz znajdziemy jakąś knajpę dla Polaków?

– Oj tam, oj tam, to trzeba iść do najtańszej, wstrętnej, a nie do tych z kwiatami w oknach i okiennicami, jak w Niemczech, co Gretchen w bawarskich strojach ludowych, z cyckami na wierzchu i w koronce na głowie roznoszą litrowe kufle piwa w kształcie kłody drewna. Może Mariusz zna tu jakąś knajpę dla Polaków...

– No, jest taka jedna.

A jakże... Czuję, że zaraz dostaniemy w promocyjnym pakiecie całą paczkę lujów...

Była to zadymiona speluna w porcie. Kuchnia polska, czyli pierogi z mikrofalówki i – oczywiście – luje, ze smutnymi minami, bo im nie zostanie zakupowane ani dzisiaj, ani nigdy, ryje jak grabarze, ryje jak pogrzebacze, ryje, które nigdy nie były w teatrze, raz w kinie na czymś o wampirach, ale za to pełne melancholii od pijackiego wpatrywania się w bezmiar Bałtyku. Na tablicy nic nie było przełożone na niemiecki i Jadzia łaskawie zaakceptowała ten wybór, choć poniekąd już patrzyli na nią łakomym wzrokiem lujów bez pieniędzy.

– To raczej taka knajpa, do której kobiety nie przychodzą... – spieszyła się pani Angela i spojrzała bezradnie na żonę Radka, która jednak hardo już zamawiała piwo, bo była z Między i robiła tam w handlu, więc kto może jej podskoczyć?

Za barem stała jakaś Goplana z solarium i wydawała piwo w plastikowych kubkach oraz ciepłe

dania. Niestety i tutaj leciało to radio, radio, które nadaje na całą Polskę, najbardziej wpływowe medium, trzydzieści milionów słuchaczy. Słucha się tego w kiblu, w galerii sklepów, w taksówkach i innych autach, w knajpach, na promach, wszędzie! To gigantyczne radio od rana do nocy zajmuje się problemami takimi, jak niedobór magnezu, flupy w piździe, żylaki odbytu, nietrzymanie moczu i kału, *żałuję, że cię znałam, życie to kit*. Właśnie jakaś laska chwaliła się: „Ta drobna niedogodność dlaczegóż miałyby sprawić, że przestanę cieszyć się życiem seksualnym? Po prostu wkładam sobie tampon i dalej jestem sobą, nie moczę się, wchłania jednocześnie to żółte i to czerwone, a ja – na kawkę z przyjaciółką, do galerii sklepów, żeby jej polecić to nowe cudencko!”.

Luj zachowywał się jak na przepustce z wojska. Dostał pizzę, ale co do keczupów, to mu odradzałem, bo wyglądały na ciężki vintage z Allegro.

Potem wszyscy poszliśmy się uczesać do fryzjera, a nawet do pedikiuru, przy czym przy misce z wodą, w której luj trzymał owłosioną girę, leżały sobie, porzucone od niechcenia, minirozmówki polsko-niemieckie.

Wyszliśmy i luj zapytał nieśmiało, czy byśmy nie mogli zamówić dorożki (wszędzie były nalepki z numerami telefonów) i „z fasonem” zajechać pod empik. Pojechaliśmy, a Jadzia z tyłu wiała się z bólu, bo na siedzeniu przed sobą miała jakąś tabliczkę zachwalającą po niemiecku burdel „Hans und Irene”, w którym można było płacić w euro i w ramach strefy wolnocłowej.

Weszliśmy do empiku, obrzuceni chłodnym i pozbawionym nadziei spojrzeniem pani w kasie, która nie zdawała sobie sprawy, że oto właśnie wchodzi klienci roku. Luj, jak wiedziony niewidzialnym magnesem, od razu znalazł się w dziale z multimediami i zaczął oglądać rozliczne gry, na których się nie znałem, ale jakieś – jak by powiedziała moja babcia – bijatyki i zabijania. Ja asystowałem, dyskretnie zerkając na książki, aż w końcu zostawiłem luję z Radkiem, który doskonale się na tych amerykańskich sieczkach znał, a tymczasem wymknąłem się do działu z literaturą. No, niewiele tu było, ale wziąłem sobie nową Bator i poszedłem do lujów, gdzie w najlepsze gorzała dyskusja, czy jakieś tam *Krwawe diabły z piłami mechanicznymi II* są lepsze od *Dzikich rzeźników z Los Angeles*. – Weźcie oba – poradziłem – w końcu dziś tu nikt się nie ogranicza.

Jeszcze obładowani poszliśmy do Nike’a obok po nieco seksi odzieży (dresy), jeszcze do Hilfigera po dzinsy i koszulę w kratę, jeszcze do sushi, gdzie luj jadł, jak to mówił, „patykami” i zachowywał się po prostu skandalicznie, a Jadzia co rusz wychodziła na papierosa, żeby nie patrzeć na Niemców. Obok nas siedziała kulturalna para Niemców, geeejów, jedząc elegancko pałeczkami (a nie patykami) i pijąc wytworną zieloną herbatę z ryżem. Tymczasem luj wziął się na nich i bekał na całą knajpę, ku naszej radości, a potem, gdy się odwrócili na chwilę, na cały głos zarżał jak koń.

Cała ta konsumpcja ograniczona była oczywiście czasem i miejscem, ale luj się cieszył, to najważniejsze, i z nadzieją zerkął jeszcze na sklep z różnymi audio-video. Okazało się, że chce iPod’a, (bo iPhone’a dostał już rano), a ja wyobraziłem sobie, jak tymi swoimi paluchami niezgrabnymi, z obgryzionymi paznokciami, naciska te dotykowe, małe klawisze-ikonki, i śmiałem się w rękaw. Dostał, a jakże! Potem walnęliśmy zakupy do samochodów i pojechaliśmy dorożką,

z przytupem i na bogato, na promenadę, na lody z bitą śmietaną, kawę i koniak. Jadzia zrezygnowana pogodziła się z otoczeniem. Wokół nas już zebrała się cała grupa Cyganów grających jakieś niemieckie przeboje w wersji na harmoszkę, bo czuli, że może im dziś coś wrzucimy. Nie odstępowali nas na krok.

Musiałem wylawirować dyplomatycznie, bo luj przebąkiwał coś, żebyśmy może pojechali do Ahlbecku na kielbaski. Aby go od tego odwieść, musieliśmy z Jadzią bardzo się napocić.

Przy kawie poprosiłem ją, aby teraz nam opowiedziała o tej całej Herminie. Spoważniała.

– O Herminie to musiałby ci pan Zbyszek opowiedzieć, ten od masaży, o ile się nie obraził o *Drwala*.

– Nie no, był przecież z żoną na spotkaniu, nikt się nie obraził... – pospiesznie zapewniła Angela z biblioteki.

Na tamtym spotkaniu, na które przyszły tłumy, stopniowo udało mi się rozładować ciężkie napięcie na sali, bo tu Kreweta, tu pan Zbyszek, tu pięć prototypów Jadzi pokłóconych, która jest prawdziwa, i oczekujących tego wieczora „ostatecznego rozwiązania”, tu pan Chabinka ze spa Bagiński & Chabinka wręcza mi uroczyście voucher na hawajski masaż Lomi-Lomi, z pięknie wykaligrafowanym fragmentem *Drwala*, dziejącym się u nich w drink barze, tu znowu jakaś sklepowa ze spożywczego na lewo od PTTK-u z awanturą, że ona niby spała wymazana prince polo...

– No, dobra, ale powiedz choć cokolwiek, o co chodzi.

– No, to była historia przedwojenna.

Coś mnie tknęło: Przedwojenny Morderca, przedwojenna historia i duch powieszony w szalecie...

Obok nas dwie siwe Gerdy zajadały olbrzymie lody z bitą śmietaną, posypką, polewą, rurkami, bakaliami i wszystkim, codziennie mają nakupowane. Ponoć ich emerytury sięgają czterdziestu tysięcy złotych miesięcznie. Długie srebrne łyżeczki w spalonych na czarno nawet o tej porze roku dłoniach, poznaczonych plamami wątrobowymi.

– No i?

– Michał, nie powiem ci, nie chcę spalić. To jest za fajne. Jak wrócimy, zaraz cię umówię telefonicznie z panem Zbyszkiem.

Hermina.

Opowieść pana Zbyszka

Hermina! Ja miałbym nie znać historii o Herminie! – Pan Zbyszek zapalał świece zapachowe i rozgrzewał kamienie. W jego salonie masażu pachniało ostro i cudownie jakimś ziołowym olejkiem z lekkim dodatkiem czegoś cytrusowego. Lekarstwo na pluchę na zewnątrz. Położyłem się na brzuchu i wcisnąłem twarz w otwór. – O Herminie to owszem, może nie wiedzieć jakiś sezonowy ratownik albo któryś z tych młodych masażyistów, co to nic nie skończyli, tylko jakiś pięciomiesięczny kurs... Panie Michale, Hermina została znaleziona w szalecie w parku Zdrojowym dokładnie w dniu śmierci Stalina, piątego marca tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego trzeciego roku. Zbieżność raczej przypadkowa, podtekstów politycznych brak. Wręcz poprawna politycznie śmierć, powiesiła się z rozpacz po Wodzu, proszę, nawet Niemka, element klasowo obcy i napływowy (ha ha) rozpacza. Jednak wisiała tam już rano, a wiadomość o śmierci wodza dotarła wieczorem. Ale od początku.

Mówiłem panu, że niektórzy Niemcy, ku zgryzocie Jadzi Parszywej, nie wyjechali ani nie dali się wypędzić, ponieważ od wieków łapali bakcyła i bakcyl był już zbyt wielki, ta ziemia trzymała ich stalowym uściskiem. Do dziś zresztą widzi pan, co się dzieje. Jod uzależnia czy co, ale coś tu jest, sam czasem bym się przeniósł do Szczecina czy co, ale gdzie tam, nie da rady... Eva Braun dobrze to rozumiała i gdyby żyła, to jak te siwe emerytki by tu przyjeżdżała. Jedna hrabina von Kersten została i potem chodziła taka bidna w chustce na głowie, jak z kołchozu, a dzieci za nią szły szeregiem i rzucały w nią kamykami, oszlifowanymi przez wodę szkiełkami, muszelkami, wodorostami i utopionymi w morzu motylkami. A ona nie wracała, taka jest siła bakcyła! Zresztą, jak ona miała „wracać”, skoro nigdy nie ruszała się z Misdroy? Pan miał usuwane owłosienie na plecach?

– Laserem.

– A nie szczypie pana?

– Zabiję pana, panie Zbyszku!

– Musi pan zgłaszać takie rzeczy fizjoterapeucie, żeby...

– Zabiję pana!

– I niech pan tego nie opala.

– Nie planuję! Mamy grudzień!

– No więc Hermina przed wojną przyjechała po raz pierwszy do Domu Zdrojowego na zabiegi z powodu pewnego zmęczenia życiem... Na co dzień mieszkała w Breslau, ale też łapała bakcyła, bo coraz rzadziej ją w tym Breslau widywali, a coraz częściej – na promenadzie i molo. Była jak na tamte czasy bardzo ekscentryczna, bo miała samochód, kabriolet i, mimo depresji, prowadziła go jak wariatka (czyli wtedy pewnie sześćdziesiąt na godzinę), że faceci, różni degeneraci, którzy tu

przyjeżdżali niby się leczyć, a tak naprawdę grać w kasynie, bali się z nią jeździć.

– Do kasyna! Łał!

– No, wie pan, żeby to zrozumieć, trzeba najpierw wyjaśnić, czym był u swego zarania kurort. Kurorty wymyślił wiek osiemnasty i początkowo były to tak zwane wody. Jak dziś pan sobie kupi w Tesco zgrzewkę dwudziestu butelek Zuberera to cała kuracja zamyka się w kilkudziesięciu złotych. A wtedy trzeba było przyjechać. Lekarze wiedzieli dobrze, że wody nie leczyły, a najwyżej uzupełniały minerały, zakwasały, odkwasały żołądek, były czasem dobre na problemy gastryczne, bo miały dużo wapnia, działały moczopędnie, więc zawsze się trochę toksyn i piasku z nerek wysikało, no, ale to tyle, nic konkretnie tym nie wyleczysz, a już na pewno nie raka czy uzależnienie od alkoholu. Jedynie klimat górski faktycznie leczył gruźlicę, a raczej usypiał ją, jak wracałeś, to nazad wszystko się zaczynało.

– Wiem, czytałem..

– A tymczasem lekarze zalecali wyjazdy „do wód” na wszystko, na migrenę, zmęczenie życiem, a nawet na raka. No i trudno się dziwić, że „w wodach” spotkać można było głównie ludzi młodych, bogatych, znudzonych, którzy traktowali je jak dzisiejsze miejscowości wypoczynkowe, chcieli grać, pić (bynajmniej nie wody), rozbijać się i, przede wszystkim, uprawiać niezobowiązujący seks. Bez seksu i kasyn w ogóle nie byłoby wód. Pierwsze kasyno powstało u nas już w roku tysiąc osiemset czterdziestym siódmym i od razu stało się głównym kurwidolkiem, do którego zjeżdżały wszystkie raszple, kurwiszca, kurwiszony, lampucery, lale, kokoty, dziwy, pijaczki, sadomasochistki, utrzymanki ze Szwecji i Danii, a przede wszystkim z Rosji. Tu niby grały w karty, a znad kart już filowały za cienkimi wąsikami na białych twarzach, któremu jak idzie karta, który dziś stawia szampana?

Międzydroje, które nazywały się wtedy, jak pan wie, Misdroy i leżały w Provinz Pommern (poza promenadą głównie chaty kryte strzechą, kury i gęsi latały po ulicach), zaczęły się uważać za kurort, kiedy w latach dziewięćdziesiątych dziewiętnastego wieku radca sanitarny, doktor Oswald z Berlina, wygłosił serię odczytów o właściwościach lokalnego klimatu. Doktorem to on takim był jak ja Niemcem, a wykłady były mocno podsponsorowane, ale z siłą przekonywania. Trochę przesadził, wody mineralnej Międzydroje nigdy nie miały, ale że bakcyła tu można złapać, to miał rację. I się zaczęło! Natychmiast powstał zakład przyrodolecznicy i kasa zaczęła spływać do miejscowych, niemieckich Krewet. Czy pan uwierzy, że wtedy z Breslau jechało się tu koleją krócej niż dziś?

Podrywaniu służyła promenada, park Zdrojowy, Dom Zdrojowy, restauracje i dancingi. I Hermina, której zmęczenie życiem wynikało głównie z posiadania w Breslau męża, starego, grubego fabrykanta pończoch, korzystała, ile wlezie. Odkąd w tysiąc dziewięćset dwudziestym czwartym roku zlikwidowano podział plaży na części dla kobiet i mężczyzn, to właśnie plaża stała się głównym miejscem podrywu i w sumie jest tak do dziś, choć o tej porze roku może trudno w to uwierzyć.

Tymczasem w Belinie, a więc i w Breslau robiło się brunatnie i mąż Herminy, ten fabrykant pończoch, który zawsze czuł, gdzie jest interes, powoli przekwalifikowywał się na produkcję

wojskowej bielizny. I tu na scenie pojawia się ciota. Taki Knut. Oczywiście. Duńska ciota. Taka sama kurwa jak Kran, normalnie ciotowski odpowiednik Kralczyka.

– I cóż ona?

– Przyjeżdża z niewielką gotówką i zaczyna kraść, a na drugi dzień „ubrana we wszystko nowe”, cała na biało, kapelusz biały, surducik, lakierki białe – zjawia się w Kasynie i spoziera na marynarzy. Mieszkała u jakiejś tam Krewety, ale udawała przed całym światem, że w czymś lepszym. I przyczepiła się do Herminy, jako że takie gnidy zawsze wyczują pieniądze, do których można się przylepić. Z nią samochodem po promenadzie, z nią do Schwenemünde na Wurst, z nią do Stettin, z nią na obiad, z nią na wino. Musiała widocznie zaspokajać jakąś jej potrzebę przyjaciółki, skoro ją wszędzie ze sobą brała i akceptowała. W tym czasie zresztą zapadała już trochę na zdrowiu.

I od czasu jak ta ciota, niejaki pan Knut Mulin, przyczepiła się do Herminy, zaczęło się pasmo nieszczęść. Przede wszystkim w styczniu trzydziestego trzeciego Hitler doszedł do władzy, a po kilku latach mąż Herminy popadł w problemy. Trudno stąd było wyczuć dlaczego, ale Hermina wyraźnie zbiedniała i przeniosła się z wykwintnego hotelu Odeon (dzisiejsza Modiva) do pensjonatu dla niższej klasy średniej Der Meeradler. Poza tym zaczęła pić i grać na całego! Oczywiście cała złota młodzież, która tak chętnie „rozbijała” się jej małym mercedesem po promenadzie, grała i piła z nią, ale nie tak straceńczo. W grze, picciu, seksie i staczaniu się Hermina nie miała sobie równych. W bardzo szybkim czasie z szykownej babki stała się całkowitym wrakiem.

Nagle wróciła do Breslau i jej tu niczyje oczy przez kilka lat nie oglądały.

A najbardziej do tego upadku przyczynił się Herr Knut Mulin.

Nic. Przyszła wojna, całe towarzystwo wzajemnej adoracji się rozjechało po Europie, kasyna zamknięto i tylko mewy krzyczały jak zawsze, szyszki zielone pachniały w lesie, bursztyny przez nikogo niezbrane kryły się, z powrotem wdeptywane w piach nabrzeżny buciorami wojska. Ale Hermina została, słusznie przypuszczając, że tu będzie spokojniej niż w Berlinie czy Breslau. Chodziła sama brzegiem morza i z daleka można ją było poznać po wielkim białym kapeluszu.

Wojna minęła. Mąż Herminy zginął. Breslau zamienił się w obskurny Wrocław, a Hermina była. Nie miała już gdzie wracać. Ale i tak wróciła do Wrocławia i tam, jakimś cudem, udało jej się załatwić willę na Krzykach. Jak? Niech pan mnie nie pyta. Dzwoni panu komórka.

Westchnąłem i wziąłem z pachnących cytrusowo-ziołowym olejkiem rąk pana Zbyszka telefon. Studencik. Odebrałem.

– Wracaj, rusza się, tu jesteś potrzebny.

– Dobrze! Jutro. Nie mogę teraz rozmawiać.

– Jakby się pod ziemię zapadła. No ale Międzyzdroje tak już mają, że jak ktoś wyjeżdża choćby tylko do Świnoujścia, to zaraz jakby się pod ziemię zapadł, wszyscy zapominają. Nagle wróciła z brzuchem. A ona wtedy już stała się wariatką, lokalną wariatką, łąziła po mieście z liśćmi we włosach, słynne liście dębu, robiła sobie z nich jakieś ołtarzyki, wplatała we włosy, w siwe warkocze... I ktoś ją skrzywdził, takie było zdziczenie wtedy. Urodziła i wyjechała z tym dzieckiem do Wrocławia, gdzie, jak mówiłem, miała willę i ktoś tam jej pomagał. A te pieprzyki na plecach

jakiś dermatolog oglądał?

Powłóczyłem się jeszcze jeden dzień po tych nudnych Międzyzdrojach, zjadłem nawet gofra w knajpie „Paparazzi” na moło czynnej przez okrągły rok i postanowiłem – zgodnie z obietnicą daną Studencikowi – wrócić do Wrocławia. Teraz oto leżałem w wannie, we własnym mieszkaniu. Była szósta rano. Im człowiek starszy, tym bardziej obsesyjnie się szoruje, dezodoruje, goli, pillinguje, kremuje, czesze, a i tak wygląda coraz gorzej. Kiedyś pojechałbym na komendę prosto z drogi, teraz nie, najpierw kapitalny remont, bo ktoś może koło mnie przejść i poczuć kwaśny pot. W pociągu – o dziwo – spałem (i – o dziwo – nic mi nie ukradli, może dlatego, że nic nie miałem), więc nie czułem się aż tak źle. Mieliśmy spotkać się o ósmej, mogłem jeszcze ze zwykłą swoją pedanterią odprawić cały ceremoniał i napić się kawy. Kiedy schodziłem do taksówki i przejrzałem się w lustrze na klatce, uznałem, że nawet trochę przesadziłem, jak na siódmą rano. Włosy na pomadę, podkład, perfumy i ciuchy nieco zbyt wieczorowe, cały ja, wyrzucanie śmieci w ciuchach od Roberta Cavalli. Ale co, nieadekwatność i przesada to przecież moje znaki firmowe.

Taksiarz też był w porannym humorze, bo właśnie zaczynał trzynastogodzinną zmianę, na lusterku wywiesił płataninę chyba ze dwudziestu choineczek Vunder Baum, od których zapachu od razu zrobiło mi się niedobrze. W radiu jakaś raszpla tłumaczyła, że ma zaparcia albo może rozwolnienia, sra wszędzie, leci jej po kreacji, leci jej po pończochach, musi nosić pampersy, a jej przyjaciółka od serca mówiła, co ty, to nie wiesz o nowym specyfiku? Też tak srałam, Jezu, jak ja srałam, wszędzie, srałam na przyjęciach, srałam w samochodach, a teraz nic!

Mieszkam na przedmieściach, i teraz patrzyłem na tonący w lodowatej mgłę ulubiony krajobraz myjni, zakładów pogrzebowych i centrów zlewozmywaków (jest też coś o zagadkowej nazwie „centrum taśm i pasów”), kostki brukowej oraz wszystkiego, co jeszcze luje potrafią wymyślić w celu zarabiania na życie swoje i na waciki dla swoich lampucer.

Na komendzie już jak w domu, od razu zrobiłem sobie kawę z automatu i przywitałem się z obrażonym Studenciną oraz niespokojną prokurator (jej synalek nie raczył pojawić się na noc w domu) i wyglądającym jak po ciężkiej imprezie Wojtusiem. Patrząc na kawałki kanapki między jego wstrętnymi zębami, cieszyłem się, że zrobiłem takie dogłębne spa przed wyjściem, a zęby wyczyściłem nicią, szczoteczką soniczną i płynem antybakteryjnym. Przed wszystkim opowiedziałem im o Herminie. Zakończyłem:

– Tak więc możliwe, że ktoś się mści za historię sprzed lat. W końcu związaną z Breslau i z ciotami, i nawet z liśćmi. Zobaczcie, ile zbieżności: Hermina powiesiła się w blaszaku w parku, na pikiecie, piątego marca tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego trzeciego roku. Możliwe zresztą, że to było przed północą dnia poprzedniego i nikt nie zauważył. Sprawdźcie, czy mieliście jakieś interesujące zgłoszenie już w marcu, a nie w maju. Piątego lub czwartego. Może przeoczyliście. Może w jakiejś komendzie, która potem, po ogłoszeniu alarmu w maju, tego nie skojarzyła. Po drugie i najważniejsze – Hermina ucierpiała od cioty, więc zemsta na ciotach jest tu logiczna. Po trzecie, w Międzyzdrojach, więc terenie też nieneutralnym, skoro wszystko to jest jakoś związane ze mną. Ale jak ze mną i co ja mam wspólnego z tą Herminą? No i że przed wojną, a tu Przedwojenny Morderca, jakby przebierając zwłoki, chciał dać do zrozumienia: szukajcie w przeszłości, mścić się

za sprawę z przeszłości!

– A może ty poszperasz w swojej przeszłości, komu podpadłeś? – Studencik był wciąż jeszcze obrażony.

– Nie wiem, czy komuś podpadłem, na ogół jestem miły i kulturalny, chyba że akurat mam akcję rewindykacji długów i wchodzę w niej w fazę „terror”, wybijam szyby, podpalam auta... Ale jak ktoś mi nie wisi kasy, to raczej nie gryzę. – Zawahałem się chwilę. – Muszę wreszcie to przyznać: te morderstwa są... jak by to powiedzieć... w moim stylu... To znaczy, ja nie jestem mordercą, ale gdybym... Tak by to właśnie wyglądało... Przeestetyzowanie, chłopcy, przedwojenność, pedałstwo, kamp... Jakby on chciał powiedzieć: jesteście podobni, zwrócić na siebie moją uwagę... Jakby jakiś psychofan.

– No, no. Już dobrze. – Studencik mnie dziś nie lubił. – To poezja, a my się zastanówmy, co mamy. W komputerze Soni znaleźliśmy interesujące materiały – zaczął grzebać przy rzutniku podłączonym do jego notebooka, a prokurator zgasiła światło i spuściła żaluzje. Na specjalnej ścianie pokazało się pierwsze zdjęcie. Cyfrowa jakość. Przedstawiało czerwone plastikowe wiaderko, takie, w jakich wynosi się śmieci. Pełne czegoś brązowego. Płuca, nerki i wątroba przemieszane z jelitami. Stało na podłodze wyłożonej zielonymi kafkami, upačkanej krwią, jakby ktoś w nią wdepnął. Wojtuś pokazał ręką, żeby już dalej, że następne. Wiadro znikło i przez chwilę Studencik zaciekle walczył ze zbyt nowoczesnym jak na roczniki siedemdziesiąte rzutnikiem. Ścianę wypełniły ikonki Windowsa. W końcu wszedł w dokumenty i po prostu puścił pokaz slajdów. Zaczął się koszmarne spektakl. Jeśli Wojtuś miał nadzieję, że następne zdjęcia będą bardziej lajtowe, to się grubo pomylił. Chyba że dwadzieścia fotografii ukazywało tylko majtki, za każdym razem ułożone na tej samej zielonej podłodze. Dwadzieścia par chłopięcych majtek w rozmiarze S, góra M. Tanie „nołnejmy” z bazaru, calviny kleiny, diezle, intimissimi, brudne i czyste... Większe, mniejsze i zupełnie dziecięce. Prokurator kazała zatrzymać na chwilę kadr z tymi najmniejszymi.

– Ile ten chłopak mógł mieć lat? Siedem? Mieliśmy jakieś zaginięcia aż tak młodych chłopców?

– Nawet nie sprawdzaliśmy takich przypadków... Zawsze są jacyś zaginieni siedmiolatki. Boję się sprawdzać.

– Pedofil, nekrofil i ped... To znaczy: pedofil i nekrofil w jednym – powiedział Studencik i zrobił powiększenie najmniejszych majtek.

– Dalej, przewiń już te gacie, bo cholery można dostać! (Wojtuś).

Ukazało się zdjęcie przedstawiające czyjąś łapę całą we krwi. Ostentacyjnie trzymała przed aparatem jakąś czerwoną rurkę rozplataną wzdłuż.

– Co to? – zapytałem.

– Szyja. Te wypustki to struny głosowe.

Wojtuś wstał i wyszedł.

– To gówienko to są struny głosowe?! – Kiedy słuchałem oper, myślałem, że są bardziej spektakularne.

Następnie ukazał się chłopięcy siusiak. Zbliżenie na całą ścianę. U góry zdjęcia widać było początek rozcięcia brzucha. Potem siusiak został rozkrojony wzdłuż, obok leżały wyciągnięte z worka mosznowego jądra, dwa jaja w perłowej, błoniastej otoczce. Dobrze, że Wojtuś wyszedł.

Nagle znaleźliśmy się w starym szalecie. Z półmroku patrzyła na nas czarnofioletowa, opuchnięta twarz. Te same łapy coś poprawiały przy stroju.

– Zobaczcie, on ma takie gesty jak krawiec podczas przymiarki, jakby zaznaczał sobie szpilkami!

– To ciało, gdy weszliśmy, leżało już na ziemi. Więc zostawił je wiszące.

– Ale zobaczcie, on je teraz wieszka na tych zdjęciach. Już zepsute, fioletowe. Czyli że takie wstrętne, zepsute przywiózł, trzymał je takie w domu!

Dalej było dużo nekrofilskiej pornografii, typu wypięte gołe tyłki trupów, genitalia, bebechy, a na jednym zdjęciu wątroba leżała na talerzu, z nożem i widelcem.

– Pedofil, nekrofil i kanibal. Dahmer!

Potem nagle na talerzu leżało oko. Od niego ciągnęła się taka jakby żyła, która łączy oko z mózgiem. Potem serce. Jak surowy kotlet. Potem to serce smażyło się na patelni.

– Stare budownictwo.

– No, chyba tak. Smaży na blasze. Nie blok. Raczej kamienica. Chociaż...

– On jest bardzo zaburzony. Jeszcze się wymiga i trafi do wariatów.

– Zobaczcie, co on wyprawia!

– Kurwa, on robi mięsnego jeża!

Na talerzu leżały teraz oczy, jelita, serce, kawałek wątroby i uszy. Z tego zrobił twarz. Uśmiech z kawałka jelit. Prawdziwy język wywalony był na jedną stronę.

– Trochę jak emotikon uśmiechu. Ten z językiem. Oznacza uśmiech i jeszcze znak lubieźności czy szaleństwa.

– A z czego jest to tutaj?

– To jest kawałek mózgu. Widzisz, jak się przy okazji nauczysz anatomii. O Jezu, ale jestem głodna!

Dalej była cała rzeź. Kał, krew, jelita, śluz, włosy, poobcinane genitalia, rozwalony nożem odbyt. Przeciął zwieracz i łapami rozciągnął otwór. Nad ostatnimi zdjęciami trochę się nagłowiliśmy, zanim dotarło do nas, co przedstawiają. Był to jakby wielofunkcyjny robot kuchenny z wielkim kielichem-szatkwownicą i szejkerem, w którym ktoś próbował zmielić wnętrze. Na kolejnym sokowirówka, jakby facet chciał wycisnąć z mięsa krew. W szklance obok rzeczywiście zasychał mętny płyn. Chciałem zawołać Wojtusia, ale w porę się zmiytygowałem, że nie można teraz robić sobie żartów.

Wyłączyliśmy projektor. W pokoju zrobiło się duszno. Chwilę wszyscy milczeli.

– Po co on nam to pokazał? Po co podłożył to do komputera Soni?

– Żeby się pochwalić. Jaki z niego twardziel. Jaki jest okrutny.

– Chyba nie sądził, że uwierzymy, że to Sonia, skoro pokazał swoje męskie łapy? Swoją drogą, po tych łapach możemy poznać, że facet jest starszy. Zobaczmy...

– Nie, już nie puszczaj tego, potem!

Nie puścił.

– Poza tym wiemy już, że Iwo w andrzejki nie był w żadnych klubach, nie uchwycił go monitoring przy drzwiach, ochroniarze też nie rozpoznali zdjęcia.

– Wiedziałem!

– Dobra. – Studencik podszedł do białej tablicy, na której było napisane tylko „motyw?” i napisał:

„Iwo”. – Musimy dziś przycisnąć tego jego kolegę, z którym ponoć chodził po klubach, tego całego Alana. Michał, to dla ciebie. (Bo „młodzi” się rozumieją). – Dopisał: Alan. – No i musimy się dowiedzieć, czy Iwo w dzień, w który zaginęła Sonia, dotarł na spotkanie tego całego klubu gotyckiego czy co to oni tam mieli. – Napisał: „klub”. – Ja z Michałem zajmiemy się sprawami tylko związanymi z Iwem. Przeszukamy jego pokój.

– Dowiedzmy się też, albo niech Dudek od komputerów się dowie, kto zawiadywał jego stroną internetową, niech przestanie robić dopiski, dziś znowu coś napisał, jakby Iwo żył! Teraz Sonia.

– Ja biorę Sonię – powiedziała prokurator. Trzeba przekopać ten jej „ogródek”, który sobie sprawiła, zobaczyć, czy czegoś tam nie zakopała. Koleżanka z akademika. Klub. Starczy na jeden dzień. Wojtek, ty?

– Ja przede wszystkim chciałem powiedzieć o moim enenie...

– O Boże, Wojtek, teraz? – Wszyscy zaczęli się śmiać.

– No teraz, teraz, bo jak tak Michał opowiadał o tej całej Herminie, to mi się przypomniało, że tego chłopca myśmy znaleźli właśnie w marcu i chcę to sprawdzić w papierach, kiedy to było. (Wszyscy zaczęli mrużyć: „dwadzieścia lat temu”). Już jakiś czas temu się zastanawiałem, czy to aby nie była jakaś wczesna ofiara Przedwojennego Mordercy, a teraz koniecznie muszę to sprawdzić.

– Dobra, to sprawdź, ale chyba nie zajmie ci to całego dnia?

– W zależności od tego, co odkryję... No, a jak nic, to...

– To pomożesz mi szukać chłopaka Soni.

– Słuchajcie! Ja ją kiedyś widziałem w Przedwojennej z takim Arabem. – Opowiedziałem całą scenę w kawiarni, tyle, ile z niej zapamiętałem.

– Tak... Oświęcim... Ja wam powiem, że to wszystko jest jeden wielki Oświęcim – stwierdził Studencik.

– Po co tak pierdolisz? – zdenerwowała się prokurator. – Najważniejszy z tego, co powiedział Michał, jest fakt, że ona gadała z jakimś Romkiem. – Wstała i dopisała na tablicy: Romek, z wielkim znakiem zapytania. – Chciała od niego kasy. – Dorysowała przy „Romku” znak „\$”. A potem zaraz jeszcze „skrobanka?”. Po czym się speszyła, bo była w ciąży i w jej ustach wyraz „skrobanka” brzmiał jakoś tak zupełnie nieodpowiednio. Bo było wiadomo, że kto jak kto, ale ona urodzi to dziecko i ułoży w pięknym, czystym łóżeczku prosto z Ikei. Że cała ta patologia, którą ma w pracy, nie dotyka jej, a wręcz uszlachetnia, bo ona z nią walczy, jest, rzecz można, antypatologią, osobą szanowaną, prawniczką, prokurator, z willą w dobrej dzielnicy, a tu nagle skrobanka, kojarząca się z kurwą Mańką, co w dwudziestoleciu zaszła w ciążę w gruźliczej bramie na Pradze i wyskrobała u nielegalnej akuszerki, zjadającej podczas zabiegu czosnkową kielbasę. – Michał, a nie odniosłeś wrażenia, że ona szantażowała tego Romka? Gdyby Romek był na przykład Przedwojennym Mordercą, a ona jego jakąś tam pomocnicą, i teraz ona szantażuje go, że go wyda, to on ją zabija, bo choćby i dał kasę, to już jej nie wierzy...

– Może, nie wiem. Raz mówiła to groźnie, raz błagała, jak groźnie, to mogła i szantażować. Czyli trzeba znaleźć tego Romka. Bo Araba to raczej bym nie tykał, pewnie jakiś kolega z roku.

– No już, z roku, bez znajomości polskiego i z takim angielskim!

– Dobra, słuchajcie, do roboty! Nie ma co, już dziewiąta. Chodź, Michał, jedziemy! – Aś się

zrobił, może myślałeś, że idziesz na sesję dla „Vivy”? – Studencik poderwał się i chwycił kluczyki do samochodu takim gestem, że serce znowu zabiło mi mocniej. – Nasza gwiazdeczka... – uszczypnął mnie w policzek.

Zostałem gwiazdeczką komisariatu.

– To dla ciebie... – usłyszeliśmy jeszcze prokurator.

Wrocław, plac Kościuszki,
poniedziałek, 11 grudnia 2012, godz. 8.15

Słońce nad placem Kościuszki jeszcze nie wzeszło, a przed Renomą, jak kiedyś stangreci, teraz stali i podsypiali taksówkarze kończący nocną zmianę. Niewiele się działo. W kierunku zamkniętej jeszcze galerii szło dwóch młodych chłopców. O dziwo, drzwi okazały się otwarte i weszli, pewnie sklepy nieczynne, ale do holu już wpuszczają, pomyślał jeden ze starych taksówkarzy, który pracował tu tyle czasu, że pamiętał jeszcze empik, bar Tempo i bale milicjantów w Savoyu. Kiedy w Renomie sprzedawano kwiaty i stały stoiska spożywcze, a podłoga wysypana była trocinami. Taksówkarze patrzyli tępo na kierownice i myśleli, że mieszkają jednak w małym mieście. Za małym, żeby wyżyć z taksówki. Wreszcie słońce wzeszło od strony Krakowskiej i Niskich Łąk i odbiło się w oknach taksówek, rażąc szoferów. Jeszcze dwie godziny temu wieźli ostatnich nocnych klientów do dwóch najsłynniejszych wrocławskich burdeli: Afrodyty i Sweet Cabaret, a teraz wszystko zdechło. Należało jechać do domu.

Dwóch nastolatków, Kamil i Patryk, wybrało się na wagary do galerii Renoma. Ale z domów musieli wyjść jak na lekcje, więc była dopiero ósma trzydzieści, wejścia do sklepów wciąż zasłaniały żaluzje, sprzątaczką myła podłogę maszyną, a schody automatyczne nie działały. Nic nie działało i Kamil się dziwił, po co w takim razie w ogóle otwierają hol, od razu widać, że przyszli żebracy i bezdomni, żeby się ogrzać. Też mi bogate państwo. No, ale co robić, nie można pozbyć się swojego ciała nawet na chwilę, trzeba być i być, mimo że sklepy i kawiarnia Coffeeheaven zamknięte. Ich głównym celem był TK-Maxx, do którego należało przychodzić jak najwcześniej rano, najlepiej podczas jakiegoś wstrętnego sprawdzianu, zaraz po dostawie, zanim wszystko, co ciekawsze, wykupią. Nawet toalety były zamknięte, stały przed nimi żółte tabliczki z napisem: „sprzątanie” i „uwaga! śliska podłoga!”, a właśnie Patrykowi strasznie chciało się siku. Czy jest coś smutniejszego niż otwarta na pół gwizdka galeria sklepów o ósmej pięćdziesiąt? OK, jeszcze tylko dziesięć minut. W tym czasie poogląda się zegarki na wystawie.

Obleśne, obleśne, obleśne zegarki.

Po godzinie ich oszczędności znikły, a oni siedzieli szczęśliwi na kawie w Starbucksie i jedli muffinki, ciastka owsiane i marchewkowe. Patryk palił e-papierosa, a Kamil grzebał w siatce, oglądając zakupy. No, może teraz te ciuchy nie wydawały się już tak atrakcyjne, dobrze, przynajmniej, że bez świadomości, jak tanio je kupiono, raczej nikt nie doszukałby się w nich niczego specjalnego... Biorąc jednak pod uwagę, że właśnie zaczyna się ta koszmarna kartkówka z chemii (która i tak ich nie ominie!), jest raj. Zrobili sobie zdjęcia i zamieścili na fejsie. To znaczy Kamil na fejsie, a Patryk na Instagramie, i już to stanowiło zarzewie konfliktu, który kotłował się gdzieś, w ukryciu, ale nieustannie, jak burza, która nie może znaleźć spełnienia. Wybuchło dopiero podczas

kulminacyjnego momentu całych wagarów: oto należało udać się do toalety i nareszcie, ach, nareszcie, wciągnąć to, co Patryk załatwił, prawdziwą kokainę, chowaną tradycyjnie w skarpetce, w małym, centymetrowym woreczku. Należało to zrobić z całą pompą no i – oczywiście – „przez stówę”, żaden inny sposób nie wchodził w grę! Nie będą przecież robić rulonika z ulotki znalezionej w Starbucksie, informującej o promocjach na kawę i muffinka! Nie, to musi być stowa, nowa, prosto z bankomatu, jeszcze sztywna. Stowa pełna możliwych spełnień. Żeby jej energię też wciągnąć nosem.

Chłopcy byli podminowani i wciąż się szturchali, robili do siebie tajemnicze miny, mrugali, wystawiali języki, pytali się półsłówkami, czy już, czuli mrowienie w żołądku i wciąż odsuwali ten moment jeszcze odrobinę. Oni tam mają kartkówkę z chemii, a my tu sobie zrobimy zaraz małe ćwiczenia praktyczne. W końcu zaczęli się kłócić o wybór najodpowiedniejszej toalety. Kamil uważał, że w tej na górze na pewno jest monitoring w kabinach i wszystko leci prosto do Waszyngtonu, do Obamy, do CIA, a kopia dodatkowa do Snowdena. Tylko że znowu ta na dole... Sami żebracy i bezdomni myjący się przy umywalniach, złodzieje odrywający metki w kabinach, pedały, co sobie powywiercali dziury w ściankach i czają się przy pisuarach, narkoma... zresztą, nieważne. Idziemy do tej na górze.

Dokładnie zamknęli się w toalecie, papierem zatkali dziurę w ścianie, którą i tu pedały wywierciły już w strategicznym miejscu, opuścili klapę, położyli na niej zeszyt do matematyki i zrobili dwie kreski z żółtawego, zanieczyszczonego proszku. Nie da się zrobić dwóch identycznych kresek, na pewno nie z kokainy – narkotyki nigdy nie dają się podzielić sprawiedliwie. Za ścianą ktoś walczył z rozwolnieniem, a oni kłócili się szeptem. W końcu Kamil wyciągnął od dawna przygotowaną (i oszczędzoną w TK-Maxksie) stówę, zwinął ją starannie w rulon i pociągnął. Od razu poczuł takie szczęście, że zapragnął wciągnąć jeszcze kreskę Patryka, ale ten zorientował się, odepchnął go brutalnie, wyrwał mu stówę i z całej siły wciągnął kokainę, a potem zaczął lizać ten zeszyt. Kamil już chciał go uderzyć, ale poczuł, że napełnia się niezmiernym dobrem i czułością do całego świata. Uśmiechnął się łagodnie. Natychmiast zapomnieli o kłótniach, objęli się i zaczęli do siebie przytulać, patrzeć sobie w oczy i ciuchutko się śmiać, płakać ze szczęścia. Nie dowierzali mu, ale widzieli jego potwierdzenie w swoich oczach i nawzajem się upewniali, że to prawda, że taki może być świat, że ta długa wędrówka przez gówniane sprawdziany, jebane wuefy, pierdolone baseny, pojebane mecze, zgniłe szatnie, przypalone obiady, pierdolnięte w pizdę granatem nauczycielki, przez całą tą nędzę, nawet przez tą głupią, toksyczną galerię, doprowadziła ich jednak do tego terminalu, do tej najcudowniejszej w świecie toalety, gdzie są sobie najbliższymi braćmi i gdzie wszystko jest naj, gdzie będą sobie odtąd żyli jak Adam i Ewa w raju, żywiąc się zakazanymi jabłkami. Całe ich życie jawiło im się jako logiczna i konsekwentna droga do tego cudownego miejsca. Od tej pory czas powinien stanąć. Teraz już nic nowego nie powinno się wydarzyć. Powinni odtąd żyć długo i szczęśliwie w tej cudownej toalecie, przyjmując tylko kolejne dostawy proszku, wsuwane pod drzwiami przez usługowych dilerów. Mogliby zamieszkać w galerii, żywić się na promocjach, zostać galeriankami i mieszkać w białym domu, w piekarni pełnej białego proszku. Kamil usiadł na klapie

i wziął Patryka na kolana. Wtedy pojawił się niedosyt. Gdyby znali prawdziwą kokainę, od razu zrozumieliby, że za szybko. Ale nie znali.

Żaden z nich nie miał wątpliwości, że oszczędzona stówa, przez którą wciągali, musi zostać natychmiast wydana na kolejną działkę, inaczej to wszystko straci sens, a sprawdzian z chemii znowu podniesie swój wstrętny łeb.

– Trudno, będziemy wciągali przez dziesięć złotych. Ponieważ to moja stówa, może troszkę ci odpalę, ale na pewno nie po połowie – wyszeptał Kamil, już nie tak czule. Karuzela przestała się kręcić i trzeba było wrzucić nowy żeton.

– Zwariowałaś? Przecież to moja stówa! – Patryk naprawdę w to uwierzył, bo z tego wszystkiego mu się pokręciło i teraz był święcie przekonany, że dzieje mu się największa niesprawiedliwość. Zagroził Kamilowi drzwi i złapał go mocno za ramię.

Kamil natychmiast wcisnął zrolowaną stówę na samo dno ciasnej kieszeni džinsów. Patryk był czerwony z wściekłości, ale Kamil szybko wymknął mu się, otworzył drzwi kibla i uciekł. I teraz oto marzył przed Renomą, czekając na tego kolesia, co im sprzedał poprzednią działkę. Nie wiedział, że za stówę nie dostanie się we Wrocławiu żadnej kokainy, a znowu jak na amfę to o wiele za drogo, ale już raz dał się nabrać i teraz marzył tylko o tym, aby dać się nabrać kolejny raz. Poprzednią działkę, tę, która dała tyle szczęścia i tak szybko je zabrała, kupił Patryk, ale wtedy jeszcze nie byli pokłóceni, więc nieopatrznie dał mu numer telefonu diler. Nie to nie, nie chciał odrobiny, nie dostanie nic, a za to Kamil wciągnie zaraz całą grubą krechę, połowę w jedną dziurkę, połowę w drugą, a może i dziurę w dupie, może całym sobą! Dobrze, że ma ten telefon, teraz by mu Patryk nie dał i Kamilek musiałyby łązić wokół dworca autobusowego jak ostatni ćpun, po terenie zwanym przez policję Duży Bajzel, obserwować tych biednych narkomanów pochylonych aż do samej ziemi, z siatami, gnanych wiatrem jak latawce.

Nagle przyszedł esemes od tego całego Pepe (diler! jak na filmie! Wrocław to jednak metropolia!). Ponoć zaopatrywał pół ich szkoły i mówili na niego „Pepe”, co równie dobrze nadawałoby się na ksywę dla albańskiego alfonsa. Pepe chciał, żeby Kamil poszedł do parku przy fosie, zaraz za galerią sztuki Na Odwachu, pierwsza ławka. Umówili się tu, przed Renomą, a teraz nagle zmiana planów. Poszedł, oczywiście, daleko nie miał.

– Co? Spodobało się?

Kamil umierał z ciekawości, jak też wygląda prawdziwy diler we Wrocławiu. Ale okazało się, że koleś stoi za ławką, za jego plecami, i Kamil postanowił, że lepiej się nie odwracać, on na pewno tego nie chce, skoro tak się czai. Niezbyt pewnie wyciągnął za siebie rękę ze stówą i poczuł, jak pachnący jeszcze amfetaminą banknot znika za nim, a w jego miejsce pojawia się zawiniątko.

– Czysta koka? – zapytał, żeby poczuć się bardziej dorosłe, ukryć gdzieś to swoje siedemnaście lat. Ale że akurat kończył mutację, więc nieoczekiwanie zapiał jak kogucik. W odpowiedzi usłyszał śmiech. Tak mogłaby się śmiać studzienka w ulicy, gdyby miała czym. Albański alfons, któremu ktoś mówi, że seks był, ale on nie ma pieniędzy, żeby zapłacić...

– Jaka koka? Koka kosztuje dwieście trzydzieści za gram, kolega mówił coś o koce? Zwykła feta, po trzydzieści od grama, za to czteropak. Odrobina w promocji. Ale jak chcesz, to mogę ci sprzedać coś lepszego. To coś lepszego kosztuje sto trzydzieści–sto czterdzieści pięć za gram, ale mogę ci dać ten gram, jak dołożysz jeszcze ze dwie dychy. Spróbujesz sobie czegoś naprawdę fajnego.

Czyli Patryczek go oszukał. Nieważne! Ważne, że amfa też działa, skoro tak miło było w toalecie. To co dopiero ta jakaś koka! Trzeba koniecznie na to załatwić kasę! Nawet wie, skąd ją zdobyć. I żadnych Patryczków, pełna samotność...

– Za parę dni odezwę się w sprawie koki. A teraz daj mi to coś specjalnego – powiedział, tym razem za niskim głosem. Oddał Pepe zawiniątko z fetą i dołożył do niego dwadzieścia złotych. W zmian dostał coś innego. Tym razem w sreberku.

– Czemu w sreberku? – zapytał, odwrócił się i stwierdził, że diler zniknął. Pepe. Od dziś jego najlepszy dostawca czystej chemii... A teraz jeszcze to nowe. Patryk wiedział, że pcha się w gówno, że to na sto procent jest jakaś wyjątkowo uzależniająca hera, ale nie wiedzieć czemu, tym bardziej się na to cieszył. Bo skoro zwykła feta, i to dzielona z kolegą na nierówne połówki (oczywiście każdy z nich uważał, że dostał mniejszą, nie wiedzieli, że w świecie narkotyków występują nierówne połówki), tak działa, to CO DOPIERO CAŁA DZIAŁKA HERY TYLKO DLA NIEGO? Pana Boga pod kolana złapie?

Tymczasem zrobiło się już późno i Kamil poczuł, że zgłodniał. To znaczy późno może nie było, ale, jak to w grudniu, w środku dnia przyszła noc. Zostało mu jeszcze dokładnie czterdzieści złotych, i to jak na złość samymi drobnymi. Rękę z zawiniątkiem ścisnął w kieszeni jak największy skarb. W twarz zacinał mu deszcz ze śniegiem. Szedł przed siebie i myślał, jak nieprzytulnie byłoby na świecie, gdyby nie świadomość, że zaraz znajdzie się w tej najśłodszej białej piździe. Ochlapała go ciężarówka, poczuł, że ma mokro w butach. Postanowił najpierw coś zjeść. Przechodził właśnie pod sedesowcami na placu Grunwaldzkim, minął je i natknął się na małą budę ze śmiesznym napisem „Kebab Larysa”. Poczuł się, jakby był gdzieś daleko, w jakimś zimnym, dzikim mieście Rosji albo Ukrainy, w jakimś Doniecku czy Niżnym Nowogrodzie. Jadł ten kebab, jakby cały dzień nic nie robił, tylko pływał w basenie, tak jak kiedyś kazano im na wuefie, przez całą długość i z powrotem. Taki był potem głodny, że zjadał wszystkie kanapki, które mama robiła mu do szkoły, choć zwykle je wywalał. Czapkę ściągnął za rogiem, chyba że samemu się było tego dnia stylistą, kanapki won, zdjęcie na Instagram. Ach, ta mama! Od kiedy znowu jest w ciąży, zrobiła się straszna. Ciągłe się tylko czepia Kamila, że się nie uczy, czy ona nie rozumie, że życie nie polega na uczeniu się, tylko na balowaniu? No tak, mieć matkę prokurator, lepiej nie można trafić. Chociaż bardzo ją kochał i nawet zrobiło mu się jej troszeczkę żal, że oto jej syn zaraz weźmie kolejny narkotyk (dreszcz rozkoszy pomieszanej z podminowaniem).

Poczuł, że chce napić się piwa, ale w Larysie nie mieli chyba koncesji, więc przeszedł obok, do Remontu, studenckiego klubu z pizzą i piwem. Skończyło się na trzech. Postanowił pójść piechotą w kierunku domu i zażyć to nowe COŚ w nocy, w swoim pokoju, kiedy już rodzice zasną. Po drodze wstał jeszcze na piwo do artystów na Jatki.

Siedział i zastanawiał się, jak by tu przemknąć się w domu tak, aby nie zaczęło się to całe dochodzenie rodziców w sprawie trzech, aj, już czterech piw, żeby uniknąć pytań taty o to, jak poszedł sprawdzian z chemii, żeby, słowem, uniknąć jeszcze choć na chwilę rzeczywistości. Bo o ile chemia na razie była zamknięta bezpiecznie w kieszeni, to już pytania z fizyki jutro na pewno nie uniknie. Nie miał już ani grosza, a naprawdę nie chciał wracać. Dobrze, że zagadnął go jakiś dziadek o dziobatej, ale przyjaznej twarzy i zaczął stawiać kolejne piwa. Wychodzili na papierosa, prawdziwego, nie wirtualnego. Bez kurtki, bez szalika, gdyby to mama widziała, ale nikomu nie było zimno. Kamilowi świetnie się z nim gadało, polubił go do tego stopnia, że miał ochotę zaproponować mu, że pójdą razem do kibla i podzielą się jego krechę. Tylko dla przyjaciół. Musiał naprawdę mocno się starać, żeby mu tego nie zaproponować. Udało mu się powstrzymać. Potem przeszli do Przedwojennej, daleko nie mieli i dziadek zaczął ładować w Kamilka wódki, tatary, ogóreczki i papierosy. Potem chyba była Pijalnia Wódki i Piwa w Rynku. Obcy miał po sześćdziesiątce, nawijał o wszystkim, opowiadał o takich narkotykach, o jakich Kamil nigdy nie słyszał, o takich rzeczach, które były dalekie od sprawdzianów i rodziców, o jakimś tajnym klubie, o gościówce, która przed wojną jeździła do niemieckich jeszcze Międzyzdrojów... Potem Kamil na chwilę zostawił swoją wódkę i poszedł siku. W toalecie, głupio się uśmiechając do lustra, totalnie najebany patrzył na swoją młodą, ładną, a teraz czerwoną w białe cętki twarz, na prawie białą grzywkę spadającą na oczy, już dość długą, aby można ją było przygryzać (prostując w ten sposób) i poczuł się tak szczęśliwy, że postanowił zamknąć się w kiblu i właśnie teraz wciągnąć całą krechę. Niech tam mama prokurator mówi sobie, co chce, o paragrafach! Kiedy to zrobił, aż go zatkało z rozkoszy. Poczul, jak trzeźwieje, ale wcale nie jest trzeźwy, tylko myśli jasno, a porusza się z chirurgiczną precyzją. Obsłiniał kłapę, całował ją i płakał ze szczęścia. Potem wrócił na salę i zrozumiał, że musi natychmiast, w tej sekundzie, podziękować Obcemu, za to, że jest takim jego cudownym przyjacielem. Przytulił się, a on szepnął:

– Dopij swoją wódkę i pojedziemy do mnie. Nie warto, abyś w takim stanie jechał do domu.
Kamil spojrział mu w oczy i poczuł dozgonną wdzięczność dla tego człowieka.

Potem nastąpiły szumy, zlepy, ciągi. Jakieś rzyganie pod SuperPharmem (Obcy czule podtrzymujący go w pasie), jakaś taksówka, nie, nie taksówka, samochód Obcego, który był trzeźwy, bo w czasie całego wieczoru wypił może jedno piwo. Samochód zaparkowany gdzieś daleko, wokół Rynku przecież się nie zaparkuje. W samochodzie leciały dziwne, przedwojenne tanga, nawet fajne, a na tym etapie upicia, na jakim znajdował się Kamil – nawet cudowne, boskie, czarowne, upojne... Sam nie wiedział, skąd wzięło mu się tyle staroświeckich wyrazów. Nie wiedział, że to Wera Gran, pieśniarka warszawskiego getta, którą okresowo czuła się Anka Jantar, śpiewa swoim niskim głosem *Tango notturno*. Potem, gdzieś tak w okolicach Powstańców Śląskich i Sky Tower, całkiem urwał mu się film i następna przebitka była już zgoła inna.

Zanim otworzył obolałe i posklejane oczy, wróciło czucie. Było źródłem przeżyć tak koszmarnych, że wołał na razie nie dodawać do nich wizualu. Usta wypełniało mu coś jak brudna ściera. Początkowo myślał, że to kac po narkotykach, piwach, wódkach i papierosach, ale potem zrozumiał, że jest zakneblowany. I związany. Leży nagi na mrozie, przymarzając do jakiegoś lodowatego kamienia. Poczł ból głowy tak silny, że aż mimo wszystko zrobiło mu się gorąco. Pachniało kadzidłem, jak w kościele, do którego Kamil od dawna nie chodził. Facet musiał coś spalać. Jakies indyjskie gówna ze sklepu z kadzidełkami. Do tego inne dziwne zapachy i jakby woń irysów, piękna, słodka, ale niepokojąca.

Zebrał wszystkie siły i spróbował rozkleić powieki.

Było ciemnawo, wokół niego paliły się gromnice, jedyne źródło światła. Więc to był ten zapach, którego przed chwilą nie umiał obczaić. Dlaczegoś świece wcale mu się nie spodobały. Na głowie czuł jakies kółko, jakby wianek z kwiatów. Muzyka grała *Marsz żałobny* Chopina, a Kamil leżał na czymś lodowatym, kamiennym, jak na katafalku, związany, i coś na nim leżało. Dużo czegoś. Aż dotknął podbródkiem obojczyków, żeby zobaczyć, co to, i przebiegł go dreszcz. Nie dość, że był nagi, to cały ustrojony białymi kaliami. Tymi kwiatami, które kojarzyły mu się tylko z pogrzebem. Jedną łodygę miał wsuniętą między uda, zasłaniała wszystko jak listek figowy. Albo raczej listek laurowy, jakby był wielkim kawałem mięsa, który ktoś obłożył przyprawami przed wsunięciem do pieca. Jak tą nieszczęsną Rozalkę, co czytali w podstawówce taki horror. Rzucił się na katafalku, ale od razu zrozumiał, że się nie rozwiąże. Że jest na to zbyt leniwy, jakby ktoś dodał mu do krwi środków uspokajających czy choćby tej wczorajszej hery, która sprawia, że jest się za dobrym, żeby się poruszyć, zbyt dojrzałym, jak jabłko, które spadło w ogrodzie i już za żadne skarby nie ruszy się samo. Dziada nigdzie nie było. W pokoju panował taki ziąb, jakby od lata nikt tu ani na chwilę nie włączył kaloryferów. Kamil miał gęsią skórę. Dopiero wtedy przypomniał sobie, o czym od kilku dni trąbią nieustannie wszystkie gazety. O Przedwojennym Mordercy. Którego poszukuje jego mama, prokurator Joanna Pospieszalska.

– Mamo... – szepnął. – Mamusiu...

Leżał tak i patrzył, jak jego oddech, wychodzący nosem, układa się w chmurki. Czyli jest aż tak zimno. Temu, kto go związał, już nie zależy na jego zdrowiu, na jego nerkach, ponieważ... Ponieważ... Kamil nie chciał płakać, bo łzy nie miały jak opadać z twarzy, tylko gromadziły się w oczodołach i piekły. To znaczy, że czymś go wysmarował, same łzy nie pieką. Tak, był czymś natłuszczony i ten krem pachniał irysami, przecież irysów o tej porze roku nie ma.

Nic się nie działo. Czuwanie przy zwłokach. Przekręcił głowę jak najbardziej na lewo, żeby

spojrzeć pomiędzy świece i dostrzec coś z pokoju, w którym leżał. Nic. Przekreślił na prawo i zobaczył, że przy jego katafalku, chyba na dwóch krzesłach, stoi jakiś przedmiot. Otwarty przedmiot. Kamil zrozumiał, że zobaczył swoją własną trumnę. Chciał stracić przytomność.

Pojawił się dziad o dziobatej twarzy. W jakimś dziwnym szlafroku. Całował go, pieścił, lizał, to akurat Kamila nie dziwiło, bo należał do pokolenia wychowanego nie na podwórku, tylko w sieci. Żeby tylko to, żeby tylko to! Obcy mówił do niego, a raczej mamrotał do siebie jakieś bzdurki w stylu: tyłeczek, ale tyłeczek, no już dobrze, już dobrze, chłopczyku... Dawał Kamilowi do wachania coś w małej buteleczce, co śmierdziało jak rozpuszczalnik i benzyna pomieszane z lakierem i zmywaczem do paznokci. Po każdym wdechu kręciło mu się w głowie, serce biło jak szalone, a cała sytuacja zaczynała go podniecać. Na kilka sekund.

Nieznajomy spuścił się na jego biały, płaski brzuch i zaczął to zlizywać. Język faceta gilgotał Kamila w brzuch i trudno mu było się nie śmiać, chociaż przecież nie mógł się śmiać w takiej sytuacji, przy której *Rozmowa Mistrza Polikarpa ze Śmiercią*, którą przerabiali na polskim, to zwykły salonowy small talk dwóch głupiutkich nastolatek. Ale gorący, szorstki, mokry język faceta wywoływał czysto fizyczny odruch śmiechu.

Potem Kamil dostał zastrzyk w ramię. Gorąca chmurka rozeszła się po całym ciele i doszła do głowy. Dziobaty z trudem przeniósł go do trumny i udekorował kwiatami, obrazeczkami, różańcami. Wieko powoli się zamknęło. Na chwilę Kamil zamarł – i Dziobaty, który był na zewnątrz, też. Chwilę słuchali swojego nasłuchiwania. Aż potem stało się. Nadeszło pierwsze uderzenie młotka. Potem drugie, a potem cały deszcz uderzeń. Kamil zsiąkał się, zesrał, płakał, ale nic nie mógł zrobić. Trumna została zabita. Potem usłyszał kroki, które oddalały się od niego, i wszystko ucichło. Trumna była cholernie niewygodna – leżał na deskach wyłożonych jakimś materiałem jak dno walizy, ale nic tu nie było pomyślane dla żywych. Natychmiast zrobiło się duszno, jakby kwiaty, rozkładając się w przyspieszonym tempie, wydzielały coraz silniejszy zapach. Kalie jakby zapuściły w niego korzenie, jak grzyby, ssaly jego młode soki i rosły do gigantycznych rozmiarów. Irysy przypominały mu przedszkole, w którego ogrodzie rosły. Potem, ostatkiem sił, usłyszał wystrzał, gdzieś daleko. I stracił przytomność.

Obudził się zlany potem i uświadomił sobie całą sytuację. Facet popełnił samobójstwo, a on leży związany w zabitej gwoździami trumnie. Obłożony kwiatami. Dusi się. W zasychającej powoli kupie i w żrących szczynach. Ślina napływa do zakneblowanych ust, a on nie może jej przełknąć, jak u dentysty, tylko żaden odsysacz jej nie usuwa. I wtedy spadło na niego z całą siłą poczucie, że już się z tego nie wyrwie, koniec. W tym momencie, tak jakby sam postanowił umrzeć, zakrztusił się śliną, która wpadła mu do gardła. Zwymiotował i zachłysnął się własnymi wymiocinami. Stracił przytomność.

Miało już nic nie być. A było. Trumna została znowu otwarta, całkiem żywy facet opuszką palca delikatnie przejechał po policzku nieżywego już Kamila, płacząc cicho, wyjął mu knebel z ust, rozwiązał ręce i nogi, usunął wszystkie ślady przemocy, żeby teraz wreszcie wyglądało na to, że

Kamilek przyszedł tu zupełnie po dobroci, sam, rozluźniony, zrelaksowany, ufny. Przeniósł go do wanny i polewał letnią wodą, wypłukując siki, kupę i rzygi, a potem położył na katafalku. Chciał w trumnie, ale trumny to jednak jest badziew, pomyślał, w środku byle jaki materiał przypięty szpilkami, bo przecież trup może się ukłuć, nic mu się nie stanie. Zmienił to badziewie na jedwab, myślał o czerwonym, ale w końcu wybrał czarny, żeby pięknie kontrastował z bielą młodego martwego ciała. Teraz nie mógł się napatrzeć. W świetle świec, które, niestety, trochę ocieplały celowo nigdy nieogrzewane pomieszczenie, widział ślicznego blondynka z długą grzywką zniszczoną na końcu od ciągłego przygryzania. Z niewinną miną małej myszki. Z odrobinę zadartym noskiem. Z dużymi, napakowanymi naturalnym, młodzieńczym kolagenem usteczkami. Z małutkimi brązowymi sutkami. Bez żadnych mięśni, chudzinka. Jakiś tatuaż przedstawiający pszczołkę nad tym miejscem, gdzie zaczynają się cudne włosy łonowe. Żeby było widać, jak spodnie za bardzo opadną. Pocałował tą pszczołkę. Była jeszcze ciepła. Ciepła, mokra, aksamitna skóra. Zaczynało się stężenie pośmiertne i teraz trzeba było trochę poczekać, ale nie odchodzić, bo nigdy nie wiadomo, kiedy puści. Trzyma od dwunastu do czterdziestu ośmiu godzin. A jak puści, to będzie ta krótka chwilka, zaledwie trzy, cztery godziny, kiedy śmierć na chwilę odda mu Kamila w posiadanie, by potem znowu zabrać już na dobre. Bo kiedy puszcza stężenie, a ciało jeszcze wygląda zupełnie normalnie (poza plamami opadowymi, które są całkiem seksi, i tą słodką zieloną plamką w lewym dolnym rogu brzucha), to jest ten moment, kiedy zwłoki są „jakby spały”, ręce luźno spadają ze stołu, można je sobie ułożyć tak, aby objęły, można otwierać usta, odbył, wszystko jest mięciutkie i giętkie. Po trzech, czterech godzinach (które tak łatwo przegapić!) ciało na dobre odchodzi, nie oglądając się już za siebie. Teraz tylko zimno, jak najzimniej, precz ze świecami, zostawić okna uchylone, na dworze mróz, żadne muchy tu teraz nie wleczą.

Delikatnie przykrył zwłoki Kamila zimnym czarnym jedwabiem. Na nim, we wgłębieniu między nogami, położył jedną białą kalię z złotym pręcikiem. Pogasił świece i wyszedł z pokoju. Miał dużo do załatwienia, a tylko dwanaście godzin, potem trzeba będzie czuwać przy Kamilku. A roboty tyle... Trzeba tu jeszcze zwabić głównego bohatera tych wypadków. Na pewno mu się przyda do prozy...

Wszedł na Facebook i przede wszystkim stworzył fikcyjną postać z przepięknym zdjęciem profilowym, jakie od dawna miał upatrzone i ściągnięte od jakiegoś hiszpańskiego użytkownika Facebooka, rocznik dziewięćdziesiąty któryś. Na to powinien się wziąć. Długo szukał imienia. Nie, nie luj. Mimo całej urody jest w nim coś miękkiego, co zapowiada łatwe zwycięstwo. Imię... Jak się nazywał ten kolega Iwa? Iwo by pasował, ale jest już spalony. Alan. A gdyby tak... On się na to weźmie, on myśli tylko chujem! Utworzył konto „Alan”, wstawił zdjęcie Hiszpana, dodał szybko do znajomych Iwa i jeszcze kilku emo. Potem otworzył nowy pakiet startowy z kartą prepaid. To będzie twój nowy numer telefonu, Alanku... Nawet ładny, łatwy. Oj, tak, na tym zdjęciu nawet wygląda lepiej! Na to niewinne spojrzenie to ta stara ciota się nabierze jak nic. Zepsutym i zblazowanym – tylko niewinność. Co ja tu zrobię z taką wielką, gnijącą górą mięsa i tłuszczu?

Wrocław, noc z wtorku na środę,
z 12 na 13 grudnia 2012

Ale laska!
To widzę, że ten Alanek to jest mała ślicznotka, która aż się prosi, pomyślałem, oglądając jego profil na Facebooku. Szkoda, że widać tylko do pasa, o, ale jest i całość, no, odwróć się trochę tyłem do aparatu, zobacz, jakie tam za tobą góry... Kiedy to się urodziło? Jezu! Tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąt pięć. To ja już byłem od seksu na emeryturze, już po Szwajcarii. Jaka wiewióreczka, chrupie sobie orzeszek, jakie toto niewinne!

Siedziałem w domu przy stole. Była noc. Teraz naprawdę już czułem noc w pociągu i cały dzień na mieście. Rano z komendy pojechaliśmy ze Studencikiem do Przedwojennej, która była czynna całą dobę. W środku panował totalny ranny kac. Barman siedział smętnie i pił kawę. Pokazaliśmy mu zdjęcie Soni, oczywiście „za życia”.

– No, przychodzi tu. Dawno jej nie było.

– Sama przychodzi?

– Nigdy sama. Najczęściej spotyka się z facetem. On jest zawsze pierwszy, a ona się spóźnia.

– Z jakim facetem?

– A ja się tam na facetów nie patrzę. Ale on dziwny jest.

– W jakim sensie?

– Jakiś taki niedzisiejszy.

– Może zacznijmy od podstaw: ile ma lat?

– No... Tak po sześćdziesiątce. Ona ubrana jak księżniczka, to mnie nie dziwiło, że ze starym się spotyka. A on ubiera się tak jakoś, kamizelka, łańcuszek, znaczy – zegarek na łańcuszku, spodnie w prążki...

– No to elegant.

– No, nie powiedziałbym, jakieś nitki poprzylepiane do nogawek.

– Nitki? A kolor oczu?

– Pan sobie żartuje... Czy po wyjściu stąd będzie pan umiał odpowiedzieć na pytanie, jaki mam kolor oczu, jeśli specjalnie pan się nie przyjrzy?

– Jakieś cechy szczególne, uszy odstające, nos mały czy duży?

Tak go wymęczyliśmy, aż w końcu uzyskaliśmy portret pamięciowy, z którego wynikało, że możemy sobie odpuścić kobiety oraz facetów poniżej sześćdziesiątki, z odstającymi uszami i z dużym nosem. A szkoda, bo gdyby takie monstrum z odstającym wszystkim szło ulicą, to od razu każdy by wiedział, że morderca.

Siedzieliśmy w samochodzie i jedliśmy zestawy z McDonalda, kiedy Studencinie zadzwonił telefon. Okazało się, że Kamil, syn naszej prokurator, wczoraj nie wrócił na noc do domu, ale ona spała tylko kilka godzin w komendzie i nawet tego nie zauważyła. Teraz jednak wciąż go nie ma. Spojrzeliśmy po sobie.

Ręce mieliśmy już i tak pełne roboty, a tu teraz nagle ta sprawa zyskiwała priorytet. Wypiłem łyk kawy z papierowego kubka, wyjąłem smartfona i zgooglowałem tego Kamila Pospieszalskiego. Tylko wszedłem w grafiki, od razu wiedziałem, wszystko wiedziałem!

– To on, kurwa, to on!

– Michaś, proszę cię, nie pierdol, dosyć już, że muszę zamiatać pod dywan twoje międzydrojskie sprawy, twoje kopanie radnego po nerach, twoje z lujami napady w parku! Nieźle musiałeś wyglądać, a wiesz, idealnie się do nich nadajesz, taki łyśy, swój do swego, zadawaj się, zadawaj...

– To on, Bartuś... Niestety.

– Skąd, kurwa, wiesz, że to on? – Studencina przestał jeść i wziął ode mnie komórkę.

– Bo on... Bo widziałem zdjęcia innych chłopców... To jest ten typ. Zadarty nosek i niewinna mina. Piegi i blond włosy.

Poczuliśmy się jak zamknięci na dwudziestym piętrze w czasie pożaru płonącego wieżowca, jeszcze żyjemy i pozornie możemy coś zdziałać, więc działamy, miotając się od zamkniętych od zewnątrz drzwi, za którymi szaleje ogień, do okna, za którym szaleją prawa fizyki. W tej chwili on mu coś robi, temu biednemu Kamilkowi, a my wiemy o nim tyle, że może nazywa się Roman, ubiera jak Jacek Dehnel i ma nitki poprzylepiane na nogawkach (Jacek Dehnel by sobie na to nigdy nie pozwolił). Na podstawie takich danych w nerwowej atmosferze paniki niewiele się działo. Więc dla odmiany popadliśmy w odrętwienie.

– A na dodatek ten cały Roman może w ogóle nie być Przedwojennym Mordercą. Dowodów nie ma. Są dowody na to, że się spotykali, że ona chciała od niego pieniądze, ale nie ma na to, że to on. Ale i tak musimy iść tym tropem. Kamil poszedł na wagary i tu trop się urywa, nikt z nim nie był. Nic. Tu przynajmniej możemy coś zrobić, ja wiem?

– Poszukać krawców. To krawcy mają nitki poprzylepiane. No i te niedzisiejsze stroje też może sobie sam szyje. Tylko że dziś każdy, kto skończył dwuletnie studium krawieckie i ma maszynę w domu, może szyć i na czarno i mieć nitki. I jeszcze sobie piszą na wizytówkach „fashion designer”. Ale zobacz – krawiec. I Bednarz – też krawcowa. I też szyje dziwne, stare rzeczy, poszukajmy wokół niej...

– A tymczasem Przedwojenny Morderca już bierze miarę z Kamila na strój niemieckiego uczniaka z lat dwudziestych.

– Nie pierdol. Nerwy do niczego nie prowadzą. Damy ogłoszenia jako... jako Teatr Polski, ty znasz tam kogoś?

– Ba, wszystkich, od Mieszkowskiego poczynając, a na technicznych kończąc.

– No właśnie, dajmy ogłoszenie, że my, czyli Teatr Polski, mamy duże zamówienie na przedwojenne stroje do jakiejś sztuki. Jakiej, to już ty sam wymyśl. Że z jakichś tam względów szukamy podwykonawców. I uprzedź Mieszkowskiego, żeby oni nie podnieśli gwałtu, że nie dawali tego ogłoszenia, a jak ktoś zadzwoni, żeby skierowali go do nas. Bo numer telefonu musi być numerem teatru. To się nazywa prowokacja i kiedy działasz pod presją czasową, zdaje lepiej egzamin niż dedukowanie.

Też mi szybkie działanie, zanim Mieszkowski w ogóle odbierze telefon, to już trzy dni miną, a potem powie, że jest na premierze w Nowym Jorku i nie może rozmawiać. Tu trzeba niżej, może do Kasi Majewskiej. Studencik zaparkował swojego volkswagena pod knajpą Antrakt w wiadukcie kolejowym, gdzie spotykają się aktorzy w przerwach prób, i poszliśmy. Niezapowiedzeni, nieoczekiwani, niechciani. Dwóch facetów, dla których nikt nie robi kawy. Weszliśmy drzwiami od tyłu do tego gmachu, z którym wiązało się, jak prawie ze wszystkim we Wrocławiu, tyle wspomnień. W kategorii „miejsce niezwiązane z kurewstwem” to chyba najwięcej, choć czy tak niezwiązane? Pożar, czasy przed pożarem, pierwszy rok klasy teatralnej w liceum, kiedy to wchodziliśmy piwniczką na sztuki, skakali na węgiel, bładzili wśród kulis i wychodzili prosto na scenę w samym środku spektaklu, umorusani jak nieboskie stworzenia... Wchodzenie od piwnicy oraz kominem na wszystkie gale Przeglądu Piosenki Aktorskiej albo wchodzenie bez biletu (tekst do biletera: „proszę pana, ja tam zostawiłem szampon”).

Po pokonaniu wszystkich portierni w końcu zeszła do nas Kasia Majewska. Wyjaśniliśmy, o co chodzi.

– Słuchajcie, są dwie pracownice, damska i męska... – Była zachwycona, że może się przydać do prozy i może nawet, ewentualnie, „do życia”.

– To tak oldskulowo.

– Megaoldskulowo. Wiesz, panie w fartuchach z nitkami, z igłami w zębach. Czasami, jak jest coś takiego bardziej, wiesz, sophisticated, to one mogą sobie z tym nie radzić, i wtedy zamawiają u jeszcze bardziej oldskulowych pań z opery. Te byś musiał zobaczyć, te tapiry! Projektują dla nas ludzie młodzi, najczęściej jeszcze mało znani projektanci mody. No, a co do innych podwykonawców z zewnątrz, tu są kluczowe trzy osoby: rekwizytor, zastępca kierownika technicznego oraz kostiumograf. Oni właśnie robią często zakupy zewnętrzne, polują na Allegro, w lumpeksach itd. To jeśli, to oni muszą wiedzieć, że zamieścicie te ogłoszenia i do nich będą ludzie dzwonić. A sztukę to już, Michaśka, sama wymyśl, żeby on od razu się pokapował, że z dwudziestolecia.

– *Powróćmy jak za dawnych lat?*

Studencik z Kasią spojrzeli po sobie i parsknęli śmiechem.

– I to wszystko tylko do jednej sztuki, a potem gdzieś zalega do końca świata? To chyba im się nie chce tak dokładnie obszywać...

– No...

– Bo te nasze ciuchy z trupów to też takie niezbyt dokładnie poobszywane...

– A znasz taką Bednarz, co ponoć też robi dla teatru?

– Ja nie, ale zaraz znajdziemy wam kogoś od strojów...

W drzwiach pojawił się mężczyzna o wyglądzie poszarzałego magazyniera, w zblakłym fartuchu i o twarzy nie do zapamiętania, dziobatej, lakonicznej i dziwnie chciwej, jak kwit. Był tak zasuszony, że właściwie bez wieku, jak zabalsamowany. Wyglądał, jakby pracował na poczcie albo w ZUS-ie, albo jako intendent w państwowym szpitalu, albo w przechowalni rzeczy znalezionych, tak banalnych, że nikomu nie chce się ich szukać. Między przednimi zębami miał szczerbę, jakby od gryzienia nitek. Przedstawił się jako Andrzej, co też nie było szczytem oryginalności. Ale był bardzo miły i od razu zgodził się nam pomóc, doradzał, jak najlepiej napisać to ogłoszenie, tak żeby wszystko wyglądało jak najbardziej autentycznie, powiedział też, u kogo najczęściej zamawiają, gdy nawet „oldskulowe panie z opery” nie mogą sobie poradzić. Wyciągnął dokładnie taki sam staroświecki notes z adresami, jaki miała Bednarz. Zaczął go kartkować i podawać nam adresy i telefony.

Kiedy podnosił znad niego wzrok, patrzył na nas swoimi wyblakłymi oczami, o których można było powiedzieć tylko tyle, że zawierają 99,99999 procent szarawej, niefiltrowanej wody z kałuży. Zwracam uwagę na takich szarych typków, ponieważ to dzisiaj rzadkość, nawet magazynierzy są już gwiazdami – wytatuowani, pokolczykowani i z siłowni, mają swój jakiś tam magazynierski wizerunek. A tu stał przed nami facet ubrany po prostu w ubranie, nierzucający się w oczy. Potwierdził, że Janina Bednarz współpracuje z nimi w kwestii przedwojennych strojów i jeszcze taki jeden pan Antoni z Oławy. On jest totalnie w starym stylu, ale uszyje nawet krynolinę z kryształków Swarovskiego, tyle tylko, że pije jak świnia. Bednarz to przynajmniej liznęła trochę historii stroju, a ten nic, a i tak jak coś zrobi, to tylko zemdleć. Bednarz ma pełno overlocków, nitownic, profesjonalnych żelazek i cudeniek, a ten szyje na starym łuczniku na korbę, który tak przemyślnie zepsuł, że chwyta nawet skórę. Tyle tylko, że ciuchy od niego straszliwie capią, widocznie w tym jego mieszkaniu jest coś nie tak, ale na widowni nie czuć, to się nie przejmujemy.

Spojrzeliśmy po sobie ze Studencikiem. Stary. Capią. Żeby tak capiły trupami, bylibyśmy w domu. Jakoś tak informacja o tym facecie bardzo nam się wydała ciekawa. Pijak z Oławy. Kto wie, jakie perwersje może wymyślić, te małe miasteczka mają swoje za uszami, niedzielna nuda, poniedziałkowa szarzyzna, wtorkowa kiła, środowa kicha, czwartkowe deszczyki, piątkowa wyprawa do Biedronki, sobotnie tanie uniesienia na bilardzie, niedzielne kace i spowiedzi w kościele...

– Co by pan powiedział o tym facecie?

– No, on się specjalizuje w takich właśnie, o – zwrócił się do Kasi Majewskiej – co teraz robiliśmy Gombrowicza, pamiętasz? Jak potrzebowaliśmy tych szmizjerek?

Po Kasi od razu było widać, że oj, pamięta, bo też co to było za zamieszanie...

Śmiesznie brzmiał ten „Gombrowicz” w ustach człowieka, który sam nigdy by się na to nie wybrał, a jednak przez pół roku musiał to nazwisko mieć ciągle na ustach, na Gombrowicza te materiały

jeszcze nie dojechały, Gombrowicz ma popsute zamki i w Gombrowiczu poszedł jeden zatrząsk, trzeba wymienić, trzeba Gombrowicza odprasować, bo pogniótł się niemiłosiernie. Gombrowicz to dziesięć wielkich worów ciuchów, obecnie już na zasłużonej emeryturze, z woreczkami na mole, w magazynie.

– Moczymorda straszny, ciuchy capią, ale jak umie postarzać materiały, jak zgapić ze starych katalogów...

Katalogi. Iwo. Facet z Oławie. Bednarz. Krąg zagadnień krawieckich...

– Dobra, adres tego faceta w Oławie i jedziemy!

– Trzeba się spieszyć, bo on może przetrzymać Kamila.

Błądziliśmy ze Studenciakiem korytarzami Teatru Polskiego, szukając wyjścia. Na szczęście znałem tu wszystkich, więc napatoczył się niejaki Jacek Cimicki, pracownik techniczny, i od razu nas zaprowadził do windy.

– On nie od razu zabija. Zwykle osoba zaginęła dwa tygodnie przed znalezieniem zwłok w pedalskim miejscu, a śmierć nastąpiła dziesięć dni przed znalezieniem. Miejmy nadzieję, że mamy cztery, no, już trzy doby, zanim go zabije.

Jeszcze raz obejrzałem zdjęcia tego Kamilka na necie. Boże, taki śliczny, taki cute, nie, nigdy się z tym nie pogodzę!

Powiedz mi w końcu – zagadnąłem Studencika w samochodzie, kiedy wyjeżdżaliśmy Krakowską na Oławę. – Powiedz mi dokładniej, co to jest za enen Wojtusia? – Nagle wyszło słońce i zaczęło mnie razić. Nie miałem okularów. Zmrużyłem oczy. Studencik zasłonił górną część szyby klapkami.

Zapalił, otworzył okno i wyciągnął przez nie rękę z papierosem. I opowiedział.

To była paskudna sprawa. Jakoś tak marzec dwa tysiące siódmego. Wielkie wiosenne ożywienie, luje w dresach palą w każdej bramie, karetki hałasują syrenami, wszystko się budzi do życia, poza tymi, co w szpitalu na Traugutta szykują się raczej do śmierci, ale i oni jeszcze na chwilę się ożywiają. Zapach wiosny w starej dzielnicy, świeże powietrze miesza się ze spalinami, smrodem kup psów i lujów, kocich szczyń, ale póki co, zmyte deszczami, wciąż jest to wszystko urocze, jest w tym jakaś potencja. Była pełnia, a przy pełni policja notuje zwiększony niepokój, wariaci w szpitalu na Wybrzeżu Korzeniowskiego są bardziej niespokojni i palą więcej papierosów, jest więcej morderstw i rozbojów, wszystkim wyż uderza do głowy.

W takie właśnie wiosenne, ale już upalne popołudnie, jakby z początku *Zbrodni i kary*, pewien zawiany luj wchodził do bramy na Traugutta i potknął się o zwłoki z nożem wbitym w plecy. Niby klasyka, ale wszyscy ryczeli, chłopiec najwyżej szesnaście lat. Nikt się nie zgłosił, nie pasował do żadnego zaginięcia, a w świetle żarówki na klatce schodowej wyglądał, jakby czegoś szukał pod schodami, jakby mu tam wpadła piłka. No i Wojtusiowi trochę odbiło na punkcie tej sprawy, bo nie ma syna i wychowywał się bez rodziców. Najpierw wałkował to dochodzenie i nie pozwalał zamknąć, chociaż naród mieszkający w Trójkącie Bermudzkim niechętny jest policji i z zasady nie współpracuje. Na nożu zabezpieczono odciski palców, ale nie było ich w rejestrze, a Wojtuś ciągle szuka, liczy, że może jeszcze się pojawią, wypłyną przy jakiejś nowej sprawie. No dobra. W końcu sprawa została zamknięta, ale Wojtuś gdzieś coś zachachmęcił, że w końcu nie pochowano go, tylko zachowano w lodówce. Specyfika naszych lodówek. Czasem jak hotel na godziny, a czasem zapominają na całe lata. A zmiany postępują, nie myśl sobie, że już jak w lodówce, to zwłoki się nie zmieniają. Więc ten teraz do niego chodzi, ubrał go w jakieś ciuchy drogie, młodzieżowe („nakupował trupowi”), maluje go, włosy mu zrobił na żel... Jakby miał lalkę. No i gada do niego, i tak go wzięło, że nikt się po tego chłopca nie zgłosił... Ale czy to można tak podchodzić w tej pracy...

Nie umiałem sobie tak do końca tego wyobrazić.

– Proszę cię, błagam, pokaż mi tego enena!

– Dobrze, pokażę ci, tylko Wojtusiowi ani słowa.

– Bardzo zmieniony?

– I tak, i nie. Dawno go nie widziałem. Ale Wojtuś już zadbał po sekcji, żeby wszystkie wnętrzności (które się najszybciej psują) zostały wyrzucone. Wypchał czystą ligniną, głowę też.

Potem wstrzyknął mu toksyny, takie jak przy tanatopraksji. No wiesz, wszystkie te twoje ulubione kwasy...

Może to on. Ten gruby, niezgrabny, źle ubrany, z jedzeniem między zębami.

Miarka, manekin bez głowy ani rąk, mydło do rysowania kieszeni, nitownice, overlocki, zapach i wszechobecne nitki, lepkie i czule tulące się do ubrań. Facet, który siedział przed nami, miał je nawet we włosach. Być starym krawcem w starej poniemieckiej kamienicy, pełnej rzeźbień i figur, zupełnie ponad stan, palić papierosy bez filtra w szklanej lufce z kiosku, nie wyciągając tego z ust, i szyć, szyć... Inni mają poduszeczki do wbijania igieł, niektórzy wbijają igły w serduszka, a ten miał tego tyle, że wbijał w wielką poduszkę. Resztki włosów przylizane do góry, koszula i szelki, chudy, wypalony tymi papierosami, żółte palce, żółte białka oczu, absolutnie autystyczny. W tle z radia leciała muzyka poważna.

Facet, o dziwo, nie wyglądał na „moczymordę”. Poczęstował nas przesłodzoną, słabiutką herbatą w szklankach z czerwonymi plastikowymi koszyczkami. Na manekinach, składających się tylko z samych korpusów, leżały różne wymyślne ubranka dobre na galę PPA ^[15] pod tytułem: *Powróćmy jak za dawnych lat*, palmy znów papierosy w szklanych firkach, pijmy znów słabą, przesłodzoną herbatkę ze szklanek... Nośmy kapelusze jak hełmy, bo na pewno niebawem będzie wojna!

W mieszkaniu unosił się straszny, słodkawy śwąd, ale nie żadnych trupów, tylko pieca, staruszka, zastałego dymu papierosowego, wilgoci i brudu. Gdyby nie to, czułbym się tu wspaniale.

Pan Antoni spojrzał na nas pytająco swoimi wyblakłymi oczami i rozkaszał się na całego. Nie mógł przestać. Wyobraziłem sobie prątki gruźlicy podążające w powietrzu od jego ust do moich. I nawet nie wypadało się zasłaniać.

Studencik wyjął smartfon i pokazał mu zdjęcie przedstawiające jedne ze zwłok ubrane w jakieś przedwojenne łaszki prosto z teatru Kantora. Pan Antoni objął komórkę palcami o brązowych, bardzo długich paznokciach, spojrzał, chwilę patrzył, nie widząc, aż nagle dotarł do niego sens tego zdjęcia: fioletowoszara twarz zwłok z wielkimi, napuchniętymi, czarnymi wargami i jakby srebrnymi policzkami. Nałożył okulary w wielkich rogowych oprawkach i przyjrzał się. Komórka zaczęła się trochę trząść w jego rękach. Zwłoki ubrane były w kamizelkę, do której przytwierdzono zardzewiały zegarek na łańcuszku. Kamizelkę morderca zapiął, ale że zwłoki napuchły, to teraz ją rozsadały. Ściągnął brwi, błysk rozpoznania, ale zaraz znowu te oczy stały się obojętne i zapatrzone gdzieś do wewnątrz.

– Poznaje pan?

– Nie. Nie wiem, kto to jest...

– A ubranie?

– Fuszerka. Proszę zobaczyć, ledwo zaobrębione, na okrętkę, pospinane agrafkami, to nie ode mnie.

– A od Bednarz? Zna ją pan?

– Też nie. I powiem panu więcej – od nikogo. Morderca nie umie dobrze szyć albo mu się nie chce dokładnie obszywać, w każdym razie robi to sam, byle jak. Wie, że dla trupów nie warto się starać, że to nie musi być wytrzymałe. Chociaż...

– Co pan robił w noc andrzejkową?

– Proszę pana, ja już od dawna wiodę taki żywot, że nigdy nie mam alibi... – Pan Antoni zdjął okulary. – W dzień szyję, głównie suknie ślubne, bo na to zawsze jest wzięcie, i czasem dla teatru czy dla młodych ludzi na imprezę, też oczywiście walę komerczę, garsonki, pościel, a wieczorami piję przed telewizorem. Ale roboty jeszcze nie zaważyłem nigdy. Odkąd żona mnie opuściła, zmarła na raka dwadzieścia prawie lat temu, nigdy nie mam alibi. Jej by trzeba było zapytać, bo jak piję, to mi się zdaje, że ona tu siedzi na swoim fotelu.

I znowu zaczął kaszleć. Wstałem, podszedłem do okna. Na dole był trzepak, budy i gołębniki. Spokój podwórka w małym miasteczku. Sam już nie wiedziałem, czy mnie to fascynuje, czy przeraża. Ktoś wystawił garnek za okno, na parapet. Brrr!

– Tak więc nie mam alibi.

Klasyka. To mógłby być temat wypracowania z polskiego: Faceci, którzy nigdy nie mają alibi, w prozie Witkowskiego. Ten nie miał małego domku, ale psychicznie był idealnym facetem z małym domkiem. Aż mi się zachciało spakować szczoteczkę soniczną i do niego przyjechać.

Już mieliśmy wychodzić, gdy nagle pan Antoni poprosił jeszcze raz o zdjęcie na smartfonie i zaczął mu się przyglądać. Studencik stuknął palcem w wyświetlacz i zdjęcie powiększyło się. Makabryczna twarz zajmowała teraz cały ekran, ale pan Antoni pokazał palcem, żeby przesunąć mu obraz w dół, na ubranie. Sam zaczął stukać w ekran i powiększać jakiś guzik w kamizelce. Zapytał, czy nie mamy innych, i wtedy Studencik wszedł w cały olbrzymi album. Dziadek oglądał wzburzony, mówiąc coś do siebie zupełnie bezgłośnie.

Czekaliśmy w napięciu.

W radiu zamiast muzyki poważnej leciało teraz jakieś wyjątkowo wstrętne gładzenie i zachwalanie środków na krwawe rozwolnienie. Na gazie gotowała się zupa w szybkowarze.

W końcu pan Antoni oderwał wzrok od komórki i popatrzył na nas zdezorientowany. Milczeliśmy, czekaliśmy aż coś powie.

– Chyba wiem kto to. Ale to wam sprawy nie ułatwi... To szycie niedokładne, ale z nonszalancją i talentem, znam tylko jedną taką osobę, ten haft tutaj... To Kurt.

Spojrzeliśmy po sobie. Nagle coś mi wpadło:

– Ten Kurt? Sam Kurt? Pan go zna?

Kurt był słynnym na cały świat projektantem mody pochodzącym z jakiejś polskiej wiochy na Wschodzie. Tak jak Arkadiusz i Antoine Cierplikowski. Od jakichś dwudziestu lat mieszkał w Londynie i na Polskę był obrażony, nie bardzo wiedziałem za co, pewnie za całokształt. Poznałem go nawet, kiedy jeździłem kiedyś do Arkadiusza do Londynu.

– Czy Kurt aby nie mieszka w Londynie? – zainteresował się Studencik. Między innymi za to go kocham, że jako jedyny policjant na całą Polskę kojarzy Kurta na tyle, żeby zadać takie pytanie.

Pan Antoni tylko skinął w zamyśleniu głową.

– Ale po czym pan to poznał?

Uśmiech. Aż tak mądry ten Studencik nie jest. Nie wie, że u wielkich projektantów istnieje takie samo niepowtarzalne pismo, sygnatura jak w rękopisach. Ojej! Ciekawe, co się stanie z tymi rzeczami po procesie? Może dałoby się je jakoś podprowadzić? Nie, przesiąknięte wycieklinami, poszły na pewno do specjalnej utylizacji. Podobno nawet materac, na którym przez jakiś czas leżał trup, zanim go znaleźli, i „wsiąkał” sobie, nie może być normalnie wywalony na śmietnik, tylko zutyliczowany przez specjalną firmę. Powinno tak być, ale że utylizacja kosztuje prawie tysiąka, to najczęściej i tak ląduje na śmietniku.

– Tylko mi nie mówcie, że Kurt jest zamieszany w te morderstwa, bo nie uwierzę! Tego by jeszcze tylko nam do szczęścia brakowało. Zgniłe trupy niezidentyfikowanych chłopców ubrane w stylizowane ciuszki najdroższego polskiego projektanta!

– To, że ja go rozpoznaję, to jeszcze nie dowód – wtrącił przytomnie pan Antoni.

– No właśnie, a poza tym, szyl, bo może ktoś u niego zamówił, ale czemu by miał zaraz wsiadać w tanie loty, easy jety ze Stansted i wraz z klasą robotniczą lecieć tu kogoś zabijać?

Wracaliśmy w milczeniu. Studencik nawet nie puścił Amy Winehouse. To, że Kamil się nie odnalazł, nie pozwalało nam nawet na chwilę się wyluzować. Za oknami samochodu dostojnie przesuwał się szary, zimowy dolnośląski krajobraz: pofalowany w pagórki i wzniesienia, ze Ślężą zawsze widoczną gdzieś w tle jak śpiący wulkan, z połaciami, które w czerwcu zamieniają się w intensywnie żółte, niekończące się pola rzepaku.

W końcu zatrzymaliśmy się na Orlenie i zaczęło się zwykłe nasze opychanie bez cienia odchudzania, hot dogi, te sprawy, a potem usiedliśmy w kąciku z kawą i Studencik zaczął mnie wypytywać o tego Kurta.

– U Kurta w domu byłem raz jeden, z Arkiem, za to z noclegiem. Ale nie zapomnę tego nigdy. Wyobraź sobie stare, wielkie londyńskie mieszkanie, zapchane całkowicie wynikami dwudziestoletniej konsumpcji modowej, tysiącami okularów przeciwsłonecznych od wszystkich projektantów, z lat siedemdziesiątych, osiemdziesiątych, dziewięćdziesiątych und so weiter. Wszystkim. Wszystkiego za dużo. Kompaktów, przypraw w kuchni, kosmetyków w łazience, komputerów, jak to na Zachodzie, jedno na drugim. Szlafroki od Laury Ashley, kapcie skórzane od Gucciego, a wszystko podniszczone i stare, bo Kurt od ostatnich pięciu lat już nic nie kupował, przesiliło się i przeszedł do etapu postkonsumpcyjnego, czyli głównie wydawał na dobre jedzenie, alkohol, narkotyki, obciąż i samoloty. Na dodatek to była tylko kropla w morzu, bo większość ciuchów i dodatków była w wynajętej „szafie” w Szkocji, gdzie są tańsze czynsze. Kurt wynajął dom na szafę i zapełnił go po brzegi, gdzie te rzeczy spokojnie się starzały i zamieniały w vintage. Nazywał to storage.

Mieszkanie, jak to w Anglii, z niedomykającymi się oknami, z wąską klatką schodową, z dwoma kranami w łazience... Umeblowane tak, jakby kiedyś jakiś milioner z rozmachem zaczął to robić, ale nie dokończył i zostawił w połowie, bo po prostu zwątpił i popadł w depresję. Wielkie, okrągłe łożo czerwone, podgrzewane, a w kąciku obok trzy rowery, na które już nie starczyło miejsca w korytarzu.

Nad łóżem lustro, ale w łazience rozbita szyba i załatana byle jak tekturą, na którą nalepiono wydartą z jakiegoś pisma reklamę pasty do zębów z udziałem Kurta. Wszędzie pełno wszystkiego. Maszyny do szycia, złote i srebrne mitenki, pudełka po wszystkim napełnione kryształkami Swarovskiego... No i najważniejsze: wszędzie snujący się bezrobotni modele! Modele nudzący się i czeszący, modele, po prostu modele w różnych stadiach roznegliżowania.

O Jezu, co to było...

Londyn przyciągał najpiękniejszych modeli z całego świata, kusząc ich licznymi castingami i wysokimi zarobkami, imprezami z udziałem prawdziwych, a nie lokalnych gwiazd. No i był stały napływ młodych bogów zewsząd, szczególnie ze Skandynawii, a już osobiście z Norwegii (gdzie więcej by zarobili, pracując w kasie w Lidlu). Na początku byli bardzo ożywieni, a potem popadali w otępienie, zamykali się w sobie i otulali niemocą. Wyłumaczę ci ten mechanizm na przykładzie Juha. Juha przyjechał z Norwegii i zatrzymał się w hotelu. Jest to imię fińskie, ale on był rodowitym Norwegiem. Miał prawie dwa metry, ważył siedemdziesiąt kilo, miał naturalnie białe włosy, długie, takąż brodę i wyglądał jak ulepszona w fotoshopie wersja Chrystusa, gdyby ten chodził na fitness i wklepywał krem pod oczy. W domu, w Bergen, uzbierał sobie na mniej więcej miesiąc życia, a potem „się zobaczy”, jak każdy był pewien, że akurat on zrobi karierę. Leciał samolotem, w torbie miał najlepsze kosmetyki, a w głowie zdjęcia na ściankach ze sobą i Beckhamami w roli głównej. Lądował więc na Stansted albo Heathrow, brał coach do Londynu, szedł do hotelu, oczywiście Hiltona w Paddington, bo high life miał się zacząć od razu, zostawiał torbę i od razu do klubu gejowskiego G-A-Y na Soho, gdzie bawiło się setki innych pięknych modeli. Przez pierwszy tydzień trwała szalona zabawa, a potem nagle kończyły się pieniądze na hotel, wiadomo. I tu pojawiał się Kurt, który, jak wiesz, zawsze na swoich pokazach ma najpiękniejszych modeli, którzy na dodatek mieszkają u niego. Więc bezdomni modele zatrzymywali się u Kurta i zaczynali na dobre latać po castingach. Od rana do nocy. Żywiąc się tabletkami z zieloną herbatą, tabletkami z błonnikiem i tabletkami na spalanie tłuszczu oraz tabletkami na przeczyszczenie, wskutek czego toaleta była non stop zajęta. Bo tak wychodziło taniej: kupić w Bootsie pięć słoików tabletek zamiast żarcia, no i chłopaki się odchudzali. Popijali to litrami wody Evian i jakoś szło.

I tu okazywało się, że Londyn to w ogóle jest pipidówka, nie ma nic ciekawego, nie ma pracy, a cały świat jedzie teraz do NYC, jedź i ty, tu są najtrudniejsze castingi w całej Europie. Ci, co mieli choć trochę oleju w tych ślicznych głowach, wiedzieli, że w NYC usłyszą to samo, cały świat tu jeździ, też potrzeba nam kolejnego głodnego boga! Juha nie był zbyt mądry, ale Kurt mu wyjaśnił, że miesiąc chodzenia na pięć castingów dziennie bez rezultatu to nie jest jeszcze jakaś wielka porażka, że powinno zaskoczyć po pół roku i że inni za wcześnie dają za wygraną. Bo to, że we własnym kraju by wygrali casting za pierwszym razem i jeszcze by wszystkim szczęki opadły, sprawiało, że uważali się za niezwyciężonych.

Pół roku! A w mieszkaniu Kurta nocowało akurat pięciu modeli, jeden Arab – Magid, jeden taki Kostia z Pitra, co mu tam nowi Ruscy wybijali brylantami koła w samochodzie, a tu klepał biedę i wyprzedawał te brylanty u jubilerów po jednym, jeden Polak oczywiście, no i dwóch Norwegów.

A u Arka mieszkało tylko trzech, więc było luźno, to czasem się jakiegoś dobierało.

Wszyscy oni prali sobie w pralce, robili jedzenie w kuchni, rozwieszali wszędzie do suszenia swoje majtki od wszystkich projektantów świata, pożyczali sobie proszek do prania i serum minimalizujące pory oraz krople do oczu, a przede wszystkim non stop srali od tych tabletek z yerba mate. Wszyscy się snuli, tacy piękni, palili trawę w kuchni, robili soki z marchewki w sokowirówce, też wcale nie zatwardzające, czytali pisma modowe, siedząc na kiblu, a Kurt w tej atmosferze kwitł i kazał na siebie mówić po polsku „wujek”. Tak że chłopcy na przykład przyklepiali na pralce kartkę z napisem:

„Vooyek Kurt! Would you please switch washing machine on? 40° please! Clothes are inside – black, but I haven’t filled powder. I love you too xxx”.

A „vooyek Kurt” kolekcjonował te kartki, wsypywał własny proszek, bo kochał tych modeli. Nocami palił z nimi trawę, opowiadał o świecie mody, do którego jeszcze nie weszli, zachęcał do szturmowania niegościnnych londyńskich agencji, zniechęcał do balowania i jedzenia, a przede wszystkim ćpania, choć u niego wszędzie były narkotyki. Wszyscy słuchali, tylko ten Kostia z Pitra jakoś tak nie mógł się tu zaaklimatyzować i chodził skołowany, tęskniąc za Rosją.

Wujek Kurt poznał Kostię w Petersburgu. Był to przerażająco piękny chłopak o twarzy zdeprawowanej madonny, z szopą białych włosów i podkrążonymi oczami. Kostia miał niezwykle zwężające się kości policzkowe. Mimo rzeczywistego niemal debilizmu twarz układała się w mylący wyraz inteligencji i powagi. Szczególnie w okularach zerówkach, prawdziwy, koń by się uśmieł, intelektualista. Pełne usta łatwo krzywiły się w ironicznym uśmiechu zepsutego dziecka, które samo już nie wie, czy chce więcej zabawek, czy już ma dosyć. W Moskwie dostawał prezenty typu samochód z bagażnikiem pełnym dolców na benzynę. Kostia był dobrym przykładem zasadności przysłowia, że nie można zjeść więcej niż jednego kurczaka dziennie. Kiedy Kurt go zobaczył po raz pierwszy, Kostia, w skejtowskich spodniach ukazujących co nieco, czesał Ałłę Pugaczową, bo wtedy nie był modelem, tylko „fryzjerem gwiazd”. Potem projektował ciuchy i do dziś mam jego koszulkę ze spalonym zdjęciem Lenina przyczepionym do czegoś z czarnej gazy, co się nakłada na siebie i wiąże z tyłu. Śmiałyśmy się z Arkiem z tych projektów do rozpuku. Potem Kurt namówił Kostię, żeby chodził u niego w pokazach, a to oznaczało jeżdżenie z nim po całym świecie. I to była jedyna robota, którą Kostia miał zapewnioną. W Londynie zamiast z gwiazdami i projektantami zaprzyjaźnił się głównie z Sony PlayStation i pilotem telewizyjnym, jadł pringlersy i powoli dostawał brzuszka, z którym na razie wyglądał jeszcze cute. Ale co gorsza, zaczął się kręcić w okolicach Caledonian Road, gdzie sprzedawano narkotyki, i znajomi jego opiekuna zaraz o tym donieśli.

Kurta nie kochał, ale ten ściągnął go do Londynu. Myślał, że chłopak będzie wykazywał więcej energii, że zapisze się na angielski dla obcokrajowców, a on tylko siedział osowiały, taki piękny, przerzucał kanały w poszukiwaniu rosyjskich stacji i nie pofatygował się na żaden casting. Cały czas dzwonił do niego Filip Kirkorow, eksmaż Pugaczowej, i namawiał na powrót, a Kostia płakał i marniał jak uwięziony ptak.

– Chyba go jednak odeślę do Pitra... – mawiał do nas Kurt. – On tu jak ryba wyjęta z wody...

Nigdy nie zapomnę imprezy w tamtym mieszkaniu! Arek szalał z modelami na balkonie, pijani

dzwoniłiśmy po nocy do Joan Collins i Christiny Aguilery (wszystko znajome Kurta z różnych londyńskich imprezek), dzwoniłiśmy do Britney Spears, bo jeden Arab nie chciał uwierzyć, że ją znamy, a myśmy chcieli iść z nim do łóżka. Więc Arab powiedział, że tylko, jeśli w nagrodę będzie mógł porozmawiać przez telefon ze swoją idolką. W wannie, w pianie leżał cały wieczór obrażony na cały świat Kostia i wertował mokrymi rękami ukraińskie, a może pakistańskie wydanie „Harper’s Bazaar”, tak że nikt nie mógł się wysikać i wszyscy lali z balkonu na ogród. Ja paradowałem w sukni Arkadiusa z wypchanymi gołębiami pokoju na dekolcie i trenem z piórami, brudząc ją niemiłosiernie. Na głowie miałem stary, męski, kowbojski kapelusz Kurta, w ręku – wybijaną drogimi kamieniami lufkę, w której paliłem trawkę.

W pewnym momencie imprezy poczułem się śpiący i Kurt zaprowadził mnie do małego pokoju, gdzie miałem nocować. Wszedłem do łóżka bez zapalania światła... prosto w objęcia jakiegoś rozgrzanego, rozczochranego modela, który po prostu przesunął się, pierdnął i mruknął coś w jakimś zupełnie nieznanym mi języku, może po duńsku...

Taki właśnie był Kurt – dobra ciotka wszystkich pięknych chłopców, kupująca dla nich organiczny, pełnoziarnisty chleb i batoniki bez cukru ani tłuszczu.

– No, to mi nie wygląda zbyt groźnie... – powiedział Studencik, dopijając kawę. – Skąd jego ciuchy tu? Może stary coś pomylił.

– Zapytam o niego Arka na Skypie.

Alanek chciał się spotkać, i to jeszcze dziś w nocy! Zaprosił mnie do siebie, gdzieś aż na Krzyki. W mojej komórce trwał z nim nieustający czat. Jak zwykle, kiedy rozmawiam z bachorami, miałem dziwne przeczucie, że – jak Jadzia Parszywa – używam jakichś powiedzonek rodem z lat pięćdziesiątych, mowa trawa, spokojna twoja nieuczesa, o wa!

Chwilowo jednak było dopiero południe i czekało nas jeszcze mnóstwo roboty. Na rannej odprawie dostaliśmy „wszystko, co związane z Iwem”, ale na razie postanowiliśmy zawiesić dochodzenie, pojechać do prokurator i pomóc jej szukać Kamilka.

Prokurator bardzo dobrze udawała, że się trzyma, zachowuje rozsądek i opanowanie. Przeszukała cały pokój Kamila w poszukiwaniu jakiegoś śladu, wpisu w kalendarzu, czegokolwiek. Przy okazji znalazła papierosy wetknięte między szafę a ścianę. Ale zamiast się gniewać, tylko rozpłakała się. Gdy przyjechaliśmy do niej do domu, była już właśnie tą nieźle udającą opanowanie osobą, która jest martwa w środku i upudrowana na zewnątrz.

– Joasiu, staraj się tylko odpowiadać na moje pytania. Zapomnij o wszystkim. Bądź idealnym świadkiem.

– Postaram się.

Prokurator Joanna Pospieszalska mieszkała w pięknej willi na Wincentego Pola. Dyżajnersko wykończonej, z tymi wszystkimi bajeranckimi ekspresami do kawy i innymi cudёнkami. Podała nam kawę i usiadła w białym, dużym fotelu. W ogóle wszystko tu było białe, kremowe, pastelowe, odwrotność świata Iwa i Soni.

– Dlaczego poszedł na wagary?

– A to akurat jest łatwe do przewidzenia. Miał sprawdzian z chemii, którego strasznie się bał.

– Czy ktoś z klasy poszedł z nim?

– Nikt się nie przyznaje.

– Czy ktoś jeszcze poszedł tego dnia na wagary?

– Kilku.

– Czy jest wśród nich jakiś kumpel Kamila?

– Patryk. Mogli pójść razem. Tylko dlaczego teraz ten idiota się nie przyznaje?! – Prokurator pękała i zaczęła płakać. – Jak może nam nie pomagać?

– Dawaj namiary!

Prokurator dała. Tym razem nie było mowy o papierowym notesiku z adresami.

– Czy domyślasz się, gdzie on mógł pójść na te wagary?

– Do Renomy. Wypuść Kamila na chwilę, a natychmiast znajdzie się w Renomie.

– Kamery!

– Oni na pewno poszli razem, musimy przycisnąć tego Patryka.

– Ja to zrobię, wy idźcie sprawdzić wszystko, co związane z Iwem. Pamiętajcie, musicie przycisnąć tego Alana, gdzie naprawdę chłopak był w noc andrzejkową. I czy Iwo w dzień, w który zginęła Sonia, dotarł na spotkanie tego całego klubu czy co tam mają. I przeszukać pokój. On też mógł coś wiedzieć. I sprawdźcie tego całego doktora, co go jej stręczyli rodzice. Jak mu tam było?

- Kraśko, jak ten z telewizji.
- Jak tam teraz pojedziecie, to natkniecie się na matkę. Jest w domu. Czeka na was.
- A to średnia przyjemność.

Opowiedzieliśmy jej o przesłuchaniu barmana z Przedwojennej i pana Antoniego z Oławy, opowiedzieliśmy o Kurcie i zyskaliśmy tylko tyle, że wszyscy mieliśmy teraz jeszcze większy zamęt w głowie. Ale prokurator już chciała jechać, jak najszybciej jeszcze raz przesłuchać Patryka. Zamierzała zabrać go na komendę i mocno nastraszyć, a jak będzie trzeba to i przytrzymać.

Patryk wyglądał źle, miał podkrążone oczy, piegowata twarz była blada i chorowita. Trząśł się z nerwów. Prokurator włączyła swój najpiękniejszy uśmiech i stała się wcieleniem najlepszej przyjaciółki, powiernicy, która, rozumiesz, nikomu cię nie wyda, ale powiedz wreszcie wszystko, to ci ulży, poza tym wiesz... Jeśli to ty byłeś z Kamilem na wagarach, to TVN prosiłby cię o wywiad i chciałby cię zaprosić do Ewy Drzyzgi... To była stała ściema prokurator wobec młodych ludzi. „Co ty, stary, wszyscy cię szukają, jesteś gwiazdą, TVN prosi cię do *Dzień dobry TVN*, interesują się tobą, masz już fanklub na fejsie, przyznaj się! Jak się nie przyznasz, kto inny się przyzna”. Chodziło o to, że każdy podświadomie chciałby być kimś ważnym, a biorąc na siebie morderstwo, może i pogorszy swój standard życia, ale stanie się bardzo ważny, zmieni całkowicie tożsamość, z szarej rzeczywistości przejdzie do świata mitów i TVN-u, będzie o nim w Wikipedii, stanie się nieśmiertelny itd. Sam ten moment przeskoku z poprzedniej zwykłej tożsamości do tej wyższej jest rozkoszny i tą rozkoszą kusiła prokurator.

Drugą tajną bronią Joanny Pospieszalskiej była dobroć i zrozumienie. Teraz połączyła obie te metody.

– Słuchaj, jak się przyznasz, że poszliście razem, to ci ulży, a my ci przecież nic nie zrobimy, przecież to nie twoja wina, powiedz, jak było, nikomu nie powiem... – zastanawiała się, czyby go nie potargać po czuprynie, ale przypomniała sobie, że Kamil tego nienawidzi. A potem zastosowała trzecią broń: milczenie. Potrafiła zadać pytanie i nie odzywać się, czekać na odpowiedź nawet cztery godziny. Bardzo trudno było tak z nią milczeć. W końcu zaczynało się przetykanie śliny i chrząkanie. A na końcu, w bólach, rodziła się odpowiedź.

Tym razem musiała czekać tylko czterdzieści pięć minut.

– Byliśmy w Renomie. Potem on gdzieś sobie poszedł.

Prokurator od razu zrozumiała, że wszystko się kryje w tych kilku zdaniach. Gdyby tylko grzecznie pili kawę w Renomie, to przyznałby się od razu. Musieli coś zbroić. A to oznaczało dalsze przyciskanie.

Dopiero po kolejnej godzinie udało jej się z chłopaka wydusić numer telefonu dilera Pepe. Już widziała Kamila, który zaćpał coś szkodliwego i umarł w jakimś brudnym kiblu czy bramie.

Skończyła przesłuchanie, wrzuciła długopis do torebki i zamknęła teczkę, ale Patryk nie wychodził.

– No, na co jeszcze czekasz?

- To... To oni się ze mną skontaktują?
- Kto?
- No, ten TVN?

Żeby złapać Pepe, trzeba było zrobić obławę. Patryk znowu był potrzebny i zamiast do TVN-u musiał wracać na komendę, zadzwonić i umówić się niby to na odbiór towaru („on mnie zabije”). Prokurator, Wojtuś i jeszcze kilku policjantów kryło się za krzakami w parku. Tak to czasem w życiu wygląda, choć czyta się, że prokurator nigdy nie bierze udziału w działaniach operacyjnych.

Pepe okazał się trzydziestoletnim facetem o ciekawej twarzy, bardzo nijako ubranym, pewnie żeby nie rzucać się w oczy. Szybko zrozumiał, że aby ocalić skórę, musi powiedzieć im chociaż część prawdy. Więc tak, sprzedał Kamilowi amfetaminy za sto złotych. I tyle. Nie wie, w którą poszedł stronę, bo zawsze zmywa się pierwszy.

Utknęli. Liczba miejsc, w które Kamil mógł pójść, aby wciągnąć narkotyki, była praktycznie nieograniczona, w każdym razie mógł wylądować w jakiejś knajpie, w kiblu w galerii...

- O której widziałeś go po raz ostatni?
 - O trzeciej. Zaraz potem zaczęło się ściemniać. To mogę już iść?
- Ale prokurator już przestała być dobrą mamusią.

Brama się otworzyła i wjechaliśmy ze Studencikiem na podjazd Kamieńskich. Przywitał nas perski kot i pani Kamieńska, która wyglądała nader symptomatycznie. Przede wszystkim była typem czterdziestoletniej laski, z tych, co to w złotych louboutinach robią sobie zdjęcia na ściankach. Długie włosy blond, chuda, poprawiona przez tych wszystkich znajomych doktorów. I jak wszystkie te bogate, odessane panie, miała specyficzny, żółzowaty wyraz twarzy, mówiący o twardym charakterze i ostrzegający: „nie zaczynaj ze mną, bo ja i moi prawnicy (ja i moi dentyści uzbrojeni w wiertła, ja i moi doradcy finansowi...) cię wykończymy”! Jak na stratę dwójki dzieci w przeciągu paru tygodni, zastanawiająco mało załamana, a w czerni wyglądała raczej, jakby się tak odstawiła dla szyku, a nie z żałoby. Bałem się tej rozmowy, bałem się tej raszpli, lampucery, bałem się samych pytań o syna i córkę, a już szczególnie tych w stylu: co pani w ogóle wiedziała o swojej córce?

Bogate kurwiszczce od razu uczepiło się mnie, że chciałoby zobaczyć identyfikator, a jeśli nie jestem zatrudniony w policji, to jako osoba nieupoważniona mogę sobie poczekać na kolegę na ulicy, tu nie poczekalnia, won! Ale Studencik się jej w ogóle nie bał. Nawet nie skomentował tej uwagi. Weszliśmy dalej. Czupiradło oniemiało. Machnął jej tylko przed nosem nakazem przeszukania pokoju Iwa. Kiedy szliśmy na górę, ta już stała pod schodami i skarżyła na nas, rozmawiając cicho przez komórkę („I wiesz, to skandal...”). Ale co tam, kiedy trzeba było natychmiast znaleźć coś, co wskaże nam, gdzie może być Kamil!

– Pokój Iwa, szybko! – krzyknął Studencik, kiedy zorientował się, że nie pamięta, gdzie to było.

Wtedy u góry schodów stanęła zapłakana Bednarz. Błada, stara, od razu widać, kto tu naprawdę oplakuje tę dwójkę. Czyli to raczej nie ona jest naszym mordercą.

Studencik szepnął do mnie:

– Posłuchaj. Przede wszystkim szukamy tu jakichkolwiek namiarów na ludzi z tego całego jakiegoś klubu. Po drugie, wszystkiego innego. Włącznie z numerem telefonu i adresem zabójcy.

Na łóżku, na którym spał Iwo, leżał liść dębu!

Wybiegliśmy znowu na schody i krzyknęliśmy do Bednarz.

– Co to za liść? Kiedy on się tu pojawił? Kto tu sprząta?

– Nie wiem, nie wiem! Taki sam leżał na poduszce Soni!

– Czy może pani napisać na tej kartce, kto w ciągu ostatniego tygodnia był w tym domu? Włącznie z nami i tymi wszystkimi ogrodnikami...

– Pan Bartek? Podejrzewacie pana Bartka? Gdzie by tam pan Bartek...

A, to nie tylko ja lubię lujków.

– Niech pani pisze. Wszystko. Od tego zależy życie jeszcze jednego chłopca!

Napisała:

1. Ja.
2. Iwo.
3. Stanisław Kamieński.

4. Izabela Kamińska.

5. Doktor Kraśko.

6. Ukrainka od sprzątanía.

7. Sąsiadka do mnie, pożyczyć jajek.

8. ...

Przy ósemce zawahała się.

– No... Jeśli to coś wstydlíwego, to tym bardziej musi pani nam powiedzieć. Postaramy się tak zrobić, żeby się nie wydało, że to od pani wiemy.

– Ta... A niby od kogo? – Uśmiechnęła się krzywo. – Jeszcze chcę tu trochę pomieszkać w tych luksusach.

Studencik wyjął smartfon i pokazał jej zdjęcie Kamila.

– Możliwe, że on właśnie się zastanawia: zabić go teraz czy poczekać z tym jeszcze chwilkę.

– Kochanek...

– No i proszę, jak łatwo poszło, po prostu przychodził tu kochanek pani Kamińskiej.

– Nie... Sta... Staszka... Ona się nie może o tym teraz dowiedzieć!

– Myślisz, że ja o tym nie wiem, suko?! – wydarła się z dołu lampucera. – Czekaj, pogadamy, jak oni wyjdą!

– Ma pani jego namiary?

– On... On jest dosyć znany.

– Kto to jest?!

– Taki projektant mody... Nie każdy wie, że on ma też dom we Wrocławiu...

– Jaki?!

– K...Kurt.

– Kurt, ten jebany Kurt! – doszło z dołu. Ale on się doigrał!

I w końcu wszyscy musieli zajmować się Kamińską, która gadała bez ładu i składu o jakiejś imprezie charytatywnej, o jakichś lalkach Unicefu, a my dzwoniliśmy.

– To ja mu pokaz organizowałam, to ja mu... – Raszpla chyba jednak dopiero teraz dowiedziała się o Kurcie i swoim mężu, bo nie mogła się uspokoić. Siedziała w wielkim fotelu i piła wodę z butelki.

– Gdzie mieszka we Wrocławiu?

– Poznaliśmy go jeszcze w Ślicznej Grażynce, ja szylałam akurat...

– Ale gdzie mieszka?!

– Nie wiem. Zadzwońcie do męża. Ma jego telefon. Zapisał go sobie w komórce jako „pana prezesa”.

S tężenie pośmiertne puściło i mężczyzna nareszcie dostał od śmierci na kilka godzin Kamila. Przede wszystkim puścił operę, coś podniosłego, *Tristana i Izoldę*. Nałożył mu przedwojenne gacie, arcydzieło krawiectwa retro, do pleców przymocował drut, tak aby Kamil mógł siedzieć i nie osuwać się, ubrał go w mundurek szkolny, czapkę uczniaka i posadził w ławce. Przed nim położył kajecik, z braku lepszego – czarny Moleskine. Powieki podczepił szpileczkami, żeby oczy się nie zamykały. Były wciąż piękne i świeże. Potem wyciągnął paletę i domalował mu wypieki oraz jedno ucho na czerwono, jakby ktoś właśnie go za nie ciągnął. Tylko włosy się nie zgadzały: w tamtych czasach, kiedy Hermina zaczęła przyjeżdżać do Misdroy, za taką długą grzywką od razu klęczałoby się na grochu. Teraz jednak jest to niewykonalne, bo żaden drut nie jest w stanie zmusić ciała, w którym puściło stężenie pośmiertne, do klęczenia. Wziął nożyczki, jak u fryzjera ochronił ubranie Kamila prześcieradłem i zaczął go strzyc przy samej skórze. Włosy pachniały piwem i papierosami, szamponem oraz jeszcze czymś nieuchwytnym, typowym dla świeżych trupów. Całował je. Starał się nie starcić nic z ich długości, dlatego nie użył golarki, która goli byle jak. Rozczesywał grzebieniem i ciął kosmyki przy samej skórze, a pasmo od razu starannie odkładał i przyciskał butelką, z której raz po raz popijał wino. Nie mógł się upić, bo wiedział, że ta chwila jest naprawdę bardzo krótka, bakterie w brzuchu już szaleją, mnożą się, gazów przybywa, trup cały się rusza, gdyby tak spojrzeć pod mikroskopem, niczym leśna ziemia jesienią, błędzą po niej mrówki, dojrzewają i odpadają owoce na krzakach jagód, grzyby przebijają ściółkę twardymi czubkami, również pełno ich w tych pięknych włosach. Należało je jak najszybciej odseparować od rozkładu, zabezpieczyć. Także łonowe. Bo we włosach kryje się cały zapach chłopca – to pamiętał jeszcze z lektury *Pachnidła*. To są te miejsca, gdzie najwięcej feromonów. Przyjrzał się temu pierwszemu meszkowi. Tu już trzeba będzie ogolić i do koperty. Zaczął golić brzytwą, ale nie wytrzymał i lekko naciął brzuch. Wiedział, że to niedobrze, że tego mu nie wolno, że jeśli teraz dostanie świra, straci kontrolę, to rozbabrze wszystko i znowu obudzi się w kompletnej rzeźni, na dodatek zaschniętej. Odrzucił jak najdalej brzytwę i zaczął przyciskać się do zimnego ciała. W lewym, dolnym rogu brzucha zaczynało już pojawiać się zielone przebarwienie. W tym wypadku właściwie niebieskawe, ale chodziło o to samo. Od tego właśnie miejsca, z powodu bliskości woreczka żółciowego, człowiek zaczyna się psuć. Świeżość chłopca już nie dawała rady nieświeżości rozkładu. Rozkroił brzuch, płaski, zimny. Żadnego tłuszczu pod skórą. Zapach tataru i surowego jajka. Teraz cię będę mógł zjeść. Wyjął mostek. Chwycił za język pod gardłem i z wprawą wyciągnął za jednym zamachem sekcję górną i dolną. Wyjął wszystko i wsadził głowę w puste pudło gitary, w jakie zamienił się korpus Kamila. Tam mu było dobrze. Pił krew, która utworzyła kałużę na dnie. Najchętniej zaszyłby się w tym młodym chłopcu jak w łonie matki. Ale mężczyzna nigdy nie zmieściłby się do środka. Zrzucił Kamila ze stołu, wypił resztę wina i zasnął z głową w jego brzuchu, oddychając zapachem surowego mięsa.

Śniło mu się, że jest z Kamilem na Jatkach. Jatki, jak w średniowieczu, są ulicą rozbebeszonego mięsa. Na hakach wiszą rozcięte tusze chłopców, którzy wyszli z domów do kolegi oddać płytkę i nigdy nie wrócili.

Kiedy się obudził, wytrzeźwiał, i zaczął sprzątać willę na przyjęcie ostatniego, najważniejszego gościa. Ostatnie poprawki w kreacji dla niego. Arcydzieło. Skończone Arcydzieło. Wszystkie odcienie czerni.

N amierzenie Kurta ciągnęło się w nieskończoność. Najpierw trzeba było dodzwonić się do tego Kamińskiego, czyli, jak go odtąd nazywałem, „tatuśka”. Oczywiście, wyjechał do KGHM do Lubina, a gdzieżby! Wszyscy wrocławscy cwaniacy starali się mieć coś wspólnego z niedalekim KGHM-em, doić z niego w jakikolwiek sposób, Lubin i okoliczne wiochy były najbogatsze na całym Dolnym Śląsku, miały nowe dworce i były całkowicie odremontowane, i nawet bibliotekarki nie narzekały na zarobki, biblioteki zaś płaciły za spotkania autorskie fantastycznie. Kiedy wreszcie odebrał, w ogóle nie chciał z nami gadać, bo przecież nie wylegitymujemy mu się przez telefon. I dopiero naburmuszona raszpla, pani dobrodziejka Kamińska, musiała mu powiedzieć, że w domu naprawdę jest policja, przynajmniej jeden ma odznakę, która wygląda na prawdziwą, bo drugi to... szkoda gadać. No i że ponoć od tej informacji zależy życie jakiegoś chłopaka. („Tak, wiem, mleko już się wylało, kochanie, jest skandal, ale będzie jeszcze dużo większy, jeśli im nie powiesz, gdzie mieszka ten... Kurt!”). Wtedy dopiero łaskawie nam powiedział, że Kurt, jak jest we Wrocławiu, to chce być incognito i najczęściej siedzi w domu na Biskupinie, nawet podał adres, a my go notowaliśmy, już jadąc. Tu wreszcie znalazło się miejsce dla mojej ukochanej brygady antyterrorystycznej z Kozanowa, wrocławskiej wersji „chłopaków Dziewulskiego”, oczywiście ze Żmiją w roli głównej. Myślałem, co sobie pomyśli, jak mnie znowu zobaczy w akcji, a przecież jeszcze nie przestał się gniewać za *Drwala* (że niby mi pożyczył paralizator i takie tam różne nakłamałem o nim rzeczy, a potem mu ktoś w stołówce w brygadzie pokazał).

Postanowiłem nie jechać do Kurta, tylko wymknąć się, w końcu ja tu nie jestem pracownikiem opłacanym, i pójść sobie do Alanka, do mojego, w końcu już późno! Oni więc do willi na Biskupinie, a ja do willi na Krzyki, wydawałoby się, że u nas same wille, i może tak właśnie jest, zero bloków, wszyscy, nawet moja pani Władzia od sprzątanania, mieszkają w poniemieckich willach, takie rzeczy tylko u nas, w Mieście Spotkań, zapraszamy, Dolny Śląsk? Tu zostaję!

– Tylko wypytaj go dokładnie o Iwa, o tę noc andrzejkową, przycisnij go.

– Oj, przycisnę, już ja go przycisnę!

Wsiadłem w dwójkę i pojechałem na Krzyki. Wsiadłem na skrzyżowaniu Powstańców Śląskich z Wiśniową i zagłębiłem się w dzielnicę starych domów. Zaskorupiały śnieg odgarnięty był porządnie z chodników. Kupiłem kondomy w kiosku.

Willa była stara i zapuszczona, w ogóle nie pasowała mi do tego Alanka, drzwi do ogrodu uchylone, nigdzie dzwonka, więc wszedłem. W ogrodzie cisza absolutna. Dęby. Stałem w drzwiach i nacisnąłem guzik. Dzwonek nie działał. Przecież tu nikt nie mieszka! Ale drzwi były otwarte i wszedłem do przedpokoju. W środku leciała opera. Coraz mniej mi się to wszystko podobało, już by taki Alanek słuchał opery!

– Alan? – mruknąłem pod nosem. – Alanek?

Wyjąłem smartfon i napisałem mu na privie: „jestem u ciebie w korytarzu”. Natychmiast przyszła odpowiedź: „kąpię się, wejdź do łazienki, drzwi na prawo”. Oj, to widzę, będzie się działo! Alanek w kąpieli! „Już, już, już!”, odpowiedziałem i otworzyłem drzwi. Przedemną stał młody chłopak, skądś mi znajomy, ale nie Alan! Kamil! Nagle ten Kamil upadł na mnie i zaplątał się we mnie, a jednocześnie ktoś mi przywalił paralizatorem i cały ten pornol skończył się, zanim na dobre się zaczął. To, że paralizatorem, to oczywiście moja późniejsza interpretacja. Wtedy to wyglądało tylko tak, że nagle zrobiło mi się gorąco, i tyle. Światło zgasło, o ile jakieś w ogóle się paliło.

Kiedy się obudziłem, wokół nie było nikogo. Na plecach czułem pieczenie, to musiało piec to miejsce, w które dotknął mnie paralizator. Leciała opera. Leżałem na czymś lodowatym, wokół paliły się gromnice, nad sobą widziałem migający w ich chybotliwym świetle pełen zacieków sufit, usta miałem zakneblowane, byłem związany, a raczej pozalepiany taśmą... Gęsia skórka. Sufit jak w *Kosmosie* Gombrowicza, poznaczony kreskami, które może wcale nie pokazują wyjścia z sytuacji. Moja komórka w torbie dzwoniła jak najęta, przychodziły esemesy, ale to wszystko odbywało się poza moim zasięgiem. W pokoju czułem zapach trupa, mimo że ten ktoś tu nie grzał i trzymał okna otwarte. Przypomniałem sobie, jak mój dziadek zniszczył sobie podczas wojny nerki, kiedy leżał w zimnej kałuży w obozie. Że ten ktoś, kto mnie związał, ten niby jakiś Alan, a kto wie czy nie sam Przedwojenny Morderca, że nie dba o moje nerki, ponieważ już nie trzeba myśleć o mojej przyszłości. Opera. Czy Studencik ma najmniejszy chociaż ślad, na podstawie którego mógłby zacząć coś podejrzewać i tu trafić? Wie tylko, że willa na Krzykach i że Alan. Czy ja gdzieś zapisywałem ten adres? Tak, w moim telefonie, który jest tu ze mną. Wszystkie siły włącznie ze Żmiją zostały rzucone w inną część Wrocławia, na Kurta, a tu, gdzie mnie się będzie oprawiać, cisza, spokój. Leżę sobie łysy i zmarznięty na jakimś lodowatym marmurze i tak już będzie zawsze.

Wtedy pojawił się ten facet, którego od razu poznałem. Dziobata twarz i wyblakłe oczy. Facet o wyglądzie magazyniera z Teatru Polskiego, który tak gorliwie pomagał nam pisać ogłoszenie-pułapkę. Który wysłał nas do Oławy. Należało wdać się z nim w dyskusję i jak najbardziej przedłużyć całą sytuację.

Był w świetnym nastroju. Usiadł przy mnie na tym katafalku i zaczął mi się przyglądać z satysfakcją, z jaką entomolog przygląda się szerszeniowi złapanemu w słoik. Podśpiewywał przy tym falsetem damskie partie tej opery, której nie udało mi się zidentyfikować. Pił wino prosto z butelki i miałem szczerą nadzieję, że się upije. Ubrany był w rozpięty szlafrok, pod którym na owłosionej piersi miał biustonosz. Czerwony. Jakie życie, taka śmierć. Ludzie popadają w tarapaty sobie właściwe. To, że Witkowski umrze, udławiwszy się przez sen gumą Nicorette, jest bardziej prawdopodobne od tego, że umrze zasypany lawiną w czasie wysokogórskiej wspinaczki, ponieważ ten salonowy piesek nigdy nie był w górach. I już nie będzie. Facet patrzył na mnie i widać było, że rozpiera go duma, że będzie chciał się wygadać, opowiedzieć wszystko. To akurat było dobre. Przybliżył się ze swoimi ustami tak blisko mojej twarzy, że czułem jego nieświeży, pachnący przetrawionym alkoholem oddech. Teraz uświadomiłem sobie, że on chyba już kiedyś przewinął się przez moje życie. Jakoś tak dawno, może w podstawówce, może w liceum. Dzisiaj był wrakiem. Oczy przekrwione.

Mów wreszcie! Zacząłem się rzucać na katafalku.

– Nie ma się co spieszyć, to już i tak ci się nie przyda do prozy... Znam cię dobrze, jestem twoim psychofanem. Teraz będę mógł pobawić się twoim mózgiem. – Nie mógł już wytrzymać i odlepił mi taśmę z ust. Bez rozmowy to tylko pół rozkoszy. Trzeba też słyszeć, jak złapany szerszeń nerwowo byczy.

Zdjął mi więc tą taśmę, a ja milczałem i tylko łapałem powietrze, bo nie wiedziałem, co powiedzieć, żeby go bardziej nie rozdrażnić.

Wyciągnął centymetr i zaczął ściągać ze mnie miarę. Szyja. Klatka piersiowa. Pas. Udo. Długość nogi. Robiąc to, opowiadał.

Opowieść Przedwojennego Mordercy

Jestem... Jestem nikim. Idealnym nikim. A raczej byłem nikim. Urodziłem się w połowie lat czterdziestych ubiegłego wieku i większość życia przepracowałem u najzwyklejszego krawca, u którego ty nawet byś sobie nie skrócił spodni. Moja matka w roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym trzecim powiesiła się w blaszaku w Międzyzdrojach. Przez takich jak ty kolorowych ptaków...

Nagły przypływ nienawiści kazał mu wziąć gromnicę i kapnąć mi woskiem na brzuch. Straszny ból.

– Przez całą komunę szyłem niemodne ubrania i niemodne berety dla starych bab do kościoła. Nie wiedzieć czemu tylko niemodne się sprzedawały. Na wystawie zakładu, na zakurzonych stojakach, tkwiło smętnie kilka kapeluszy z filcu i jakiś pokrowiec do ocieplania imbryczka z herbatą. Moda to nie było wtedy nic glamour. W tym samym zakładzie pracowała stara rękawiczniczka i modystka z wielkim wolem i wadą wymowy. Zawsze musiałem być tłumaczem pomiędzy nią a klientkami.

Czasami dla własnej przyjemności szyłem w domu mundurki retro dla młodych chłopców i ubierałem w nie lalki, które zostały po mojej mamie. Szkoda, że nie mogę cię odwiązać i pokazać ci jej muzeum. Jeden pokój cały jest jej poświęcony. Mojej matce. Lalki. Liście dębu. Przeterminowane od ponad pół wieku leki. Kilka jeszcze przedwojennych, kurortowych kreacji. No wiesz, wypadki samochodem i spacerki po promenadzie... Właściwie sam nie wiem, po co ja chcę cię zabić. Przecież my byśmy się tak doskonale zrozumieli. Miałbym wreszcie przyjaciela. Jestem gejem, wiesz? No, nie gejem, ale homo. Mamusia przebierała mnie za dziewczynkę, czy to nie tak jest w kryminałach? Na koniec autor musi powtykać zabójcy jak najwięcej traum z dzieciństwa, żeby usprawiedliwić jego zabijanie. O... Hermina nada ci się do tego jak żadna inna! Masz tu wszystko: mamuszkę wariatkę zamykającą mnie w komórce, ludziki z żołądki w śmietniku, przebieranie za dziewczynkę, samobójstwo w brudnym ponemieckim blaszaku. Duńska ciota Knut Mulin i inne jeszcze kurwy. Kurwy! – zaczął znów się wściekać i chwycił za świecę. Zacisnąłem oczy i zęby. Przyszedł ból. Był. Poszedł.

...Wiesz, jak latem próbowałem zdjąć z ciebie miarę? (Zaraz zobaczysz moje Arcydzieło!). Kryłem się w szatni na siłowni, kiedy latałeś na fitnessy na Spiską z tym swoim personalnym, ty snobko. Jesteś snobką.

A to jest akurat święta prawda.

...I wiesz, dlaczego od początku tego śledztwa tak ci się podobałem? Nie, nie wszystko robiłem pod ciebie, pod twój zboczony gust. Ja po prostu jestem tobą. Jestem twoim sobowtórem. Żyję tylko inną linią życia, którą ty nie poszedłeś... To ty zabijałeś. I zaraz cię za to ukarzymy...

...Lata mijały, komunę szlag trafił, zostałem w tej willi sam, jeździłem co roku do Międzyzdrojów

i tam też cię śledziłem. Aż któregoś dnia do naszego zakładu Roman weszła najprawdziwsza modowa ciota (marynarka w dolary na gołe ciało, biały kaszkiecik), któraś z asystentek Kurta, jak się miało okazać, i zapytała, czy możemy szybko uszyć coś według projektu, który od razu wyciągnęła z torby Louis Vuitton i pokazała. Oczywiście szef powiedział, że on tego nie robi, bo tak się w ogóle nie szyje „po bożemu”. „I powiem panu więcej: nikt panu tego nie robi. Tak się nie szyje. Pan by chciał, żeby szwy były na wierzchu, a spodnie za krótkie? Spodnie, proszę pana, u mnie kończą się co do milimetra tam, gdzie mają się kończyć!”.

„I dlatego, szefie, ja muszę całe życie szyć garsonki...” – mruknąłem pod nosem i spojrzałem na gościa. Od razu było wiadomo, że to ktoś z Londynu, z kręgów modowych. Po czym poznałem? Po wszystkim. Tak się po prostu u nas nie szyje.

Siedziałem więc obok maszyny do overlocku i myślałem sobie: ha, pewnie, oni ci tego nie zrobią za Chiny Ludowe, ale ja bym ci to u siebie zrobił... Żeby tylko wyrwać się od tego „Krawiectwa ciężkiego i lekkiego Roman” przy Gwarnej. Wtedy wybiegłem za tą ciotą na ulicę i zawołałem ją:

„Ja to zrobię! Ja mogę dla was robić!” – Wiedziałem, że nie mam już po co wracać do Romana.

Ale okazało się, że sam nie dam rady, tyle tego było, wszystko płatne gotówką.

„I znam jeszcze jeden zakład, gdzie mi pomogą. Śliczną Grażynkę. One tylko marzą, żeby się wyrwać z tej szarej codzienności”.

Ucieszyła się, bo mieli pilne zamówienie od opery w Petersburgu, która wystawiała *Don Giovanniego*. Wsiadliśmy w mercedesa cioty i pojechaliśmy na Pomorską, do Ślicznej Grażynki, do siostr Przybylak. One już wtedy się specjalizowały w nietypowych zamówieniach.

Olbrzymi, zawalony szyciem okrągły stół, a pod nim mały Iwo z bączkiem.

Nie wytrzymałem i zacząłem się rzucać, ryczeć, sprawiając temu zбочkowi wielką radochę.

– Tak, tak, Iwo pod stołem, taki słodziutki, że tylko zjeść! Tam była wtedy taka nędza, w tej Ślicznej Grażynce, że strach. Jak ja im przyprowadziłem asystenta samego Kurta z gigantycznym zamówieniem dla całego *Don Giovanniego*, co robił Kurt w koprodukcji z rosyjskim projektantem Sławą Zajcewem, to one mnie po rękach całowały! I jeśli Iza potem poznała Staśka Kamieńskiego, to też dzięki mnie, bo zakład zrobił się modny, dziewczyny kupiły maszyny, materiały i taka kurwiznoneria bogata, jak była pani Kamieńska, zaczęła przychodzić. Iwo Kurta po prostu uwielbiał, a on go przebierał za dziewczynkę, co trochę nie podobało się Izie, ale nie mogła po sobie dać poznać, tylko odgryzała nerwowo nitkę i z pasją szyła.

I tak siostry Przybylak poznały Kurta za pośrednictwem mojej skromnej osoby... Ja zostałem asystentem Kurta, z tym że z powodu lęku wysokości nie latam, więc odpowiadałem tylko za projekty robione we Wrocławiu, w Londynie Kurt miał od tego swoich Arabów. Jak widzisz, wszyscy się dobrze znają w tej historii.

Moje życie nie zmieniło się wiele poza tym, że wyniosła się stąd cała hołota i zostałem sam w tej wielkiej willi. Sam. Otworzyłem wszystkie okna, puściłem operę i zacząłem szykować katafalk. Sam sobie pichciłem, sam sobie szyłem, majstrowałem, a pewnego wieczoru sam przyprowadziłem chłopaka, któremu dodałem rohypnolu do piwa. I sam sobie puściłem operę, sam sobie go rozkręciłem, tak jak chciałem, zobaczyłem, co jest w środku w jądrach, w dupie, o co chodzi z tym

całym pożądaniem. Jedno wielkie oszustwo, jakbyś się pytał. Świat jest iluzją, jak mawiał Cagliostro z *Pana Samochodzika*. Trochę się przy tym zaciąłem, wystraszyłem się, że coś, jad trupi – a gdzie tam, elektryka prąd nie tyka! Ale potem cała ta orgia wymknęła się spod kontroli, aż obudziłem się z głową w trupie, jakbym chciał się zaszyć do brzucha. Miałem tylko pieścić, a na jakimś etapie, kiedy czułem, że ciało zaczyna się psuć i mi uciekać, zaczynałem czuć do niego nienawiść, zaczynałem rzeź, a potem budziłem się cały w tym wszystkim. Ponowne narodziny. We krwi, śluzie, gównie i jelitach.

Już wcześniej w życiu sióstr Przybylak nadszedł długo wyczekiwany przełom. Któregoś dnia ówczesna żona tego zboka Kamieńskiego, stara pinda, przyszła do Ślicznej Grażynki uszyć sobie złotą suknię na sylwestra. Wielkości namiotu, bo była gruba i materiału szły hurtowe ilości. Potem się toto nazarło, rozchorowało i w rezultacie po suknię przyszedł Kamieński. I tak zamienił stryjek siekierkę na kijek, z deszczu wpadł pod rynnę, bo jedną pindę wymienił na drugą. Zbyt grube niedobre, ale zbyt chude to dopiero złe! Śliczną Grażynkę najpierw przemianowano na Atelier Mme Kamieńska, a potem zlikwidowano, panie przeniosły się do willi, Iwo spod stołu poszedł do prywatnego, ekologicznego, antyalergicznego przedszkola z językiem angielskim... A też długo czekać nie trzeba było, żeby Kamieński, coraz bogatszy i potężniejszy, spiknął się z Kurtem na niwie biznesowej i łózkowej, aż wióry i procenty leciały.

Szkoda, Witkowski, że ci się to już za cholerę nie przyda do prozy, bobyś na tej historii zarobił i kupił se buty Balenciagi. Tak więc Kamieński i Kurt zostali kochankami oraz mieli interesy polegające na tym, że w Bielawie, nieopodal Wrocławia, produkowano za grosze te ciuchy Kurta i wysyłano do Londynu, a potem sprzedawano z narzutem razy dwieście. Czyli jak coś kosztowało złotówkę w produkcji, to w sklepie dwieście. Wszystko w rodzinie, to była główna zasada Staszka Kamieńskiego. Chciał wydać córkę za doktora Kraśkę i w ten sposób połączyć dwa konkurujące ze sobą instytuty dermatologii estetycznej, The Lash Palace i Polish Beauty... Miał się z nich zrobić jeden wielki, pozbawiony konkurencji zakład Polish Brokat. I powiem ci, że dobrze kombinował. Ale któregoś razu Iza przyłapała go z Kurtem w ich (Kamieńskich) małżeńskim łóżu. Kurt ubrany był w jej koszulę nocną, jej biustonosz, a Staszek miał jądra przewiązane jej majtkami. Wtedy dopiero zrozumiała pani Kamieńska, jak niewiele liczy się jej zdanie, o ile interesy są tu ważniejsze, bo oni nawet zaprosili ją do trójkąta, a w każdym razie nie chcieli przestać i Izie odechciało się robienia awantur.

Tymczasem ja, poza zleceniami dla Kurta, które teraz wykonywała cała szwalnia na Psim Polu, poszedłem pracować do Teatru Polskiego. Zawsze ciągnęło mnie do teatru. Teatr, teatralność...

Nie da się ukryć.

Całymi latami szłem stroje dla teatru i obmyślałem to, co teraz mogliście podziwiać. – Znowu chwycił miarękę i zmierzył mi jeszcze obwód głowy. – Podczas szycia fajnie się myśli. Właściwie chcieli mnie już wysłać na emeryturę, ale ubłagałem Mieszkowskiego, żebym mógł zostać, oddychać tym kurzem zza sceny.

Tymczasem Iwo i Sonia dorośli i przyszli do mnie, abym ich obszył na czarno, bo im trochę odwalilo na gotyk i emo, a może postgotyk i postemo. Powiedziałem, że uszyję im, co tylko będą chcieli, ale potrzebuję jakiegoś podręcznika toksykologii, jasnego, prostego, łatwego. No i rohypnolu albo innych leków podobnie reagujących z alkoholem. Słyszałeś, jak ona tą głowę gotowała? Tylko mi to Iwo opowiedział, od razu pomyślałem: no, pokrewna dusza. Każde z nich wciąż potrzebowało gotówki, a ja miałem pieniądze od Kurta, w teatrze pracowałem głównie dla przyjemności. Iwo był strasznie rozpieszczonym bachorem, który zadawał się z takim samym elementem z bogatych rodzin. Dragi, kluby i kasyno na Piłsudskiego, no i ten ich jakiś klub, którego wówczas jeszcze nie doceniałem.

To towarzystwo było już tak zepsute, że nie przerwało imprez po zaginięciu Soni nawet na jeden dzień, chociaż Iwo musiał zrozumieć, że Sonia wpadła w moje ręce. Przyszła tu dziesięć dni przed tymi andrzejkami, chociaż mówiłem jej, żeby mi tu nigdy nie przyłąziła. Chciała pieniędzy. Szantażowała mnie i robiła aluzje do trupów, że niby dlaczego tu nigdy nie grzeję, czy może moi klienci nie lubią ciepła itd. Zamalowałem ją na odlew. Ale ona dalej drwiła. „Nie dość, że mój stary sypia z Kurtem? Nie dość, że Bednarz w tym całym burdelu wyszywa dla kościoła *Jezu, ufam Tobie?* Nie dość, że moja mamuśka... ach, już nieważne...”.

Wracając do bandy Iwa. Kluby już im nie wystarczały. Dowiedzieli się, że jest we Wrocławiu jakieś cygańskie getto czy koczowisko, wygląda to jak slumsy, skupisko bud. Akurat zrobiło się o tym głośno, bo były zatargi między miastem, które chciało ich wywłaszczyć i działki sprzedać deweloperom na strzeżone osiedla, a różnymi zielonymi ciulami i Amnesty International, co chciały tam zrobić rezerwat cygański. Żadna ze stron zresztą ich nie rozumiała. Była jakaś awantura o beczkowóz, ktoś im go zniszczył czy co? I oni pojechali tam w trzy samochody, „dla jaj”. A już wdarło się w ich grupę pewne rozprężenie i nuda, więc byli w stanie zrobić wszystko. Siostrunia właśnie leżała na tym katafalku, na którym i szanowny pan pisarz teraz spoczywa, a oni pojechali do tego koczowiska i chcieli się tylko pośmiać, porobić im zdjęcia i wrzucić na Instagram, ale ci starsi Cyganie byli już tak wściekli na tych ludzi, którzy ciągle przychodzili robić sobie widowisko, że ich poszczuli psami. No i się zaczęło. Sama elitka: synalek tego, córeczka tamtego, same filary, darczyńcy, co sponsorowali teatry, operę, z Wandą Ziembicką na premierę chodzili... I nie wiadomo, jak to się stało, ale następnego dnia (a była to właśnie słynna noc andrzejkowa) wybuchł tam pożar. W którym zginęło kilku Cyganów i Cyganek, oczywiście wszystkie z dziećmi i w ciąży.

Nad ranem Iwo przybiegł do mnie pijany i cały w sadzy razem z takim jeszcze jednym swoim ciulem. A, właśnie: Alanem! Muszę cię rozczarować: wcale nie jest taki ładny, jak go zrobiłem. Dla takiego nie chciałoby ci się ruszyć swojej tłustej dupy. Nie wiem, po co przyszedł. Że niby się ukryć? Ja późno wróciłem spod akademików Bliźniak i Jubilatka, gdzie podłożyłem ciało jego siostry. On już czekał przed domem i palił, widział, że wracam po nocy. Tylko wciągnął u mnie kreskę, wszystko mi jak na spowiedzi wyznał, jak to było z tymi Cyganami. I poszedł. A następnego dnia już wszyscy wiedzieli, że jego poszukiwaną siostrę znaleziono pod akademikami. I on musiał coś u mnie zobaczyć, dodać dwa do dwóch. Nie wiem co, prawdopodobnie jakiś ciuch czy inny przedmiot osobisty siostry. Bo następnego dnia on chce pieniędzy i mówi przez telefon: wiem wszystko! Ty ją

zabiłeś, policja mi tu węszy. Powiedziałem mu, że dostanie swoje pieniądze, żeby tylko kopnął się do parku Szczytnickiego, wziął liść dębu i położył na łóżku swojej Soni. Poza tym miał wgrać do jej komputera folder ze zdjęciami z miejsc zbrodni. Myślałem, że może już nie będę zabijał... – Uśmiechnął się gorzko. – Ale to jest jak utrata kontroli nad alkoholem czy narkotykami: zanim zauważysz, już budzisz się z głową w brzuchu, wśród bebeczków, i zastanawiasz się, kiedy to się stało. Dlatego koniec. Wolę iść do więzienia. Jak tam? Nie zimno ci?

Znowu chciał pobrać mnie woskiem, ale zrezygnował.

– A ona? Sonia? Co ona o tym wszystkim wiedziała?

– Ona wiedziała. Pomagała mi z rohypnolem.

– A skąd brałeś chłopców, że nikt ich nie poszukiwał?

– A ty skąd byś brał?

– Z... Nie wiem. Ja miałem w domu całą kolekcję ogłoszeń o chłopcach, którzy byli poszukiwani przez przyjaciół i rodziców.

– Narkomani pod Panoramą puszczają się za pięćdziesiąt złotych. Tacy, co tyle razy uciekali z domu, że już nawet się ich nie szuka. Idą do domu klienta jak w dym. A ty im płacisz gotową działką... No to teraz, skoro sobie wszystko wyjaśniliśmy, trochę się zabawimy... Michaś...

Musiałem jeszcze pytać, pytać, byle przedłużyć to wszystko.

– Byłeś... Jesteś synem Herminy?

– Tak, ale nie chodzi mi o zemstę.

Wziął kredę krawiecką i zaczął rysować na mnie kieszenie i inne detale stroju. Moja komórka ciągle dzwoniła, w końcu cisnął nią o ścianę, ale cholerstwo było wytrzymałe. Pospieszcie się! Jezu, ja miałem takie cudowne życie, gwiazdorstwo, kasa, wyjazdy, spanie, do której się chce, brylowanie, od wiosny do jesieni nad morzem, sto par butów, czytanie sobie w łóżku, kiedy inni zapierdalają w firmach, ja nie chcę umierać!

On przyłożył mi teraz miarkę do stopy, żeby zmierzyć numer buta. Potem przyniósł zwłoki tego Kamilka i rzucił na mnie. Poczuję się, jakby ktoś położył mi na brzuchu wyjętego z lodówki wielkiego, oskubanego kurczaka.

– Masz, coś ci się należy, miałeś dostać Alanka, bierz Kamilka, ja już z niego nic nie wycisnę. Dla mnie już przeterminowany. A teraz idę. Muzykę zostawić?

Potem wszystko ucichło i zaczął się wielogodzinny bezruch. Dwóch łysych, jeden żywy, drugi martwy. Z ciała Kamila coś ściekało mi po nagim boku, szczypało. Z ust też leciało i krople powoli spadały mi po szyi. Nie o takich pieszczotach, Bóg mi świadkiem, nie o takich marzyłem...

Świece ogrzewały trochę otoczenie katafalku. Wyobraziłem sobie, że jakimś cudem wpada tu prokurator i widzi taki obraz: ja leżę nagi, a na mnie jej nagi syn, rozbebeszony, ogolony na łyso, siny, miejscami już granatowy. Przecież pomyślałaby, że jestem jakimś nekrofilem. Lubię chłopców, dobrze, ale najchętniej pełnych młodego życia! Studencina pewnie już tam przesłuchuje Kurta i jedyna nadzieja, tak! Tak, jest nadzieja, że Kurt nie zechce wziąć na siebie tych morderstw i wyda swojego kompana! Poda ten tu adres! Szybciej!

Potem w pokoju obok usłyszałem strzał. W willi wszystkie okna były uchylone, wiatr szarpał

firankami, ten strzał powinien roznieść się po całej dzielnicy. Jeśli on się tu zabił, to nie najgorzej, ale zdejmijcie ze mnie te zwłoki, bo jad trupi kapie mi po policzku i zaraz wleci do ust, fuj!

No i zaczęło się czekanie. Czekanie, że Kurt powie o tym facecie, o tym domu. Albo że sąsiedzi wpadną tu z powodu wystrzału. Nie zanosiło się ani na jedno, ani na drugie. Nic. Nic i nic. Godziny mijały. Komórka dzwoniła. Esemesy przychodziły. Leżałem związany na lodowatym katafalku. Na mnie zwłoki Kamila. Ze zwłok wciąż ciekło coś szczypiącego. Było coraz zimniej. Opera się skończyła. Facet w drugim pokoju leżał martwy.

Nagle jedna gromnica przekrzywiła się i upadła na dywan, czy co tam było – mogłem patrzeć tylko w sufit. Ale szybko się zorientowałem, że coś się zapaliło. Ogień na razie nie interesował się katafalkiem, który jako marmurowy nie był dla niego żadnym specjałem. Paliło się coś obok. Śmierdziało. Jakby drewno. Miałem kiedyś taki aparat do wypalania obrazków w deseczkach i to wypalanie tak właśnie śmierdziało. Trumna. Więc tak mam skończyć, na tym tu ofiarnym stosie? Zacząłem się rzucać jak dziki, a tu mały apendyks co do mojego charakteru: otóż zawsze byłem słaby, ale umiałem się wkurwić na całego, wściec jak wariat i wtedy wstępowała we mnie nagła szaleńcza siła. Tak teraz zebrałem całą wściekłość i wierzgając na lewo i prawo, zrzuciłem z siebie ciało Kamila prosto w ogień. Zasyczało. Zaśmierdziało pieczenią. Najgorsze w tym było, że to taki kulinarny, smakowity zapach. Zlepione taśmą ręce włożyłem w ogień, który parząc mnie niemiłosiernie, zamienił taśmę w coś jak guma do żucia. Wtedy chwyciłem nożyce krawieckie, leżące na podłodze, rozciąłem nogi i stanąłem wolny na środku dużego pokoju. Paliła się trumna, palił się szkarłatny materiał, który szedł od trumny do katafalku, jak na jakiejś komunistycznej akademii ku czci. Szukałem czegoś do okrycia, ale że nie było, doskoczyłem do sieni i wybiegłem goły z tego straszego domu do ogrodu. Prosto w mróz. Minąłem furtkę. Potknąłem się o coś i upadłem w śnieg. Ale zbiegli się już ludzie i odtąd nie czułem się na siłach brać udziału w dalszych wypadkach, niech no oni mnie teraz kładą na noszach, wiozą gdzieś, leczą...

Dziękuję Wam wszystkim.
Największy współudział w zbrodni mają:

Maciej Kozak,
Darek Warecki,
Agnieszka Hałoń,
Paweł Surowiak,
Jerzy Kawecki,
Marcin Zawadzki,
Marek Musiał,
Marek Zieliński,
Marianna Sokołowska,
Aleksandra Matyas,
Radek z Międzyzdrojów z żoną,
Angela z biblioteki w Międzyzdrojach,
Rafał Jęczmyk,
Andrzej, mój brat,
Paula,
Anka Jantar,
Pan Boguś,
Paweł Ziegler,
Józef Pluciński,
Jarosław Urban,
Maciej Rewerski,
Kasia Majewska,
Jacek Cimicki,
Julianna Rogowska,
babcia klozetowa na Cmentarzu Osobowickim,
rodzice za moc i pieniądze.

Przypisy

- [1] Por. Stefan Zweig, *Fouché. Portret człowieka politycznego*.
- [2] Wisława Szymborska, *Nic dwa razy*, w: *Nic dwa razy. Wybór wierszy*, Kraków 1997.
- [3] Wifka – Wydział Interwencyjno-Wywiadowczy.
- [4] Oprawcy – w slangu policyjnym: OP – Oddziały Zwarte Prewencji, część interwencyjna „Wifki”.
- [5] Aluzja do amerykańskiego seryjnego mordercy Dennisa Radera, którego od sposobu działania nazywano „Skępować-Tortuować-Zabić” („Bind, Torture and Kill”).
- [6] Kapek – Kodeks Postępowania Karnego.
- [7] Jaffrey Dahmer, Aleksandr Piczuszkin – seryjni mordercy, Josef Fritzl – więził i gwałcił przez długie lata własną córkę, trzymając ją w piwnicy.
- [8] Andriej Czikałiło – ukraiński seryjny morderca, zwany Rzeźnikiem z Rostowa, oskarżony o pięćdziesiąt trzy morderstwa.
- [9] Wisława Szymborska, *Pogrzeb*, w: *Nic dwa razy. Wybór wierszy*, Kraków 1997.
- [10] *Kasa i sex*, sł. Agnieszka Osiecka.
- [11] *Rozmowa Mistrza Polikarpa ze Śmiercią*, w: *Polska poezja świecka XV w.*, Wrocław–Warszawa–Kraków 1997, BN I 60. Wszystkie następne cyt. z *Rozmowy...* za tym źródłem.
- [12] *Chrestomatia staropolska. Teksty do roku 1543*, Wrocław 1984, s. 213.
- [13] Ibidem.
- [14] No właśnie, knajpa Bella Mi, doskonały przykład na to, co nazywam heterotekstem Międzydrojów czy w ogóle polskiego krajobrazu nadmorskiego. Mówiąc bez queerowo-genderowej terminologii, szylidy w Międzydrojach mają zachęcać do wejścia heteroseksualnych mężczyzn. Dlatego między innymi nazwa, która powinna brzmieć: „Bel Ami”, czyli „piękny przyjaciel”, nie zmieściła się w heterotekście (czyli w głowach szefów barów), bo w świecie hetero istnieją tylko piękne laski. Kogóż miałby zachęcić piękny facet? Stąd surrealistyczne złamanie tej nazwy na „Bella” i pozostały bezsensowny ogonek „Mi”.

[15] PPA – Przegląd Piosenki Aktorskiej, jedna z głównych corocznych imprez kulturalnych we Wrocławiu.